

Bocheńska Ola

Biała wieża

Młoda lekarka, Marina Błajet, choć świetnie radzi sobie z ratowaniem czyjegoś życia, nie bardzo wie, co zrobić ze swoim własnym. Wszystko się jednak zmienia, gdy spotyka malarza, Vitto Morgensena, który twierdzi, że odwiedzała go w snach, nim spotkali się na jawie. Sprawa wydaje się przesądzona, bohaterowie skazani na romantyczne uczucie, ale stara prawda, że nic nie jest takie, jakim się wydaje, i w tej historii jest wciąż aktualna. Czy szalona miłość to w ogóle miłość? Kto kłamie i czy może lepiej nie wiedzieć, skoro nie zawsze można zaufać temu, co widzą nasze własne oczy?

Za oknem wiatr lekko poruszał konarami drzew. Zaczynał prószyć śnieg, zostawiając cieniutką kołderkę na nagich, jak zwykle o tej porze roku, topolach, stojących sennie za oknem. Z czwartego piętra, na którym rozlokował się nasz oddział, widać było doskonale smukłe, wyciągnięte ku niebu, sylwetki. Lubiłam myśleć o ich podobieństwie do toskańskich cyprysów, ale teraz przypominały raczej powtykane do góry nogami miotły sprzedawane w latach mojego dzieciństwa przez wędrujących od miasteczka do miasteczka ludzi „drogi”.

- A ty, co o tym myślisz? - wyrwał mnie z odrętwienia głos szefa.

Przeniosłam wzrok zza okna do wnętrza dyżurki.

- No, czy otwierać, czy jeszcze trochę się wstrzymać -dodał po chwili, widząc moje wahanie.

Spojrzałam na siedzących w pokoju kolegów. Nasza mała menażeria. Każdy z nich mógłby stanowić obiekt badań psychologicznych do niejednej pracy doktorskiej. Nie było dziś Klary i Basi, mnie przysłało zatem pełnić honory pani domu i robić wszystkim kawę.

- Marina, śpisz? - głos szefa stał się natarczywy.

- Zamyśliłam się na moment, przepraszam - nieco nerwowo roześmiałam się.

- A wracając do rzeczy - dodałam już spokojniej, usiłując przybrać jak najbardziej rzeczowy wyraz twarzy - uważam, że trzeba to zrobić jak najszybciej. Stan pacjentki zaczyna się pogarszać i, moim zdaniem, nie ma na co czekać. W brzuchu coś się dzieje, coś więcej niż zwykłe zapalenie, bez dwóch zdań i trzeba to szybko sprawdzić.

- A ty, Zdzisławie? - pytanie było skierowane do naszego starszego kolegi, zastępcy szefa. Był to rosły, mocno siwy i łysiejący już lekko facet z rumianą twarzą dziecka, z dłońmi kalibru łopaty, nasza ostatnia deska ratunku w sytuacjach podbramkowych, gdy trzeba było użyć dużej siły fizycznej przy porodzie czy operacji. Ileż dzieci to właśnie jemu, a nie swym kochanym mamom, zawdzięczało opowieść „jak cało i zdrowo przyszedłem na świat”.

- Zgadza się z Mariną. Trzeba otworzyć - powiedział nasz wice, nie przerywając czynności, która w jego wykonaniu nie przestawała mnie zadziwiać od lat.

Z pełnym spokojem kontynuował podlewanie kilkunastu kwiatów, które zdobiły naszą skromną dyżurkę. Powoli, niemal kontemplując, poruszał się ze starą konewką z plastiku w kolorze różowych majtek i dolewał świeżej wody kwiatom, gdzie który sobie zażyczył. Fiołkom i paprotkom do podstawek, syngonium i filodendronom - bezpośrednio do doniczek. Na południowym parapecie koczowała rozmnażana po raz kolejny kolonia papirusów, małych wachlarzy zanurzonych w wodzie. Także ich nie ominęła mała konewka Zdzisława. Czekalam tylko, kiedy zabierze się za zraszanie swoich ulubionych okazów. Regularnie w czasie urlopów czy jakichkolwiek nieobecności naszego „ogrodnika” wykańczaliśmy któryś z kwiatów nadmiarem wody lub jej niedoborem, choć staraliśmy się z całych sił, żeby było inaczej. One po prostu ginęły z tęsknoty.

- Marina i Zdzisław. Za kwadrans na bloku. Czekam - powiedział szef, nim wyszedł z dyżurki.

Oboje kiwnęliśmy głowami. Zdzisław nie przyspieszył ani o sekundę celebry z konewką, ja także nadal tkwiłam zatopiona w swoich myślach. Dobrze, że nie mam dyżuru w najbliższym tygodniu. Byłam już naprawdę zmęczona tym ciągłym bojem z moimi nadnerczami. Biedne, starały się jak mogły, nastarczyć z produkcją adrenaliny w czasie ostatnich trzech dyżurów. I ja, i one mieliśmy szczerze dość. Marzyło nam się błogie lenistwo... i, prawdę mówiąc, miałam w planie na dziś słodki relaks na kanapie. Ja i moje nadnercza beczynnienie leżakujące w obrzydliwym letargu pod polaro-wym kocem. I niczym niezmacona cisza... no, może leciutko w tle Vangelis i Anderson albo trochę pogodnych smutecz-ków Cesarii Evory... i do tego dobra książka. Ledwie zaczęłam *Jeżynowe wino* Joannę Harris, idealne na tę porę. Jeszcze kubek herbaty z sokiem malinowym w zasięgu ręki. Czego chcieć więcej...

A jednak chciałam od życia więcej. Dużo, dużo więcej. Chciałam gorącej czekolady do łóżka w ponury dzień, kolacji przy świecach, wspólnego oglądania *Władcy Pierścieni* i zachwytu nad fantazją ludzką i pięknem Nowej Zelandii, długich rozmów na różne tematy, jak te, dlaczego nie lubię Boscha, a kocham El Greco, że takiej Scarlett, jak Vivien Leigh to już nikt nigdy... że są głosy w radiu, co śnią się po nocach, że świat bywa okrutny, ale częściej jest po prostu piękny. Że tulipany papuzie lepiej „ubierać” w proste szkło, że *vert d'eau* to wcale nie kobaltowy niebieski, że nie ma to jak czereśnie prosto z drzewa (na pohybel wszelkim zarazkom), że Aznavour i po angielsku brzmi uroczo. Że dziś może *Tam, gdzie rosną poziomki* Bergmana, a jutro *Pół żartem, pół serio*, że tuż przed zmierzchem światło niezwykłą smugą kładzie się na ścianie i dachu domu nieopodal... Chciałam, żeby ktoś dzielił ze mną wschody i zachody, ktoś, z kim siadalibyśmy o poranku przy kuchennym stole, rozkoszując się kubkiem mocnej kawy z chmurką śmietanki, spacerowali

plażą, trzymając się za ręce w słoneczny dzień, a potem pływali w morzu raz to kontemplując urodę morskiej toni, raz ścigając się, kto pierwszy do brzegu i padali na rozgrzany piasek ciężko dysząc po skończonym wyścigu... I żeby ten ktoś pochylił się nad moją twarzą pokrytą słonymi kroplami wody i scałował je z pachnącej wakacjami skóry. A wtedy odbiłabym się słońcem w jego oczach i rozlała morzem po jego policzkach, ustach, ramionach...

Na razie jednak, jak kiedyś powiedziała Ewa, trwałam w wysokiej, białej wieży i smętnie spoglądałam w morze, wyczekując żaglowca z księciem na pokładzie... Splatałam warkocze, nuciłam piosenki, smakowałam poezję, nie spuszczać oczu z linii horyzontu... I niewiele z tego wynikało...

podpływały w najlepszym wypadku kutry z dorszem. Osobiście do dorszy nie mam nic, ale... „bo to wszystko nie tak, nie tak, nie tak...”.

Ewa twierdziła, że jestem obrzydliwie wybredna i nie cierpiała tego mojego, jak to nazywała „White Tower syndrom”, czyli niewątpliwych trudności zdecydowania się na coś, co nie spełniało moich oczekiwań w stopniu przynajmniej zadowalającym. A coraz trudniej w obecnych czasach o księcia, gwoli ścisłości, nie szło mi o księcia krwi, lecz raczej księcia duszy i serca. Kogoś, mówiąc językiem informatycznym, kompatybilnego... po prostu - mojej drugiej połowy. Pocieszałam się, że na pewno taki istnieje, że już płynie na swojej „Biegnącej po falach” i niebawem ujrzę na horyzoncie łopoczącą banderę... Tymczasem obijałam się o ściany swojej białej, sięgającej chmur samotni i czekałam uparcie w nadziei, iż nie przyjdzie mi tu wzywać lekarza rodzinnego do ataku podagry i hormonalnej terapii zastępczej w ciężkim klimakterium...

Na słowo klimakterium włączyło się w mojej głowie czerwone światełko. Operacja! Zerknęłam na zegarek. O, rety!, zostały mi jeszcze cztery minuty, by zameldować się na bloku.

Spojrzałam na Zdzisława, on też był „na emigracji wewnętrznej”, tyle że na kanale „Sport” i z ogromnym zainteresowaniem obserwował, czy niebiescy strzelą gola białym, czy odwrotnie. Wystarczyło jednak, że energicznie wstałam, a i on oprzytomniał. Ruszyliśmy na blok. Operacja, mimo że trwała ponad trzy godziny, minęła jak trzy kwadransy i dopiero kiedy zrzuciliśmy pokrzwawione fartuchy, dopadło nas zmęczenie, które wypłynęło na nasze twarze jak meduzy z mojego dziecięcego wiaderka w czasie wakacji na Helu. Wypłynęło i zostało, przynajmniej na jakiś czas. Niestety, mieliśmy z wice rację. To nie było zwykłe zapalenie. Pocieszyliśmy się, że może badanie śródoperacyjne jednak się myli...

Po ciężkim dniu z prawdziwą radością ruszyłam do domu. Już rozkoszowałam się perspektywą relaksu na kanapie, już niemal przewracałam kartki książki, gdy nagle uświadomiłam sobie, że chyba nici z moich planów oddania się lenistwu w domowych pieleszach. Czy dziś jest środa? Nerwowo szperałam w torebce w poszukiwaniu notesu. Zupełnie zapomniałam! Na dziewiętnastą idę z Ewką na jakiś wernisaż. Nawet nie mam pojęcia czyj. Ale na pewno się dowiem. Ewa zaleje mnie po drodze morzem informacji.

Tymczasem podążałam moją wiekową, acz kochaną czerwoną toyotą w stronę domu. Już niebawem moim oczom ukazała się dobrze znana stara kamienica, w której pędziłam żywot pomiędzy dyżurami, okazijnymi wyjazdami i spotkaniami z przyjaciółkami. Mój rodzinny dom, stara willa w innej dzielnicy, czekał cierpliwie na swój lepszy czas, kiedy to znużona mieszkaniem z kilkudziesięcioma osobami pod jednym, choć dość dużym dachem, zatęsknię do starych kątów. Rodzice rozumieli moją potrzebę usamodzielnienia się i życia na własny rachunek, toteż znosili to ze względny spokojem. Zazwyczaj. Jeśli nie liczyć napadów lęku o zdrowie i życie córki, które niekiedy przydarzały się mojej kochanej mamie.

Zaparkowałam i po chwili biegłam już, przeskakując po dwa stare schody, żeby znaleźć się w swoim małym królestwie. Klatkę schodową wypełniały różne odgłosy i wonie, słychać było dziecięce krzyki z podwórka, zapach pieczonego kurczaka mieszał się z zapachem starego domu, pod moimi stopami skrzypiały schody... Jeszcze tylko wysupłać klucze z przepastnej torby pod baczynym okiem filującej przez wizjer obok sąsiadki... Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, nastąpiła cisza, która spłynęła na mnie jak kaskada krystalicznie czystej wody... Powoli odłożyłam na komodę torbę i, niemal smakując spokój, rozścielający się wokół mnie, ciężko opadłam na kanapę. „Muszę trochę ogarnąć mieszkanie, nim przyjdzie po mnie Ewa...” - przemknęło przez moją głowę. Ale teraz nie miałam na to sił. Ależ byłam zmęczona! Nie wiedziałam nawet, która to już godzina, wiedziałam jedno - muszę koniecznie zdrzemnąć się, choćby pół godzinki. I kiedy tylko dałam sobie na to wewnętrznie przyzwolenie, natychmiast odpłynęłam w błogi sen.

Obudziłam się lekko zdrętwiała, powoli rozejrzałam się po mieszkaniu. „Porządek względny, nie muszę sprzątać”, pomyślałam, jakby mechanicznie kontynuując wątek, z którym zasypiałam. O, raju, która godzina? Zerwałam się na równe nogi, ale po chwili znów opadłam na kanapę. Dochodziło wpół do piątej, mam mnóstwo czasu. Po kilku chwilach podjęłam jednak nadludzki wysiłek podniesienia swego ciała z kanapy, bojąc się, że to ostatni moment, nim sen znów mnie dopadnie i zmumifikowaną, zastygłą w tej pozycji znajdą mnie po tygodniu zaniepokojeni rodzice. Już czułam się jak mumia, jakieś cztery tysiące lat z małym okładem. Spojrzałam w lustro wiszące w przedpokoju. Mocna kawa, dobra, energetyzująca muzyka, ciepła kąpiel i - będę jak nowa!

W rezultacie zdecydowałam się na prysznic w towarzystwie Barry'ego White'a, który mrucał czarownie z płyty *The best of...* Tak, ten głos doskonale pasował do mojej bia-

łej wieży... „You always have my unspoken passion, I love you just a way you are...”* . Woda mocnym strumieniem obmywała moje ciało, zatrzymując się chwilę dłużej na biuście, który, tu użyłam nazwy choroby zakaźnej rozpowszechnianej przez pewnego przecinkowca, znanego powszechnie jako *Vibrio cholerae*, jednakowoż był za duży. Biust, mój prezent od matki natury, nie przecinkowiec, oczywiście. On był wszak malutki, tyci. W przeciwieństwie do tego, co wyrosło mi w czasie liceum. Wiedziałam, że koleżanki mi go zazdroszczą, a część panów zazdrości mojemu biustonoszowi, ale... sami niech sobie noszą miseczkę DD! Najłatwiej zrzucić to na kogoś...

Oj, marudzę, wyraźnie nie jestem w formie, czas napęlić moje kubeczki z energią. Zgodnie z zaleceniami Hanki, wyobraziłam sobie stojące na blacie stołu kubki w różnych kolorach i wizualizowałam sytuację, jak to nalewam w nie do pełna czystą, źródlaną wodę. Najpierw do pomarańczowego kubeczka, potem czerwonego, żółtego. Kiedy już wszędzie błyszczały meniski wypukłe (coś jednak z fizyki pamiętam!), omiotłam je wszystkie tryumfalnym spojrzeniem i wróciłam na ziemię, czyli pod prysznic, który szemrał, jakby nigdy nic, dając mi do zrozumienia, że zachowa w dyskrekcji, cokolwiek by widział. Cóż, niestety, z prysznicowych wspomnień wiało nudą: poza napełnianiem kubeczków w ogrodzie wyobraźni, niewiele tu się działo. Co najwyżej, zapominałam ręcznika na drzwiach kabiny...

Usłyszałam donośny głos dzwonów z nieodległego kościoła, które wybijały akurat szóstą. Za pół godziny Ewa stanie w drzwiach, a ja co... mam ją przywitać w szlafroku? Włączyłam piąty bieg i ruszyłam do boju. Nie minęło dwadzieścia minut i byłam już niemal gotowa do wyjścia.

*** „Moja niewypowiedziana namiętność należy na zawsze do ciebie... Kocham cię po prostu taką, jaka jesteś...” - wszystkie cytaty w przekładzie Autorki.**

Włożyłam na siebie ciepły, mohairowy sweter w moim najbardziej twarzowym kolorze, czyli głębokiej czerni, i po parominutowym zastanowieniu - długą wełnianą spódnicę. Choć walka była ostra, spódnica wygrała z czarnymi spodniami, mimo rozbrzmiewającego gdzieś w głowie głosu mamy, który strofował mnie za nierozwagę. Myśli o ciepłym *dessous* pod spódnicą nie dałam nawet szansy zaistnieć. Delikatny makijaż, odrobina ciepłych perfum na skórę i byłam prawie gotowa. Jeszcze nonszalancki niby, a elegancki „luz”, jaki z pomocą niedawno nabytych w salonie fryzjerskim specyfików udało mi się uzyskać na niesfornych, kręconych włosach... No i ulubiony anioł, którego zrobiła dla mnie moja przyjaciółka Lukrecja... Zawieszony na srebrnym łańcuszku, prezentował się na czarnym swetrze wręcz charyzmatycznie. Bardzo lubiłam go zakładać, śmiałam się, że to mój anioł stróż... jakoś od samego początku miałam wrażenie, że emanuje z niego dobra energia. Może i dziś przyniesie mi szczęście? Starłam się być racjonalna i konkretna, ale odrobina „magicznego” myślenia nie mogła mi przecież zaszkodzić.

Zdażyłam w sam raz na czas i kiedy Ewa zadzwoniła do moich drzwi, wystarczyło sięgnąć po płaszcz. Pospieszyłyśmy na przystanek. Miałyśmy już pewne doświadczenia w bywaniu na wernisażach, stąd też spodziewając się lampki wina, żadna nie zdecydowała się na jazdę własnym autem. Pogoda była typowa dla tego kraju o tej porze roku. Zamiast śnieżnego białego puchu i lekkiego mrozu, miasto tonęło w szarej brei. Na szczęście w tej chwili nie padało, nawet wiatr, tak niemiłosierny po południu, zelżał. Obie miałyśmy na sobie ciepłe, długie płaszcze, zamotane wokół szyi szale, a na głowach - czapki kupione w niedawno odkrytym przeze mnie małym zakładzie prowadzonym przez dwie modystki z ułańską fantazją. Ewa doskonale prezentowała się w nakryciu głowy stylizowanym na „czapkę uszatkę”, ja zaś

miałam na sobie coś, co było skrzyżowaniem czapeczki renesansowych uczonych z kaukaską odmianą toczka, o ile miałby on małe nauszniki. Wykonane ze sztucznych karakułów, nie mogły pozostać niezauważone, ale już przyzwyczailiśmy się do różnych, zwykle sympatycznych, komentarzy. Czasem w życiu nic się nie da zmienić poza czapką. Więc dlaczegóż żałować sobie odrobiny ekstrawagancji.

Autobus podjechał na szczęście szybko i nie byliśmy wystawione zbyt długo na działanie wyjątkowo ponurej aury. Doturlałyśmy się wreszcie na miejsce. Galeria był przytulnym i ciepłym miejscem. Pospiesznie pchnęłyśmy drzwi i weszłyśmy do środka. Było już sporo ludzi, twarze niektórych znane nam były z pierwszych stron gazet. Spacerowali po eleganckim wnętrzu z kieliszkami w dłoniach. Uwagę zwracały porozwieszane na ścianach asymetrycznie obrazy. Nie poświęciłam im na razie więcej czasu, najpierw bowiem musiałyśmy oswoić się z wrzawą i tłumem. Ewa rzuciła okiem na zegarek. Spóźniłyśmy się oczywiście, ale cóż, lepsze to, niż samotne przechadzanie się po bezludnych salach i rozmowa, nie daj Boże, z jakimś poszarpanym artystą, który maluje np. kawałki kobiecego ciała w słoikach, bo miał ciężkie dzieciństwo i mieszkał naprzeciwko rzeźni. Dopiero w tej chwili uświadomiłam sobie, że nie wiem nawet, czyja to wystawa. Cicho zapytałam Ewę. Okazało się, że jakiegoś znanego już ponoć, amerykańskiego malarza duńskiego pochodzenia. Miał skandynawskie nazwisko: Morgensen. Ładne. Tyle zapamiętałam. Ewa ruszyła ku znajomym, a ja, nie mając ochoty na jakieś sztuczne rozmowy, ruszyłam powoli spacerem po galerii. Z kieliszkiem w dłoni przechadzałam się, oceniając wiszące na ścianach obrazy. Niektóre były naprawdę niezłe. Takie - moje klimaty. Kryło się w nich jakby podwójne dno, ale nie miały w sobie nic z ponurej tajemnicy. Raczej coś z magii.

W pewnej chwili poczułam na sobie czyjś wzrok. W rogu sali stał trzydziestokilkuletni mężczyzna i wyraźnie mi się

przyglądał. Krótko obrzuciłam go wzrokiem, z pewną wyniosłością, kryjącą zawstydzenie i zakłopotanie tak jawną obserwacją. Jednak miał w sobie coś, co przyciągało mimo woli mój wzrok do smukłej sylwetki, którą widziałam kątem oka. Po chwili zauważyłam, że podeszła do niego niewielka kobieta i na jakiś czas zajęła jego uwagę. Wykorzystałam to, by bacznie mu się przyjrzeć. Był dość wysoki. Niewątpliwie przystojny. Ładny kształt głowy podkreślały proste włosy, sięgające do szyi, z jednej strony założone za ucho. Zwracała uwagę męska twarz, o pięknie zarysowanej żuchwie. Stał za daleko, by dojrzeć inne szczegóły. Miał na sobie czarny sweter, luźno opadający na ciemne spodnie. Jedną rękę trzymał w kieszeni, w drugiej - podobnie jak ja - kieliszek czerwonego wina. Podwinięty rękaw odsłaniał mocną linię przedramienia. Nic więcej nie udało mi się zaobserwować, ledwie bowiem zdążyłam spuścić oczy, kiedy kobieta nagle pożegnała się i odeszła. Wróciłam szybko do pilnego studiowania grubej warstwy farby na najbliższym mi płótnie. Widziałam tylko tę jedną szaroniebieską smugę. Co było na całym obrazie, niestety, w tej chwili nie byłam w stanie ustalić. Musiałam najpierw opanować dziwną panikę, której uległam umknąwszy wzrokiem. Ochłonełam nieco i poszukałam oczyma Ewy.

Rozmawiała z jakimś starszym mężczyzną, żywo gestykulując. Podeszłam do nich, udając, że w pełni kontroluję sytuację, a napad paniki był tylko wytworem mojej wyobraźni. Ewa natychmiast przedstawiła nas sobie i usiłowała wciągnąć mnie do rozmowy.

- Marina, poznaj proszę pana Hieronima, organizatora dzisiejszej wystawy.

Mężczyzna uklonił się lekko i powiedział:

- Hieronim Werner-Lipski, *enchante Madame*.

- Marina Błajet. Mnie również miło pana poznać - odparłam uprzejmie.

- Jakie wrażenia? - zapytał krótko.

Nim zdążyłam nabrać tchu, by powiedzieć choć słowo, twarz pana Hieronima rozjaśnił uśmiech, a z jego gardła wydobył się entuzjastyczny okrzyk:

- O, sam mistrz do nas idzie! - szybko przeszedł na angielski i niezgorszym *British English* zaczął wygłaszać peany na temat dzieł wiszących wokół nas. Czynił to, patrząc w miejsce, gdzieś za moimi plecami. Chcąc nie chcąc, musiałam się obrócić. Tuż za mną stał mężczyzna z rogu sali. Odwróciwszy się, niemal wpadłam na niego. Przez moment zastygliśmy w bezruchu, a jego błękitne oczy przeszły mnie do szpiku kości. Szybko cofnęłam się o dwa kroki.

- Cóż, myślę, drogie panie, że bohatera dzisiejszego wernisażu nie muszę paniom przedstawiać - Werner przypomniał sobie i o naszym istnieniu.

- W takim razie, ja sam się przedstawię: Vitto Morgensen. Ten kraj ma o jedno wielkie bogactwo naturalne więcej, niż czytałem. Piękne kobiety - powiedział to ciepłym, bardzo spokojnym, wręcz kojącym moje rozedrgane wnętrze, głosem.

- Miło mi pana poznać. Ewa Lenartowicz, dziennikarka. - Ewka, jak zwykle, była bardziej przytomna ode mnie. -A to moja przyjaciółka: doktor Marina Błajet.

Skinęłam głową, usiłując się uśmiechnąć. Przez moment nasze oczy znów się spotkały i błękit, jaki rozpostarł się przed moimi źrenicami, zaczynał mnie wchłaniać. Na szczęście, w tej samej chwili Ewa zaczęła nadawać o swoich wrażeniach. Widziałam, że słuchał jej wywodów, ale jego wzrok niemal cały czas skupiony był na mnie. Czułam się dziwnie. Ten mężczyzna, którego obecność tak nagle wtargnęła w moje życie, znany od kilku minut... był tajemniczy, ale nie wyzwał we mnie wcale lęku. Wręcz przeciwnie, napawał niesamowitym spokojem... zupełnie nie umiałam tego sobie wytłumaczyć. Czułam, że w jakiś bliżej nieokreślony

sposób, jest dla mnie ważny. Co ja wymyślam! Przywołałam się szybko do rzeczywistości.

- A pani, podobają się moje obrazy? - zapytał, ujmując delikatnie moją dłoń.

- Tak, bardzo. Zdają się mieć w sobie coś z magii - powiedziałam, patrząc prosto w jego niebieskie jak ocean oczy.

- Z magii... Magia... Tak, to jedyne wytłumaczenie, dlaczego śni mi się pani od kilku dni każdej nocy

- w jego oczach nie wyczytałam śladu drwiny. Trudno było mi uwierzyć w to, co usłyszałam przed chwilą.

- Słucham? Mój angielski nie jest doskonały, może nie zrozumiałam? Ja śnię się panu... jak to możliwe? - spojrzałam na niego szczerze zaskoczona.

- Nie wierzy pani? Tak, ja sam nie mogę w to uwierzyć. Przepraszam na moment - odwrócił się i zniknął za najbliższymi drzwiami. Nie minęło pół minuty, gdy wrócił, niosąc w ręce szkicownik.

- Nie wiedziałem dotąd, jak masz na imię... Marina... sama zobacz - nagle zniknęła granica konwenansów.

- Sama zobacz! - nie czekając, wziął mnie za rękę i pociągnął w stronę stojącego nieco na uboczu małego stolika z niewielką kanapą. Zaskoczona, na moment odwróciłam głowę i zobaczyłam Ewę i pana Hieronima, jak stoją z otwartymi ustami i odprowadzają nas wzrokiem. Sama pewnie miałam podobny wyraz twarzy, wszystko bowiem działo się zdecydowanie zbyt nagle i zbyt szybko. Ale, wbrew mojej naturze, nie odczuwałam żadnego lęku związanego z tak nieprzewidzianym rozwojem wypadków. Na swój sposób było to bardzo miłe. Choć, bez wątpienia, trochę dziwne. Dziwne, ale bardzo ekscytujące.

Kiedy już usiedliśmy, Vitto otworzył swój szkicownik. Z wrażenia, aż zapało mi dech. Na paru kolejnych stronach zobaczyłam własną twarz, naszkicowaną ołówkiem *en face* i z profilu. Przez chwilę nie byłam w stanie niczego z siebie

wykrztusić. Zapadła cisza. Patrzyliśmy na siebie nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje. A jednak żadne z nas nie miało odwagi ani siły odejść. Oboje czuliśmy, że ta chwila jest na swój sposób wyjątkowa. Jak zawieszenie pomiędzy jednym a drugim tchnieniem wiatru, jak czas pomiędzy jednym a drugim uderzeniem serca. Moment, w którym, według niektórych, nie może zdarzyć się nic szczególnego. My oboje wiedzieliśmy, jak bardzo się mylą.

Vitto chciał odłożyć szkicownik, gdy ten dziwnym trafem wysunął mu się z rąk i z cichym łoskotem upadł na ziemię. Oboje odruchowo rzuciliśmy się na ratunek wypadającym kartkom i znów spotkaliśmy się, tym razem niesamowicie blisko... Poczułam ciepło jego skóry parę milimetrów od mojego policzka, do głowy uderzył mi zapach jego męskiego ciała, który nagle rozpostarł się jak parasol nad moją głową. Chyba zwariowałam! Znam człowieka od kilku chwil, a już omdleam jak Stefcia przy ordynacie Michorowskim. Tylko czekać jak szepnę „Waldi!”. Weź się w garść, dziewczyno! Po kolejnym jednak hańście powietrza, który wypełnił moje płuca silną męską nutą, czułam, że zdrowy rozsądek wyjechał pospiesznie bez podania adresu.

Vitto znów ujął delikatnie moją rękę. Dopiero teraz spojrzałam na jego dłonie. Mocne, kanciaste, z wyraźnie zaznaczonymi stawami. Miały lekko chropowatą fakturę, ale jednocześnie były miękkie i ciepłe. W jego ręce moja dłoń wydała się taka drobna i mała.

- Śnisz mi się już tak długo, a nic o tobie nie wiem, moje marzenie senne - znów zawinał mnie w ten magiczny błękit tęczęwek.

- Powiesz mi coś o sobie, Marino? - patrzył mi w oczy niemal hipnotycznie.

Czułam, choć nadal nie mogłam w to uwierzyć, że naprawdę zależy mu na tej opowieści, i nagle, kiedy dotknął mojej twarzy wnętrzem dłoni, całe napięcie, cała nieśmiałość

i dystans ulotniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W chwilę później zaczęłam wydobywać z siebie całe mnóstwo słów, jakby nagle pękła lina powstrzymująca mnie przed otwarciem się. To było zupełnie do mnie niepodobne! Co się ze mną dzieje? Najwyraźniej - tracę zmysły...

On słuchał, z początku spokojnie i uważnie, jakby poddając moje słowa głębszej analizie. W pewnym momencie jednak widać i on doznał podobnego uczucia i... nagle dialog zaczął toczyć się własnym rytmem, żyć własnym życiem. Jakbyśmy znali się od zawsze... I wreszcie nie musiałam tłumaczyć, kim jest Elvis Costello i Joe Jackson... Czas płynął „gdzieś obok, obok nas”, jak śpiewał Czesław Niemen.

Po chwili coś zakłóciło nasze spotkanie poza czasem i miejscem. Gdziekolwiek bylibyśmy, nie istniałoby nic, tylko ta niewielka przestrzeń pomiędzy nami, jak powiedział Vitto. Nie wiedzieliśmy zupełnie, która godzina, ale oto świat, wybierając na wysłannika osobę pana Hieronima, chciał nam przypomnieć o swoim przyziemnym istnieniu. Okazało się, że jest już naprawdę późno i wiele osób zdążyło opuścić wystawę, kilku jednak szczególnych gości nie chciało tego zrobić bez pożegnania z autorem. Mimo, jak sądzę, wysokich cen, byli pewnie zainteresowani kupnem obrazów.

-Przepraszam, obowiązki... Poczekaś chwilę, zaraz wrócę, Marino. - Vitto spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. - Dla nas wieczór jeszcze się nie kończy.

-Oczywiście - odparłam z uśmiechem, a przez głowę przeleciało mi, jak klucz żurawi, zdanie z rosyjskiego filmu z owymi żurawiami w tytule: „Ždi mienia, ja wiernus, tolko oczen ždi...”. Mam nadzieję, że „nasz film” nie będzie melodramatem, tylko amerykańską komedią romantyczną z szalonym happy endem.

Kiedy tak siedziałam zadumana, podeszła do mnie Ewa. Kochana Ewka! Niemal zupełnie zapomniałam o jej istnieniu. Była pod dużym wrażeniem.

-Marina, ale historia! Facet zniknął na twoim punkcie! Zupełnie nie zwraca uwagi na resztę towarzystwa, a sama widzisz, kto tu się kręci - powiodła wzrokiem po sali.

- Werner, nie muszę ci mówić, jest wściekły. Kto by się spodziewał takiego zakończenia wieczoru. Ale historia! -powtórzyła na koniec.

- Historia niesamowita, masz rację - powiedziała i śledziła oczyma jak Vitto przemyka pomiędzy znanymi osobistościami. Widziałam też uśmiech zadowolenia i nieumiejętnie skrywaną radość z zapowiadającego się sporego zysku w oczach pana Hieronima.

- Wracasz ze mną, czy jeszcze zostajesz? - rzeczowo zapytała Ewa i sama udzieliła sobie odpowiedzi, nie czekając na moją: - Głupie pytanie, pewnie, że zostajesz.

- Tak, chyba jeszcze trochę zostanę. Wrócę taksówką, nie martw się o mnie, Ewuniu - powiedziała, widząc lekki niepokój w jej oczach.

- Daj mi jutro znać, że żyjesz, dobrze? - spojrzała na mnie z troską.

- Fajnie, że się o mnie martwisz, ale chyba niepotrzebnie. Rano zadzwonię do redakcji, dobrze? - uściskałyśmy się na pożegnanie.

Szepnęła jeszcze: „Baw się dobrze” i zniknęła w drzwiach. Zostałam sama. Wcale mi to nie przeszkadzało. Czułam się jak we śnie, bo wszystko, czego doświadczałam dzisiejszego wieczoru było zupełnie nierealne. Nie miałam nawet ochoty na zabawę w obserwatora, bo świat wokół nagle przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nigdy szczególnie się dla mnie nie liczył, ale teraz - stał się jakby tłem, które tak doskonale komponowało się z akcją, że zupełnie zatracalo swój własny charakter. Po jakimś czasie wrócił Vitto. Przyniósł dwa kieliszki wina i podając mi je, powiedział:

- Spróbuj, proszę. Moje ulubione.

Podniosłam do ust kieliszek z purpurowym płynem. Smak, jaki rozlał się po moim języku, był rzeczywiście niesamowity. Wykwintny, a jakby znany od lat, spływał do gardła delikatnie wibrując i muskając kubki smakowe w wyszukany sposób.

- Doskonałe, w rzeczy samej. Co to? - spytałam. Usłyszałam w odpowiedzi nazwę do tej pory mi nieznaną. I o tej porze - trudną do zapamiętania.

- Chyba nie zapamiętam - dodałam ze skrucą w głosie.

- Pozwól, że ja będę w naszym domu odpowiadał za stan piwnicy - uśmiechnął się słodko.

Chyba to mi się rzeczywiście śni? „W naszym domu?” Hej! Czy, aby nie za szybko? A z drugiej strony to stwierdzenie sprawiło mi niekłamaną radość, że nie tylko ja jestem pod wrażeniem. Ach, graj piękny Cyganie...

- Mam ochotę na spacer. Pokażesz mi trochę Warszawy nocą?

- Chętnie, jeśli mróz i białe niedźwiedzie szalejące na ulicach nam nie przeszkodzą - zażartowałam.

Roześmiał się krótko. Pożegnawszy Wenera-Lipskiego, znaleźliśmy się po chwili na ulicy. Mróz był niewielki, ale cieszyłam się, że zabrałam z sobą czapkę, bo dzięki niej moja wrażliwa głowa nie doznała szoku termicznego po wyjściu z rozgrzanego pomieszczenia. Mój towarzysz zaś paradował bez żadnego nakrycia głowy i uparcie twierdził, że dla Skandynawów taka zima to drobnostka.

Szliśmy obok siebie. Ulica była lekko oproszona jeszcze nieskalanym śniegiem, który cienką warstwą jak delikatną pierzynką otulił dopiero co całą okolicę. Rozmawialiśmy, śmiejąc się i bawiąc w słowne gry, ale w powietrzu drgało coś bardzo miłego - delikatne, jednocześnie nie do odparcia, miłosne napięcie.

Z jednej strony moje wnętrze tęskniło za cudem takich wspólnych chwil. Za dotykiem jego rąk, za ciepłym i kojącym głosem, za ogniem ukrytym za całym opanowaniem... To był ktoś dla mnie.

„Prawdziwy mężczyzna jest jak tygrys, raz potężny i władczy, wciąż gotowy do skoku, by po chwili zmienić się w miękki dywanik przed łóżkiem...”. Obie fascynujące strony męskiej natury, dwie skrajności połączone i, mimo pozornej sprzeczności, zespolone ze sobą w niesamowity, fascynujący

tandem. Czułam w nim męską siłę, samczą momentami władczość, a jednocześnie delikatność, mądrość i łagodność. I ten niesamowity spokój wewnętrzny. Umiłowanie przygody, niepewności, wewnętrznego poszukiwania, a jednocześnie ciepło i bezpieczeństwo, jakie potrafi dać kobiecie mężczyzna, który jest w zgodzie z samym sobą. Harmonia męskiej duszy.

Z drugiej strony miałam przecież doskonałą świadomość ulotności sytuacji, w jakiej się znalazłam. Jak mogę w ogóle myśleć o nim poważnie. Pewnie, co port to dziewczyna. Przecież nie trzeba tu mądrości buddyjskich mnichów, żeby widzieć, iż pochodzimy z dwóch różnych światów i nic poważnego z tego raczej nie będzie. I właśnie o to małe słowo „raczej” toczyła się w mojej głowie cała batalia. Mimo całego pragmatyzmu, mimo przykrego doświadczenia z Pawłem, mimo skorupy, w którą wtłoczyłam się po cierpieniu, jakie przeszło przez moje życie, mimo murów białej wieży... coś we mnie wołało wielkim głosem o to uczucie, które nawet bałam się nazwać. Czułam, że ten mężczyzna obok mnie, to ktoś całkiem wyjątkowy, że jego nie dotyczą moje dotychczasowe doświadczenia, że to, co dzieje się między nami, kieruje się własnymi, cudownie pięknymi prawami, że jest czymś jedynym w swoim rodzaju... I, mimo to, straszliwie bałam się zakochać! Nie, tak szybko człowiek nie może, nie powinien się zakochać. Przecież nie mam siedemnastu lat. Takich rzeczy po prostu się nie robi. W końcu ledwie go znam. Trzymałam się dzielnie, wręcz bohatersko, ale czułam, jak moje siły słabną z każdą chwilą.

W pewnym momencie Vitto podbiegł kilka kroków do przodu, zgarnął w dłoń sporą porcję czystego jeszcze śniegu i delikatnie rzucił nią we mnie. Ja również nie pozostałam mu dłużna i po chwili rozgorzała między nami walka na śnieżki. Ciskaliśmy do siebie początkowo delikatnie, ale po chwili duch śnieżkowej wojny wziął nas w swoje posiadanie. Śnieg i śmiech iskrzył nie tylko w powietrzu. Moja czapka spadła na ziemię i podobnie jak przeciwnik, miałam wilgotny od śniegu płaszcz, zaróżowione policzki, a białe płatki topniały na moich włosach w tempie kostki lodu na rozgrzanej kuchennej płycie. Rzucaliśmy coraz bliżej siebie, coraz bliżej, aż nagle byliśmy tak blisko, że widziałam płatki śniegu, które osiadły na jego rzesach.

I wtedy stało się to, czego obawiałam się najbardziej. Vitto objął mnie w pasie i z całej siły przytulił do siebie. Trwaliśmy przez moment zamknięci w sobie jak dwie połówki jednej całości, a sekundę później poczułam, jak jego piękne usta spadają na moje zupełnie bezbronne... Cały kosmos zawirował mi w głowie, zatrzęsała się w posadach moja biała wieża. Coś tak cudownego nie spotkało mnie jeszcze nigdy... czułam przysłowiowe „motylki” nie tylko w żołądku, ale w całym moim ciele, tabuny motylków, miliony, miliardy, światowy zlot motylków, jakiegokolwiek istniały na tej planecie. Chciałam, żeby tak zostało na zawsze... niech czas zatrzyma się albo niech zamknie nas w pętli... żeby było tak znów i znów... po wieczność. Czułam, jak moje włosy stają się coraz bardziej mokre, jak topniejący śnieg wpada za kołnierz płaszcza i zamienia się w drobne strumyki na szyi... ale nic nie miało teraz znaczenia. Staliśmy tak zatopieni w sobie i smakowaliśmy nasze usta, oddechy, cudowną jedność, gdzieś w środku okrytego zimowym chłodem miasta w środkowej Europie i... nawet defilada pierwszomajowa z pełnymi „szykanami” nie byłaby w stanie zmącić naszego zawieszenia w czasie i przestrzeni. Kiedy oderwaliśmy się w końcu od siebie, Vitto mocno mnie przytu-

lił i czułam, jak scałowuje śnieg z moich włosów i szyi... jak wdycha mój zapach i ukrywa w zakamarkach swojej pamięci.

Powoli, najpierw skromnie, a potem całkiem bez pamięci zaczął padać śnieg. Kiedy wreszcie dotarło to do naszych świadomości, zaczynaliśmy już przypominać małe bałwanki. Mój towarzysz chwycił mnie za rękę i pobiegliśmy przed siebie, szukając jakiegoś schronienia. Wiata przystanku autobusowego nieopodal oferowała jako taką osłonę przed białym puchem, który zaczął pokrywać świat alabastrową bielą. Powoli czuliśmy, że mimo całkowitej na to niezgody, zimno zaczyna wdzierać się z szaloną siłą pod nasze przemoknięte płaszcze. Spojrzałam na mokrą od śniegu twarz mężczyzny, który niemal nie przestawał tulić mnie do siebie. Śnieg, a potem to, co z niego zostało, wyostrzyło piękne rysy twarzy Morgensena. Mocna, a zarazem łagodna męska twarz, piękna linia żuchwy, dołek w brodzie, w którym jak kryształ połyskiwała kropla roztopionego śniegu, namiętne, oszalamiające smakiem usta... no i te niezwykle oczy, jak dwa jeziora. I kiedy jeszcze raz jego wargi przylgnęły do moich, i świat mojej racjonalnej do bólu egzystencji zawirował, stało się to, czego tak bardzo się bałam... zakochałam się bez pamięci.

A potem, nagle odsunąwszy od siebie usta, które najchętniej przeszczepiłabym sobie na trwałe, najbanalniej w świecie po prostu... kichnęłam. Raz, drugi i trzeci.

- Marina, ty jesteś cała przemoczona! Przeziębisz się! - przytulił mnie mocno Vitto.

- Ty też jesteś cały mokry.

- Zobacz, zdarzyło nam się to, o czym mówią poeci. Ze miłość jest jak drobny deszcz, idziesz i nawet nie wiesz, kiedy jesteś przemoczony do suchej nitki.

-W naszym przypadku raczej śnieg - zaśmiałam się, mrużąc oczy przed płatkami, które zaczęły się wdzierać pod dach naszej przystani.

- Śnieg czy deszcz... nie mogę pozwolić ci zamarznąć ani umrzeć na bronchit. Musisz mi wystarczyć na najbliższe sto lat, moja piękna.

- Sto lat? Będę wtedy okropnie pomarszczoną staruszką. -Dla mnie zawsze będziesz najpiękniejsza na świecie!

- powiedział, całując moją moką szyję.

- Ale właśnie dlatego muszę o ciebie dbać i nie pozwolić ci opuścić mnie za szybko - ujął moją twarz w swoje dłonie i pocałował, tym razem w czoło.

- Zaraz odwiozę cię do domu.

Taksówka przyjechała zdecydowanie za szybko. Niebawem zatrzymała się pod moim domem.

-Widzisz te dwa okna na pierwszym piętrze. To moje mieszkanie - uniosłam lekko głowę.

- A podasz mi numer swojego telefonu? Adres już zapisałem. .. - powiedział Morgensen, skrobiąc coś w małym notesie.

Rzeczywiście, na tabliczce na ścianie widniała nazwa ulicy i numer domu.

-Wiesz, tak chyba będzie najprościej - powiedziałam, wręczając mu wizytówkę.

Wymieniliśmy się wizytówkami. Schowałam ją głęboko na dno torebki.

- A teraz biegnij do taksówki, bo to ja ciebie przedwcześnie stracę i będę musiała umrzeć w staropanieństwie

- uśmiechnęłam się pod nosem.

-O nie, ty nie umrzesz w staropanieństwie na pewno, więc może rzeczywiście wrócę do auta - powiedział Vitto, poprawiając płaszcz.

Oboje zaczynaliśmy już, mimo całego romantyzmu sytuacji, szczękać zębami.

- Mogę zadzwonić jutro? - spojrzał na zegarek. - W zasadzie - dziś?

- Bardzo chętnie usłyszę znów twój głos, choćby w słuchawce - powiedziałam i pocałowałam go w policzek.

- Biegnij i weź gorącą kąpiel!

Chwilę stałam na chodniku i patrzyłam, jak taksówka odjeżdża w ciemność. Ależ byłam szczęśliwa!!! Cichutko wbiegłam na schody i wpadłam do swojego mieszkania. Serce biło mi szybko, ale to nie schody były przyczynkiem owych palpacji. I, mimo środka nocy, chciało mi się śpiewać! Cudowna radość płynęła w moich żyłach i tętnicach, uderzała do głowy jak młode wino i wprawiała mnie w ten niemal ekstatyczny nastrój... Vitto, Vitto, Vitto! Zwariowałam! Żebym wiedziała, że szaleństwo jest tak przyjemne, zwariowałabym już dawno i nigdy nie pozwoliła się leczyć! Wydawałam z siebie przeciągłe „ach” i „och”, i tańczyłam po domu w takt muzyki, która grała w moim sercu najpiękniejsze walce świata...

Walce walcami, ale trzeba było wrócić do rzeczywistości. Na zegarze dochodziła druga w nocy, a ja przemoczona wirowałam po całym mieszkaniu jak w tańcu św. Wita. Wpląsałam więc do łazienki i płynnym ruchem odkręciłam kurki, a wanna zaczęła napełniać się gorącą wodą. Jej szum zakłócił nieco moje taneczne wyczyny i postanowiłam wziąć jeszcze przed kąpielą dwie calcipiryny, które nieraz już ratowały mnie z grypowych opresji. „Weź dwie calcipiryny, garść rutinascorbinu, popij herbatą z sokiem z malin rwanych w samo południe...” - brzmiało jak jakaś recepta babci szamanki z bagien, ale mnie zwykle pomagało. Wskoczyłam do gorącej wody i zniknęłam na chwilę w pianie. Rozkoszne ciepło docierało do każdego zakamarka mojego nieprzytomnego tak naprawdę ciała. Duch unosił się nadal wśród gwiazd...

Ranek nadszedł zdecydowanie za szybko. Wstawałam z lekkim niepokojem, czy aby nie poczuję łamania w kościach. Nie! Nie ma to, jak dobra motywacja. Jakże mogłabym się rozchorować. W takim momencie! Znalazłam to, czego szukałam. Mogłam jedynie współczuć głęboko Bono, który właśnie wydierał się w radiu: „I still haven't found,

what I'm looking for"*. Mimo że spałam niewiele, mój organizm pracował na najwyższych obrotach. Po prostu - chciało mi się żyć, jak nigdy dotąd. Ciekawe, jak czuje się mój artysta. Mam nadzieję, że i on zdołał odeprzeć atak zimowej zarazy. Zadzwoń. Nie, nie mogę. Po pierwsze - może śpi. Po drugie. To on powinien zadzwonić. Nie, nie mogę się narzucać. Może po przespanej nocy przeszedł mu ten afekt do mojej skromnej osoby. Muszę wykazać się kolejną cnotą -tym razem - cierpliwością. Za poranny posiłek wystarczyła mi filiżanka ulubionej kawy. Nie byłam w stanie niczego w sobie wmusić. Nawet wafelka, co wskazywało na mój naprawdę ciężki stan. **Status amorosus acutus.** Ewidentnie. W zasadzie **Straßen diagnose.** Pognałam na skrzydłach do pracy. Niemal co pięć minut sprawdzałam, czy komórka nie wyłączyła się, nie wyczerpała, czy nie zgubiłam jej po drodze od sali do sali, albo czy nie uległa nagłej biodegradacji. Kiedy wróciliśmy z bloku operacyjnego, dochodziło południe. Cisza w eterze. Zwątpienie powoli zaczęło wdzierać się w moje serce. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Jak w ogóle mogłam myśleć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Parę pocałunków i tyle. Nie takie kobiety jak ja mógł przecież całować. Popatrz w lustro, moja miła. Ten człowiek rozbija się po całym świecie, wśród naprawdę wyjątkowych ludzi, a ty... cóż... Żyjesz marzeniami. Zapomniałaś? „Nothing as it seems"**.

Moje dywagacje nad beznadziejnością świata i własną przerwą dźwięk komórki.

- Marina Błajet, słucham? - powiedziałam z bijącym sercem.
- Hi, tu Vitto Morgensen. Jak się czujesz, nie rozchorowałaś się po wczorajszym zimowym spacerze?
- zapytał po angielsku ciepły głos w słuchawce.

* „Wciąż nie znalazłem tego, czego ciągle szukam".

** „Nic nie jest takim, jakim się wydaje".

- Wszystko w porządku, dziękuję. A ty, nie zamarzłeś po drodze? - jak najspokojniej usiłowałam wyrazić swoją troskę.
 - Nie, u mnie też wszystko w porządku. Poszedłem za twoją radą, pani doktor. Zawsze słucham zaleceń lekarza. Wziąłem gorącą kąpiel, jak mi zalecił specjalista, od siebie dołożyłem szklaneczkę whisky i jestem cały i zdrow. Do twoich usług.
 - Miło mi to słyszeć. Fajnie, że nam obojgu udało się ująć paskudnej grypie. Po tym, jak wczoraj przemokliśmy, to wręcz graniczy z cudem - kontynuowałam wątek medyczny. Czy on nigdy nie zapyta, czy moglibyśmy się spotkać?
 - Czy masz dziś dyżur albo jakieś plany na popołudnie? - rozległo się po drugiej stronie słuchawki. Chwila konsternacji. Dyżuru nie miałam, planów też nie, a nawet gdyby, odwołałabym lot na Księżyc, żeby się z nim zobaczyć. Jednak nie chciałam wyjść na „łatwą zdobycz”. W końcu postanowiłam powiedzieć prawdę.
 - Nie, chyba nic szczególnego. Poczekaj, zajrzę do notesu - przeczekałam chwilę w ciszy.
 - Nie, nie mam żadnych planów.
 - Nie masz? To świetnie! Przepraszam cię, ale muszę kończyć. Mam zaraz jakieś spotkanie. Będziemy w kontakcie! Na razie, Marina.
- Odpowiedziałam „ciao” i zostałam sama ze swoimi „wstrząśniętymi, acz nie zmieszanymi” jak martini Bonda wrażeniami. „Będziemy w kontakcie” brzmiało jak oglądane w amerykańskich filmach stwierdzenie wypowiediane do tych, którzy odpadli w castingu. Poza tym to po prostu taki zwrot, nic więcej. A jednak było mi trochę smutno. Trudno. Jakoś to przeżyję. Niewielkie dawki xanaxu czynią ponoć cuda. Pamiętając lektury z liceum i nieszczęśliwe bohaterki pozytywistyczne, postanowiłam rzucić się ich śladem w wir pracy. Jak pomyślałam, tak zrobiłam i kiedy opuszczałam oddział, byłam już nieźle umęczona.

Szłam lekko pustawym korytarzem do głównego hallu. Zakutana w ciepły szal, sunęłam jak radziecki czołg na spotkanie z zimnym powiewem warszawskiej zimy. Nagle usłyszałam, że ktoś woła moje imię. Odwróciłam się. Z boku, niedaleko szatni, stał nie kto inny jak Vitto Morgensen. Teraz, kiedy odwróciłam się ku niemu, ruszył w moim kierunku ze swoim urzekającym uśmiechem. Prócz uśmiechu miał z sobą coś jeszcze. Ogromny, przepiękny bukiet cantedeski. Ich konchy w kolorze *ecru* wysuwały subtelnie swoje małe, żółte jęczyczki ku mnie, jak publiczność głowy na meczu tenisowym podczas obserwacji piłki w grze. Skąd on je wziął w tym mieście o tej porze roku? A więc to planował, mówiąc „będziemy w kontakcie”. Wręczył mi kwiaty i delikatnie pocałował w policzek.

- Dziękuję, są piękne! *Zantedeschia aethiopica!* Jak udało ci się znaleźć je o tej porze roku w Warszawie? Jesteś chyba czarodziejem! - powiedziałam, zanurzając niemal twarz w kwiatkach.

- I jestem, i nie jestem. Kwiaty przyleciały z Kopenhagi. Zamówiłem je dla ciebie jeszcze w nocy. Nie mogłem przecież przynieść ci bukietu szkarłatnych róż, które można kupić wszędzie. Wyjątkowe kwiaty dla wyjątkowej kobiety.

- Skąd wiedziałeś, że tak je lubię? - spytałam, drażąc temat.

- Sama wczoraj powiedziałaś mi o tym. Że lubisz białe kwiaty o szlachetnej linii. Wspomniałaś o kaliach, tulipanach, irysach, ale pomyślałem, że kuzynki klasycznych kalii cantedeskie, też mieszczą się w tej grupie - odparł, patrząc mi w oczy.

- I miałaś rację. Są niesamowite. Jeszcze raz dziękuję -i tym razem ja pocałowałam go delikatnie. Ale nie w policzek - musnęłam jego zmysłowe wargi. Chciał odwzajemnić pocałunek, ale położyłam mu opuszek palca na ustach.

- Poczekaj, proszę.

Wyszliśmy prosto w chłodny, lecz słoneczny dzień. Kiedy tylko opuściliśmy gmach szpitala i zostawiliśmy za sobą jego specyficzną woń i cały ukryty w nim ciężar gatunkowy, odetchnęliśmy pełną piersią. Vitto wziął mnie za rękę. Och, jak cudownie było czuć tę miękką, a zarazem mocną, męską dłoń obejmującą moją małą rękę. Było mi tak dobrze...

- Może miałybyś ochotę pokazać mi trochę Warszawy dla odmiany w pełnym słońcu, korzystając, że tak mocno świeci? Ciekawe, czy jest tak piękna, jak nocą? - zapytał, patrząc tymi swoimi cudownymi oczami. - A potem zabieram cię na coś pysznego i do tego na dobre wino.

Mając w perspektywie wino, pozostawiłam swoje auto na szpitalnym parkingu. Podjechaliśmy kawalek tramwajem i udaliśmy się w kierunku Łazienek. Słońce świeciło przyjemnie i, mimo braku oznak nadchodzącej wiosny, miło było spacerować alejami. Świeże powietrze dobrze nam zrobiło. Wywiało szpitalny zapach, którym niewątpliwie nieco nasiąknęło moje ubranie. Spacerowaliśmy, trzymając się za ręce i nie mogliśmy nadziwić się, ile nas łączy i jak dobrze się rozumiemy. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się i całowali, a zapach moich perfum, jego dobrej wody toaletowej i zimowego powietrza tworzył cudowną mieszaninę, którą starałam się zapamiętać.

Po takim spacerze nasze żołądki zaczęły domagać się stawy. Vitto zdał się na mój wybór, a ja zaprowadziłam go do doskonałej restauracji na prawdziwe polskie jedzenie. Chciałam pokazać mu, jak smaczna potrafi być polska kuchnia. Na początek żurek, który rozgrzał nasze wygłodzone wnętrza. Okazało się, że żadne z nas do tej pory nic nie jadło. Potem wahałam się nad potrawą narodową pt. schabowy z kapustą, ale ostatecznie zwyciężyła polędwica w sosie z kurek. Bardzo smakował mu też sernik, którym uraczono nas na deser. Odrobina dobrego, za to niepolskiego już

wina beaujolais, dopełniła całości. Ależ byliśmy ociążali po takiej uczcie... W dobrym towarzystwie czas mija zdecydowanie zbyt szybko. Zbliżał się wieczór.

- Wiesz, cudownie jest dzielić z tobą dni, moja dziewczyno ze snu... Popatrz, jadąc tu nie marzyłem nawet, że może mi się przydarzyć tak fantastyczna historia! - powiedział Vitto, kiedy już wyszliśmy z restauracji.

- Jeszcze wczoraj, przygotowując się do wyjścia na wernisaż, ja też nie sądziłam, że spotka mnie coś tak niesamowitego. Życie pełne jest niespodzianek! - odparłam.

- Na szczęście również tak pięknych - dodałam, wspinając się na palce i delikatnie muskając jego policzek. Odwzajemnił się, całując mnie w usta.

- Jesteś cudowna! Jaka szkoda, że muszę jutro wracać do Stanów - powiedział z prawdziwym smutkiem w oczach.

- Już jutro? - zapytałam, uświadamiając sobie, że tak naprawdę, to żaden termin nie byłby dobry na wyjazd.

Zresztą, czego niby należało się spodziewać? Że zostanie na zawsze? Musiał w końcu wyjechać. Prędzej czy później, ale było to nieuniknione i tak. Choć wolałabym, żeby było to później, dużo później...

- Niestety. Gdybym wiedział, że spotkam ciebie, zaplanowałbym wszystko inaczej. Ale postaram się szybko tu wrócić. Objął mnie ramieniem i przytulił do siebie.

- Nie będę miał innego wyjścia, skoro ty tu jesteś.

Uśmiechnęłam się smutno. Przecież byłam na to przygotowana. Nie! Wcale nie byłam. Zupełnie nie brałam pod uwagę tego, że przecież to dopiero początek naszej znajomości, choć wydawało się, że znamy się od stuleci... Jakoś mimo woli i wbrew zdrowemu rozsądkowi nie dopuszczałam do siebie myśli o rozstaniu. Żyłam chwilą. Przytuliłam się do niego jeszcze mocniej i nagle wydałam się sobie

skrajnie śmieszna. Znam człowieka od wczoraj i co? Już do ołtarza i razem po wieczność? A jednak było w tej historii coś wyjątkowego... Ech, tak myślą wszystkie zakochane kobiety świata.

- Kochanie, czy masz ochotę przyjść na wernisaż dziś wieczór? Byłoby mi bardzo miło. Moglibyśmy spędzić potem razem jeszcze trochę czasu. Żal mi każdej chwili bez ciebie! - powiedział, całując wnętrze mojej dłoni.

Pomyślałam przez chwilę i... oczywiście się zgodziłam. To było silniejsze ode mnie. Może i chwilą żyłam... ale warto czasem żyć, choć przez chwilę. A jeśli już... to żyć najpełniej jak się da. I najpiękniej. Dlaczego miałabym sobie odmówić jeszcze choćby paru godzin szczęścia? Vitto odwiózł mnie do domu, sam pognął do hotelu i mieliśmy spotkać się ponownie w galerii.

Kiedy weszłam do domu, szalona radość w sercu jakby nieco ustąpiła miejsca smutkowi, który, kiedy odezwała się bardziej melancholijna część mojej natury, zaczął przybierać na sile. Przypomniał mi się wiersz mojej ulubionej Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, w której dorobku można było znaleźć coś na każdy stan kobiecej duszy.

I cóż, że serce twoje drży

Przez niego przyspieszonym tętnem,

I cóż, że rady sobie nie da?

Światu to równie obojętne, Jak drżenie serc mietlicy drzączki, (Najzwyczajniejszej Brisa media).

*Gdy roztrzęsiona zgrzyta w wichrze Sercem najmniejszym i najlichszem. **

*** Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Wiersze wybrane*, Czytelnik 1985.**

A kysz, a kysz smutki! To nie koniec, to dopiero początek! Początek najpiękniejszej przygody mojego życia. Pełnej miłości, magii, poezji, a kropla nostalgii podkreśli jedynie wyszukany smak pozostałych ingrediencji. Tak bardzo chciałam w to wierzyć...

Odrzuciwszy jednak z niepełnym powodzeniem na bok ponure nastroje, rzuciłam się w wir przygotowań do akcji „wernisaż z błękitnym chłopcem”. Choć metrykalnie ani on nie był już chłopcem, ani ja dziewczyną, łączyła nas kolejna wspólna cecha: oboje mieliśmy bardzo młode dusze. I to także dodawało uroku całej sytuacji. Być może właśnie dzięki tej „nienormalnej” naturze możliwe było nasze pierwsze spotkanie z Vitto w jego śnie? Jak często śnisz o człowieku, którego po raz pierwszy spotykasz za kilka dni w całkiem obcym mieście? Jak często marzenia senne ożywają i stają się jawą? Chwytają cię za rękę i podają usta w pocałunku na jawie... Nie, to nie może być przypadek i przelotna znajomość. Nie mogłam aż tak bardzo się pomylić. Mój artysta nie jest Casanovą. .. chyba nie... przynajmniej, taką mam nadzieję. Wciąż, gdzieś głęboko ukryta, ale niestety obecna, tkwiła we mnie obawa przed oszukaniem i szyderczym śmiechem mojego wewnętrznego jurora-pesymisty: „A co? Miałaś nadzieję na coś więcej?”. I ten okrutny, drwiący śmiech...

Brrr! Nie chcę tak myśleć! I nie będę! Włączyłam radio i pozwoliłam się nieco ukoić muzyce.

Wprawdzie znów kolejny *evergreen* z listy dwóch tysięcy, ale był niezły. Inaczej nie byłby *evergreenem*. Tak więc George Michael uwodził słodkim głosem, a ja chciałam słodko uwodzić na wernisażu. Szybko splukałam ze swego ciała znużenie i smutki, i znów uskrzydłona pomknęłam do szafy. Musiałam dobrać starannie strój. Taką przecież zapamięta mnie na najbliższe dni.

Przynajmniej, miałam nadzieję, że zapamięta. Do dzieła! Wciągnęłam na siebie ulubioną kaszmirową suknię w kolorze gołębim, srebrny wisior pięknie się na niej prezentował,

rozpuściłam włosy. Spojrzałam w lustro... jest dobrze. Zawsze bardzo lubiłam szarości, a miałam wrażenie, że one odwzajemniają mi się tym samym. Jeszcze delikatny makijaż i - gotowe. No i kropla, może dwie, moich ulubionych perfum. Która godzina? O, raju! Chwyciłam płaszcz i pognałam szukać taksówki.

Przed wejściem do galerii przystanąłam na moment. Musiałam ochłoniąć po całym maratonie. I choć wydawało mi się, że uspokoiłam skołatane nerwy już we wnętrzu auta, to teraz nie byłam tego pewna. Może i wnętrze taksówki było spokojne, ale moje na pewno nie. „Nic to, Baśka, nic to” zacytowałam w duchu, ku pokrzepieniu serc, konkretnie mojego własnego, i ruszyłam ku wejściu. Znałam już rozkład galerii, spokojnie więc pozbyłam się wierzchniego okrycia i wkroczyłam do sali głównej. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Vitto. Nigdzie nie było go widać. Mnóstwo ludzi kręciło się, podobnie jak wczorajszego wieczoru, po całym wnętrzu. Przystanąłam przed jednym z obrazów i zaczęłam ich obserwować. Ale nim wyostrzyłam dobrze swój sokoli wzrok, ktoś objął mnie z tyłu i pocałował w szyję. Szybko odwróciłam się. To Vitto trzymał mnie w swoich ramionach i topił w cudownym błękicie oczu.

-Witaj, wystraszyłem się, że nie przyjdiesz.

-Staralam się, jak mogłam, ale... sam rozumiesz, jestem kobietą... potrzebowałam trochę czasu, żeby cię nie zawieść -mimo starań, widać zajęło mi to zbyt dużo czasu, pomyślałam.

- Marina, wystarczyłoby, byś okryła się jedynie płaszczem swoich pięknych włosów... - pocałował mnie znienacka z ogromną pasją. O, figlarzu, pomyślałam, nie za wcześnie na odzież jedynie z surowców naturalnych dostępnych na rynku wewnętrznym?

- Vitto, ja wiem, że dla Skandynawa to żadna zima, ale ja jestem zdecydowanie miłośnikiem ciepła i żeby wystąpić w takiej kreacji, potrzebuję cieplejszego klimatu. Daj czas

przyrodzie - powiedziałam, uśmiechając się lekko i delikatnie odsuwając.

Niebawem pojawił się, nie wiadomo skąd, Hieronim Lipski i podszedł do nas. Przywitał się ze mną z wyszukaną kurtuazją. Rozmowa nie kleiła się. Lipski komplementował, wciąż wręcz z przesadnym zachwytem, prace Vitto, który wił się wśród tego zgiełku komplementów jak piskorz. Co jakiś czas z moim artystą zerkaliśmy na siebie, oboje marząc, żeby ktoś odciągnął i zajął czymś naszego rozmówcę, byśmy mogli, choć chwilę, побыć sami. I nasze życzenie zostało wysłuchane. Do Lipskiego podeszła bardzo szczupła kobieta w starszym wieku. Po krótkiej rozmowie z nią, ku naszej radości, Hieronim zniknął za drzwiami prowadzącymi do jego biura.

Vitto natychmiast wykorzystał ten moment, żeby mnie objąć i mocno przytulić. Co za mężczyzna! Znów poczułam doskonale każdy niemal centymetr jego mocnego, męskiego ciała, jakby chciał zatrzymać mnie przy sobie na zawsze. I w chwili, kiedy ta myśl przemknęła przez moją głowę, powiedział:

- Wiesz, nie dziwię się Zeusowi, że, jak głoszą mity, tak kochał swoją żonę, tak nie chciał żyć ani chwili bez niej, że... cóż, po prostu ją wchłonął. Schrupałbym cię, ty moje główne danie życia - powiedział, całując mnie w szyję.

-Wiesz, pewne rośliny tylko wyglądają na jadalne. W zasadzie są jadalne, chociaż dla większości tylko raz. A jeśli ja też jestem...

- Choćby miał być to mój ostatni posiłek! - przerwał mi szybko.

- A tak naprawdę, jaką potrawą mogłabyś być? Zaznaczam od razu, żeby nie miało to żadnego chorego podtekstu, nie jestem kanibalem.

- Pod tym warunkiem odpowiem. Myślę, że lodami miętowymi. Może dlatego, że sama bardzo je lubię. Mogłabym wtedy bez neurotycznych podtekstów polubić siebie, a teraz -różnie z tym bywa. Ale wracając do lodów. Po pierwsze: niety-

powe, rzadko można je spotkać. Lody waniliowe, truskawkowe czy czekoladowe znajdziesz wszędzie, w każdej cukierni czy sklepie. Miętowe zaś... o, czasem naprawdę trudno je spotkać. Po drugie: są słodkie, ale nie tak banalną słodyczą, jak zabajone czy brzoskwinia. Ich miętowa słodycz powoli rozplywa się na języku, ale dopiero, kiedy rozpuszczają się ukryte w lodzie kawałki czekolady, robi się naprawdę przyjemnie. To takie lody z podwójnym dnem. Z miłą niespodzianką, ukazującą się dopiero przy bliższym spotkaniu. Tak, te lody pokazują swoją klasę dopiero, kiedy ktoś zdecyduje się je głębiej poznać. Na początku wydają się przede wszystkim chłodne i orzeźwiające, a prawdziwa słodycz ukryta jest dużo głębiej. Choć kojarzą się ze staruszkami nerwowo wysuplującymi maleńkie miętusy ze swoich staromodnych torebek, są jednak zupełnie czymś innym. Nawet owe miętusy są jakby echem tych sekretów, które dawniej czały się w eleganckich torebkach wizytowych zabieranych na rauty i potajemne spotkania. Ale dość o mnie. A ty, jaką potrawą chciałbyś się stać, przy czym, dodam uspokajająco, że i ja nie jestem ludożercą -przerwałam swój monolog.

-Muszę się chwilę zastanowić, nigdy nie myślałem na ten temat. Za to wiem, jakim zwierzęciem chciałbym być -powiedział Morgensen.

- Słucham z zapartym tchem. Ale czy w twoim świecie istnieliby ludzie, czy nie? - zapytałam zdecydowanie zbyt lotnie, jak na tak późną porę przystało.

- Dobre pytanie - pochwalił mnie.

- W świecie, w którym nie byłoby ludzi, chciałbym być tygrysem syberyjskim. A w świecie, w którym istnieliby ludzie, chciałbym być... cóż... chciałbym być trzema tygrysami.

-Musiałabym być wtedy lodem miętowym złożonym z trzech gałek. Po jednej dla każdego tygrysa - roześmialiśmy się oboje.

-Jeśli chodzi o wątek kulinarny, to...

Niestety, nie udało mi się dowiedzieć, co miał na myśli Vitto, wyobrażając sobie siebie na jakimś półmisku, nagle bowiem zaczęła natrętnie dzwonić moja komórka.

- Wybacz, proszę. W tym pośpiechu zapomniałam ją wyłączyć - powiedziałam przeproszającym tonem, nerwowo poszukując jej w torebce.

- Ależ spokojnie, kochanie - Vitto dotknął mojego ramienia.

- Założę się, że połowa z nich - tu wskazał towarzystwo kręcące się po sali - ma również włączone telefony, na wypadek interesu wszech czasów.

Uśmiechnęłam się, mimo wszystko wciąż trochę speszona, i uniosłam komórkę do ucha.

- Marina Błajet, słucham.

- Cześć Marinka. Jeszcze nie śpisz? - w słuchawce odezwał się głos szefa.

Czego u licha może ode mnie chcieć o tej porze? Czyżbym o czymś zapomniała? Ni stąd, ni zowąd pojawiła się nutka paniki w moim wnętrzu. Szef dzwonił tylko w wyjątkowych wypadkach.

- Nie, panie doktorze. Spędzam wieczór w bardzo miłym towarzystwie. Czy coś się stało?

Narozrabiałam? - wciąż czułam lekki dreszczyk.

- Narozrabiałaś, o ile wywołałaś kolkę nerkową Zdzisława - roześmiał się cicho z własnego dowcipu.

- Jestem na oddziale, wysłałem półprzytomnego Zdzisława po dolarganie i innych atrakcyjnych iniekcjach do domu, ale ktoś musi dociągnąć za niego dyżur do rana. I, niestety, komputer wylosował ciebie. Dasz radę być za pół godziny? - szef mówił spokojnym i miłym głosem, ale ja wiedziałam, że pytanie ma zdecydowanie retoryczny charakter. Że też właśnie dziś! Mogłabym zamieszkać na tydzień w szpitalu, gdyby to było konieczne, ale nie dziś!...

- Postaram się być za trzy kwadranse, wcześniej nie dojadę - powiedziałam do słuchawki, starając się nie okazywać uczuć, jakie w tym momencie naprawdę odczuwałam.

- Przykro mi, Marina, że muszę zepsuć ci wieczór, ale sytuacja jest podbramkowa. Jutro za to zejdziesz z samego rana - rzucił na osłode.

- Nie ma sprawy, szefie. Czyż poświęcenie nie jest wpisane w nasz zawód? Będę niedługo. Do zobaczenia - powiedziałam, a żal ścisnął mi serce.

Vitto widział, jak w trakcie rozmowy rzedła mi mina i patrzył na mnie zaniepokojony.

- Coś się stało? - zapytał.

- Muszę jechać do szpitala. Kolega na dyżurze zachorował i szef prosi mnie o zastępstwo - powiedziałam ze smutkiem w oczach. - Że też to właśnie dziś musiało się zdarzyć!

-1 co? Będziesz musiała jechać do szpitala teraz? Ale niedługo wrócisz, prawda? - Vitto zdawał się nie bardzo rozumieć. Zresztą dla ludzi spoza branży cała sytuacja mogła być zdecydowanie niejasna.

- Nie, Vitto. Tu, do galerii, już nie wrócę. Wyjdę ze szpitala dopiero jutro rano - uśmiechnęłam się smutno. Psi los! Powtórzyłam za Anną Marią Jopek: „Niech ktoś zatrzyma wreszcie świat, ja wysiadam, na pierwszej stacji, teraz, tu...” Żałowałam, że nie przyszło mi do głowy jakieś drobne kłamstewko. Ta moja paskudna prostota! Szef był dla nas zawsze wspaniały, ułatwiał nam życie, jeśli tylko mógł. Nigdy nie utrudniał staży, wyjazdów na szkolenia, sam bronił nas przed dyrekcją jak lew. Nie mogłam grać nie fair. A przecież Vitto był dla mnie kimś wyjątkowym... I tak za późno na wszelkie żale. Trudno. Przecież jutro... Jutro! Jutro... Vitto wyjeżdża!!! Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, co przyniesie jutro.

Vitto jakby czytał w moich myślach.

- Jutro rano wyjeżdżam. Miałem nadzieję, że nacieszymy się sobą, choć trochę... - rozczarowanie wyraźnie malowało się na jego twarzy.

Przytuliłam się do niego z całej siły. Vitto pociągnął mnie za rękę w kierunku małej wnęki, w której, choć na chwilę, mogliśmy ukryć się przed wzrokiem spacerujących ludzi. I bardzo dobrze, że schował nas przed ich wzrokiem, bo ciągle tkwiła we mnie mała dziewczynka, która trochę się wstydzi. Ale po chwili miejsce dziewczynki zajęła kobieta. Uniosłam twarz ku górze i rozchyliłam usta do pocałunku. Szepnęłam: „Don't talk, just kiss...”. Kiedy dotknął moich warg, w jego pocałunku czułam tyle mieszających się emocji, tęsknoty, czułości i przede wszystkim narastającego pragnienia zatrzymania mnie na zawsze. Nagle to ostatnie zawładnęło nim z szaleńczą wręcz mocą i z początku delikatny, czuły pocałunek zaczął przybierać na sile. W ciągu chwili stał się zmysłowym, szalonym, pełnym obłąkańczej niemal siły, pochłaniającym nas oboje transem. Stapialiśmy się w jedno, sięgając do pierwotnej magii ukrytej w każdym z nas. Wiedziałam już teraz, bez cienia wątpliwości, że ten męczyzna jest brakującym elementem w układance, jaką była moja egzystencja na tej planecie. Nagle wszystkie fragmenty zaczęły nabierać logicznego ciągu.

-Jesteś moim przeznaczeniem... - wyszeptał, kiedy w końcu oderwaliśmy się od siebie.

Choć to stwierdzenie znane mi z romansów wywoływało zwykle kpiący uśmiech na mojej twarzy, to teraz, wyszeptane zmysłowymi ustami Skandynawa, było jak złoty deszcz z nieba... ależ się rozmarzyłam... po prostu - nie mogłam oprzeć się temu męskiemu urokowi, który brał mnie w posiadanie, czy tego chciałam, czy nie.

- Chciałabym nim być - wyszeptałam i znów zaciągnęłam się jego zapachem po szczyty płuc.

-Ale teraz, panie artysto, pańskie przeznaczenie musi już z ogromnym żalem, definitywnie opuścić tę naszą cudowną przestrzeń intymną...

- Mogę cię odwieźć do szpitala? - cicho zapytał i nie czekając na odpowiedź dodał: - I tak cię odwiozę. Jakże mógłbym cię powierzyć całkiem samą zimowej nocy...

Z miną skazańców powlekliśmy się do szatni. Kiedy otulał mnie płaszczem, wykorzystał okazję, by jeszcze raz zamknąć mnie w swoich ramionach. Jakże chciałam, by trwało to wiecznie... Niestety, trzy kwadransy mijały z zawrotną szybkością i pobiegliśmy na postój taksówek. Kiedy podjeżdżaliśmy na miejsce, zerknęłam mimochodem w okno naszej dyżurki. Po drugiej stronie szyby migotało niebieskie światło telewizora. Szef trwał na posterunku. Vitto odprowadził mnie pod drzwi szpitala. Jakże nie chciałam przez nie przejść. Nie było jednak wyjścia. W służbie ludzkości... ironicznie uśmiechnęłam się sama do siebie. A ja... też należę do *human kind*. I co z tego?

Trwaliśmy jeszcze chwilę zamknięci w uścisku, ale ja już czułam na sobie ciężar obowiązku i chcąc nie chcąc powoli wyrywałam się ku powinnościom. Oboje byliśmy ogromnie zawiedzeni rozwojem wypadków i tak naprawdę dopiero teraz, kiedy miałam zniknąć za szpitalnymi drzwiami, dotarło do nas, że musimy spędzić resztę wieczoru osobno. A do mnie dotarło ostatecznie coś jeszcze, że jutro o tej porze człowiek, który trzymał mnie w tej chwili za rękę, będzie bardzo, bardzo daleko... I co ja mam teraz zrobić? Pobiec szybko na górę przecinając jak nożem scenę pożegnania, czy jeszcze choćby przez parę chwil udawać, że czas jeszcze wcale nie nadszedł.

- Jutro przed południem odlatuję do Stanów. Ale postaram się tu szybko wrócić... - przytulił mnie i pocałował we włosy.

- Bardzo szybko? - zapytałam, zanurzając się po raz ostatni tego wieczoru w błękitnie jego oczu.

- Bardzo, bardzo szybko - uśmiechnął się łagodnie.

- Może uda mi się zdążyć na lotnisko, nim odlecisz. Postaram się, choć pomachać z tarasu. Vitto, tak strasznie mi przykro... Już teraz tęsknię za tobą...

- Ja za tobą też, moja wróżko! - odgarnął mi włosy z twarzy i ująwszy ją w swoje mocne dłonie, delikatnie całował moje czoło, oczy, policzki, usta, jakby chciał zapieczetować je swoim ciepłym oddechem przed całym światem, jak w dziecięcej zabawie „zamówić”.

I choć było to ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili pragnęłam, zdecydowałam się odejść właśnie w tym momencie. Jeszcze chwila, a zdezerterowałabym bez względu na wszystko, rzuciła całe moje dotychczasowe życie i poszła za człowiekiem o błękitnych oczach...

- Kochanie, już czas... Do widzenia, do jutra... - zabrzmiało smutno i pesymistycznie, przywołując wspomnienie Zbigniewa Cybulskiego i Teresy Tuszyńskiej, spacerujących w pełnym słońcu gdańską Starówką, z myślą, że „jutro - to za tysiąc lat”.

Teraz ja ujęłam w moje dłonie tę piękną, męską twarz. Poczułam mocną linię żuchwy, lekką szorstkość zarostu, musnęłam kciukiem uwodzicielski dołek w brodzie i złożyłam delikatny pocałunek na pięknie zarysowanych wargach. Morgen-sen natychmiast podchwycił drżenie moich warg, ale ja odsunęłam się na krok i kładąc mu palec na ustach, powiedziałam:

- Już czas. Jeśli zostanę tu jeszcze chwilę dłużej, nie będę mogła już nigdy odejść...

- Więc zostań - wyszeptał, całując moją linię życia, aż całą mnie przeszły dreszcze.

Powoli wysunęłam swoją rękę z jego ciepłej, dużej dłoni i Bóg jeden wie, że zmobilizowałam do tego ruchu wszystkie zdroworozsądkowe siły, jakimi mnie obdarzył...

- Nie mogę... - odwróciłam się i odeszłam. Oczy powoli zachodziły mi łzami, ale starałam się wziąć w garść. Uniosłam jeszcze tylko rękę w pożegnalnym geście jak Lisa Minelli w *Kabarecie* i zniknęłam w drzwiach windy. Łzy popłynęły same. Znowu byłam smutna, wściekła i samotna, choć szczęście było tak blisko.

W lustrze zamontowanym w windzie zobaczyłam swoją twarz. Lata praktyki nauczyły mnie płaczu bez rozmazywania makijażu. Doprowadziłam się szybko do porządku. Mimo że po otarciu łez nie wyglądałam najgorzej, czerwony nos zdradzał wszystko. Trudno. Mam to gdzieś. Pchnęłam drzwi wejściowe. Oddział pogrążony był w ciszy. Wsunęłam się do dyżurki, w której panował półmrok. Szef drzemał w fotelu, ale kiedy skrzypnęły drzwiczki mojej szafki, natychmiast się obudził.

-O, jesteś. Minęło chyba trochę więcej czasu niż trzy kwadransy... - powiedział, szeroko ziewając.

- Przepraszam, nie dałam rady szybciej.

-Nie ma sprawy. Cieszę się, że już jesteś. Słuchaj... - pokrótce zdał mi relację z tego, co słyhać na oddziale. Noc zapowiadała się, przynajmniej na razie, przyzwoicie. Po kilku minutach zostałam w dyżurce sama. Księżyc zaglądał w moje okno, a w radiu cicho szumiało instrumentalne wykonanie *Moon river*. Spojrzałam na jaśniejący za oknem srebrny rogalik i zanuciłam „You're dream maker, you're heart breaker, wherever you're going, I'm going your way...”* . Gdzieś, kilka przecznic dalej, Vitto Morgensen wchodził pewnie do rozgrzanej gwarem i ciepłym winem galerii... a ja... patrzyłam na księżyc i smętnie przeżuwałam noc w samotności. Dość! Podniosłam się i ruszyłam ku dyżurce położnych, by zorientować się bliżej w sytuacji. Ale także po to, by w szumie ludzkich głosów, zapomnieć o własnej samotności...

* „Ty, marzeń autorze, co łamiesz też serca, gdziekolwiek się udasz, tam pójde i ja...”

Dyżur minął nawet nie najgorzej. Pracy było niewiele. Pewnie, w końcu to nie był, tak naprawdę, mój dyżur. Na moim na pewno sporo by się działo. Zawsze tak było. Nawet w pogotowiu, w czasie moich dyżurów nagle cały świat potrzebował pomocy. Powtarzało się to z takim uporem, że w pewnej chwili zaczęto się bać dyżurów ze mną. „Marinę lubi robota” śmiali się koledzy. A dziś - względny spokój. Tej nocy, wyjątkowo, wolałabym być bardzo zajęta, mieć mnóstwo pracy i mało czasu na myślenie... o sobie, swoim życiu i... swojej samotności. Bardzo dotkliwie dopadło mnie to uczucie, które od dłuższego czasu starałam się ignorować. Pojawienie się kogoś tak niezwykłego jak Vitto Morgensen w moim życiu, zmieniało wszystko. I dlatego, aż bałam się uwierzyć, że to możliwe. Bajka o Kopciuszku... „Dreams come true...”* nie, takie rzeczy zdarzają się jedynie w amerykańskiej operze mydlanej. Mimo że tak bardzo rzeczywiste, tak bardzo trudne do przyjęcia... Może zwyczajnie bałam się kolejnego rozczarowania. „I got no more tears to cry...”** śpiewała w radiu swoim urokliwym, jęczącym głosem Anastasia... jakże głęboko pasowało i do mnie to zdanie. A przecież, kiedy byłam blisko Vitto, nic nie miało znaczenia i może właśnie tego się bałam? Zaufać sobie... zaufać komuś. Trudne. Tak, bardzo trudne, a jednocześnie w przypadku Morgensena jakby rodzaj wewnętrznego imperatywu. Nie do opanowania, mimo całego rozsądku i lekkiego paranoidalnego nastawienia do relacji damsko-męskich. Niewątpliwie przystojny mężczyzna, ciekawa osobowość... ale było coś więcej, co sprawiało, że nie dawałam rady oprzeć się jego magnetyzmowi. Tak, teraz uświadomiłam sobie to dokładniej, to ten niesamowity spokój, który emanował z jego błękitnych oczu, tak mnie przyciągał. I jakaś we* „Marzenia stają się rzeczywistością...” ** „Brak mi już łez, by płakać...”

wewnętrzna, trudna do zdefiniowania siła, która wzbudzała we mnie nie tylko ukryte tęsknoty, ale, co dziwne, zaufanie i poczucie bezpieczeństwa.

Krótko mówiąc, odpowiedział mi mój prześmiewczy głos wewnętrzny, niech żyje „siła spokoju” i Tadeusz Mazowiecki. Uśmiechnęłam się do siebie i przewróciłam na drugi bok na naszej dyżurowej kanapie. Ciekawe, co teraz u mojej skandynawskiej „siły spokoju”? Czy i dzisiejszej nocy spaceruję po jego snach? Tak chciałabym móc go o nie dokładnie zapytać. Może kiedyś, później. Sny to jakby sfera intymna, głęboko własna, naprawdę zrozumiała jedynie dla śniącego... Ale może ja, jako marzenie sensowne, mam też jakieś minimalne prawa autorskie? Kim jesteś Witto Morgensenie? Dlaczego mój duch odwiedzał cię, nim spotkaliśmy się w świecie rzeczywistym? Dlaczego wydajesz mi się tak bliski, choć znam cię ledwie od wczoraj? Czy to tęsknota singla w świecie parzystości, by wreszcie znaleźć swoją połowę? Czy to wszystko dzieje się naprawdę? A ty? Dlaczego czujesz to samo, co ja? Czy naprawdę czujesz to samo, co ja? Tak bardzo bym tego chciała...

Ranek zastał mnie skuloną pod kocem. Z ogromnym trudem rozprostowałam kości i przetarłam zaspane oczy. Na oddziale spokój, jak zapewniły mnie położne. Miałam więc chwilę, żeby się ogarnąć. Pysznic postawił mnie nieco na nogi, a solidna kawa dopełniła porannego rytuału. Czy ja się kiedyś wyśpię? A co z tymi wszystkimi ciekawymi rzeczami, na które miałam apetyt? Tyle fantastycznych spraw, którymi warto byłoby się zająć: fotografika, historia sztuki, tłumaczenia moich ulubionych poetów, tyle nowych, świetnych płyt do przesłuchania... Wciąż nie traciłam nadziei, że w jakiś cudowny sposób uda mi się to wszystko połączyć. Muszę tylko przyspieszyć regenerację swojego organizmu. Też ciekawy temat, warto by go zgłębić... Jedno wiedziałam już w tej chwili, niczego lepszego niż sen na razie nie wynaleziono. A ja właśnie

w tej materii, cierpiałam na uporczywy deficyt. Ale może dziś wieczorem uda mi się nadrobić nieco zaległości. Vitto będzie kończył późny lunch, a ja oddam się słodkim snom. Spojrzałam na zegarek. Oby tylko odprawa na oddziale odbyła się szybko, miałabym szansę zobaczyć go jeszcze przed odlotem. Muszę postarać się zdążyć na lotnisko.

Ranek w pełni. Koledzy powoli, jeden po drugim, pojawiali się w dyżurce i na mój widok o tej porze w pracy wyraźnie słupieli. Zwykle ostatnie miejsca na mecie porannego stawiania się do pracy należały bezapelacyjnie do nas, kobiet. Wszystkie wpadałyśmy zdyszane, z trudem wbiegając z „dzwonkiem do klasy”, jeśli użyć szkolnego porównania. Dziewczyny miały swoje domowe obowiązki, a ja... cóż, jakoś nigdy nie mogłam zdążyć. Każdemu musiałam usprawiedliwić się z tej mojej dzisiejszej niespodzianki i opowiedzieć, chcąc nie chcąc, o kolce Zdzisława. Tak więc, kiedy przybył w końcu szef i chciał zakomunikować o „akcji dyżur”, wszyscy powiedzieli zgodnym chórem: „już wiemy”. Zdałam relację z sytuacji na oddziale i zaczęłam pakować się do domu. Niestety, byłoby to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Szef poprosił mnie jeszcze o przyjęcie kilku nowych pacjentek na oddział. Nie było wyjścia. Mój kochany Lennon już dawno powiedział to głośno: „Woman it's a Niger of the world”*

Nim jednak zabrałam się do pracy, musiałam porozmawiać, choć chwilę, z moim pięknym artystą. Kiedy wszyscy rozeszli się do swoich zajęć i dyżurka opustoszała, włączyłam komórkę. Krótki dźwięk oznajmił, że mam wiadomość. Ciekawe od kogo? Nadawcą okazał się Vitto. „Sweet dreams will always find you... dream a little dream of me”**. Słowa starego standardu, który oboje bardzo lubiliśmy.

* „Kobieta jest Murzynem (niewolnikiem) świata”.

”„Słodkie sny zawsze cię odnajdą... niech przyśni ci się jeden o mnie...”

* Głęboki błękit.

- *A propos* nocy, to ja położę się dziś pierwsza - powiedziałam enigmatycznie, unikając odpowiedzi.
- Tak? A dlaczegoż to? - jego głos przybrał lekko figlarną nutę.
- Bo ty nie zamierzasz chyba pójść spać zaraz po lunchu. Kiedy u mnie będzie dwudziesta pierwsza, wskazówki twojego zegarka wskażą dopiero piętnastą - krótko wyjaśniłam.
- Fakt, nie dam rady się spierać. Ale wierz mi, moja ty Śpiąca Królewno, *jet lag** to paskudna rzecz.
- Paskudne to jest to, mój drogi, że jestem jeszcze na oddziale i tak szybko stąd nie wyjdę. Spróbuję zdążyć na lotnisko, ale... nie wiem, czy to mi się uda. Na wszelki wypadek patrz na taras. Będę mocno machać do ciebie czerwonym szalikiem, który zostawiła w moim aucie koleżanka.
- Więc nie wiadomo, czy spojrzę dziś jeszcze w twoje piękne, wielkie oczy? - mój rozmówca był wyraźnie zawiedziony.
- Chyba że nadam je priorytetem! - próbowałam żartować, ale wcale nie było mi do śmiechu. - Sprawiasz, że coraz trudniej mi stąd wyjeżdżać - powiedział cicho.
- Mam nadzieję, że za którymś razem nie dasz rady w ogóle stąd wyjechać...
- Chyba że z tobą.
- Chciałabym móc w to wierzyć - „i to jak bardzo bym chciała...”, dodałam w duchu.
- Spróbuj. Ale postaram się szybko wrócić do Warszawy. Do ciebie.
- Możemy na razie przyjąć opracowane przez pewnego polskiego aktora stwierdzenie, że „musisz częściej przyjeżdżać, a rzadziej odjeżdżać” - przypomniało mi się znane powiedzonko wspaniałego Bobka.

Morgensen roześmiał się cicho.

*** *Jet lag* (ang.) - trudności z aklimatyzacją związane ze zmianą czasu przy lotach pomiędzy odległymi strefami czasowymi.**

- Jasne, to jest jakieś wyjście. Będę czekał na lotnisku, ile tylko się da. A w najgorszym wypadku - plan B, czyli będę wypatrywał cię na tarasie. Mam jednak nadzieję, że to drugie pozostanie planem awaryjnym i los pozwoli mi zanurzyć twarz w twoich pięknych włosach. I jeszcze, choć przez moment, poczuć smak twoich ust... Marina...

Ech! Ten to wiedział, jak zmotywować! Pożegnaliśmy się czule, a ja, mając w perspektywie atrakcje, jakich wizję roztoczył przede mną mój na poły duński, na poły amerykański rozmówca, pognałam do dzieła. Rekordowo szybko, acz uczciwie, przyjechałam na oddział kobiety, które na to czekały, odmeldowałam się u szefa i ruszyłam w drogę. Nie było już czasu na wstąpienie do domu i podreperowanie swojego *image*, tak jak stałam więc, ruszyłam w chłodny ranek. Oczywiście po zmianie rynsztunku zawodowego na cywilny. Choć niewątpliwie kuszące było wtargnięcie na lotnisko w białym kitlu i ze słuchawkami na szyi z dziarskim okrzykiem: „Jestem lekarzem! Wezwano mnie do pana Morgensena, który ma spore kłopoty z sercem” i zaraz po wejściu na pokład zaordynować jak w *Ostrym dyżurze*: „Zróbcie mu tomografię, rezonans, jonoforezę i poziom TDM” (cokolwiek to oznacza). Potem wpić się w zmysłowe usta Vitto i dodać: „i poziom dehy-droksy-aminooksydazy”. Ale ten plan odłożyłam na czas, kiedy będę dorabiać, pisząc scenariusze do brazylijskich oper medyczno-mydlanych. Lekarze też ludzie, wbrew pozorom, im także może zawrócić w głowie jakaś Esmeralda czy Rosalita. O Juanie i Pedro nie wspomnę. Nieważna płeć, ważne uczucie.

Dotarłam na Okęcie późno. To szalone miasto chyba czyhało na mnie ze swoją „czerwoną falą”. Koszmarne korki nie powinny mnie dziwić, ale dziś... to było jak czysta złośliwość. Wpadłam do hallu. Usiłowałam wypatrzeć Morgensena w całym kręcącym się tłumie. W końcu dojrzałam go w oddali. Też wyciągał głowę ponad tłumem i szukał kogoś

wzrokiem. Wśród dziesiątek ludzi wokoło tylko ja wiedziałam, kogo szukają te piękne, błękitne oczy. I nie chodziło wcale o Claudię Schiffer ani Jennifer Lopez. Te oczy szukały MNIE. Pobiegnęłam szybko w jego stronę. Widziałam, jak podchodzi do niego stewardesa, a on błagalnie składa ręce i prosi o jeszcze chwilę zwłoki. Kiedy zobaczył mnie, ruszył szybko w moim kierunku i z całą siłą, jaką daje spełnione oczekiwanie, schował mnie mocno w swoich ramionach. Och, ten mężczyzna to była kwintesencja siły i łagodności zarazem. Zanurzył twarz w moich włosach, dokładnie tak jak obiecał i czułam, jak wciąga mój zapach głęboko do płuc.

-Ten twój zapach... Mógłbym się nim upić... Od wczoraj „chodzi” za mną wszędzie, ciągle mi towarzyszy... Tak bałam się, że przyjedziesz zbyt późno... - wyszeptał prosto do mojego ucha, a jego ciepły oddech sprawił, że poczułam na całym ciele dreszcze.

- Tak bardzo chciałam zobaczyć jeszcze raz cię zobaczyć... - powiedziałam, zapisując w pamięci szorstką, męską fakturę jego skóry i zapach, od którego kręciło mi się w głowie.

-Panie Morgensen, naprawdę nie możemy dłużej czekać! - pomiędzy nas wdarł się nagle miły, acz zdeterminowany głos stewardesy.

- Tak, oczywiście. Już idę. Dziękuję pani bardzo - Vitto odwrócił się na moment do kobiety w barwach „LOT”.

- Kochanie, muszę już iść. Ale pamiętaj, szybko wrócę. Do ciebie. Dla ciebie.

Nim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, przyciągnął mnie znów do siebie i gwałtownie, jakby to miał być ostatni w jego życiu pocałunek, mocno pochwycił moje usta. Ależ ten mężczyzna całował! I mnie udzieliła się jego namiętność. Zapamiętaliśmy się na chwilę w tym szalonym zwarciu. Po chwili, trudny do zignorowania głos z megafonu otrzeźwił nas jednak bezlitośnie. Vitto ucałował jeszcze moje dłonie

i pospiesznie odszedł ze stewardesą. Odwrócił się na moment i coś wyszeptał w moim kierunku. Przysięgłabym, że było to „Wróć!”.

Stałam bez ruchu, odprowadzając go wzrokiem, nawet wtedy, kiedy dawno już zniknął za horyzontem. Dopiero jakiś mężczyzna, potrąciwszy mnie, huknął: „Co tak stoisz!” i natychmiast wróciłam do rzeczywistości. Uświadomiłam sobie, że w dłoni kurczowo ściskam czerwony szalik Teresy. Pobiegłam w stronę tarasu dla odprowadzających. Niestety, był chwilowo nieczynny z powodu jakichś prac związanych z konserwacją. Jak dobrze, że zdążyłam pożegnać się z moim pięknym mężczyzną. Znowu na moment w pamięci odżyły chwile tuż przed odprawą. Wciąż czułam na wargach smak jego pocałunku... wokół wirował fascynujący zapach męskiej skóry... wciąż czułam delikatną chropawość policzka i... żeglowałam po błękitach tęczówek. Oby tylko doleciał szczęśliwie! Już wiedziałam, że będę dziś namolnie śledzić wszystkie informacje, czy aby żaden samolot nie został opanowany przez terrorystów, nie rozbił się w górach, nie zniknął z radaru...

No, Marina! Wracaj do świata! Nie miałam innej możliwości wśród gwaru i pośpiechu panującego wokół. Opuściłam lotnisko z uczuciem smutku, ale i tkwiącej głębiej, upartej nadziei, że czas jest rzeczą względną i na pewno szybko miną dni naszej rozłąki. Wsiadłam do mojej toyoty i ruszyłam w drogę powrotną do domu. Tym razem miasto wykazało więcej wyczucia i nie rzucało mi kłód pod nogi, tak więc spokojnie dotarłam na miejsce. Żeby odpędzić choć na trochę smutki, weszłam do pobliskiej księgarni nacieszyć się urodą moich najlepszych przyjaciół - książek. Wyszło parę ciekawych, nowych pozycji i ogólna orientacja w temacie zajęła mi dobrą godzinę. Jednak niczego nie kupiłam. Ciągle nie bardzo mogłam się skupić i tak poważny proces decyzyjny jak nabycie książki wykraczał obecnie poza moje możli-

wości. Jedyne na co było mnie stać, biorąc raczej pod uwagę stan umysłu niż kieszeni, to nabycie trzech bułek w sklepie spożywczym i zaufanie mojemu mózdkowi, któremu zatopiona w myślach powierzyłam dotarcie do domu.

Z rozkoszą umknęłam zimnemu wietrzysku, które rozpętało się na zewnątrz i schroniłam w moim mieszkaniu. Wpełzłam pod ciepłutki pled i oddałam się rozmyślaniom na tematy różne. Ale, dziwnym trafem, każdy z nich, prędzej czy później prowadził mnie do pewnego artysty, który nie tak dawno całował moje włosy. Ech, niechby nigdy nie przestawał... Rozmarzona ruszyłam do kuchni, by pokrzepić ciało gorącą herbatą z cytryną. W ostateczności zdecydowałam się na sok malinowy zamiast cytryny. Rozkoszne ciepło rozlewało się w moim wnętrzu, a w głowie ciągle jeden obraz... mężczyzna odwracający się do mnie i szepczący „Wróć!”. Już dość tych rozmyślań. Czas na konkret. Tym zaś okazała się kanapka z twarożkiem i ogórkami kiszonymi mojej mamy. Wybrałam te z liściem dębu. Lubiłam ich intensywny smak, delikatną goryczkę pojawiającą się w odległym tle. Potem znów herbata i kolejna mała kanapka. I prince polo, sztuk dwie. Stop! Znowu się zaczęło! Odreagowuję stres jedzeniem. O, nie! Mowy nie ma! Nie dam się wpędzić w chorą konsumpcję. Za kilka minut będę leżeć na łóżku i jęczeć jak ranni w brzuch żołnierze radzieccy po porcji tuszonki przed bitwą: „po co jadłem, po co jadłem?!“.

Muszę się czymś zająć. Może poczytam? Wyciągnęłam się na kanapie i wzięłam do ręki książkę Katherine Neville *Ósemka*. Książka świetna, wręcz fascynująca, która zwykle niepodzielnie przykuwała moją uwagę, dziś wyraźnie nie spełniała zadania, jakie jej powierzyłam. Po przeczytaniu (teoretycznym) kilku stron, uświadomiłam sobie, że kompletnie nie pamiętam, o czym czytam. Odłożyłam książkę na bok. Wpełzłam spod pledu i włączyłam mój ulubiony *Koncert w ogrodzie* Barbry Streisand. Niesamowity głos kołysał

mnie delikatnie i rozedrgane atomy w moim wnętrzu powoli zaczynały wracać na swoje miejsce, choć doskonale wiedziałam, że po spotkaniu z Vitto Morgensenem nic już nie będzie jak dawniej. Czułam to w każdej mojej komórce i cieszyłam się, że mogę delektować się tym stanem, który wypełniał mnie całą, bez względu czy tego chciałam, czy nie.

„Lovers are very special people...”* śpiewała kobieta obdarzona jednym z najpiękniejszych głosów, jakie dane mi było słyszeć. I mimo całej mojej zachowawczości, całego wewnętrznego lęku przed rozczarowaniem, postanowiłam jej uwierzyć, że „now you're home... no more hunger and thirst”**.

Tak, miłość to dom duszy i serca, do którego dążymy całe życie, którego całe życie szukamy. Ale czy to, co czuję, to, co sprawia, że chce mi się żyć ze wszystkich sił, że nie mogę sobie znaleźć miejsca... to rzeczywiście to uczucie na „M”? Bałam się nawet wypowiedzieć głośno to słowo, nie wiem, dlaczego. Żeby nie zapeszyć? Ale nawet jeśli ja... to czy on także? Czy to możliwe? Nieważne! Muszę cieszyć się tą cudowną, ulotną chwilą, choćby nierzeczywistą, bo daje mi to nadzieję na przetrwanie. Daje mi to nadzieję na Życie, nie pustą egzystencję wypełnioną dyżurami, receptami, chlebem z twarogiem i wizytami w bibliotece w nadziei, że choć przez chwilę zadrży moje serce, kiedy Rett Butler weźmie Scarlett na ręce i wniesie ją po schodach do sypialni. Nie chciałam żyć fikcją tak jak do tej pory, nie chciałam ogrzewać zziębniętego serca przy koksowniku w ubogiej dzielnicy Miasta Emocji. Chciałam tańczyć w rozświetlonej kandelabrami sali albo tulić się do piersi ukochanego przy kominku w naszym szczęśliwym domu. Po prostu - chciałam żyć. Żyć naprawdę, a nie udawać. Nie chcę symulować śmiertelnej choroby przenoszonej drogą płciową, jak określił życie

* „Zakochani to szczególnie rodzaj ludzi...”.

" „Teraz jesteś już w domu... nigdy już pragnienia ni głodu...”.

Krzysztof Zanussi, którego tak lubiłam. Chcę na nią zachorować i rozkoszować się każdym jej nowym symptomem. Apetyt na życie. O tak! Ogromny apetyt.

Rozmyślałam i rozmyślałam. Wspominałam każdą chwilę spędzoną wspólnie z Vitto. Jego szczery, pełen akceptacji uśmiech, mądre oczy, w których przeglądałam się tyle razy, ich kolor... błękit nieba w ciepły letni dzień, zmieszany z kroplą bieli, chłodny i kuszący zarazem, jak toń jeziora, które może zamknąć się nad głową w geście ostatecznym, po wieczność, a które mimo to przyciąga i trudno mu się oprzeć... jakby w tej toni ukryte były odpowiedzi na wszystkie, naprawdę ważne pytania, obietnica spełnienia najskrytszych marzeń, całkowite oddanie i zjednoczenie... obietnica harmonii i spokój wnętrza.

Zza ściany dochodziły mnie uparte uderzenia tłuczka do mięsa. Sąsiadka przyrządzała pewnie kotlety lub bitki na rodzinny obiad. Co mnie obchodzą jej kotlety, jakiegokolwiek kotlety świata, kiedy ja tu „wpływam na suchego przestwór oceanu...”. Oczywiście z użyciem *licentia poetka* co do stopnia wilgotności powietrza i gleby. Co mnie obchodzi świat z jego kotletami, szaletami, całą tą niepotrzebną krzątaniną. Wiem, wiem, wiem, że to nie tak, że nie o to chodzi, ale teraz nie chciałam o niczym słyszeć ani myśleć, tylko nurzać się we wspomnieniach... znów pieścić zarys mocnej zuchwy, całować dołek w brodzie, dotykać zmysłowych warg, czując, że i one mnie pragną... A jednocześnie byłam zawstydzona siłą uczucia, które spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Czułam się tak bardzo bezbronna, jak małż z otwartą skorupką, zaskoczony światem i zupełnie nieprzygotowany na przegraną. A jeśli przegram? Nie, nie przegram. Na pewno nie przegram, nie tym razem. I uspokoivszy niepokój, a raczej pozwoliwszy mu skryć się głębiej, wróciłam do kontemplacji przedmiotu moich rozterek i marzeń... Piękne ręce... mocne, dobre ręce, którym można zaufać. Ale tak naprawdę nie szło o zewnątrz. „To, co najważniejsze, jest ukryte dla

oczu...". Uwielbiałam go za to, jaki był. Nie za to, kim był. Czy byłby Polakiem, Amerykaninem czy Japończykiem, gdyby był taki, jaki jest, czułabym z nim taką samą więź, jak dziś. Bo to był ktoś taki, jak ja. Taka Marina za oceanem. Po prostu - ja w męskim wydaniu. To, co między nami wykraczało poza fascynacje ciałem, to było coś poza fascynacją umysłem. To było coś na kształt kompatybilności najgłębszych ludzkich cech... niewiarygodne. To było jak... niestety, nie dane mi było rozwinąć tematu, bo nocne zmęczenie i masa emocji sprawiły, że mój umysł po prostu się wyłączył. Zasnęłam kamiennym snem. Zwykle kontrolowałam, przynajmniej względnie, proces zasypiania, ale niekiedy zdarzało się, że nie byłam w stanie zapanować nad zmęczeniem. Najbardziej spektakularnym popisem moich możliwości było zapadnięcie w sen w trakcie rozmowy z Marzenką po ciężkim dyżurze. Pamiętam doskonale, że z nią rozmawiałam, wcale nudno nie było, aleja w pewnym momencie po prostu zasnęłam. Tak mi powiedziano. Marzenka nie doczekawszy się odpowiedzi na swoje pytanie, rzuciła na mnie okiem i skonstatowała z pewnym zaskoczeniem, ani chybi, że ja pomiędzy jednym a drugim zdaniem zwyczajnie odpłynęłam. Na szczęście takie sytuacje zdarzały mi się wyjątkowo rzadko, wyłącznie w jakichś ekstremalnych sytuacjach. Tak więc nie muszę skakać na *bungee* ani uprawiać wspinaczki skałkowej. Dla mnie medycyna i emocje są już rodzajem sportów ekstremalnych. Ten szalony nieco wybryk, jaki spletało mi moje własne ciało, na szczęście uszedł uwadze ogółu, nie posadzono mnie o nar-kolepsję i nie nazwano Śpiącą Królową. Tak nazwał mnie ktoś zupełnie inny. I to w zasadzie - w bardzo pozytywnym znaczeniu. No właśnie, ten ktoś... śniłam słodko, pomrukując przez sen, aż do momentu, kiedy wyrwał mnie z niego dźwięk dzwonka mojej komórki. Podskoczyłam na łóżku i natychmiast dopadłam do torebki. Po chwili trzymałam ją w dłoni. Zaskakująco sprawnym, jak na wyrwanego ze snu człowieka,

ruchem wyszarpnęłam komórkę z jej wnętrza i usiłowałam przybrać możliwie przytomny ton.

- Słucham, Marina Błajet.

- Cześć Śpiąca Królowno! - w słuchawce rozległ się głos Morgensena. - Słyszę, że dotrzymałaś obietnicy i położyłaś się pierwsza spać.

- Jak na królownę przystało - roześmiałam się cichutko. - Poznałeś, że dopiero co otworzyłam oczy? A tak starałam się to ukryć...

- Moja droga, ja ... - tu zawiesił głos na moment - wiem wszystko.

- Dopiero teraz mi to mówisz? Wzięlibyśmy udział w jakimś teleturnieju... - odparowałam. - A tak poważnie jak minęła podróż?

- Dziękuję, w porządku. Poza tym, że całą podróż bardzo cierpiałem - tajemniczo powiedział Vitto.

- Och, choroba lokomocyjna! A może coś cię boli? - zapytałam zatroskana.

- Nie, to nie kwestia chorego błędniaka. Sprawa jest poważniejsza. Całą podróż bolało mnie serce.

- Vitto, pędź do jakiegoś kardiologa! Albo chociaż do lekarza na lotnisku. Z tym nie ma żartów - zaniepokoiłam się na dobre. A jeśli coś mu się stanie? Co ja wtedy zrobię? To nie może się tak skończyć!

- Nie, moja pani doktor! Serce boli mnie nadal... ale żaden specjalista nie jest już w stanie mi pomóc. Poza jednym.

- To jedź do niego natychmiast! - Vitto, ty mnie wpędzisz do grobu.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Jak to nie możesz? - byłam już lekko zdenerwowana.

- Na razie nie mogę, ale na pewno pojedę. Marina, serce mnie bardzo boli, bo nie ma cię obok, mój ty specjalisto - dodał po chwili.

- Vitto, ty draniu! Ja tu umieram ze strachu, że... a ty po prostu sobie żartujesz!

- Przepraszam, ale nie mogłem sobie odmówić...

-Jak to mogłeś? Chcesz mieć mnie na sumieniu? Wiesz, jak czuje się człowiek świeżo wyrwany ze snu i poddany takim stresom? - zaśmiałam się już udobruchana.

-Przepraszam, kochanie. Przyrzekam, że już nigdy...

- Nigdy nie mów nigdy. Czyżbyś nie oglądał Bonda? -No dobrze, nie ma sprawy. Przeżyłam, reszta się nie liczy. Jakie masz teraz plany?

- O dziwo, czeka na mnie na lotnisku brat. Zrobił mi niespodziankę i przyleciał wczoraj z Londynu. Ciekawe, co go sprowadza? Kiedy złożył mi wizytę ostatnio, okazało się, że wpadł w spore tarapaty. Ale jakoś przetrwaliśmy.

- Może po prostu stęsknił się za tobą? - miałam nadzieję, że na drodze mojego artysty nie stanie rosyjska mafia.

- Może - powiedział krótko Vitto. - Muszę, niestety, już kończyć. Całuję cię w to pachnące miejsce za uchem. Odezwe się niebawem. Przyśnij mi się dzisiejszej nocy... a nie ręczę za siebie!

Lekki dreszcz przeszył mnie niespodzianie i ja, dorosła kobieta, ginekolog, która niejedno już widziała i słyszała, zaczerwieniłam się jak pensjonarka.

- Rozważę twoją propozycję... Póki co, ja też cię mocno całuję i już tęsknię za tobą...

Pożegnaliśmy się i opadłam na łóżko, rozpamiętując każdy detal naszej rozmowy. Ech, mój artysto, jakie wiatry przygnały cię do tego kraju i postawiły mnie na twojej drodze. Albo ciebie na mojej.

Odpowiedz mi Vitto Morgense-nie, ty, który, jak twierdzisz, wiesz wszystko.

Kiedy zadzwonił budzik, szybko, machinalnie zamknęłam mu usta. Tak było mi błogo i dobrze, że wcale, ale to wcale nie uśmiechało mi się opuszczenie ciepłego łóżka i wystawienie swojego rozgrzanego snem ciała na zimno, jakie

niechybnie panowało za oknem. Co za życie! Nawet wyspać się nie można! Jakoś zawsze szkoda mi było czasu na sen, ale dziś... moje łóżko wydawało mi się szczególnie atrakcyjne. Ciekawe jak tam Vitto, czy poległ już na polu dowodzonym przez J.W. Morfeusza? Czy coś mu się może śni? Może ktoś z Europy Środkowej, „z kraju nad Wisłą, gdzie spotkać nam się przypadło...”. I nie miałam na myśli Leszka Millera. Miałam nadzieję, że to ja w stroju odaliski z rubinem w pępku przemykam w takt muzyki przez jego senne marzenia. To pół-Skandynaw, może więc powinnam raczej pojawić się jako złotowłosa królowa Wikingów albo... nie, nie, pomysł Walkirii upadł, nim zdążył powstać. Co ja jeszcze pamiętałam z mitologii skandynawskiej? Nie, na Tora raczej się nie nadawałam. Oj, myślenie bladym świtem (właśnie dochodziła siódma) nie jest moją mocną stroną. Obudziłam się na dobre i spięłam ostrogi, groziło mi bowiem ewidentne spóźnienie do pracy.

Dzień minął względnie normalnie, a potem następny i następny. Komórka spała spokojnie na dnie mojej torebki w stanie podwyższonej gotowości, a tu... cisza. Poza dwoma telefonami od znajomych - cisza. Aż pewnego spokojnego popołudnia...

- Hej, Marina! Tu Vitto. Co słyhać, moja piękna? -w słuchawce rozległ się długo oczekiwany głos.

- Cześć, Vitto! Trzy słowa: „Sound of silence”*. Myślałam, że o mnie zapomniałeś - starałam się nie okazywać rozczarowania.

- Ja o tobie? Nie dam rady o tobie zapomnieć, w tym rzecz. Po prostu, nie dam rady.

-1 wolałabym, żebyś nie pracował nad zmianą tego stanowiska, bo... wiesz, czasem trzeba sobie odpuścić i zaakceptować pewien stan rzeczy - żartowałam do słuchawki.

* „**Brzmienie ciszy**”.

- Ależ nie zamierzam, w najmniejszym stopniu. Po prostu - już się z tym pogodziłem. Z tobą nawet milczy się cudownie - przeciągnął nieco ostatnią sylabę, co nadało ostatniemu słowu lekko erotycznego posmaku.

- Dzwonisz, żeby pomilczeć? Kochanie, wiesz, że milczenie we dwoje może być bardzo ekscytujące... tyle może się wtedy zdarzyć... - i ja spróbowałam dostosować się do jego tonu.

- Nie wiesz nawet, ile bym dał w tej chwili, by pomilczeć blisko przy tobie... moja Marino - w jego głosie dostrzegalna była nowa, nieznana mi dotąd nuta, na razie nie umiałam jej zidentyfikować...

- Dzwonię, żeby powiedzieć ci, że bardzo tęsknię za tobą... - czułam to w jego głosie. - Ale, jak powiedziałaś, czasem trzeba zaakceptować pewien stan rzeczy... I chciałem cię prosić właśnie o to.

- Zamieniam się w słuch - powiedziałam, czując jak niepokój wdziera się w moje serce.

- Wiesz, będę musiał na jakiś czas wyjechać i będę bardzo zajęty. Mogę być poza zasięgiem komórki. Ale jak tylko wrócę do rzeczywistości, zaraz się do ciebie odezwę - czułam dziwne napięcie po drugiej stronie słuchawki, ale instynkt, a może nieśmiałość, nie pozwoliły mi o nic pytać.

- Oczywiście, nie widzę problemu, Vitto - krótko odpowiedziałam i powoli wycofałam się z powrotem do mojej skorupki.

- Muszę kończyć, niestety. Całuję cię bardzo, bardzo mocno, moja najpiękniejsza - ciepły głos w słuchawce nagle wydał mi się jakby pochodził z innej galaktyki.

- Ja ciebie też - odparłam. - Trzymaj się ciepło.

I nagle zrobiło mi się jakoś dziwnie chłodno w sercu. Jakby ukłucie lodu. Nie byłam nigdy kobietą bluszczem, nigdy nie usiłowałam żyć życiem mojego mężczyzny. Zawsze szanowałam jego autonomię, chciałam bowiem, by on szanował moją.

Miałam swój wewnętrzny, wcale nie taki mały świat i też potrzebowałam czasu wyłącznie dla siebie. Zresztą, nie byłam szczególnie towarzyska. Może kiedyś, dawniej... Owszem, nadal lubiłam ludzi, byłam ich ciekawa, ale nigdy nie ciekawska. Lubiłam jednak, gdy ktoś mi bliski grał ze mną w otwarte karty. W głowie słyszałam wciąż głos Vitto: „Będę bardzo zajęty... poza zasięgiem...”. Co to miało znaczyć? Czy to jakiś sygnał. Ze już po wszystkim? Nie, to niemożliwe. Przecież nic innego tego nie potwierdza. Czułam, że wciąż łączy nas to, co wcześniej... a jednak... coś się zmieniło. Popołudnie, choć jeszcze kilka minut temu, gdy usłyszałam w słuchawce ten spokojny, kochany głos, zapowiadało się wspaniale, nagle nabrało jakiegoś melancholijnego nastroju. Siedziałam skulona na swoim łóżku i powoli zapadałam w paskudny, pełen smutnych i pesymistycznych myśli stan. O, tak... kto jak kto, ale ja potrafiłam zepsuć sobie sama nastrój rewelacyjnie, choć być może słowo „rewelacyjnie” nie było tu zupełnie na miejscu. Z niejaką lubością potrafiłam rozwijać przed sobą najczarniejsze scenariusze i nurzałam się w nich z lekko chorym upodobaniem. Ileż to razy, kiedy niezupełnie perfekcyjnie zeszyłam skórę pacjentce, dobrze, ale nie idealnie, w moim oczywiście mniemaniu, widziałam przed oczami jak rana rozchodzi się, zaczyna makabrycznie ropieć, pacjentka umiera w męczarniach, a ja patrzę na jej agonię, nie mogąc nic zrobić. Powinnam mieć na imię nie Marina, a Kasandra. Na szczęście nigdy moje żalosne przepowiednie się nie sprawdziły, co jednak nie przeszkadzało mi oddawać się namiętnie ich snuciu. Tak było i tym razem. Postanowiłam trochę się podreżyć. I choć nie było nic w słowach Vitto, co mogłoby spowodować aż tak kiepski nastrój, z uporem maniaka poszukiwałam go w sobie. Aż w końcu - znalazłam. Żeby dopełnić ceremonii, włączyłam moją ulubioną ostatnio Annę Marię Jopek i z rozkoszą, oraz rozpaczą w sercu, słuchałam jak nuci:

*Nie przychodzisz mi do głowy od miesięcy już Wspomnień garść szuka dna Szuka zapomnienia snu
Rozpuściłam Cię W rosie moich łez Zgubiłam klucz od furtek i bram zamknięte serce na kłódkę
Mam...*

Powoli zapadał zmierzch. Siedziałam sama w ciemnym pokoju, mimo woli przychodziły mi do głowy różne momenty z ostatnich tygodni, jak cienie przesuwające się przed oczyma, gdzieś na ekranie duszy... twarz z mocno zarysowanym podbródkiem, szczery, przyjazny śmiech, ogniki w błękitnych oczach... słońce w Łazienkach, które, mimo szarzyzny chłodnych, bezlistnych dni, były najpiękniejszym miejscem na Ziemi przez tych kilka kwadransów, purpurę i złocisty oddech wina załamany konturem szkła, wirujące w świetle ulicznych latarni płatki śniegu, topniejące później na naszych włosach, policzkach i ustach, dobroć i bezpieczeństwo, jakie poczułam w dłoniach, które uchwyciły moją wysmaganą zimnymi podmuchami twarz, by zmysłowymi ustami zamknąć moje zziębnięte wargi w gorączce pocałunku... i szara płaszczyzna obrazu, od której niemal wszystko się zaczęło. Kim naprawdę jest ten człowiek, którego poznałam owego wieczoru w galerii? Czy zakochałam się tylko w moim wyobrażeniu, projekcji samotnej kobiety spragnionej uczucia? Czy widzę cię i tęsknię za tobą Vitto Morgensenie, za takim, jakim jesteś, czy tylko za złudą, za marzeniem, jakie kazałam ci wziąć na swoje barki i jakim kazałam ci się stać w moich oczach i sercu? Anna Maria wkomponowała się świetnie w nastrój i śpiewała swoim ciepłym, melancholijnym głosem:

Czekam nadejścia dnia Dłonie składam w prośby gest A za ścianą ktoś łka Może niekochany też Pogubiłeś sens W cieniu moich rzes Postucham słów płynących zza ścian Zamknięte serce na kłódkę Mam... Trwam...

Właśnie... trwam. Jedyne, co mogę zrobić w tej sytuacji. Pozwalać rankom mnie budzić, zmierzchom usypiać, snuć pajęczynę życia wśród mijających samotnie nocy i dni. Doszła jednak do głosu mała optymistka, która, mimo wszystko, czaiła się we mnie. Nie tylko zabrała głos, ale wręcz rozpoczęła ofensywę przekonywania mnie, że nie można od razu zakładać najgorszego. „Zdążysz się zamartwić jeszcze tysiąc razy” - mówiła. „Nie możesz ferować wyroku na podstawie poszlak i to tak poślednich, jak w tej sytuacji. Na pewno wszystko się wyjaśni i jeszcze będziesz śmiała się ze swoich szalonych podejrzeń. Nie można odsądzać człowieka od czci i wiary na podstawie tego, że nie pada ci do stóp już bladym świtem i nie trwa w tej nabożnej pozycji do północy. Żyj i daj żyć innym. On też ma swoje życie, nie bój się tego, bo to nie zagrożenie, to po prostu wolność każdej istoty ludzkiej. A że tęsknota, że nie wiesz, co się z nim dzieje? Cóż, każdy ma swoje małe tajemnice, czasem całkiem zwykłe, a niekiedy pełne magii. Prawdziwa miłość wymaga zaufania”.

Przekonywała mnie i może trzeba spróbować jej uwierzyć? „Miłość wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma...” słowa listu dodawały otuchy, ale... i tak nie było łatwo. Z radia płynęły słowa piosenki, **4 doors down**, które moje usta nuciły niemal bezwiednie:

*Hungry days are make me older, since I saw your
pretty face*

I really loved you baby,

I think about you baby

I dream about you baby all the time

*You're with me in my dreams...**

Po angielsku brzmiało nieźle, po polsku - zdecydowanie gorzej, żeby nie powiedzieć - całkiem banalnie, ale w języku Szekspira można było wylewać swój smutek całymi hektolitrami. Mój głos, początkowo wyraźnie słyszalny, powoli stawał się coraz cichszy, aż w końcu z tego całego umęczenia zasnąłam i dopiero nieśmiałe promyki porannego słońca przywróciły mi względną przytomność.

Mijały dni, noce, poranki, popołudnia, wieczory. Czas toczył się leniwym rytmem przez moje życie, rytmem wyznaczanym przez pracę, sen, spotkania z koleżankami, seanse w kinie, filmy, które przemieły w mojej pamięci wraz z ostatnią klatką, rzadko takie, które zostawały na dłużej. Nie miałam ochoty na nic, poza snem, mając nadzieję, że choć na tej płaszczyźnie uda mi się spotkać z moim skandynawskim marzeniem. Na próżno. Mimo że sporo spałam, ciągle czułam się zmęczona.

Zauważyło to nawet moje otoczenie, ale udało mi się wykpić zimowo-wiosennym przesileniem.

Tak naprawdę czułam się jakby zatrzymana w kadrze, poruszałam się opłaszczona przez czas jak owad w kropli żywicy, jakby nic nie mogło wydarzyć się naprawdę. Czekałam na dźwięk komórki i znajomy głos. Początkowo z nadzieją w sercu brałam do ręki telefon w sekundę po odezwaniu się jego dzwonka. Z czasem nadzieja malała i malała, by w końcu ukryć się, gdzieś na dnie mojej duszy. Ale, choć ukryta,

*** Głodne dni odbierają mi młodość, odkąd ostatni raz widziałem twoją śliczną twarz. Naprawdę cię kochałem. Wciąż o tobie myślę i wciąż o tobie marzę. Jesteś ze mną w moich snach...**

ciągle tam była, na najmniejszy znak gotowa wypuścić pędy i stać się potężnym drzewem. Była jak małe nasionko, które czeka na swój czas. Bo chyba wciąż wierzyłam, że taki czas nadejdzie. Dzień rozpoczął się normalnie, jak setki do niego podobnych, ale kiedy tylko nabrał rozpędu, zaraz dał znać, jak mylnie go oceniłam po paru pierwszych godzinach. Na szczęście, parząc herbatę kolegom i koleżankom, byłam jeszcze nieświadoma niespodzianki, jaką trzymał dla mnie w zanadrzu szef. W innym wypadku mogłabym doznać ciężkich oparzeń, czajnik bowiem ani chybi wypadłby mi z wrażenia z rąk. Kiedy już wyoperowaliśmy, co było do operowania na dziś, a wszyscy, i pacjenci, i lekarze przeżyli owe trudne chwile szczęśliwie, zasiedliśmy do herbaty. I podczas banalnej ceremonii podawania sobie cukiernicy z rąk do rąk, szef ni stąd, ni zowąd wypalił:

- Marina, co robisz w przyszłym tygodniu?

- Cóż, zamierzam spędzić go równie pasjonująco, jak ten i inne poprzednie. Czyli: praca, dom, praca, dom... - odpowiedziałam, nie wiedząc, o co mu chodzi.

- No to spędzisz go w pewnym sensie nadal w pracy, ale o spaniu we własnym domu i łóżku na jakiś czas zapomnij - tajemniczo ciągnął dalej.

Wszyscy, łącznie ze mną, zrobili dziwne miny i czekali na ciąg dalszy.

- A tak bliżej... - usiłowałam dowiedzieć się czegoś więcej.

- Szykuj kreacje i posłuchaj Edith Piaf, w przyszłym tygodniu bowiem lecisz do Paryża - powiedział szef i smakował zaskoczenie malujące się na mojej twarzy. Cała dyżurka zastygła w kompletnym zaskoczeniu, jak Francuzi obserwujący przekraczanie Linii Maginota przez niemieckie wojska.

Nie mogąc widocznie doczekać się momentu, kiedy coś wydukam, nasz głównodowodzący odezwał się do mnie w języku Moliera:

- *Quelle surprise, n'est-ce pas, Mademoiselle?*" Dech ci zaparło, co maleńka? - z dziką przyjemnością wszedł na grunt znany tylko nam obojgu. Nikt z reszty towarzystwa nie mówił po francusku.

- *Un peu, Monsieur, un petit peu. Monsieur Chirac m'a invité?*** - starałam się nie dać poznać, jak bardzo ciekawa jestem wytłumaczenia.

Szef wrócił do rodzimego języka.

- Pojedziesz, Marina, na europejski kongres naszej szanownej specjalności. Takie małe, lokalne „Ginekolodzy wszystkich krajów łączcie się”. Miałem sam jechać, ale, niestety, nie mogę. Ty, myślę, godnie mnie zastąpisz. Hotel i samolot masz już opłacone - odczekał chwilę, nim zadał mi ostateczne pytanie:

- To co, reflektujesz?

- *À votre service...**** Pewnie, że z rozkoszą odwiedzę moje ukochane miasto - uśmiechnęłam się lekko, a w mojej głowie rozwijał się już niemal plan marszruty.

- No to - załatwione! Przefaksuję twoje dane organizatorom - krótko zakończył sprawę szef.

Kiedy wyszedł, po chwili kompletnej ciszy, Baśka powiedziała:

- Ty to masz w życiu szczęście! Zobacysz Paryż... ja też chętnie zobaczyłabym wieżę Eiffla.

- Basieńko, ty masz wspaniałego męża i dzieci, szczęście na co dzień, a ja chociaż sobie do Paryża pojedę - próbowałam ratować sytuację.

-To nam choć po ślimaku przywieź! - przerwał Zdzisław i wszyscy roześmialiśmy się. Niektórzy szczerze, pozostali - bo nie mieli innego wyjścia.

*** Niespodzianka, nieprawdaż, panienko? ** Odrobinę, proszę pana. Czyżby pan Chirac mnie zapraszał? *** Do usług.**

Chciałam wierzyć, że najbliższe dni nie miną pod znakiem drobnych złościwości pod moim adresem. Przez ostatni tydzień był na urlopie nasz naczelny plotkarz i złośliwiec, doktor Antoni. On by mi nie darował. Pamiętam, jak na początku mojej pracy, kiedy szef przyjmował mnie do swojego zespołu, rzucił kąśliwą i jakże niestosowną uwagę:

-No, pani doktor, za moich czasów trzeba było przespać się z ordynatorem, żeby dostać się na oddział! Cisnęło mi się na usta pytanie: „Czy i pan doktor w ten sposób tu trafił?”, ale przez szacunek dla siwych włosów adwersarza powiedziałam jedynie:

- Czasy już bardzo się zmieniły, panie doktorze - po czym oczywiście zaczerwieniłam się po uszy. Nawet przez myśl nie przeszła mi taka ewentualność. Jak ktoś mógł być tak podły i wygłaszać takie insynuacje.

Szef za to nic sobie z tego nie robił i poklepawszy mnie po plecach, powiedział:

-Nie martw się, maleńka. Doktor Antoni zawsze taki siermiężnie szarmancki wobec dam. A co, uważasz, Antoni, że to wstyd ze mną spać?

Antoni nieco się zmieszał, a pozostali skwitowali to śmiechem. Na szczęście nikt już nigdy do tego tematu nie wracał. Wolałam nie myśleć, jaki będzie komentarz doktora Antoniego, kiedy wróci i dowie się o wszystkim. Ale miałam to kompletnie w nosie. Jadę do Paryża! I tylko to się liczy.

Już nie mogłam doczekać się końca pracy. Kiedy tylko wpadłam do domu, zadzwoniłam do Anne-Marie oznajmiając, że będę w Paryżu. Znajoma tak serdecznie zapraszała mnie, że bym na czas kongresu zamieszkała u nich, że z przyjemnością zgodziłam się niemal bez chwili wahania. Tak więc nie musiałam zatrzymywać się w hotelu, choć trochę luksusu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Ale bardzo ucieszyła mnie możliwość spotkania z moimi kochanymi Dubois. Znów pogwarzyśmy do rana, a Petite zagra nam parę utwo-

rów (te, które jeszcze pamięta) na fortepianie w salonie. Kochana Petite!

Propozycja szefa spadła mi jak z nieba. Nareszcie w moim życiu, wypełnionym nieszczęsnym i bezowocnym oczekiwaniem na telefon pewnego fascynującego artysty, zapowiadały się lepsze chwile. Dzięki cudownej perspektywie podróży do stolicy Francji, na moment zapomniałam o mojej tęsknocie, która trawiła mnie co dzień i co noc od pewnego pożegnania na lotnisku. To wznosiłam się na wyżyny, myśląc o pięknej podróży, to opadałam na dno, przypominając sobie, ile to czasu minęło, odkąd ostatni raz słyszałam spokojny, ciepły głos mężczyzny, który tak nagle stał się dla mnie ważny. Ale naprawdę trudny moment miałam, jak się później okazało, dopiero przed sobą.

Nazajutrz, czekając na naszą kolej do operacji i usiłując wypełnić sobie oczekiwanie czytaniem, zaczęłam przeglądać kolorowe czasopisma w dyżurce instrumentariuszek. Tu Camilla Parker-Bowles z Karolkiem, tu skandal z udziałem Britney Spears, rauty, premiery... Moją uwagę zwróciło zdjęcie, na którym jedna z osób wydała mi się dziwnie znajoma. Na pierwszym planie piękna, platynowa kobieta, a u jej boku - nie kto inny, jak mój ukochany Vitto Morgensen! Ten sam męski profil, mocno zarysowana żuchwa, kształtny nos i włosy sięgające niemal ramion... a wszystko na tle nowej „Jean Harlow”, jak natychmiast ochrzciłam uroczą towarzyszkę mojego niedawnego wybranka. Ot, siurpryza, jakby powiedzieli nasi przyjaciele zza Buga. Żeby rozwiać wszelkie wątpliwości, podpis pod zdjęciem głosił: „Na premierę przybyła także śliczna Beatrice Martin w towarzystwie utalentowanego malarza Vitto Morgensena”. A niech to! To niemożliwe.

Usiłując za wszelką cenę zachować przynajmniej pozorny spokój, przyjrzałam się jeszcze raz zdjęciu i powoli przeli-terowałam podpis. Nie pomyliłam się, niestety. Wszystko

było jak chwilę wcześniej. On i ona. I podpis, który ostatecznie rozwiewał wątpliwości. *Shit, shit.* **Shit!** Zakląłam szpetnie i wcale nie po francusku. Ledwie mogłam się opanować. Gdzieś w środku wylała się, jak z rozbitego dzbana, woda, potężna fala smutku i jakiejś dziwnej paniki. Że... sama nie wiedziałam co, ale coś ścisnęło mnie za gardło i wcale nie chciało przestać. Więc dlatego nie dzwoni... nie daje znaku życia. Znowu czułam się jak idiotka. Z takim podejściem do miłości powinnam dawno już zamknąć się w jakimś muzeum i straszyć zza szyby wycieczki przyglądające się napisowi przed moją gablotą. Wielkimi literami, żeby nie uszło niczyjej uwadze. „Ostatnia naiwna”. Bez komentarza. Do dyżurki weszła instrumentariuszka i powiedziała, że już można się myć do operacji, szybko więc złożyłam gazetę i z kamienną twarzą oraz ze skopanym, śmiesznym sercem skierowałam się ku sali operacyjnej. Choć starałam się jak mogłam, wielokroć upominano mnie, że nie śledzę toku operacji. Jakoś przeżyłam do końca dnia bez kolizji na jakimkolwiek z pól, po którym przyszło mi się poruszać, choć wiedziałam doskonale, jak w tej chwili jestem groźna dla otoczenia.

Dotarłam do domu i zamknęłam się w swoim królestwie. Dobrze mi tak. Sama jestem sobie winna. Nikt normalny nie opuszcza gardy tak szybko, jak zrobiłam to ja. Śmieszna, naiwna kobietka z Europy Środkowej! Włączyłam automatycznie swojego wewnętrznego szydercę i puściłam wodze pesymistycznych rozważań, a byłam w tym dobra. Tak, podsumujmy. Nagle spotkałam miłość swojego życia, której śniłam się dużo wcześniej, choć nigdy nie widzieliśmy się w rzeczywistości. Nic, tylko napisać do „Z życia wzięte” albo „Hallo”, a potem uzupełnić artykułem „Pokochałam go całym sercem, a on wybrał inną” do renomowanej gazety dla gospodyń domowych (z całym szacunkiem dla gospodyń). No, może zamieściłabym coś jeszcze na łamach „To

się w głowie nie mieści" i feministycznego magazynu „Planeta Kobiet" z dołączoną do wydania płytką z przebojem zespołu Big Cyc „Facet to świnia" lub dla wybredniejszej części czytelników, frakcji mniej ortodoksyjnej, singiel cudownej Ireny Kwiatkowskiej w piosence z genialnego Kabaretu Starszych Panów „Szuja, kawał matrymonialnego zbója... ach, cóżem uczyniła mu ja?" Z drugiej strony Vitto po prostu pokazał się na jakiejś premierze z piękną kobietą. *No big deal*". Śmiech wewnętrzny o mało nie rozerwał mego wątego ciała. Tak zwyczajnie, po prostu... z piękną kobietą. Na pewno dlatego, że nie miała z kim pójść, a on ma dobre serce. Już zaczynałam wpadać w dobrze mi znane klimaty pognebiające, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Ciekawe, któż to zaszczyił moje progi. Chcąc nie chcąc poszłam otworzyć.

- Cześć, Marina! - w progu stała Karolina. - Co się tak ostatnio izolujesz? - spytała.

- Cześć, Karolka! Miło cię widzieć - odsunęłam się od drzwi, zapraszając ją do środka. - Ja izoluję? Nie żartuj.

- W każdym razie ja już się za tobą stęskniłam i postanowiłam cię odwiedzić - powiedziała, zdejmując płaszcz.

- Bardzo się cieszę, że przyszłaś. Chodź do kuchni. Kawa czy herbata? - zapytałam, czyniąc honory pani domu.

- Małą czarną poproszę, strasznie senny dzień dzisiaj - Karola rozsiadła się wygodnie na jednym z dwu krzeseł, jakimi dysponowałam w swoim kuchennym wyposażeniu.

Bardzo lubiłam Karolinę. Ilekroć przychodziła, robiło mi się sympatyczniej i weselej. Opowiadała o różnych rzeczach od przebojów w pracy po najnowsze trendy w modzie, czasem przypominała sobie jakiś dowcip, to przynosiła mi książkę, którą według niej warto było przeczytać i zawsze potrafiła poprawić mi humor. Lubiłam jej nieszablonowe

* **Nic wielkiego.**

pomysły, na przykład bukiet wiosenny, czyli pięknie oczyszczone rzodkiewki z białymi wąsikami, jakby malarzowi nie do końca udało się zanurzyć je w malinowej farbie, tkwiące dziarsko wśród przybrania z koperku i natki, okolone srebrnym kołnierzem folii, z którym to bukietem w garści niedawno stanęła u moich drzwi. Warto mieć takich ludzi koło siebie, są jak słońce w pochmurny dzień, jak kilka kryształków cukru w filiżance gorzkiej herbaty. Niby tylko odrobina światła i słodczy, a zmienia wszystko na lepsze. Taka właśnie jest Karola. Zasiadłyśmy do kawy i ptasiego mleczka, które chomikowałam na specjalną okazję albo ciężkie czasy.

- Pyszne ptasie mleczko - powiedziała Karolka, pakując sobie do ust kolejny kawałek.

- Dziękuję. To jedna z pereł mojej „piwniczki” - zaśmiałam się.

- **A *propos*** piwniczki. Wiesz, ludzie gromadzą różne rzeczy na różne okoliczności. Na ten przykład - wtrąciła jedno z naszych ulubionych powiedzonek spotykanych wśród ludu pracującego miast i wsi - ciotka mojej koleżanki z pracy gromadziła... wódkę. Na wypadek wojny. Ciotka była przedwojenna, pamiętała, że co jak co, ale spirytus zawsze jest dobrym środkiem płatniczym, nauczona więc jedną wojną, starała się przygotować najlepiej jak potrafiła do kolejnej. Stały więc w piwniczce owej ciotki, wśród kompotów i ogórków w occie, liczne butelki z czystym spirytusem i wódką w towarzystwie paru kartonów konserw, worka cukru i mąki. Wojny wprawdzie na horyzoncie widać nie było, ale ciotka swoje wiedziała. Wojna zawsze przychodzi w gości niezapowiedziana.

- Cóż, tu, niewątpliwie, z ciotką zgodzić się należy. Wojny i porodu nie da się przewidzieć. Ale ja nie zakładałam aż tak dramatycznego biegu wydarzeń i mam tylko to jedno pudełko ptasiego, sama wiesz czego.

- Ale, mam nadzieję, zaraz po moim wyjściu uzupełnisz zapasy? - zapytała mnie z poważną miną Karolina.

Po chwili obie roześmiałyśmy się. Napychając się słodyczami, gawędziłyśmy sobie wesoło i moje smutki zaczynały nieco mniej ciążyć. I choć wiedziałam, że ulga to tylko chwilowa, że niedługo zniknie wraz ze słodkim smakiem czekolady, to jednak postanowiłam nie poddawać się ponurym myślom. Może trzeba spojrzeć na świat oczyma Shazii Mirzy: „mówią, że wszyscy mężczyźni to szowinistyczne świnie; mnie tam wszystko jedno, i tak nie jem wieprzowiny”. Ta „złota myśl” rozbawiła mnie na moment i wprowadziła w nieco lepszy humor. Powiem więcej, w ramach terapii dałam się nawet wyciągnąć mojej uroczej koleżance na jakieś spotkanie w pubie. Może duża liczba osobników obu płci zamknięta dobrowolnie na stosunkowo małej powierzchni zadziała jak antidotum na moją samotność?

Już po przekroczeniu progu pubu wiedziałam, że tak się jednak nie stanie. Mnóstwo młodych, czyli mniej więcej w moim wieku ludzi kręciło się i posiadało w różnych miejscach lokalu. Wielu z nich znałam, nie powinnam więc obawiać się prezentacji i trudności w nawiązaniu rozmowy. Problem w tym, że mnie wcale nie chciało się rozmawiać. W efekcie wylądowałyśmy przy stoliku jednej z naszych znajomych i Karolka ochoczo włączyła się do dyskusji. Ja siedziałam, przyglądałam się towarzystwu i usiłowałam przysłuchiwać się rozmowie. Im dłużej słuchałam, tym bardziej szkoda mi było czasu na wysiadywanie wśród tych ludzi i na rozmowy, w zasadzie o niczym. W pewnym momencie wyłączyła mi się fonia i, jak w filmie, widziałam gadające usta, mnóstwo gadających ust... słowa, słowa, słowa... od ich zagęszczenia, aż robiło się duszno. Dlaczego ludzie muszą tyle gadać? Nie byłam jakoś szczególnie małomówna, ani szczególnie mądra, ale zawsze starałam się mówić z chociaż względnym sensem, czego, niestety, o niektórych rozmówcach mojej koleżanki nie można było powiedzieć. Patrzyłam na rozgadane postacie wokół, a w głowie rozbrzmiewała mi

piosenka zespołu Homo Homini: „Sam ze sobą na sam najlepiej się mam, gdy znajdę się sam; mam wrażenie, że wiem, skąd wziął mi się ten stan - zawdzięczam go wam". Nie wliczając do „wam" Karoli i paru innych osób, oczywiście. Cóż, nie mam dziś dobrego humoru i tyle. Problem tkwi nie w tych ludziach, ale we mnie.

W ułamku sekundy podjęłam decyzję o wyjściu z tego zabarykadowanego słowami pomieszczenia.

Szepnęłam słowo Karoli. Postanowiła odprowadzić mnie chociaż do drzwi.

- Wpadnę do ciebie w przyszłym tygodniu - powiedziała, całując mnie w policzek.

-Niestety, nie będzie mnie wtedy w domu - odpowiedziałam i czekałam na jej reakcję.

- Nie będzie cię dla mnie? - w oczach Karoliny pojawiło się zdziwienie.

- Nie będzie mnie dla nikogo - odparłam krótko, a po chwili, żeby nie dręczyć dłużej mojej koleżanki, dodałam już z uśmiechem: - W przyszłym tygodniu jadę do Paryża.

- To cudownie! - na twarzy mojej rozmówczynie pojawiła się radość, a potem wyraźna ulga. - Paryż! Ale ci zazdroszczę.

- Sama sobie zazdroszczę - zaśmiałam się, a jednak przecież niezupełnie było mi do śmiechu.

- Bo już myślałam, że nie chcesz mnie więcej widzieć i zaczęłam zastanawiać się, dlaczego. - Karolka dała upust swojemu niedawnemu zaskoczeniu.

- Jak mogło ci to w ogóle przyjść do głowy! - uściskałam ją serdecznie na pożegnanie. - Zobaczymy się, jak wrócę.

Karolina ruszyła w stronę porzuconego przed chwilą towarzystwa, ja zaś w kierunku mojej przystani, by, wraz ze swoimi smutkami i radościami, zapaść się w miękką pościel i powędrować po Mlecznej Drodze do świata snu, w którym czułam się ostatnio najlepiej. Wizyta w pubie, gwar i natłok bodźców wpłynęły w ostatecznym rezultacie dość

korzystnie na moje samopoczucie. Problem tkwił we mnie nadal, niełatwo przychodziło mi zepchnięcie go do głębszych warstw świadomości, pozornie jednak dał się względnie spacyfikować. Bolało, ale jakby z oddali. Cóż, znowu jestem sama. Jak zawsze. Jeśli nie możesz z czymś walczyć, spróbuj to pokochać. Usiłowałam nauczyć się żyć z myślą, że znów jestem zdana tylko na siebie. Czasem podświadomość dławiała się już moim skrywanym smutkiem i dziwnie szybko przy byle łzawym fragmencie filmu wilgotniały mi oczy, ale cóż, *c'est la vie*. Na otarcie łez postanowiłam zacząć wreszcie cieszyć się z Paryża i odkurzyłam starą płytę Elsy. Teksty były „międzynarodowe” i zabierały mnie w różne podróże. „La vue de New York en photo... le sens de l'humour... quelques notes d'un piano”* nuciłam pod nosem i wyobrażałam sobie, jak spaceruję ulicami Manhattanu i zadzieram w górę głowę, jak gubię się w wielokolorowym tłumie i chłonę całą sobą otaczającą mnie odmienność kultur, różnorodność ludzi, kolorów skóry, włosów, tęczy, rąk... Ręce o cienkiej, jasnej skórze, przez którą prześwitują drobne żyłki, ręce w kolorze gorzkiej czekolady z jasnym, delikatnym wnętrzem i wyrazistymi liniami papilarnymi, małe, kruche, dziecięce dłonie żółte, białe, brązowe... Ludzie spieszący się gdzieś i ci, którzy idą powoli, jakby zagubieni w swojej podróży, ludzie przeglądający się w wystawach i ci, którzy nie zdążyli zauważyć, gdzie są i kim są w szalonej gonitwie do biura z oknem i widokiem na inne okno, z widokiem na ich okno. Kiedy jest mi źle, uciekam w świat fantazji, gdzie wreszcie sama mogę decydować o sobie i gdzie mogę sama dla siebie podtrzymywać iluzję, że świat jest dobry i piękny. Moje małe Rivendell. Zawsze tak robiłam. Inaczej, nie dałabym rady żyć.

* „Nowy Jork na zdjęciu... ten rodzaj poczucia humoru... kilka nut płynących z fortepianu...”.

Nareszcie nadszedł dzień mojego wylotu do stolicy Francji. Chętnie oderwałam się od rzeczywistości i spakowawszy poprzedniego wieczoru walizki, ukrywszy w sercu ciepłe myśli moich rodziców, z którymi pożegnałam się wczoraj przy obiedzie, ruszyłam na podbój Francji. Póki co przyszło mi spotkać się znowu z lotniskiem, które nie tak dawno opuszczałam z pewnym smutkiem, ale bardziej z poczuciem szczęścia, naiwnie wierząc w zapewnienia pewnego czarującego pół-Skandynawa.

Odrzuciłam wspomnienia na bok, postanowiłam wziąć się w garść i stawić czoła światu i moim demonom, a przynajmniej jakiejś ich części. Wsiadłam do samolotu i z myślą „niech się dzieje wola nieba”, wcisnęłam się w wygodny fotel.

Podróż jak zwykle przebiegła mi pod znakiem aviomarinu. Już nie robię eksperymentów jak wtedy, kiedy leciałam po raz pierwszy samolotem. Wracałam od mojego wujka z Bukaresztu. Wujek Olek zasponsorował mi lot do Warszawy i drżał, że wywiozą nas na Sybir za piękne złote kolczyki, które mi podarował. Kolczyki te czekały na mnie w Bukareszcie od lat. Wujek zlecił ich zrobienie zaraz po naszym poprzednim wyjeździe, kiedy to, jako mała dziewczynka, „podbiłam” jego serce. Nie miałam z tym trudności: wujostwo dziadczone było bezdzietne, a ja byłam uroczą ośmiolatką przyzwyczajoną do rozpieszczania. A wracając do kolczyków i samolotu, ani jednemu, ani drugiemu z nich nic się nie stało. Nie zostałam ujęta przez securitate, którego tak bał się wujcio, kolczyki, moje uszy i cała reszta wsiadły do samolotu bezpiecznie i odleciałam machając ręką w okienku, czego oczywiście na pewno nikt z moich bliskich z odległości tarasu nie widział, ale machanie należało się i już.

Jeździłam samochodami, autobusami, na karuzeli, pociągami, w każdym z nich, z wyjątkiem tego ostatniego, było mi niedobrze i okazywałam światu swoje wnętrze (głównie w toaletach i przydrożnych rowach), póki nie zażyłam aviomarinu.

Później do scen drastycznych nie dochodziło, albowiem aviomarin spożywałam godzinę przed podróżą, byłam coraz większa i po prostu nie wypadało wymiotować na oczach całej klasy, bo też - jak człowiek potem wygląda! Wiele kobiet już dawno popełniłoby samobójstwo, gdyby nie powstrzymywała ich myśl, że otrute, powieszzone, utopione - źle będą wyglądać, jak to już ktoś wcześniej zauważył. Wprawdzie następstwa nie-zażycia aviomarimu nie kończą się aż tak tragicznie, lecz zewnętrznie nie odbiegają niemal od wyżej opisanych. Krótko mówiąc, nie wygląda się wtedy jak subtelna księżniczka, nawet mimo kamuflażu klasy światowej. Jak widać syndrom księżniczki (jak się z wiekiem okazało, zamkniętej w białej wieży) już wtedy dawał pierwsze symptomy swej obecności. Cóż, nie za mną jedną patologie ciągną się od dzieciństwa.

Owego lata jednak tliła się jeszcze we mnie nadzieja, że choroba lokomocyjna już nie jest moim udziałem, a może przynajmniej będą od niej wolne loty. Ach! Szybować tak w powietrzu jak ptak i... nie wymiotować! Wydawało mi się to całkiem możliwe, bo zarzyganego ptaka jeszcze nie widziałam. Tymczasem... już pierwsze chwile po starcie, kiedy coś dziwnie zakotłowało w moim żołądku, dały mi do myślenia. Potem nie było już czasu na myślenie, droga do toalety musiała zostać pokonana w rekordowym tempie. Wszystkie swoje siły życiowe trzeba było koncentrować na biegu, a nie na przemyśleniach, czy zwymiotować na głowę sąsiadowi zaraz w następnym rzędzie, czy dopiero dwa rzędy dalej, za to na kolana. Od tej pory aviomarin był obowiązkowy i w podróżach podniebnych.

Revenons à nos moutons...* Kiedy samolot lądował w Paryżu, w mojej głowie tworzył się lekki melanz dwóch piosenek. Walczyły z sobą ***I'm bach in USSR***** Beatlesów i grany

* **A wracając do naszych baranów...**

** **Znów jestem w ZSRR.**

ostatnio do obrzydzenia przez niektóre podupadłe stacje (co się zresztą dziwić, jeśli dyrektor radia uważa, że każda piosenka trwająca ponad trzy minuty odpada, bo... jest za długa, wolę nie wiedzieć, co ma do powiedzenia na temat np. *Requiem* Mozarta), utwór Malcolma MacLarena z elementami melorecytacji Catherine Deneuve *Paris*. Kiedy ukazała się płyta lotniska, na prowadzenie wysunął się zdecydowanie Malcolm, bo nawet ja mam już dość schizoidalnych rytmów mojego muzycznego gustu. Lądując w Paryżu, śpiewać *I'm back in USSR!* Czego należy się spodziewać, gdy będę lądować w Moskwie? Ani chybi „It's up to you New York, New York.. .”^{*} Co się dziwić plastelinowemu ważnemu ludzikowi z Komisji Unii Europejskiej, który pomylił Warszawę z Moskwą. Panie, kto by to wszystko spamiętał!

Na lotnisku czekał na mnie Jean-Pierre ze swoją typowo żaboidalną, jak na prawdziwego Francuza przystało, urodą. Paryż tonął w strugach deszczu. Jeszcze nigdy nie byłam tu na początku kwietnia, nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zabrać, zapakowałam więc to, co miałam najszykowniejszego i nawet nieco trendy (według naszych „kreatorów”, choć pamiętałam o tym, jak nasze trendy potrafią odbiegać od reszty świata). Powinnam włożyć do walizki snopek słomy, by -w razie konieczności - etnicznie dopiąć go do dekoltu starej wieczorowej sukni i twierdzić ze znanstwem, że to najnowszy Arkadius. Teraz narzuciłam na siebie mój czarny długi płaszcz, owinęłam głowę szalem i ruszyliśmy pod parasolem z Jean-Pierrem w stronę parkingu. Od razu przypomniała mi się Polska TV z reklamą na każdą okazję i pomyślałam (widząc siebie w roli głównej): „Paryż - ulewny deszcz - fryzura bez zarzutu”. Jechaliśmy przez zalane deszczem miasto, które nawet przy takiej pogodzie emanowało swoim specyficznym, tak bliskim mi urokiem.

^{*} „**Wszystko zależy od ciebie, Nowy Jorku...**”.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, piękna kamienica, w której ostatnie piętro zajmowali Dubois stała tam, gdzie zwykle, czyli przy ulicy Guynemer. Zawsze pełen spacerujących Le Jardin du Luxembourg świecił pustkami, choć deszcz niemal ustał i zza chmur powoli i nieśmiało wychynęło słońce. Ledwie minęło południe, kiedy przekroczyliśmy bramę starej kamienicy. Jean-Pierre z moją walizką w ręce pojechał windą, ja wolałam pójść na górę po zabytkowych schodach i mieć możliwość obserwacji widoku za oknem. Na każdej kondygnacji przez piękne, stylowe okna można było podziwiać Ogród Luksemburski i wyłaniającą się z każdym piętrem coraz to okazalszą perspektywę Paryża. Było już całkiem po deszczu i ulice powoli zaczynały wypełniać się przechodniami. Eleganckie kobiety, spieszący się gdzieś, jak zwykle studenci, bony z dziecięcymi wózkami... Jeszcze mokra ulica lśniła, po-błyskując kroplami wody, które odbijały promienie słońca, a życie nabierało swojego normalnego tempa.

W drzwiach czekała na mnie już Anne-Marie, a zza jej pleców ciekawie wyglądała sześciolatka już Mathilde. Za siostrą nieśmiało chował się czteroletni Marco. Najstarsza, Sophie, była teraz w szkole. Lubiłam te wizyty u Dubois, zawsze pełne serdeczności i ciepłej domowej atmosfery. Podejrzewałam ich nawet o związki z Polską, ale ta stara paryska rodzina sięgała korzeniami czasów Ludwika XIII i nic nie wskazywało na domieszkę polskiej krwi.

Po chwili odpoczynku zasiedliśmy do zastawionego już stołu, na którym królowała ogromna misa uwielbianej przeze mnie zielonej sałaty przyrządzonej z sosem według przepisu pani domu. Nieraz usiłowałam wykonać go sama, ale nigdy nie smakował jak ten Anne-Marie. Francuska magia. Tradycyjnie był pasztet z gęsich wątróbek (kto pomyśli o mojej wątróbce!), *le jambón fumé** w plastrach tak cienkich, że mo-

* **Surowa szynka wędzona.**

głyby powiewać na wietrze, niczym chorągwie, i w tym między innymi tkwił ich urok, jaja faszerowane pastą z kawioru i mój ulubiony łosoś w plastrach z częstką cytryny. Do tego prawdziwe, chrupiące (dzięki konserwantom nawet po trzech dniach) bagietki, których marne podróbki nieraz kupowałam w naszych marketach. Na deser - patera serów i małe ciasteczka karmelowe. Mój żołądek już nieco doszedł do siebie po locie i choć ilekroć bywam w Paryżu, jestem tak podekscytowana, że mogłabym żyć tylko powietrzem, łasuch we mnie zwyciężył i pochłonięłam sporo. Co do ciasteczek na koniec... grzechem byłoby nie zjeść choćby dwóch. Jak mawia Kasia: „Jedźmy, jedźmy, jutro może być wojna.

Do tego odrobina dobrego, francuskiego wina, ale kiedy zobaczyłam butelkę beaujolais w rękach Jean-Pierre'a, przypomniała mi się inna butelka beaujolais w zupełnie innych rękach. W rękach Vitto w warszawskiej restauracji. Miałam przed oczami jego piękne męskie dłonie, delikatne i silne zarazem, o mocniej zarysowanych stawach, nieco chropawej fakturze skóry traktowanej przez lata różnymi rodzajami farb i rozpuszczalników. Butelka z ciemnego szkła wydawała się w nich tak krucha i subtelna, niemal narażona na zmiżdżenie w chwili nieuwagi, gdy tymczasem każdy ruch nadgarstka delikatnie kołysał ją w stronę kieliszków z grawerowanego szkła. Rubinowy płyn powoli opuszczał swój dom, w którego wnętrzu czekał na wielki moment, kiedy to ktoś przedstawi go światu, napełniał łagodne doliny wnętrza kielicha, bijąc przez moment drobną falą o ścianki. Pamiętam ciepły dotyk dłoni podającej mi kieliszek, delikatne muśnięcie warg we wnętrzu mojej ręki, nim go od niego przyjął. I ten przymglony błękit oczu... spojrzenie, które zdawało się sięgać najgłębszych pokładów duszy i szeptać: „znam cię od zawsze, wiem o tobie wszystko... rozumiem... czuję tak, jak i ty...". Zanurzyć się w tym błękitcie jak w oceanie i nie chcieć już nigdy zobaczyć słońca... Teraz zrozumiałam, dlaczego *Wielki błękit* kończy się właśnie tak, jak się kończy. Są chwile, kiedy nic więcej się nie liczy, kiedy chce się zatrzymać czas i trwać w tej jednej chwili po wieczność. Po wieczność?... Po co, żeby przeczytać znów w babskiej gazecie z wieczności, że utalentowany młody (?) malarz i poeta amerykański duńskiego pochodzenia, na którego wystawach spotyka się

ostatnio cała światowa elita, widziany był na londyńskiej premierze jakiegoś filmu ze wschodzącą gwiazdką brytyjskiego kina. I po co mi to wszystko było! Wiele hałasu o nic! Jedno wielkie „bla, bla, bla...” Zwariowałam chyba myśląc, że może mnie potraktować poważnie. Jak mogłam uwierzyć, że... Kiedy ja okiełznam to naiwne dziecko we mnie? Tylko po co mówił to wszystko... po co? Żeby przyjemniej było łamać mi później serce? A przecież było tak pięknie... Wszystko we mnie tęskniło do tych chwil, które spędziliśmy razem. Choć nie było tego tak wiele, ileż wieczorów upajałam się, wspominając każdy szczegół, każdy ruch ręki, przechylenie głowy, inteligentne spojrzenie rzucone ukradkiem spod chmurnych brwi w moją stronę, półuśmiech błakający się na pięknych, wyrazistych wargach, kiedy dotykałam palcami grubo nałożonej na płótno farby... i tego szaleńczego bicia mojego serca, które uparcie wystukiwało rytm „you're just too good to be true... can't take my eyes off of you. Boże, zwariowałam! Dość, dość! Nie ma sensu o tym myśleć, to nierealne. A jednak ciągle wraca... Dość! Ocal choć odrobinę godności, która ci jeszcze pozostała! Przypomniałam sobie moją ulubioną swego czasu scenę z *Zakazanych piosenek* i Danutę Szaflarską z jej „ja nie płaczę, ja śpiewam...”, bohaterskie i melodramatyczne, ale właśnie takie i nieco feministyczno-narodowościowe myśli tłukły się po mojej głowie. O, nie, nie, drogi panie! Polki to nie są łatwe

* „**Po prostu zbyt dobry jesteś, byś mógł być prawdziwy... nie mogę oderwać od ciebie oczu...**”.

dziewczyny, które idą do tóżka z pięknym nieznanym, bo artysta i do tego z „lepszego” świata (choć oczywiście miałam świadomość, jak inna jest prawda na temat chodzenia do łóżka - czasem bez użycia łóżka - na dyskotekach, po zaledwie kilku wspólnych chwilach w tańcu, prawda o szybkim sportowym seksie bez zabezpieczenia na tyłach pubu itp., już moje pacjentki zadbały o niemal detaliczny opis całokształtu, wypłakując się na moim poradnianym ramieniu). Cóż, jednakowoż na arenie międzynarodowej, a przede wszystkim reprezentując po prostu siebie, nie mogłabym stać się jedną z rozlicznych „zaliczonych”. To po prostu nie w moim stylu. Zresztą, analizując po milion każdy moment naszych spotkań, nigdy nie czułam się przecież w jakikolwiek sposób urażona, dotknięta. Traktował mnie jak kogoś wyjątkowego, jak księżniczkę, którą podziwia się i adoruje, nie śmie niemal dotknąć. Czułam się jak Audrey Hepburne... kwintesencja wdzięku, urody i klasy... I właśnie to sprawiło, że upiłam się tym cudownym uczuciem jak szalona, świat zawirował i poczułam się tak niesamowicie szczególna dla tak wyjątkowego mężczyzny...

A tymczasem... jedna wielka fatamorgana... miraż... ułuda. Nic więcej. Jak u Ewy Demarczyk „coś zakręciło się w mojej głowie, mam takie słabe zdrowie...”, ciąg dalszy podobnie, niestety też „tam biedna Rebeka w zamyśleniu czeka, aż przyjedziesz po nią sam i zabierzesz ją jako żonę swą, aż do pałacu bram...” Jedno wielkie „ha, ha, ha” i tyle. Za dużo książek, za dużo Jane Austin w szczególności, za dużo filmów, piosenek, myślenia... Za mało zdrowego rozsądku... „Żebyś nie śnił mi się w nocy, hej, żebyś dał mi wreszcie spokój, hej... może bym ci darowała, może zapomniałabym...”. Nie ja jedna cierpię. Ale życie to nie piosenka. Choć swoją drogą... napisano tyle piosenek, że tony wszelkich emocji, od miłości (szczęśliwej, nieszczęśliwej, szczęśliwej trochę tylko, albo do pewnego momentu... do osobników płci obojga, żyją-

cych i już niezupełnie obecnych w realu, do dzieci własnych oraz cudzych, do zwierząt, biżuterii, sił przyrody i zasobów ludzkich, i tysiąca innych elementów, włączając w to UFO) po nienawiść, z całym garniturem odcieni szarości, pomiędzy bielą a czernią, że może w nich można by poszukać odpowiedzi albo chociaż komentarza do niektórych uczuć, które mną targają. Na przykład - Czerwony Tulipan i jego „Jedyne, co mam, to złudzenia, że mogę mieć własne pragnienia...” na spółkę ze Stevensowskim „baby, baby it's a wild world...”*, a przecież mogłoby być „Loving you it's easy because you're beautiful...”**. Tralalalala. Te myśli przemykały przez moją głowę lotem błyskawicy, a uczta przy paryskim stole rzeczywistości trwała przez kilka chwil, jakby po części, w alternatywnym świecie. Z tych próżnych dywagacji na niepotrzebne nikomu tematy wyrwał mnie energiczny głos seniorki rodu zwanej Petite, która właśnie stanęła w drzwiach. Na dźwięk jej głosu ucichł nawet uporczywy monolog Marco, który jedną ręką przytulał żółwia Hectora, drugą zaś bandażował usilnie nogę pluszowego misia i powtarzał: „już pójdziemy do doktora, uleczy ci nóżkę, napijesz się soku i będziesz zdrowyyyyy...”. Widać Marco wyznawał holenderską szkołę medycyny: „cokolwiek ci jest - napij się soku”, poczujesz się lepiej. A nasi pacjenci narzekają...

Petite nic się nie zmieniła od ostatniego razu, kiedy to miałam okazję ją widzieć. Myślę, że nie zmieniła się wiele od czasów Mitteranda, a może nawet Giscarda d'Estaing, ponieważ w pewnym wieku czas staje się dla nas, kobiet, nieco łaskawszy i jakby na chwilę o nas zapomina (rychło w czas!). Petite miała ponad osiemdziesiąt lat, lecz swój wiek traktowała jakby z przymrużeniem oka. Nadal w doskonałej formie fizycznej

* „**O, maleńka, to dziki świat...**”.

** „**Pokochać cię łatwo, bo jesteś taka piękna...**”.

i psychicznej, postanowiła nie rezygnować z niczego, co mogło sprawić jej choć odrobinę przyjemności i zabawy. Od dawna kierowała się zasadą „na nic nie jestem za stara”, tak więc, kiedy wkroczyła do salonu, miała na sobie czarną mini (i to mini-mini), bordową bluzkę z lekko rozpiętym kołnierzykiem, ukazującym niemłoda już skórę szyi, na której błyszczał wielki niczym jajo Faberge klejnot jak z carskiej Rosji. Szalenie szczupłe nogi, obleczone w czarne, cieniutkie rajstopy i niemal płaskie pantofelki, poruszały się nadal żwawo i energicznie, i już po chwili stały tuż przede mną, a drobna postać pochylała się nad moją głową, nim zdążyłam unieść ociężałe po sutym posiłku ciało. -Witaj, nasza droga Marinelle! Jak miło cię znów widzieć! - w jej głosie słychać było niekłamana radość ze spotkania.

Nazywała mnie tak niemal od samego początku. Zdrabniała moje imię w ten miły, niosący tyle sympatii i pewnej zażyłości sposób. „Marinelle”... nikt inny na świecie, prócz tej starej, drobnej i fantastycznie szalonej kobiety, tak mnie nie nazywał... czy, jeśli Petite kiedyś odejdzie, ktoś jeszcze tak mnie nazwie, zawoła „Hej, Marinelle, ęa va?”. Nie miałam wcale ochoty na poważne, filozoficzne rozmyślenia, szybciotko więc odegnałam od siebie tę myśl i serdecznie przywitałam się z uroczą staruszką. Paryżanka z dziada pradziada, córka i wnuczka profesorów Sorbony, uosabiała niejako wdzięk i niepowtarzalność tego miasta. Nigdy w jej towarzystwie nie czuło się nudy i prozy egzystencji, zawsze niosła z sobą całe pokłady ciepła i zwariowanych pomysłów na każdą okazję, tak więc i teraz spodziewałam się mile spędzonych w jej towarzystwie chwil. I nie myliłam się, zaraz bowiem uraczyła nas opowieścią o swojej paskudnej, wścibskiej sąsiadce Madame Blanche, podglądającej stale przez wizjer, o której i w jakiej formie Petite wraca do domu i o swoim na ową panią sposobie.

Otóż, nie dalej jak wczoraj, otwierając drzwi swojego mieszkania, Petite niemal dotykalnie czuła na sobie inwigilujący wzrok podglądaczki i słyszała delikatny szmer zza drzwi upewniający ją, że się nie myli. I co robi staruszka? Odwraca się i powoli, z czarującym uśmiechem na twarzy, zaczyna kusząco, z zawadiacką miną, rozpinąć, jeden po drugim, guziczki swojej bluzki. Doszła do czwartego guzika, kiedy to zza drzwi dało się słyszeć nieskładne mamrotanie i ruch w wizjerze ustał. Po braku odgłosu bezwładnego ciała padającego na ziemię można wnioskować, że sąsiadka spotkanie *tête à tête* z rozbierającą się Petite przeżyła w sensie dalszego fizycznego trwania w swojej przyziemnej egzystencji, choć jak śmialiśmy się później, dla Madame Blanche od tego dnia nic już nie było takie, jak dawniej...

Siedzieliśmy tak sobie wesoło, gawędząc na ostatnim piętrze paryskiej kamienicy. Lubiłam to piękne, wielkie mieszkanie w sercu Paryża. Dziesięciopokojowy apartament, ze wspaniałym salonem i widokami, które mogły zapierać dech w piersiach (nawet takich mojego kalibru, gdzie tego tchu było całkiem sporo). Wyszłam na balkon, z którego rozciągał się malowniczy widok na rozłożony u jego stóp Ogród Luksemburski, na widoczną w oddali biel bazyliki Sacré Coeur, wieżę Notre Dame i stojący nieopodal urokliwy kościół Saint Suplice. Wszystko to przeplecione ulicami z zabytkową zabudową i mrowiem ludzi pędzących, snujących się nostalgicznie, czy wysiadujących przy wystawionych na chodnikach stolikach. Po prostu - Paryż!

Pokochałam to miasto od pierwszego wejrzenia, jakbym znała je od zawsze, żyła w nim nie od wczoraj, ale od stuleci, jakbym znała je jak siebie samą. Zawsze lubiłam z mapą w ręce wypuszczać się na długie spacery, chłonać smaki, zapachy, dźwięki, pomruki, obrazy i nastroje tego miasta. Dotykać starych ścian budynków, które znałam z podręczników, stąpać po posadzkach kościołów, które odwiedzali święci i grzeszni-

cy, ludzie w koronach na głowach, w prostych, siermiężnych kapotach, brudnobosi i w pantoflach wartych majątek, myślący i bezmyślni, zakochani i samotni, szaleni i chorzy, prawdziwie czy z urojenia, ludzie, którzy niezależnie z jakiej wysokości hierarchii społecznej tworzyli historię i nią się stali. Z okien mojego gościnnego pokoju widać było prawdziwe dachy Paryża, od których odbijało się słońce. Teraz już odważnie wyszło zza chmur i napełniało swoim ciepłym światłem i wiosenną radością moje udęczone ostatnimi czasy serce. Patrzyłam na to blaszane morze za oknem, a w głowie Dalida śpiewała mi, nie wiedzieć czemu „J'attendrai les jours et les nuits, j'attendrai toujours ton retour...”*.

Otrzymałam się z zamyślenia i to w samą porę. Za dwie godziny rozpoczynał się kongres, a ja jeszcze w rozsypce! Postanowiłam nieco się odświeżyć, bo choć wprawdzie lot trwał krótko, to jednakowoż liczba pokonanych kilometrów obligowała, chyba podświadomie, do krótkiego relaksu pod prysznicem. Kiedy to wprowadzałam w czyn, stojąc jak Zuzanna w kąpieli (konkretnie - pod prysznicem, w całkowicie przezroczystej kabinie), zostałam znienacka i podstępnie, a także przewlekłe podejrzana nie przez starca, a wręcz przeciwnie - przez czteroletniego młodego człowieka, który uleczył już swoje zabawkowe towarzystwo i najwyraźniej zapragnął mniej pluszowych atrakcji. Żółw Hector nieśmiało pełzł w stronę bidetu. Wszelkie prośby o opuszczenie łazienki Marco ignorował całkowicie i ze stoickim spokojem obserwował moje żałosne próby jakiegokolwiek ukrycia nagości w wyjątkowo wyczyszczonej i wyjściowo przezroczystej kabinie. Dokonawszy szybkiej, miast relaksującej ablucji, przemknęłam w grubym szlafroku frotté w kierunku mojego pokoju, gdzie już swoją nagość miałam, jak mi się wydawało, dla siebie.

* „**Będę czekać dniami i nocami na twój powrót...**”.

W stosunkowo krótkim czasie udało mi się okiełznać niesforne włosy. Zawiązałam je w prosty węzeł na karku, puszczając luzem kilka pasemek (z nadzieją, że nie uciekną z krzykiem w nieznanym kierunku). Dla mnie te długie, kręcone włosy, których tak zazdrościły mi koleżanki, były po prostu wygodne, nie musiałam wkładać wiele wysiłku w ich układanie, niezależnie od sytuacji, zawsze można było je po prostu związać za pomocą kawałka czegośkolwiek, np. sznurka do snopowiązałki (swego czasu wygrałam wybory na miss wsi Porąbka, w której to spędzaliśmy czasem wakacje, a zostałam dopuszczona do eliminacji dzięki posiadaniu akcentu o charakterze wiejskim w postaci owego sznurka we włosach). Fakturę i ilość włosów odziedziczyłam po mojej ukochanej babci Józefinie, która też wygrała, jeszcze przed wojną, jakiś konkurs warszawskich salonów w dyscyplinie „kto ma najwięcej włosów na głowie w przeliczeniu na centymetr powierzchni” czy coś w tym stylu. Mania uczestnictwa w konkursach zdawała się wisieć nad naszą rodziną, ale obie z babcią poprzestałyśmy na tym jednym i potem żadna z nas już w innych konkursach nie brała udziału. Prócz włosów, babcia odznaczała się także urodą i dużym poczuciem niezależności, a, jak twierdzą niektórzy (stryjek Emil), niewyparzoną jezykiem i zupełnie nieprzyzwoitym, jak na pannę z dobrego domu, zmysłem podróżniczo-przygodowym z zacięciem pakowania się w kłopoty z częstą występowania mgły w Anglii. Część rodziny (ta ułożona i *comme il faut*) podejrzewała, że całe szaleństwo babci powodują te niesforne loki, wymykające się wszelkim próbom ułożenia ich w „godną” cnotliwej panny fryzurę. Babcia Józefina jako nasz domowy Samson, he, he. Tyle, że we włosach tkwiła nie siła, lecz szaleństwo. Faktem jednakże jest to, że babcia, mimo wojny i wszystkich koszmarów, przez jakie dane było jej przejść, nigdy nie miała włosów krótszych niż sięgające do pasa. Może więc mieli rację?

Wspaniała, szalona natura nie opuściła jej do samego końca. Była naszym ulubionym towarzyszem dziecięcych zabaw. Do niej przybiegałyśmy wypłakać się, że Krzysio nas nie kocha, że kocha Anię (jak się później okazało Ani też nie kochał, tylko kolegę Andrzeja z klasy humanistycznej). To babcia naprawiała rowery, a potem i auta kuzynów z Mokotowa. Dobrze po sześćdziesiątce odkryła w sobie żyłkę mechanika, mówiła, że jeśli poznała na tyle dobrze człowieka, by go operować, to i z kupą żelastwa da sobie radę. No i dawała - całkiem nieźle.

Ale przede wszystkim była dla nas, wnucząt, bardzo dobra, pozwalała na zwariowane zabawy, póki były dla nas bezpieczne, uczyła nas myśleć samodzielnie, nie bać się opinii innych („co powiedzą, szumnie tzw. ludzie”), otwierała nam głowy na świat. Ponoć to ona pokazała mojemu tacie pierwszą sprowadzoną z zachodu płytę Beatlesów. Dziadek był nawet nieco zgorszony, kiedy to poszła z moim ojcem na koncert Rolling Stonesów, który odbywał się w Kongresowej. Kochana babcia... ileż to razy pocieszała nas w trudnych chwilach, robiąc ulubione ruskie pierogi... Tu przypomniła mi się moja kolejna wpadka, kiedy to wracając zmęczona z pracy po wyjątkowo ciężkim dniu, poprosiłam w sklepie o pięć sztuk pierogów ROSYJSKICH i o mało co sama nie umarłam ze śmiechu, słysząc głośno to, co moja „ułożona” wyobraźnia mi podpowiedziała. O paroksyzmach śmiechu wstrząsających sprzedawczyniami już nie wspomnę.

Myśl o babci, której przesłałam całusa w zaświaty, przypomniła mi, że muszę odwiedzić jej starą przyjaciółkę -Madame Podhorecką. Wcześniej trzeba oczywiście zadzwonić, pomijając bowiem podstawową etykietę, Madame Mana Teresa Podhorecką, mimo podeszłego wieku, wiodła dość nieuregulowany styl życia. Bywała w różnych miejscach o bardzo różnych (czytaj: nietypowych) porach, więc mimo, na oko, stu lat i nobliwej fizjonomii, była kompletnie

nieprzewidywalna. Tłumaczyło to wielką przyjaźń, jaką darzyły się obie z moją babcią, a także naszą z Madame Podhorecką wzajemną sympatię, bo, jak mawia stryj Emil, mam z babcią Józefiną prócz włosów wiele wspólnego, co zresztą traktuję jako komplement najwyższej miary (z przyjemnością rozkoszując się kwaśną miną stryjka). Odłożyłam tę myśl na później, bo czas naglił.

Szybko wcisnęłam się w popielaty kaszmirowy komplet, zawiesiłam na szyi wisior z litego srebra, wykonałam delikatny makijaż oczu, położyłam odrobinę pomadki na ust korale i - w drogę.

Poprosiłam Anne-Marie, żeby nie czekali na mnie z kolacją i pomknęłam ku świątyni nauki, czyli na kongres. Miałam nadzieję, że powiedzą coś sensownego, a nie będą dywagować nad rzeczami, które każdy, kto choć trochę śledzi fachową literaturę, ma jako tako opanowane.

Wpadłam do hallu w całkiem dobrym czasie (metro *mercie*!), tłumek już powoli przelewał się przez wąskie gardło do głównej sali. Zauważyłam kilka znajomych osób, z niektórymi wcale nie miałam ochoty spotykać się ani tu, ani gdziekolwiek indziej. Ale *a la guerre comme d la guerre*, stawmy czoła przeciwnikowi. Już w moim kierunku sunął syn znanego profesora, grube, obrzydliwe zwierzę, które znów wlepi oczy w mój biust bez jakiegokolwiek żenady i będzie starało się ocierać o mnie przy każdej nadarzającej się okazji. Pole manewru miałam niewielkie, zawsze zostaje jednak damska toaleta, gdzie ten prymityw z nazwiskiem (neandertalczyk też człowiek) nie odważy się wejść. Taką przynajmniej miałam nadzieję.

Niemal w ostatniej chwili, lekko spłoszona, wpadłam do eleganckiej toalety i, żeby nie wzbudzać sensacji, delikatnie przypudrowałam nos. Przy okazji przez moment oceniłam swój wygląd.

Krytycznie. Jak zwykle. Mimo dowodów sympatii ze strony płci przeciwnej, a nawet płci własnej, biust, który wzbudzał zazdrość większości położnych na moim od-

dziale i wywoływał niepohamowane ślinienie u mężczyzn z IQ poniżej 90 (zaskakujące, ilu ich jest, czasem nawet w garniturach od Armaniego), mnie wydawał się zdecydowanie i nachalnie za wielki. Stąd też najchętniej otulałam się szalami wesoło nucąc „o, camouflage...” i choć przez chwilę nie rzucałam się w oczy z tym okropnym „garbem” z przodu. Reszta - do przyjęcia, dzięki ostatnim przeżyciom, nieprzespanym nocom i braku (chwilowym, niestety) apetytu nie ociekam już tłuszczem i niemal zbliżam się do norm paryskich (wzrost - 110), przy czym „niemal” to spore słowo. Ale nie jest źle, ludzie nie uciekają na mój widok z krzykiem, choć w jednostkowych przypadkach bardzo bym sobie tego życzyła (patrz: neandertalczyk).

Czas naglił. Nieśmiało wychyłam z toalety. Człowieka pierwotnego nie było widać na horyzoncie, pewnie odpłynął w stronę bufetu. Ze spokojem udałam się do sali głównej, gdzie sporo miejsc było już zajętych przez kompletnie obce mi osoby. Ulokowałam się między Szwedami i Holendrami. Miałam zapewnioną ciszę, bo, kto jak kto, ale oni zachowywali się dość powściągliwie i miałam szansę skorzystać z prelekcji. Niestety, tuż za nami rozsiadła się ekipa hałaśliwych Włochów i tylko czekałam na moment, kiedy zaczną śpiewać: „Lasciate mi cantare...”. Polaków nigdzie nie było widać, co w zasadzie było mi na rękę, widmo bowiem „podrywu z remizy” w wiadomym wykonaniu oddalało się, miałam nadzieję, w niebyt. Starłam się już wielokrotnie dawać dziedzicowi profesorskich genów wyraźnie do zrozumienia, że w żaden sposób nie jestem zainteresowana jego adoracją, niestety, bezskutecznie. Gdybym była babcią Józefiną...

Światło zgasło i ruch na sali ustał. Pojawił się wykładowca z Londynu i czystym jak śniegi Kilimandżaro **British English** popłynął z mównicy. Miło było słuchać ciekawego wykładu na temat najnowszych doniesień i doświadczeń w zakresie mikrochirurgii jajowodu. Zaskakujące, jak do-

brze przygotowany mówca, który ma w sobie choć odrobinę pasji, może zaintrygować na całe czterdzieści pięć minut i człowiek słucha go z niekłamaną przyjemnością. Potem jeszcze dwóch prelegentów, z krótszymi wystąpieniami, jeden z Austrii, drugi z Włoch. Włoch, jak to Włoch, mówił po włosku, rozumiałam co drugie słowo, założyłam więc słuchawki, ale z tego referatu nudą wiało w każdym języku.

W końcu, dziś krótsza, ze względu na porę rozpoczęcia pierwszego dnia kongresu, część merytoryczna dobiegła końca. W ciszę, która do tej chwili zalegała na całej potężnej sali, zaczęły wdzierać się najpierw pojedyncze, a potem już gremialne odgłosy opuszczania pomieszczenia. Siedzącym obok Holendrom, dwóm dość przystojnym mężczyznom, dobrze po czterdziestce, towarzyszyły dwie rosłe, solidnie zbudowane kobiety, nieco młodsze od swych kolegów. Przyjrzałam im się przez chwilę. Włosy upięte w ciasne koki na potylicy, odziane w szarobure kostiumy, za to ze sporą inteligencją bijącą z twarzy, były doskonałym przykładem tzw. *homo congressus* rodzaju żeńskiego. Dawno już nauczyłam się tolerancji dla ludzkiego podejścia do spraw ubioru, zachowań i tym podobnych rzeczy. „Nie szata zdoła człowieka”... część moich szanownych kolegów dodawała Sztaudyngerowskie „więc na co pani czeka”. Widywałam już szare myszki, na które nikt nie zwraca uwagi, dopiero gdy wejdą na mównicę i rozpoczną swoją opowieść o fibronektynach, przeciwciałach kardiolipi-nowych czy czymkolwiek innym rozkwitają i słucha się ich z niekłamaną przyjemnością. Referat ma wtedy stosunkowo zwięzłą formę, jasną „fabułę”, jest prosty, a przemyślany i zrozumiały, tak że czasem doznaje się olśnienia, jakie to logiczne, niemal oczywiste. Nie raz padłam też ofiarą uprzedzenia do podstarzałych profesorów w kraciastych marynarkach, którzy poza salą sprawiali wrażenie kowboja oderwanego granatem od pługa (o ile kowboje w ogóle się pługa tykają), a po wejściu w światła rampy zmieniali się w czarujących ga-

wędziarzy, mówiących o rzeczach trudnych w zadziwiająco sensowy i przejrzysty sposób. Ba, zdarzały się i sytuacje wręcz odwrotne, uroczy, doskonale, ze smakiem ubrany mężczyzna, gdy otworzył usta, zmieniał się, niezależnie od wieku, w starego mamrota, którego nie tylko nie dało się słuchać, ale którego chciało się po pierwszych kilku minutach w bestialski sposób zamordować, choćby człowiek był z natury flegmatykiem, skrajnie pacyfistycznie nastawionym do świata. Szczęściem, negatywne wzorce prelegentów nie objawiły się nam jeszcze i można było mieć naiwną nadzieję, że może choć ten kongres ominęła owa wątpliwa atrakcja teleturnieju. Tłum wypełził w stronę wielkich szwedzkich stołów, gdzie na razie obywało się bez scen dantejskich, które czasem miałam okazję widywać na podobnych spędach w moim kochanym kraju nad Wisłą. Mam na myśli sytuacje, kiedy to ludzie wyglądający, może nienachalnie inteligentnie, ale jednak dość rozumnie, po zakończeniu części naukowej spotkania, rzucali się z entuzjazmem godnym lepszej, a już na pewno wyższej sprawy, na zastawione obficie stoły z jedzeniem. Czy dochodził tu do głosu zapisany w pamięci klanu pierwotny pęd człowieka ku żywności, której może nie wystarczyć dla wszystkich z plemienia, na zasadzie - niech przetrwają najsilniejsi, czy też raczej nasze polskie doświadczenia lat minionych z wiecznym brakiem wszystkiego na sklepowych półkach i podświadomym korzystaniem z okazji, która nie wiadomo, kiedy się powtórzy, trudno stwierdzić.

Stanął mi przed oczyma nagi, ogołocoony do ostatka szkielet potężnego łososia, leżący kiedyś na wytwornie nakrytym stole wśród aranżacji z liści sałaty, po jednym z odczytów w Pałacu Ostrogskich w Warszawie. Na widok tej martwej konstrukcji z rybich ości odczuwało się niejako transcendentny smutek za morzem Sargassowym i tysiącem kilometrów wędrówki w nurcie różnych rzek i strumieni. Wyglądał jak szkielet starego, pirackiego statku, który kie-

dyś dumnie płynął pod czarną banderą, łopocząc potężnymi, wydymanymi przez wiatr żaglami, którego pokład paliło do białości tropikalne, bezlitosne słońce, podobnie jak plecy wspinającej się po relingach załogi. Pan morza i okolic, władca wodnego świata pruł fale bez cienia strachu i z poczuciem wszechmocy, której nic i nikt nie mógł zagrozić... Gdy tymczasem z odległego portu wypływał w rejs statek, który już niedługo miał obalić ten dogmat i sprawić, że wszystko nabierze zupełnie innego wymiaru.

Ów wieczór w Pałacu Ostrogskich, dość dawno temu, obfitował w niespodzianki. W chwilę później dramat z łososiem został zastąpiony przez, powiedziałabym, komedię sensacyjną, której akcja rozgrywała się także w tych pałacowych, pięknych, warszawskich wnętrzach. Sporo ludzi z talerzykami w ręku, oddających się rozkoszom podniebienia i konwersacji (tu należałoby zastanowić się, czy to nie zbyt szumna nazwa potoku słów wypływających z przepełnionych pokarmem ust, przynajmniej w kilku wypadkach), ja między nimi pogrążona w miłej rozmowie z koleżanką. Za oknem malował się ponury granat, na którym jasne gwiazdy błyskały jak świecidełka na choince. Właśnie miałam przełknąć kolejny kęs pysznego sernika, gdy moją uwagę zwrócił delikatny ruch przy kotarze jednego z okien.

Skupiłam wzrok na tej przestrzeni i na chwilę zaniemówiłam. Nagle cicho otworzyły się ukryte w ścianie, niewidoczne od zewnątrz drzwi i zza nich ukazał się... zgarbiony staruszek w buraczkowym, zapinanym z przodu, sweterku, ciemnych, wełnianych spodniach i bamboszach. Zamknął bezszelestnie tajemne drzwi i w tym swoim ćwikłowym blezerku ruszył, jak gdyby nigdy nic, przez salę pełną elegancko ubranych, choć momentami mózgowo-buraczkowych osób. Niczym Belfegor, upiór Luwru, zniknął tak cicho i niespodziewanie, jak się pojawił, zostawiając mnie w mało inteligentnej pozie, z otwartymi ustami, z zamarłą w pół drogi do

nich łyżeczką. Kiedy ocknąłam się z osłupienia i wpakowałam wreszcie do ust kawałek ciasta, który minutę wcześniej mógł utknąć mi w gardle z powodu, jak podejrzewałam przez moment, fatamorgany, spojrzałam na moją rozmówczynię, której wzrok też utkwiony był w głębi korytarza, gdzie zniknął staruszek. W sekundę później obie wybuchnęłyśmy śmiechem. „A co TO było?”, nie mogąc jeszcze ochłonąć pytałyśmy jedna drugą.

Ani tego wieczoru, ani nigdy później, mimo licznych wizyt w Pałacu Ostrogskich, nie dane nam było spotkać się raz jeszcze z tajemniczym starszym panem. Co ciekawe, nikt oprócz nas nie zauważył jego pojawienia się i promenady przez pałacowe sale i korytarze. Obie jadłyśmy wtedy sernik, może więc w nim była jakaś omamotwórcza substancja? Może krowa, z której mleka powstał użyty do sernika ser, przypadkiem, na wiejskim pastwisku, natrafiła na małą kolonię grzybków halucynogennych lub weszła w szkodę w przydomowej plantacji konopii indyjskich? Ciekawe, czy i ona widziała pana w buraczkowym sweterku i bamboszach, czy w związku z dostosowywaniem się do miejsca akcji miał bamboszy nosił gumowce? Tego, niestety, chyba nie dowiemy się nigdy. Ale cóż, są na świecie rzeczy, o których nie śniło się nawet filozofom...

Gdy oddawałam się wspomnieniom warszawskich przygód w paryskim wnętrzu, poczułam nagle na ramieniu delikatne dotknięcie. Jakże się ucieszyłam, oto bowiem stała przede mną moja koleżanka Joasia z jednej z klinik na Pomorzu. Nie spodziewałam się spotkać z nią tutaj. Wyjeżdżałam w pośpiechu i nie przyszło mi nawet do głowy, że i ona może się tutaj znaleźć. Zresztą, tkwię w tak dziwnym zawieszeniu, że podtrzymuję ledwie funkcje życiowe z powodu ciszy w miłosnym eterze... Ogólnie mówiąc, cierpię na pewne problemy z koncentracją. Ale teraz udało mi się skupić uwagę i obie z Asią serdecznie się uściskałyśmy. Niemal jedno-

cześnie, na szybko, zaczęłyśmy najogólniejsze „sprawozdania”, co u której słyhać. Okazało się, że i ona trafiła na kongres, bo jej profesor wybrał zamiast Paryża pobyt w klinice odnowy biologicznej, co, znając profesora Bobka, nie powinno mnie wielce dziwić.

Profesor został profesorem za starych czasów po linii partyjnej i, o dziwo, mimo zmieniających się sztandarów, zawsze umiał podczepić się pod właściwy i przetrwać w niezminionej formie. Trochę bardziej żenujące było jednak to, że szef kliniki mniej wiedział na tematy medyczne niż początkujący stażysta, co gorsza ostatnimi czasy coraz trudniej było to ukryć, starzejący się umysł Bobka tracił już bowiem „kontrolę nad kontrolą”. Na odprawach, zwykle dość powściągliwy i milczący (chyba że trzeba było komuś dać reprimendę), od niedawna dość ochoczo zaczynał odzywać się i zadawać dziwne pytania, odsłaniające jego totalne niezorientowanie w temacie działalności kliniki, jaką prowadzi. Hołdujący dotąd niegłupiej zresztą zasadzie: „Lepiej milcz, nie demaskuj swojej głupoty”, teraz zapomniał i o tym. Klinika jakoś dawała sobie radę przez lata dzięki docentom i adiunktom, a teraz przeżywała dość poważny kryzys władzy, prowadzący w gruncie rzeczy do sytuacji absurdalnych i niebezpiecznych. Odłożyłyśmy z Asią tematy trudne, na które nasz wpływ i tak był znikomy, i ruszyłyśmy ku smakowitościom, od których uginały się stoły. Z pełną godnością, bo główna fala uderzeniowa już przeszła, mogłyśmy spokojnie decydować, co by tu spożyć, powściągając szalony apetyt na zdecydowanie zbyt wiele potraw. Okazało się, że jest tu także paru naszych znajomych kolegów z innych klinik, pomachałyśmy im wesoło, ale nadal preferowałyśmy swoje własne towarzystwo.

Wieczór mijał szybko i, nim się obejrzałam, zrobiło się dość późno. Nie chciałam narażać moich gościnnych gospodarzy na wieczorne hałasy, zebrałam się więc do wyjścia.

Przezornie oglądając się na boki, czy aby mój niecny adorator nie czai się na przykład za kotarą, ruszyłam ku wyjściu. Chłodne powietrze, które wciągnęłam w płuca, miało zapach Paryża. Tak naprawdę, nie wiem, jaki to zapach, ale był dla mnie rozpoznawalny wszędzie, specyficzny i bardzo przyjemny. Pachniało czymś świeżym, nieosiągalnym, radosnym i buntowniczo wolnym. W powietrzu unosił się zapach... moich marzeń. Noc okrywała swą czernią gwarne za dnia ulice, po których, mimo późnej pory, kręciło się mnóstwo ludzi. Przytulone pary (na ten widok można było tu zawsze liczyć), rozmawiający zaciekle, spierający się o coś panowie w tweedowych marynarkach, parę samotnych dziewczyn... Kiedy doszłam do Boulevard St. Michel, paryskie życie nocne uderzyło we mnie jak ciepły deszcz, przenikając do szpiku kości. Choć było już stosunkowo późno, przy wystawionych na chodniki stolikach siedziało mnóstwo ludzi.

Wieczór był ciepły, mimo że ledwie kwiecień zagościł na kalendarzowych kartkach. Szłam w rozpiętym płaszczu, a wiatr przyjemnie łaskotał moją twarz i rozwiewał włosy. Czułam się tak cudownie wolna! Oczywiście, chciałabym, by był przy mnie ktoś jeszcze... przez moment nawet wydawało mi się, że czuję zapach jego skóry, który przez krótką chwilę wciągnęłam w płuca tysiące lat świetlnych temu, w odległej środkowoeuropejskiej stolicy. Ten cudowny męski aromat, złamany świeżą nutą, lekko ambrowy klimat, kryjący w sobie ciepło, łagodność, a zarazem pierwotną siłę i jakiś zwierzęcy wręcz magnetyzm... I jednocześnie niepokorność wiatru... Czułam, że w tej chwili, nie potrafiłabym chyba zapanować nad szaleństwem i z całą pasją, graniczącą z obsesją, runęłabym w te ramiona i zapomniałabym o całym świecie... Oddać się bez reszty, jak tworzywo, tym męskim dłońmi, dać wyczarować się z szarej bryły gliny i każdą komórką emanować magią, pięknem i erotyzmem, kusić, zniewalać, oddawać się z poddańczą uległością... Kochać i być

kochaną całą sobą, *just the way I am...**, czuć się pożądaną, adorowaną, zdobywaną na tysiąc sposobów i po tysiackroć... Zatracić się w tych ramionach i rozpląnąć w jasny strumień światła... No i niewiele by brakowało i rozpląnęłabym się... tyle że nie w strumień światła, a w tłustą plamę, za to w strumieniu światła, a raczej pod kołami nadjeżdżającego z naprzeciwka auta. Ech, Vitto! „Zginę przez ciebie, nim zginę krzyknę, że ginę przypadkiem”! Teraz to stwierdzenie nabrało jakby mniej metaforycznego znaczenia. Bo też i chyba straciłam rozum! Zginać pod kołami auta, prowadzonego zresztą przez mężczyznę, z powodu dezorientacji i zagubienia w myślach o innym mężczyźnie. Ach, ta męska solidarność! Oni chyba świadczą sobie takie drobne przysługi... może ci kogoś przejechać, kolego? Tak między nami, mężczyznami... Co ja gadam! To wszystko dlatego, że jestem w szoku... o mało nie stanęłam przed Najwyższym, a nie jestem jeszcze gotowa. I co bym Mu powiedziała? Że wpadłam z krótką wizytą? Że przepraszam, bo się zagapiłam, że przepraszam, bo jestem idiotką, że to mój niewysublimowany kretynizm, czyli matołectwo po naszymu, mnie tu przywiodły. Że to w zasadzie powikłanie w trakcie przebiegu choroby głównej, podstawowej (patrz wyżej). Bo jak się jest kretynką wyjściową, to nie ma mocnych, trzeba wręcz zakochać się w kimś nieosiągalnym i odległym o tysiące kilometrów stąd... A przy tym - w artyście, a oni, jak powszechnie wiadomo, to egofile, narcystyczne demony, co to niejedną pannę na manowce (w szerokim znaczeniu tego słowa) zwiodły i w ogóle, co jak co, to oni nie są normalni (ten rys psychiatryczny wprowadzie nas jakby nieco zbliżał, ale nie chodzi tu o szczegóły). Dałam więc namacalny dowód, że jestem psychicznie upośledzona oraz chora, może i lepiej... po co się łudzić, że

*** Taką, jaka jestem.**

mieszczę się w granicach szerokiej nawet normy. Stawmy czoła rzeczywistości, wiele schorzeń już się leczy, odrobina „czarnej wody” w zakładzie zamkniętym czyni cuda. Trochę wstyd, bo kolegów sporo wśród personelu, ale co mi tam... „po co się pchać do nieba, gdy ma się w piekle tylu znajomych...”. Muszę przestać o nim myśleć, nie myśleć... nie myśleć.

Chłodny wiatr znów owiał moją twarz, gdy tak dywagowałam nadal nieprzytomna, na szczęście wciąż po tej samej stronie ulicy. Nie wiem jak to się stało, ale właśnie dochodziłam do domu moich francuskich przyjaciół. Mimo że zbliżała się już prawie dziesiąta wieczór, z najwyższych okien dochodziła muzyka. Ktoś grał na fortepianie walca a-moll op. 34. Chopina. Pewnie Petite ma podły nastrój, bo wtedy zawsze gra słowiańskich kompozytorów, najczęściej właśnie Chopina, no i Czajkowskiego. Chciałam wejść do budynku, już wbijałam kod, kiedy coś ścisnęło mnie za gardło. Te piękne dźwięki, które sączyła w moje ucho wieczorna paryska cisza, stały się katalizatorem czegoś, co już dawno powinno się stać... rozbeczałam się jak pensjonarka, której pierwszy raz ktoś powiedział, że platoniczna miłość istnieje tylko w romansach dla naiwnych pańienek.

Idź, czytaj swoje gotyckie i wiktoriańskie powieści, ale nie bądź śmieszna. Świat ma całkiem inne, konsumpcyjne podejście do życia. Tolibowscy wyginęli razem z dinozaurami, naręcza nenufarów nie będzie... Nawet rekonstrukcja ich kości nikogo nie interesuje (nie dinozaurów - Tolibow-skich). Taki gatunek jak ty też odchodzi do historii! Rekonstrukcji nie będzie! O nenufarach nie wspomnę. Zrozum to wreszcie. Po prostu - przyjmij do wiadomości. „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie...”.

Wypłakiwałam swoją bezsilność, ale przede wszystkim - swój smutek za czymś nieokreślonym, pięknym i czystym, co ciągle miało dla mnie znaczenie, było integralną częścią

mnie, a nie mogło przybrać realnych kształtów, choć pragnęłam tego całą sobą. Wewnętrzny żal przepełniał mnie do szpiku kości i wylewał się z falami łez, z coraz to nową, jakby nie do końca zależną ode mnie siłą. Płakałam nad sobą, swoimi marzeniami i zagubieniem małej dziewczynki w ciemnym lesie życia. Czułam się tak bardzo samotna jak człowiek na początku stworzenia. Samotna w całej galaktyce. I tak okrutnie niekompletna... Chopin płynął w ciszy nocy, a ja zrozumiałam Petite, że najlepiej płacze się przy Słowianach. Zwłaszcza, gdy płacze słowiańska dusza.

Wytarłam twarz, choć czerwony nos świecił jak latarnia na Rozewiu. Odczekałam chwilę, aż cera nabrała względnie normalnego wyglądu (gra pozorów, wszyscy seryjni mordercy wyglądają „normalnie”) i otworzyłam starą bramę. Powoli wspinałam się na schody. Muzyka dochodziła do mnie jakby mniej melodramatycznie, raczej mielodramatycznie (od francuskiego *miel* = miód), bo Petite zamieniła naszego rodaka na innego klasyka. A Mozart nastrojał już jakby nieco lepiej. A może to łzy wypłukały moje smutki, przynajmniej z tych bardziej powierzchownych pokładów i na razie mam to z głowy?

Cicho otworzyłam drzwi i wślizgnęłam się do przytulnego przedpokoju. Z salonu wynurzyła się Anne-Marie, która na widok mojej lekko pewnie jeszcze zaróżowionej od płaczu twarzy zaniepokojona zapytała, czy coś się stało.

- Nie, nic szczególnego, po prostu - ból istnienia ... -bąknęłam pod nosem.

Uśmiechnęła się leciutko i objąwszy mnie ramieniem, zaprowadziła do kuchni. W przelocie za półotwartymi drzwiami dojrzałam pochyloną lekko nad fortepianem Petite, zatopioną w swoim świetle, gdzieś między czasem przeszłym a teraźniejszym, z drobnymi palcami na klawiaturze, grającą utwory ludzi, których kości dawno rozpadły się w pył w znanych lub bezimiennych mogiłach, a których myśl odżywała

każdego dnia w różnych miejscach na całej kuli ziemskiej. Czasem dawała prostą przyjemność obcowania z pięknem, czasem pozwalała wypłakać swój żal czy smutek, a czasem przynosiła ukojenie duszy. Tak czy inaczej, wpływała terapeutycznie i kojąco na umysł poddany torturom anormalności i brzydoty czasu i ludzkiej natury.

Anne-Marie już wstawiła wodę na herbatę. Na dużym okrągłym stole w kuchni, nakrytym błękitnym obrusem stały już dwie małe miseczki, których Francuzi tak lubią używać. Wybrałam tę w kolorze zielonym, może przyniesie uspokojenie emocji. Już za chwilę egzotyczny aromat wypełnił przytulną kuchnię. Moi gospodarze mieli prawdziwego fioła na punkcie Afryki. Kiedy tylko mogli, jechali na Czarny Ląd i oddawali się prostym (?) przyjemnościom życia wśród nomadów. Włóczyli się po pustyni, czasem w większej grupie, czasem samotnie i chłonili niezwykłą atmosferę pustynnych dni i nocy, oaz wśród morza piasku, małych arabskich osad i miasteczek. Przywozili stamtąd mnóstwo przepisów na przeróżne, egzotyczne potrawy, którymi później ochoczo częstowali gości, uprzednio własnoręcznie je wykonawszy. Niektóre dania były pyszne, inne mniej, ale posmak czegoś nowego był podstawową przyprawą, dzięki której mało kto odmawiał skosztowania kulinarnych popisów pani domu.

- Co się dzieje, Marina? - w głosie Anne-Marie brzmiała prawdziwa troska.
- W zasadzie - nic, niestety. Po prostu spotkałam wreszcie mężczyznę swojego życia, a on nie pisze, nie dzwoni... Tyle.
- Może, coś wydarzyło się w jego życiu, że woli teraz być sam.
- A i owszem. Widziano go na jakiejś premierze z młodą gwiazdką kina. Taki szczegół. Na to ma czas
- złośliwie dodałam.
- A ty dzwoniłaś do niego?
- No coś ty?! To chłopcy dzwonią do dziewczynek! Jak sobie wyobrażasz, że będę się mu narzucała?! Poza tym powiedział, że sam się do mnie odezwie, bo może być, uważasz, poza zasięgiem.
- Czasem i mężczyźni mają trudny czas w życiu. Na pewno nie wiesz o nim wielu rzeczy.

- Bez wątpienia. Może lepiej, że nie wiem. Jestem taka zła i rozczarowana! Wiesz, jak ciężko mi się angażować, wiesz, jak bardzo się boję, że znów ktoś mnie zrani i upokorzy. Ja już nie chcę zakochać się nieszczęśliwie. Pas.

-Przecież wiesz, że nie wszystko w życiu można mieć pod kontrolą. Życie to loteria, nie wiadomo, czy trafiłaś los pusty czy pełny. Pamiętasz, co mówiła mama Foresta Gum-pa: „Życie jest jak pudełko czekoladek, nigdy nie wiadomo, co ci się trafi...”.

-Wiem, wiem, jak pastylki wielosmakowe Bertiego z *Harryego Pottera*. Już kiedyś trafiła mi się pastylka o smaku wymiocin, która udawała pastylkę o smaku tiramisu i więcej nie chcę. Pamiętasz, ile kosztowała mnie ta szalona historia z Pawłem! Anne, dlaczego mnie właśnie trafiają się takie rzeczy?! Czy ja przyciągam kłopoty? Gdzie robię błąd? Przecież pomagam ludziom, staram się być dobrym człowiekiem, uczciwie pracować... Czy naprawdę nie zasługuję na coś lepszego? Czy nie mogłabym być po prostu, choć raz w życiu zwyczajnie szczęśliwa? Pani spotyka pana, zakochują się od pierwszego wejrzenia, biorą ślub, mają dzieci, mały domek, psa i żyją długo, i szczęśliwie.

-To chyba nawet nie jest kwestia błędu czy złego postępowania. Po prostu, w życiu tak już jest, czasem wszystko idzie jak z płatka, a czasem - pod górę. A czasem trzeba troszkę poczekać, bo wszystko ma swój czas i miejsce.

Przez chwilę przenikliwie popatrzyła na mnie swoimi mądrymi oczyma i spytała:

- Jesteś pewna, że to ten mężczyzna?

- O, Boże! Teraz już niczego nie jestem pewna! Poznałam go w Warszawie na wernisazu. Zaciągnęła mnie tam Ewa. I po prostu, zupełnie przypadkiem, odnalazłam swoją drugą połowę.

- A on też jest tego zdania? Może to ty projektujesz swoje marzenia na czyjąś osobę? Wiesz, nie masz już dwudziestu lat i może podświadomie szukasz i łgniesz do facetów, którzy choć trochę przypominają twój ideał?

- Nie, to chyba nie tak. Wiesz, że raczej słynę z lekko powściągliwego stosunku do płci przeciwnej. Mogę fajnie czuć się w czyimś towarzystwie, fajnie bawić, ale niełatwo angażuję się w poważniejsze historie. Gdyby tak nie było, nie nazywaliby mnie w szpitalu „wieżą z kości słoniowej”. Mało razy słyszałam ten, nie wiem, czy w obecnych czasach komplement, czy epitet? Ale w tym przypadku mam od samego początku dziwne wrażenie wyjątkowości sytuacji, jakby spotkało mnie coś, co po prostu miało się wydarzyć, jakbym dotknęła odrobiny harmonii w moim życiu, a to nagle zaczyna okazywać się mirażem. I nie mogę się z tym pogodzić! Ciągle czuję, że tu musi być ciąg dalszy... że to nie może się tak skończyć. Wiesz, że miewam przeczucia i wiesz, jak bardzo zawsze boję się im zaufać...

- Dobrze, ale czy jesteś pewna, że on czuje to samo?

- Co sądziłabyś, gdyby mężczyzna, którego spotykasz po raz pierwszy w życiu, kiedy widzi ciebie staje jak wryty, patrzy zachwyconymi oczyma i mówi: „Więc to pani śni mi się po nocach...”. Potem bierze cię za rękę i pokazuje szkicownik pełen rysunków twojej twarzy. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy się... Zaczynamy rozmawiać i wydaje się, że znamy się od stuleci... On zaczyna zdanie... ja je kończę. Ja chcę coś powiedzieć i on mówi to, co mnie przyszło na myśl... I to, nie wiedzieć skąd, przeświadczenie, że należymy do siebie, że jesteśmy ulepieni z tej samej materii... Głębo-

kie, wewnętrzne przekonanie, którego mimo wysiłków nie mogę zracjonalizować. Jakby nas, cóż, teraz myślę, że może mnie jedynie, do siebie przyciągało... Uparcie, nawet w tej chwili, walczę z tym i przegrywam.

- Wiesz, z tego, co mówisz, to wygląda naprawdę niezwykle... Jeśli masz takie wewnętrzne przekonanie, podążaj za jego głosem, ale bądź też w zgodzie z własną, bardziej racjonalną częścią osobowości. Jak to ładnie ktoś powiedział: „Dobrze, gdy serce jest naiwne, a rozum nie” - zdawałoby się podsumowała Anne-Marie.

Lubiłam z nią rozmawiać. Ileż, głównie nocy, przegadałyśmy już w naszym życiu. Jej racjonalne podejście do sprawy mieszało się, podobnie jak u mnie, z pozazmysłowym postrzeganiem wielu rzeczy i sytuacji. Z tym, że ona była zdecydowanie bardziej zaawansowana w holistycznym podejściu do życia i człowieka jako całości, dążącej podświadomie do harmonii. Obie wierzyłyśmy w Boga, było w nas coś, co nie pozwalało przestawać ufać tej Najwyższej Doskonałości, pomimo wszystkiego, co nie zawsze dobre działo się w naszym życiu, pomimo wszystkich wątpliwości i pytań bez odpowiedzi. I zawsze, ilekroć nawet wbrew, wydawałoby się, zdrowemu rozsądkowi, postanowiłyśmy postawić na Najwyższego, choć nic nie wskazywało na możliwość naszego zwycięstwa, ostatecznie tak właśnie to się kończyło (ku naszemu niepomiernemu szczęściu i zaskoczeniu).

Poznałyśmy się wiele lat temu, kiedy to, jako młoda dziewczyna, znalazłam się na spotkaniu młodzieży pod egidą Taize i trafił chciał, że zostałam zakwaterowana w mieszkaniu Dubois przy Ogródzie Luksemburskim. Anne-Marie i Jean-Pierre byli wtedy świeżo po ślubie. I jakoś wyjątkowo szybko znaleźliśmy wspólny język, a potem zaprzyjaźniliśmy się. Z tą młodą Francuzką natychmiast nawiązałyśmy świetny kontakt i rozumiwałyśmy się doskonale (cóż, mój francuski był całkiem przyzwoity). Kiedy pierwszy raz spotkałyśmy się, Anne

właśnie ukończyła studia plastyczne i zajmowała się rzeźbą, Jean-Pierre zaś pracował jako dziennikarz w jednej z paryskich gazet. Moja stłumiona przez medycynę prawdziwa artystyczno-humanistyczna natura mogła nareszcie ujrzeć światło dzienne. Och, jak cudnie było móc wreszcie porozmawiać nie tylko o sprawach ciała... bo gdy zaczynałam rozmowy o czymś bardziej pozamaterialnym z moimi kolegami czy koleżankami z roku, patrzyli na mnie jak na dziwadło. Kogo obchodziły nowe premiery filmowe (no chyba, że **Rambo**, **Terminator** czy, w najlepszym wypadku, **Obcy 3**), jakieś wernisaże czy spotkania ze Szczypiorskim lub Łysiakiem (o czytaniu wyżej wspomnianych już nie wspomnę). Zasada 3 x Z (zakuć, zdać, zapomnieć), wzbogacana trunkiem ziemniako-pochodnym, to był kierunek wiodący. Oczywiście, zdarzały się wyjątki od reguły. Zdecydowanie krzywdzące byłoby stwierdzenie, że całość populacji medyków z mojego roku podlegała owej indoktrynacji, ale jakoś w mojej pamięci tak to się właśnie zapisało. Może zawsze, gdziekolwiek bym była, po prostu miałabym swój świat?... Choć jakże miło było wymieniać poglądy i przyjaźnić się z ludźmi z kierunków humanistycznych i artystycznych. Z nimi po prostu miałam o czym pogadać. Wtedy tego nie analizowałam (wtedy nie analizowałam niczego), ale teraz myślę, że moja pierwotna natura usiłowała zwyczajnie przetrwać w nieprzyjaznym jej, medycznym środowisku. Cóż, stare dzieje...

Powoli dopijałyśmy herbatę wzbogaconą jakimś nieznanym mi, egzotycznym, ale bardzo kojącym aromatem. Noc sączyła w nasze zmęczone szalonym tempem dnia dusze spokój i wytchnienie. Z Anne-Marie miło było nawet posiedzieć i pomilczeć. W powietrzu unosiła się kojąca atmosfera, jakby wszystko zaczynało zajmować właściwe mu miejsce.

Ciszę przerwał po chwili głos Anne. - Wiesz, myślę o twoim wewnętrznym przeczuciu i o tym szkicowniku. Jest w nas coś, co uprzedza wypadki. Jakiś ro-

dziej intuicji, który łączy rzeczy przeszłe, przyszłe i teraźniejsze, wyprzedza czas i miejsce, na swój sposób zapowiada czy ostrzega. I chyba trzeba tego słuchać, a przynajmniej nie zagłuszać i jakoś dopuścić do świadomości, bo mówi o rzeczach, które mogą być istotne dla naszego życia. I duchowego, i cielesnego. Przypomniała mi się opowieść Jean-Pierre^ jeszcze z czasów, kiedy nie znaleźliśmy się, choć oboje przeżywaliliśmy, każde w innym towarzystwie, swoją fascynację Afryką - powiedziawszy to, zamilkła i zapatrzyła się w okno.

- Opowiesz mi o tym? - zapytałam, chcąc wyrwać ją z zamyślenia i usłyszeć może coś, co mogłoby pomóc mi jakoś wrócić na szlak normalności.

- Jasne! Co, co? Zaliczyłam małe *absence* - roześmiałyśmy się obie. Anne nawiązała do niegdysiejszej naszej rozmowy o epilepsji, na którą chorowała jej koleżanka, znakomita rzeźbiarka, która niekiedy zastęgała na parę chwil z kulką gliny w ręce. Wszyscy myśleli, że obmyśla koncept, ale kiedy zdarzyło się to kilkakrotnie także w trakcie rozmowy, przyznała, że choruje na epilepsję. Nikt nigdy nie widział u niej typowych dla klasycznej epi napadów *grand mai*, więc Anne zapytała mnie, czy to możliwe. Opowiedziałam jej o napadach typu *absence*, kiedy to chory na chwilę wyłącza się z kontaktu, umyka „w kosmos” i po chwili wraca. Stwierdziłyśmy wtedy, że wszystkie okresowo cierpimy na owo schorzenie, a już w czasie wizyt dramatycznie nudnych osób (np. ciotki Elwiry i wuja Mariana, w moim przypadku), cierpimy wręcz na napady gromadne, żeby nie powiedzieć stan epileptyczny wersji *absence* trwający czasem i pół godziny.

-Już zaczynam. Otóż, Jean-Pierre o mało nie zginął wśród pustynnych, bezkresnych przestrzeni. W swojej młodzieńczej fantazji, czy raczej kompletnej beztrosce, wybrał się na samotną wyprawę na pustynię. Trochę wojaży z nomada-

mi miał już za sobą i poczuł się na tyle pewnie, że postanowił odbyć krótką wycieczkę samotnie. Najpierw wszystko szło gładko, suchy wiatr owiewał mu nasmarowaną grubo kremem z filtrem twarz, niewielki ekwipunek zdawał się nie ciążyć, wokół rozciągały się przepiękne widoki. Czego chcieć więcej? W jasnej *galabiji*, z turbanem na głowie wyobrażał sobie, że jest samotnym arabskim kupcem podróżującym przez piaski pustyni. A potem... nie wiedzieć kiedy, po prostu zgubił się. Na początku podszedł do sprawy bez emocji (tylko spokój może nas uratować, na pewno zaraz wróci na szlak), ale kiedy upał stał się trudny do zniesienia, zaczął mieć coraz mniej sił i nadziei. Nogi zrobiły się ciężkie, zaczęło brakować wody, a dookoła - nic tylko piaski... Noc nadeszła dość nagle, temperatura zaczęła obniżać się dramatycznie i zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie. Rano obudził się skostniały i słaby, no i - przede wszystkim - spragniony, jak nigdy w życiu. Pogoda też nie wyglądała najlepiej, czuł, że coś się kroi. I przecucie go nie myliło. Rozpętała się paskudna burza piaskowa. Na jego drodze stanął, ni stąd, ni zowąd, niewielki głaz, na tyle jednak duży, że zwinąwszy się w kłębek, a raczej przyjąwszy postawę muzułmanina pogrążonego w głębokiej modlitwie, mógł się za owym kamieniem schować. Tak też uczynił. Kiedy wśród szalejącej piaskowej zawiei trwał cały schowany w sobie, przyszła mu do głowy myśl całkiem niespodziewana. Że jego córka na pewno nie chciałaby, żeby skończył w tak idiotycznej pozycji. Nie miał wtedy nawet upatrzonej dawczyni komórki jajowej, o córce nie mówiąc. Ale ta kompletnie irracjonalna myśl była jakby wewnętrznym imperatywem i wygnała go z tej jedynej w promieniu wielu kilometrów osłony. Kazała mu wypełznąć wprost w szalejący żywioł i... stracić przytomność. I rzeczywiście, dzięki temu ocalał. Przechodząca tędy za jakiś czas karawana zobaczyła nieprzytomnego człowieka leżącego na piasku. To, że wyczołgał się zza kamienia uratowało mu życie. Inaczej, przechodząc w pewnej odległo-

ści, nie zauważyliby go. Córka z przyszłości uratowała mu życie. I zapewniła je sobie. Czasem myślę, że wszystko miesza się w tyglu czasu.

- Na to wygląda... Dziękuję. Trochę mnie to chyba powinno pocieszyć. Musi być coś w tym, że spotkaliśmy się z Vitto i trywialnie mówiąc „zaiskrzyło”. Szkice ze snu i to, co, śmiem powiedzieć, oboje odczuliśmy... musi mieć znaczenie, jeszcze nie wiem jakie, ale na pewno jest jakieś wytłumaczenie. - Teraz ja zapatrzyłam się na chwilę w ciemność za oknem, jakbym właśnie tam spodziewała się je znaleźć.

- Dziękuję ci, Anne - po chwili odezwałam się znowu. -Pamiętasz tę łacińską sentencję „dum spiro, spero” - szybko przetłumaczyłam, bo przecież na ASP łaciny raczej nie wykładają - „Póki oddychamy, mamy nadzieję”? Czasem myślę, że odwrotnie to też ma sens: „Póki mamy nadzieję, póty oddychamy”. Nabieram więc powietrza w płuca... Jak dobrze, godzinę temu czułam niemal, że wręcz zaczyna mi go brakować. Choć niewątpliwie na tę okazję jak nic nadaje się wiersz

Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

Me widziałam Cię już od miesiąca. I nic. Jestem. Może bledsza, Trochę śpiąca, trochę bardziej milcząca. Lecz widać można żyć bez powietrza.

Wiersz podobał się mojej przyjaciółce ogromnie. Każda kobieca natura ulega urokowi prostych, a zawierających wszechświat kobiecej duszy w kilku zdaniach, wierszy tej poetki. Podobnie jak urokowi wierszy Szymborskiej, gdzie w paru niemal słowach-kluczach zawarta jest prawda o życiu, śmierci i wszelkich przypadkach człowieczej egzystencji.

W drzwiach stanęła Petite. Dopiero wtedy dotarło do naszej świadomości, że od jakiegoś czasu dom zaległa cisza.

Odziana w ciemną wełnianą suknię i otulona szalem w kolorze dojrzałej śliwki, stała w drzwiach kuchni jak mała figurka z czasów *fin de siècle'u*. Oparta o framugę drzwi patrzyła na nas swoimi dużymi oczami, umieszczonymi w starej, noszącej jednak nadal ślady dawnej urody, twarzy.

- Czyj to wiersz? - zapytała po chwili.

- Polskiej poetki, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej -odpowiedziałam krótko.

- Piękne słowa. I ciągle aktualne na całym świecie. Ta sama historia miłosna, grana na scenie życia od tysięcy lat. Zmienia się tylko scenografia, twarze aktorów, usta, które snują opowieść, oczy, które nieruchomo patrzą na drogę, wyglądając powrotu ukochanego lub ukochanej - mówiła Petite.

- Teraz to raczej uszy nasłuchujące dźwięku komórki -roześmiałam się cicho.

Petite przerwała, ale z wyrazu jej twarzy można było wnioskować, że duchem jest gdzie indziej, w innym czasie, miejscu, z kimś zupełnie innym niż my. Anne-Marie podniosła się z wygodnego kuchennego krzesła, objęła staruszkę i zapytała:

- Babciu, napijesz się z nami herbaty? Zrobię twoją ulubioną, z odrobiną goździków i miodem.

- Może małą filiżankę, chętnie - starsza pani usiadła obok mnie. - Wiesz, Marina, właśnie w taki piękny kwietniowy wieczór poznałam dziadka Anne. Było to w czasie wojny. Niemcy stacjonowali w większej części Europy, a w Paryżu było ich naprawdę pełno. Wojna wkoło, wszystko co dobre i co piękne chyli się ku zagładzie, a bzy kwitną jak gdyby nic się nie działo. Z miłością jest jak z tymi bzami, okoliczności nie mają znaczenia, choćby grunt był niepodatny na jakiegokolwiek szaleństwa, choćby trwał najgorszy terror, ona pojawia się znikąd, nie pyta o zgodę, tylko rośnie nadając światu w najczarniejszy czas pastelowe barwy. Zakwita pełnym

kwiatem nawet w najmroźniejszym wichrze historii, niczym orchidea, tyle że nie w cieplarnianym, łatwym na swój sposób klimacie, a wśród śnieżycy, która niszczy wszystko, co na swojej drodze spotka. I jeśli to miłość prawdziwa, ona tę śnieżycę przetrwa w niezminionej postaci, a nawet, czerpiąc siłę z przeciwności, zapuści korzenie jak dąb.

- Trochę jak u Barry'ego White'a: „And maybe winter outside, but in my heart is spring...” * -
zanuciłam, chcąc wyrwać Petite z nurtu wspomnień. Widziałam w jej oczach tyle smutku, że mimo woli wróciły do mnie moje własne wspomnienia i po prostu bałam się, że znów się rozplączę. Czułam, że nos zaczyna robić się lekko czerwony, a moje oczy tylko czekają, żeby otworzyć tamę i dać upust temu, co, jak widać, wcale nie zostało wypłakane.

I wtedy Petite powiedziała coś, co stało się dla mnie, nie wiedzieć czemu, pocieszeniem:

- Ale myślę, że niezależnie od tego, czy miłość jest szczęśliwa, czy nie, krótka, czy długa, sama w sobie jest takim darem od Boga, że choćby dla paru chwil tego cudownego uczucia trzepotania serca, niepomiernej radości serca, doskonałej harmonii w tym szaleńczym zapamiętaniu... warto ją przeżywać. Warto pielęgnować to rozkoszne podniecenie w oczekiwaniu na list, dzwonek u drzwi, spotkanie, choćby przez moment. Ktoś napisał, chyba Merton, „miłość unosi mnie po domu, nie chcę nic robić tylko kochać...”. Miłość, niezależnie od wcześniejszych czy dalszych okoliczności, jest wartością samą w sobie, ma jakby wartość bezwzględną. Ważna jest jako stan pierwotny, wartość podstawowa ludzkiej egzystencji, która potrafi sprawić, że w rynsztoku zakwitną storczyki. Podobnie jak jej brak czyni życie pustym i smutnym, mimo cieplarnianych warunków i zastawy Ro-senthala. Dlatego, niezależnie od wszystkiego, cieszymy się,

* „**Może i zima za progiem, lecz w moim sercu wiosna trwa...**”.

że miłość, choćby przelotem, przez moment, dotknęła naszego ramienia i zapisała w nas na zawsze to, co najpiękniejsze. To niezapomniane przecież uczucie radosnego oczekiwania i szczęścia, którego nawet wspomnieniem można rozświetlić każdy mrok duszy. Jeśli tylko odkurzymy je i oświetlimy, bodaj wątłym światełkiem wspomnień, których przecież jakiś fragment zanurzony jest w pięknej poświacie szczęśliwości, choćby ułudnej, przetrwamy wszystko. I dlatego, nawet w takie dni, kiedy jest mi smutno, kiedy już wypłaczę swój żal i nostalgię, wracam myślą do owych pięknych lat, które spędziłam z Guillaume'em. Znów zanurzam się w nich, po-mieszkuję i znów jestem szczęśliwa na tyle, żeby przetrwać do następnego ataku samotności. Tak naprawdę, życie jest piękne i cholernie warte zachodu - zakończyła.

Mimo że nie było mi do śmiechu, przestało mi być także do płaczu i jakby radośniej spojrzałam na świat. Przynajmniej będę miała o czym opowiadać wnukom przy kominku, jeśli oczywiście będę miała w ogóle wnuki. I kominek, bo za te ileś lat kominki mogą występować już tylko w muzeach. „Nic to” - jak mawiał Wołodyjowski. Zawsze można wziąć wnuki na zwiedzanie reliktyw przeszłości. Cóż, skończą się podróże za pomocą proszku „Fiu” czarodziejskiemu towarzystwu Harry'ego Pottera. Choć ich świat pewnie nie podda się mugolskim fanaberiom. I całe szczęście.

Tymczasem, ja zrobię z mojej krótkiej historii miłosnej dramatyczną opowieść o szaleńczej miłości, która ciemnym cieniem położyła się na całym moim życiu... A dlaczego nie? Będę wtedy najstarszą starowinką (jak w *Seksmisji* cudna Barbara Ludwiżanka), zajęta dżemikiem, czy aby kwaskowy, i będę mogła opowiadać, co mi ślina na język przyniesie, sama w to pewnie wierząc. Czasu upłynie tyle, że wszelkie fakty będą kompletnie niesprawdzalne, większość bowiem z nas albo pomrze, albo będzie mieć mentalnie ambiwalentny stosunek do czasu i przestrzeni, a wszyst-

ko co będziemy opowiadać i tak będzie dla słuchaczy historią średniowieczną. I myślę, że będę nawet mogła, nie wzbudzając sensacji, przedstawiać się jako wdowa po Rudolfie Valentino, bo moja i jego era utonie w mrokach przeszłości. Obawiam się jedynie, żeby nie wzięto mnie za obłąkaną fankę państwa Gucwińskich, która poślubiła renifera Rudolfa Czerwononosego (o nazwisku Valentino być może), a która mieszka w odległej Laponii czy Polonii (w końcu, kogo obchodzą szczegóły). Oczywiście, nie wyartykułowałam tego głośno, bałam się urazić Petite, którą znałam przecież od dawna i szanowałam za jej inteligencję, młodzieńczość duszy i dobroć. I ułańską fantazję, dzięki której na pewno śmiałyby się ze mną. No i jeszcze - za piękną grę na fortepianie. Była nadal w doskonałej formie muzycznej, nie na darmo koncertowała prawie pół wieku z największymi orkiestrami Europy.

W filiżance starszej pani pokazało się dno. Dobrze było nam razem w tej kuchni na najwyższym piętrze kamienicy przy Ogrodzie Luksemburskim. Zapach bzów unosił się delikatnie, aż tu. A może to tylko nasza wyobraźnia płatała nam figle. Jeśli nawet, to jakże przyjemnie. Postanowiłam jutro rano wyjść trochę wcześniej i zrobić sobie spacer alejkami ogrodu, zanurzyć głowę w białej i fioletowej, pachnącej burzy, zajrzeć na chwilę do kościoła Saint Supplice, podziękować, popłakać i w końcu poprosić, bo przecież nadzieja zawieść nie może... Nie mogę aż tak bardzo się mylić... Choć „errare humanum est”. W takim razie - poproszę o wyjaśnienia!

Kiedy Petite poszła do siebie, odmawiając absolutnie jakiegokolwiek odprowadzania, obie z Anne-Marie wyszły-śmy na balkon. Bzy? Bzy! Bez wątpienia! Chyba że obie miałyśmy, jak mawiał domorosły lekarz medycyny naturalnej (z wykształcenia stolarz), chorą korę mózgową. Cóż, w zasadzie mógł mieć sporo racji, przynajmniej, jeśli chodzi

o mnie... Znów ogarnęłam wzrokiem piękną perspektywę Paryża, tym razem nocą. Co za urokliwe miejsce! Widać było pięknie podświetlony Montmartre, Panteon, Saint Supplice... zamknęłam oczy na chwilę, by zapamiętać ten widok. Będę się nim karmić w trudne dni. Bo nie wątpiłam, że niestety, nadejdą. Przypomniałam sobie jednak słowa Scarlett O'Hary: „pomyślę o tym jutro!” I smutki zostały zapakowane i schowane na dno kufra. Przynajmniej na jakiś czas.

Jean-Pierre, usypiając dzieci, sam padł na polu walki, a jego chrapanie z pokoju najmłodszej z pociech dochodziło aż tu, do salonu. I my znużone, ale w dość znośnych nastrojach, postanowiłyśmy rzucić się w objęcia Morfeusza (ja z powodu braku jakichkolwiek innych, choć kandydat był „always on my mind”^{*}). Ciekawe, jaką postać przyjmie dziś Morfeusz? Byłam wręcz znana z moich zwariowanych snów. Śniłam co noc, na kolorowo i pełen metraż. Czasem byłam w amazońskiej dżungli, płynąc wielką łodzią w zielonym tunelu, ku widocznej na jego końcu jasnej wodzie, raz uciekałam przed hitlerowcami jako znany działacz ruchu oporu, ginęłam od kul, ale potem - cudownym sposobem - odzyskiwałam życie do dalszej (oczywiście barwnej szalenie) walki z okupantem. Spacerowałam też (niestety, jedynie we śnie) po Rio de Janeiro, pamiętam ulice z detalami, rozmowy z konkretnymi ludźmi, raz sadziłam przez pół nocy ziemniaki na zapadłej wsi (było tego z pięć zagonów), czego wole nie pamiętać. Równie mało pielęgnuję w mojej pamięci wielotygodniowe „nocne szychty” w poradni dziecięcej, gdzie na stażu zdarzyło mi się pracować jakiś czas. Po tych „pracowitych” nocach wstawałam bardziej zmęczona, niż się kładłam, jednak po snach bardziej przyjemnych (czasem zdarzały się i takie)... cóż, też trudno było dojść do siebie, ale z całkiem innych powodów... Jechałam wtedy do pracy

*** „Zawsze w moich myślach”.**

przez pierwsze przystanki metra kompletnie nieprzytomna i nieobecna, zanim wreszcie rzeczywistość brutalnie przerywała moje rozmarzenie i głosem ordynatora na odprawie uświadamiała mi bolesność faktu, co w moim wypadku oznacza tu i teraz.

Życząc sobie z Anne-Marie „dobrej nocy”, każda z nas zniknęła za drzwiami swojego pokoju. Słyszałam jeszcze, jak Jean-Pierre wraca z dziecięcego pokoju do sypialni. Szybko rozebrałam się, płynem zwanym przez niektóre panie w drogerii „płynem do demontażu twarzy” zmyłam resztki makijażu. Spojrzałam w lustro - twarz nie uległa demontażowi, na szczęście! Jak mogłabym jutro pokazać się bez twarzy na ulicy, choć, jak sięgnę pamięcią, wielu osobom wcale to nie przeszkadza w pokazywaniu się publicznie. Zapadłam w pachnącą lawendą pościel i natychmiast straciłam przytomność.

Niespodziewanie do moich uszu dotarł delikatny szum fal bijących o piaszczysty, morski brzeg. Cóż za banał! Skąd morze przyszło mi do głowy! Ale nic, śnijmy dalej. Stałam na polnej ścieżce. Po jednej stronie morze lekko szemrzące swą opowieść na wietrze, który łagodnie poruszał konarami powyginanych i uparcie wczepionych w resztki gleby na krawędzi drogi drzew. Sosny wyglądały jak duże drzewka bonsai, których nikt nie pilnował i które urosły do gigantycznych (jak na bonsai) rozmiarów, posilając się niekontrolowanie deszczem i słońcem, czesząc iglaste włosy łagodną morską bryzą i porywistym wichrem. Stały przygięte ciężarem swej drzewiastej egzystencji, uparcie broniące barykady, przyczółka, na którym postawił je los. Po drugiej stronie drogi rozciągała się nęcąca soczystą zielenią czarowna łąka, pełna tryskających wiosenną witalnością mleczy, rześkich kaczeńców, śmiało wychylających swe krótkie główki ku słońcu, maków i chabrów, dopełniających kolorową paletę. No i jeszcze fioletowe „dzwonki”, z których latem robiłyśmy

sobie jako dzieci piękne, długie rzęsy. Posiadanie ich stanowiło jakby bilet do krainy fantazji. Nagle przeistaczałyśmy się w bajkowe księżniczki precudnej urody, lekko mknące po porannej rosie i gdybyśmy znały wtedy pojęcie elfa, byłybyśmy elfami, ani chybi. Może nawet byłyśmy nimi, bo przecież nieznamość właściwego słowa nie zmienia istoty rzeczy.

Słońce ogrzewało swym ciepłem, a ja nie mogłam zdecydować się, po której stronie drogi chciałabym się znaleźć. Obie propozycje Matki Natury były szalenie kuszące. Z jednej strony - ciepły, biały, morski piasek, obiecujący leniwy, wakacyjny wypoczynek, chłodne fale studzące rozpalone ciało i połączenie obu żywiołów, czyli zamki na piasku. Proste czynności, jak zdające zawierać w sobie namiastkę istoty czasu przesypywanie suchego piasku z ręki do ręki, czy lanie mokrego na wieżyczki zamkowej baszty... Stopy zanurzone po kostki w magicznym rytmie przyływów i odpływów, odpychane i przyciągane przez coś potężnego, co zawiadywało tą niebieską tajemnicą... coś, co kryło się w głębi, a jednocześnie było w każdej kropli opryskującej moje kolana...

Wyciągnęłam rękę ku łące, a ona wzbiła w górę gromadę pszczelich hufców kręcących się ponad pachnącymi plamami kolorów. Przez środek łąki płynął strumień, którego wcześniej nie zauważyłam (pewnie pojawił się, gdy odwróciłam głowę ku plaży - odwieczne prawa snu). Nad jego brzegiem rosły kołyszące się w niemym rytmie lipy, jak kiedyś na starym wiejskim podwórku, które pamiętam sprzed lat. Na trawie leżał rozłożony obrus w czerwoną kratę, a obok stał wiklinowy kosz z uchylonym wiekiem. Z ustawionej na obrusie bielutkiej kobiałki wysypały się czerwone jak krew, dojrzałe truskawki. Niektóre zielone ogonki legły pod ciężarem owocu, inne dumnie wznosiły się ku niebu. Mimo odległości dokładnie widziałam kropki pestek na czerwonych brzuskach i całą fakturę

dojrzałego owocu. Ślina napłynęła mi do ust, już chciałam po nie sięgnąć... gdy usłyszałam swoje imię. Męski, znajomy głos wołał je od strony rzeki. Sięgnęłam wzrokiem w kierunku, skąd dobiegało wołanie. Nie było natarczywe, raczej ciepłe i łagodne, ale nie pozbawione męskiej siły i głębokich samczych wibracji. Było też nieco rozbawione. Kolejne dobiegło po chwili, brzmiał w nim... śmiech, który po chwili stał się komunikatem doskonałej, radosnej zabawy. I wtedy go zobaczyłam. Właśnie wynurzył się z błękitno-zielonkawej toni. Mocnymi, pięknymi dłońmi odgarnął włosy z twarzy. Stał odwrócony do mnie tyłem. Woda pobłyskiwała na jego sięgających szyi włosach. Po chwili widziałam, jak ze strumienia wynurzają się muskularne, ale o doskonałych, greckich wręcz proporcjach, plecy i ramiona, a na opalonych skórze lśniły krople wody.

- Marina! Gdzie jesteś?! Nie chowaj się, proszę! Woda jest cudowna! - wołał w stronę przeciwnego brzegu. Dopiero teraz zauważyłam, że brzeg ów był dokładną kopią brzegu, na którym stałam ja. Stanowił jego lustrzane odbicie. Mężczyzna odwrócił się nagle w moim kierunku, na jego twarzy nie malowało się już rozbawienie, ale raczej niepokój. Krzyknął jeszcze raz:

- Marina! Marina! Gdzie jesteś?!

Patrzyłam szeroko otwartymi oczami. I wciąż nie mogłam im uwierzyć! To był Vitto! Mój Vitto! Zobaczyłam te jedyne na świecie oczy w kolorze błękitu wody i bezwiednie zanurzyłam się w nich cała. Jak szalona zaczęłam wołać:

- Tu jestem, Vitto! Tutaj! - i choć machałam rękami, wołałam, ile sił w płucach jego imię, on mnie nie widział i nie słyszał. Patrzył w moją stronę, jakby przeze mnie... choć tam byłam i krzyczałam z całych sił. Przez moment wydawało mi się, że dostrzegł mnie, wyraz jego twarzy zmienił się bowiem przez chwilę... Ale potem wszystko zaczęło się oddalać w zawrotnym tempie... Przepelniała mnie tęsknota

i jakieś inne, przyjemne uczucie. Była to chyba... nadzieja. Znow zobaczyłam morze i już miałam odwrócić się ku drugiej stronie drogi, gdzie... Nagle ponury dźwięk przeszył powietrze! Budzik! Ze snu wyrwał mnie natarczywy dzwonek budzika. „Budziku, snu mego okrutny morderco, poczekaj, niech dojrzeje owoc mango...”, przemknął mi przez głowę przebój Zespołu Adwokackiego „Dyskrecja”. Powoli otworzyłam oczy. Świt niewątpliwie nadszedł już jakiś czas temu, czy miałam na to ochotę, czy też nie. A dziś absolutnie nie miałam ochoty na rozpoczynanie nowego dnia. Nie, może nie tyle na rozpoczynanie dnia, co raczej na kończenie nocy. Wyjątkowo zgadzałam się w tym momencie z poetą, Stanisławem K., czującym (samo słowo „czujący” dla każdego poety jest już dużym wniknięciem w jego warsztat pracy, niezależnie, co potem następuje) pociąg do napoju z warzyw, bulw konkretnie, zwanych w kraju, w którym obecnie przebywam „jabłkami ziemi”, a po naszymu prosto - ziemniakami (ach, ta korelacja słów i znaczeń), który to poeta, wracając do głównego wątku, napisał we fraszce *Na słońce*: „Gdyby słońce nie wstało, nic by się nie stało”. Chwilowo wołałabym wręcz, żeby i ono wzięło krótki urlop lub chociaż zapało. Wciąż byłam zawieszona pomiędzy snem a jawą, przy czym zdecydowanie balansowałam z powrotem w stronę snu... Zdecydowanie... Kompletnie zagubiłam się w oceanie niebieskich oczu. Chciałam tam wrócić, choćby na chwilę, niestety, rzeczywistość snu zdążyła już cichutko zamknąć za sobą drzwi i równie bezszelestnie przekręciła klucz w zamku. I zabrała go ze sobą, chowając gdzieś w kieszeni fartucha, a może za dekoltem błękitnej sukienki.

Przetarłam oczy i spojrzałam w wielkie okno, przez które, mimo moich niezbyt uprzejmych uczuć dla rozpoczynającego się dnia, ukazywało coś, co sprawiało, że sen i jawa łączyły się z sobą cieniutką jak pajęczyna nicią. Za oknem,

podobnie jak w moim sercu, królował... błękit. Błękit paryskiego nieba miał w sobie jakiś niezwykle urok i choć brzmi to trochę jak prześmiewcze „przed wojną, to było słońce”, musiałam jednak przyznać, że miasto to odzierało mnie z wszelkich zdrowych zmysłów (cokolwiek miało to znaczyć) i pożerało na śniadanie w pierwszych chwilach przytomności (względnej, jak widać) umysłu. Wszystko tu było niezwykle. Przynajmniej dla mnie. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że takie zachowanie nosi lekko psychiatryczny rys, ale... i tak nie mogłam nic na to poradzić. Po prostu - zakochałam się w tym mieście, pochłonęła i na swój sposób zasymilowała mnie atmosfera Paryża. Nie wiedzieć kiedy, stało się ono nierozzerwalnie częścią mojej osoby i rozkochiwało mnie w sobie coraz to na nowo. Czasem nawet, wbrew mojej woli. Wszelkie próby racjonalizacji brały w łeb, kiedy - podobnie jak teraz - spoglądałam przez okno, za którym rozciągały się lśniące w porannym słońcu paryskie dachy. Ileż to razy słuchałam audycji Barbary Podmiotko „Pod dachami Paryża” i marzyłam, żeby choć raz odwiedzić to miasto i zobaczyć te słynne dachy, nucąc właśnie „Sur les toits de Paris...”. A tymczasem... mogłam to robić po raz kolejny.

Niektóre okiennice były już otwarte, a okna do salonów czy pokoi - uchylone. Widać było krzątające się po mieszkaniach osoby, spieszących się do biur urzędników w ciemnych garniturach, porywających w locie kawałek tosta lub bagietki, szczupłe kobiety w atłasowych peniuarach z lekko zdeformowaną fryzurą, które, gdy za godzinę pojawią się na ulicy, będą przykładem nieskazitelnej urody i klasycznej elegancji. Wreszcie młodzież w wymiętych T-shirtach sięgających połowy młodego, apetycznego uda, niedbale przycupnięta na krawędzi plastikowego krzesła... A wśród tych wszystkich ludzi - ja. Ni gość, ni turysta. Ktoś, komu wydaje się, że może bezkarnie obserwować i domyślać się, co kry-

je życie innych ludzi, istniejących w tym samym czasie, ale w zupełnie innych przestrzeniach ciała i ducha, w innej kulturze, przygniatanych czy drażnionych innymi problemami, cieszących się zupełnie innymi rzeczami.

I choć - tak z pozoru - różni ode mnie, kiedy odpowiedzą uśmiechem na uśmiech, pomachają ręką, czy zasłonią okno żaluzjami, okazują się tak podobnymi do mnie istotami. Spotykamy się w ułamku sekundy i nawiązujemy na moment kontakt ponad granicami, wojnami, rewolucjami i zwycięstwami czy porażkami, które kształtowały historie naszych różnych światów. Jesteśmy jednym gatunkiem *homo sapiens*, niezależnie od długości geograficznej czy rodzaju bajek opowiadanych na dobranoc. Gdzieś w środku mnie tkwi istota taka jak reszta naszej szacownej ludzkości, a w niej ja, zwielokrotniona w najogólniejszym sensie po mi-liardkroć.

Z tych porannych dywagacji na tematy ogólnoludzkie wyrwał mnie odgłos krzątania w kuchni.

Pewnie Anne-Marie przygotowuje śniadanie dla dzieci i Jean-Pierre'a. No i dla mnie. Miła perspektywa smakowitych croissantów z czekoladą czy dżemem pomarańczowym nappełniła mnie bardziej przyziemnymi myślami i nabrałam ochoty na przyjemności stołu. Wdziałam więc szlafrok frotte i oczyściwszy wcześniej perelki zębów, udałam się w stronę apetycznych zapowiedzi.

Przeczenie nie myliło. Moja przyjaciółka krzątała się po przestrzennej kuchni i donosiła na stół coraz to nowe smakołyki. Nakrycia czekały już na mnie i moich współbiedniaków. Wszędzie roznosił się rozkoszny zapach kawy. Nawet kawa Anne smakowała jakoś wyjątkowo. Ten specjalny gatunek pochodził od zaprzyjaźnionego marokańskiego kupca, u którego robiła zapasy już od lat. Zawsze starał się być dla niej miły i bardzo uprzejmy, nie rezygnując jednak z prób drobnego oszustwa. Robił to bardziej dla sportu niż

dla zysku. Toczyła się między nimi swoista gra, a obie strony zdawały się czerpać dziwną przyjemność z samej rywalizacji.

-Bonjour, Anne-Marie! - powiedziałam wchodząc. -Ależ z ciebie ranny ptaszek! Już zdążyłaś pięknie nakryć do stołu, a i te bagietki wyglądają na świeże i chrupiące.

- Świeże są dzięki wynalazkowi techniki o dźwięcznej nazwie piekarnik, ale reszta to moja zasługa. A ty, jak spałaś, Marina? - zapytała Anne-Marie, odwracając się do mnie znad kuchennego blatu.

- Dziękuję, doskonale, jak zawsze pod tym gościnnym dachem. Boże, jak ja lubię tu być! - westchnęłam.

- To zostań z nami - powiedziała Anne, uśmiechając się pod nosem.

Doskonale wiedziała, co teraz powiem. Setki razy to przerabiałymy.

- No coś ty? Jako kto? Stara ciotka z odległej Mandżurii? A co by powiedziała na to mamusia? A poza tym, dobrze wiesz, że jestem na to zbyt sentymentalna. Jednak pomarzyć mogę, prawda?

- Nawet musisz! Dzięki temu może będziesz nas częściej odwiedzać!

- Chętnie! Bardzo chętnie! Ojej, jeśli o starych ciotkach mowa, to ja przecież muszę zaanonsować się u Madame Podhoreckiej! Mogę skorzystać z telefonu? To dobra pora, żeby ją jeszcze zastać, nim ruszy na poranny spacer do Tuileries. - Anne zrobiła minę pod tytułem „Dzwoń, po co pytasz!", a ja pognałam do telefonu.

Trochę wcześniej na telefon, ale wiedziałam, jakie zwyczaje ma moja wiekowa znajoma. O tej wczesnej dla przeciętnego śmiertelnika porze, ona była już po pierwszym śniadaniu, pierwszej szklaneczce wina i małym spacerze po gazetę do oddalonego o kilka przecznic, zaprzyjaźnionego sklepiku. Starsza pani spała niewiele, podobnie bowiem jak na inne trywial-

ne rzeczy, na przykład sprzątanie, po prostu szkoda jej było czasu. Podczas pierwszej wizyty, kiedy zobaczyłam szalony bałagan w jej małym mieszkanku, nie potrafiłam najwyraźniej ukryć zaskoczenia na twarzy, co Madame skwitowała z uśmiechem na ustach, mówiąc: „Co? Dziwi cię ten rozgardiasz? Moja droga! Ja uważam, że moje życie jest ważniejsze od sprzątania! Zdecydowanie wolę spotkać się z Florance czy z tobą, niż trawić życie na porządkowaniu starych rupieci!”. I w zasadzie miała całkowitą rację. Życie jest zdecydowanie ważniejsze od sprzątania, jednak ja, mimo że nie miałam natury sprzątaczkii, lepiej czułam się nie potykając o porozrzucane ciuchy czy książki. Madame w końcu podniosła słuchawkę. Niski głos, bardziej w stylu Lauren Bacall niż Louisa Armstronga, odezwał się po drugiej stronie.

- *Allo!*

- *Bonjour, Madame*, tu Marina Błajet - lubiłam wymawiać swoje nazwisko. W Polsce starałam się nie odbiegać od obowiązującego w naszym języku akcentu, ale tu, we Francji, mogłam sobie pozwolić na małą ekstrawagancję, wymawiając je tak, jak Francuzi - „Błaje”. - Wnuczka Józefiny. Jestem w Paryżu na kongresie i mam nadzieję na spotkanie z Madame, być bowiem w Paryżu i nie zamienić z panią choćby paru słów... byłoby grzechem. Tak więc, czy zechciałaby pani poświęcić mi dziś choć chwilę?

Po mojej przemowie w słuchawce na kilka sekund zaległa cisza. Doskonale wiedziałam, czym jest spowodowana. Pondula. Ulubiony guru Madame Podhoreckiej. „Pondula” - tak nazywała je starsza pani. Wahadelko. Mały przedmiot, który zawsze miała przy sobie. I jego właśnie pytała o zdanie we wszystkich niemal sprawach. W tej chwili, jestem tego pewna, sprawdzała, czy moja wizyta jest właściwym krokiem w jej życiowym przeznaczeniu. Jeszcze parę sekund i w słuchawce rozległo się radosne:

-Marina! Oczywiście! Koniecznie przyjdź do mnie na szklaneczkę wina! A może na kolację! Dziś wieczorem? - wesoło niemal śpiewała do słuchawki, mimo woli narzucając polskim słowom lekką śpiewność francuszczyzny. - Może o wpół do ósmej?

- Bardzo chętnie, Madame. Będzie mi bardzo miło - odrzekłam.
- Będzie u mnie Antoni Raczyński, miły lekarz z Poznania. Jest tu na jakimś kursie w instytucie. Jakies tam wasze skomplikowane sprawy diagnostyczne, nigdy nie mogę zapamiętać tych dziwacznych nazw medycznych. Mieszka u mnie, wieczorem powinien już być wolny. Zjemy razem kolację, a wy, medycy, porozmawiacie sobie o swoich sprawach - dodała.
- Tak więc - do zobaczenia wieczorem, Madame - odrzekłam. Usłyszałam „Ciao!” w słuchawce, nim ją odłożyłam.

Tylko tego było mi trzeba! Cały dzień wśród medycznej tłuszczy i wieczór zepsuty medycznym żargonem. Po co nam jakiś facet! Wiem, dla Madame młoda krew w domu to zawsze jakaś rozrywka, ale... Nie mógł sobie przyjechać kiedy indziej? Zdecydowanie wolałam mieć Madame wyłącznie dla siebie. Uwielbiałam jej cudowną, zwariowaną, mimo naprawdę wielu już lat, wciąż młodą duszę. Usiłowałam uczyć się od niej afirmacji świata, wolności sądu i wyboru własnej życiowej drogi. Zawsze miło było, choć chwilę, przyjrzeć się tej uroczej, żywotnej staruszce, która nigdy nie poddała się czasowi i konwenansom. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo były do siebie podobne z Petite. Gdyby znały się wcześniej, gdyby była tu jeszcze moja babcia Józefina... Aż miło pomyśleć, co czekałoby Paryż wzięty we władanie tych trzech szalonych starszych pań... A może -strach pomyśleć? Strach ogarnąłby bez wątpienia stryjka Emila, w jednej sekundzie bowiem zostałyby starte w pył jego poglądy *old fashion macho*. Chciałabym to zobaczyć!

Wróciłam do kuchni. Wszyscy siedzieli już przy stole i wcinali pyszne śniadanie. Musiałam się pospieszyć, żeby i dla mnie starczyło. To oczywiście żart z mojej strony, bo smakołyków nie zabrakłoby dla kilku jeszcze osób.

Lubiłam podróżować z wielu powodów. Uwielbiałam nawiązywać nowe znajomości, nasiąkać atmosferą nieznanymi dotąd miast, przyglądać się codziennym zwyczajom z życia ludzi i z życia ulicy, tego specyficznego dla każdego miejsca i pory dnia rytuału. Bardzo lubiłam podróżować! Także z powodu poznawania nowych smaków, nowych potraw, o których istnieniu jeszcze wczoraj nie miałam pojęcia, a które od dziś wpisywały się na listę tych ulubionych. Tak było, przed wielu laty, z zieloną sałatą w sosie *vinegrait*, croissantami i ciastkiem zwanym „rogiem gazeli” (tysiąc kalorii sztuka). Drzemała we mnie, podobnie jak w babci Józefinie, żyłka poszukiwacza przygód, samotnego trapera przemierzającego ostepy dzikiej puszczy, pirata mórz południowych... a realizowało się to wszystko na sposób leniwego i asekuracyjnego człowieka współczesnego -przez rozkosze stołu w eleganckiej restauracji, przez seanse filmowe, kiedy to zatopiona w fotelu, wyłączałam się z rzeczywistości i razem z bohaterami szukałam zaginionych skarbów, na namiętnej podróży w krainę książek skończywszy. Oczywiście podróżowałam też trochę po okolicy, tej najbliższej, ale i tej bardziej odległej. Na razie w obrębie naszego kontynentu, na nic więcej nie było mnie stać. Wciąż liczyłam jednak na wyprawę bardziej zbliżoną do oryginału z moich marzeń.

Na razie w miłej atmosferze kończyłam śniadanie. Wypoczęty Jean-Pierre opowiadał o pracy, dowcipkując na temat szefa, Sophie przypominała mamie o lekcji śpiewu, którą ma po zajęciach w szkole, a Mathilde, mimo swoich sześciu lat, już namiętnie czytała bajkę, pogryzając kawałek bagietki z nutellą. Marco zaś karmił Hectora kawałkami jabłka (obranymi, oczywiście, żeby żółw nie nabawił się niestrawności). Zapytał nagle głośno:

- Ciociu, wiesz dlaczego żółwie tak długo żyją?
- Dlaczego, Marco?
- Bo bardzo wolno chodzą - a po chwili dodał z mądrą miną i śmiertelnie poważnie: - Ale też dlatego, że są BARDZO ostrożne.

Wypowiedziałam pełne zrozumienia „aha” i uśmiechnęłam się do małego badacza żółwich obyczajów. Spojrzałam na nieletnią trójkę siedzącą przy stole. Każde z dzieci było inne. Wszystkie o dużym uroku (po matce i ojcu), stanowiły mieszankę cech obu rodziców, tak że trudno było powiedzieć, że jedno z nich jest wierną kopią któregośkolwiek z protoplastów. Każde miało jednak swój osobisty wyróżnik. Sophie marzyła o karierze śpiewaczki operowej, dzięki zabiegom Petite nieźle grała na fortepianie i знаła już małe fragmenty arii z *Aidy* i *Carmen*, które wyśpiewywała swoim ładnym, dziewczęcym głosem.

Mathilde wyrastała na typowego mola książkowego, nauczyła się czytać w wieku pięciu lat i od tego momentu czytała wszystko, co wpadło jej w ręce, poczynając od etykiet na konfiturach, na porzuconej niefrasobliwie na stoliku prasie codziennej kończąc („tato, co to znaczy: »złapany na seksie owalnym?«” - skonfundowany tato nie prostował drobnej zamiany „r” na „w”). Obecnie działała prężnie wewnętrzna komórka cenzury materiałów czytelnicych małej dziewczynki i musiała się ona zadowolić okazałym zbiorem literatury typowo dziecięcej.

Marco od chwili, gdy tylko zaczął mówić, nie pozostawiał wątpliwości, że mówić lubi. Drugą cechą, jaką dała poznać jego natura, był zmysł analityczny z zacięciem filozoficznym. Objawiało się to często w sytuacjach skazanych wyjściowo, wydawałoby się, na „normalność”. Bawiąc się na przykład z kolegą w ogrodzie, Marco zauważył za płotem, na przylegającej posesji, kobietę zbierającą truskawki z przydomowej plantacji. Natychmiast pełnym głosem po-

informował kolegę zaaferowany: „Michel, chodź szybko! Znalazłem człowieka!”. Od razu przypomina mi się Lecowskie krótkie, a jakże treściwe stwierdzenie: „Donos: Ecce Homo”. Marco podglądał świat, jak tylko mógł (i nie mam tu na myśli sceny w łazience), uczył się *per observatio*, jakie tym światem rządzą siły i radził sobie, jak potrafił najlepiej. Kiedy podczas zabawy w chowanego nie mógł znaleźć Petite, która mogłaby schować się do mysiej dziury, po prostu głośno wołał: „Chyba wyjdę na schody i zjadę po poręczy... i pewnie złamię sobie nogę...”. Dziwnym trafem Petite natychmiast znajdowała się. Sama. Jedynym wymiarem, który stanowił dla niego wielką tajemnicę był czas. Kiedyś przywitał mnie ze zrozpaczoną miną:

- „Ciociu, nieszczęście!” - drżącym głosem mówił już od progu. - „Ciociu, słońce zgaśnie, sam słyszałem! Mówili w telewizji!”.

- „Zgaśnie? Kiedy?” - sama zważyłam przez moment.

- „Za pięć miliardów lat! Co my zrobimy, jak nie będzie słońca?” - zamartwiał się maluszek.

Ech, ci inteligenci! Obciążenie dziedziczne inteligencją było w obecnym czasie w naszym kraju ciężkim schorzeniem, a jeśli do tego jeszcze pacjent cierpiał na wrażliwość i miewał ludzkie odruchy... to praktycznie nie miał szans na przeżycie. Ale Marco miał wiele szczęścia. Żył w miejscu, gdzie inteligencja i wrażliwość były w cenie i miał szansę nie wstydzić się ich, a wręcz rozwijać, ku chwale swojej francuskiej ojczyzny. A przecież żyliśmy na jednej planecie...

Czas upływał miło przy rozmowie. Ale jednak nieubłagane upływał, a obowiązki wzywały. Po krótkim prysznicu (samotnym - Marco obejrzał mnie raz i widocznie miał dość - trudno się dziwić, z mlekiem matki wyssał poczucie piękna), odrobina czarownie pachnącej mgiełki perfum na szyję, wygodne szerokie spodnie w stylu lat trzydziestych, biała koszula z kołnierzem *d la* Słowacki, chusteczka gawroszka (czyż nie jesteśmy w Paryżu) i... ruszamy na podbój Ogrodu Luksemburskiego. A potem - na kolejny dzień naukowy. Tak naprawdę o żadnym podboju nie myślałam, chciałam tylko znów pospacerować pięknymi alejami i zaciągnąć się zapachem bzów. „Żeby tylko dobroć sama, żeby

tylko radość pełna, żeby tylko bzów pęki i jaśminów...", nie pamiętam kto to powiedział, ale wiem dobrze, co miał na myśli. Uprzedziłam tylko Anne-Marie o mojej wieczornej wizycie u Madame. Słońce grzało jak szalone, co przyprawiało mój przyzwyczajony o tej porze roku do raczej umiarkowanych temperatur organizm o lekki niepokój. Kiedy wylatywałam z Warszawy, zostawiałam miasto zimne, skapane w strugach ulewnego deszczu, bez jakichkolwiek oznak nadchodzącej wiosny, gdy tymczasem tu... wiosna na całego! Czuło się już zupełnie inny klimat, choć przecież nie dzieliły nas aż tak duże odległości.

Mimo dość wczesnej pory, po ogrodzie spacerowało sporo osób. Zawsze bardzo lubiłam anonimowo zagubić się w tłumie. Mogłam zgadywać, kto jest kim, dlaczego tu przyszedł, bezkarnie odpowiadać uśmiechem na uśmiech, wiedząc, że to po prostu miły gest. Usiadłam na ławce pod wielkim krzakiem bzu, którego zapach otulał całą przestrzeń w promieniu kilku metrów. Zamknęłam oczy i pozwoliłam słońcu błędzić po mojej twarzy. Rozkoszne ciepło wzięło mnie w posiadanie i na kilka chwil odpłynęłam w krainę wiecznej szczęśliwości. Znow zobaczyłam tę piękną męską twarz, bijący z niej spokój i błękit głęboko osadzonych oczu... Delikatnie objęłam wzrokiem mocny zarys żuchwy i dołek w brodzie. Przecież nie cierpiałam dołków w brodzie! Ale w tym jednym przypadku... był to szlachetnie wyżłobiony i najbardziej urokliwy męski dołek w brodzie, jaki stworzyła Matka Natura. Co mi tam! Rzeczywistość dopadnie mnie czy tego chcę, czy nie. Tak pięknie jest siedzieć na ławce wśród paryskich bzów w kwietniowym słońcu i marzyć...

nawet, gdy to tylko nierealne marzenia. Niech choć przez moment będę szczęśliwa bez kresu, wartością bezwzględną szczęścia, jak mówiła Petite.

W pewnej chwili poczułam, że ktoś mi się przygląda. Szybko otworzyłam oczy. Przez moment patrząc pod słońce pomyślałam - o szalona! - że może moje marzenie przybrało realną postać. Ale nie. Na ławce po przeciwnej stronie alejki siedział chłopak, może dwudziestoparoletni. Siedział i wpatrywał się we mnie. Robił to w miły, niedeprymujący sposób, więc nawet nieznacznie uśmiechnęłam się. I znów zamknęłam oczy. Niestety, marzenia już uleciały. Pozostał dojmujący zapach bzów, a niech mówią, że banalny... mnie wydawał się skrajnie abstrakcyjny na początku kwietnia, a do tego - taki romantyczny... Uzmysłowiłam sobie, że być może w tym roku będzie mi dane przeżyć wiosenne kwitnienie bzów dwa razy. Przecież kiedy wrócę do Polski, za miesiąc, u nas zakwitną bzy...

Otworzyłam oczy i... zamarłam. Młody mężczyzna stał przede mną. Już chciałam zacząć krzyczeć, ale on, widząc widocznie moje przerażenie, wykonał przeproszający gest ręką i ładną francuszczyzną, z nieco dziwnym akcentem, powiedział:

- Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć. Jestem Ernesto Honorato Jose da Silva z Buenos Aires. Proszę o wybaczenie, że ośmieliłem się pani przyglądać z przeciwległej ławki, ale nie mogłem się powstrzymać - mówił językiem literackim, rzadko używanym w życiu codziennym. Typowe dla ludzi poznających język obcy w dobrej szkole, gdzie uczono nie tylko podstaw, ale i czegoś więcej.

- W rzeczy samej, nieco mnie pan przestraszył - odparłam, opanowując niepokój i siłąc się na ładny zwrot.

-Piękna wiosna! Jestem tu od dwóch dni i nie bardzo orientuję się w lokalizacji poszczególnych, wartych obejrzenia miejsc. Czy mogłaby pani powiedzieć, jak dotrzeć do Place de la Republique? Czuję się pani tu tak swobodnie, że pomyślałem, iż na pewno świetnie zna pani to miasto.

- Istotnie, co nieco wiem o Paryżu. Place de la Republique? Już tłumaczę...
 - A może miałyby pani chwilkę, żeby pospacerować ze mną po tym słynnym mieście i osobiście pokazać mi jego szczególne miejsca? - nieśmiało zapytał Ernesto.
 - Dziękuję za ufność w moją znajomość Paryża, ale niestety, to niemożliwe. Chętnie za to wytłumaczę, jak i gdzie dojechać. Z tym że lepiej zawsze mieć przy sobie mapę i poruszać się według niej, jeśli mogę radzić - odpowiedziałam z półuśmiechem.
 - Wiedziałem, że mi pani odmówi, ale musiałem spróbować... jestem prawnikiem, a my prawnicy nigdy nie poddajemy się bez walki - odparł.
 - Prawnik? Ciekawy zawód. Kim pan jest: adwokatem, prokuratorem, czy...
- Przerwał mi w pół zdania:
- Tak naprawdę to jestem na ostatnim roku studiów, ale nie mam pewności, czy chcę je ukończyć... i kim chcę być. Widzi pani, pochodzę ze starej prawniczej rodziny. Prawnikiem był mój dziadek, ojciec, wujowie... a ja... cóż, chyba nie mam wyjścia. - Wyczułam w jego głosie nutę rezygnacji.
 - Zawsze jest wyjście. Trzeba tylko odważyć się podjąć decyzję. Odważyć się, pomyśleć o innej możliwości i uwierzyć, że świat się nie zawali, jeśli pójdziemy swoją drogą -sama zaskoczona słuchałam „mądrości” wypływających z moich ust. Jakże łatwo dawać rady. Zdecydowanie trudniej je realizować. Wiedziałam coś i na ten temat.
 - Nie zna pani mojej rodziny...
 - Fakt, pana w zasadzie też nie znam. A co chciałby pan robić w życiu? - zapytałam z czystej ciekawości.
 - Proszę tylko obiecać, że nie będzie się pani śmiała! -błagalnie spojrzał mi w oczy spod swoich długich rzęs. Przyjrzałam mu się przez chwilę. Średniego wzrostu, szczupły i harmonijnie zbudowany. Miał ładne, ciemne oczy z wy-

razistą oprawą i dość solidny, rzymski nos. Ogólnie sprawia! sympatyczne wrażenie. Nie w moim typie, zresztą w mym obecnym stanie nawet dotychczasowy odwieczny faworyt, Sean Connery, miał dość nikłe szanse. Wszyscy mężczyźni mieli jedną podstawową wadę - nie byli Vitto Morgensenem. Wada duża, w zasadzie dyskwalifikująca już po pierwszym rozpoznaniu.

- Nie zamierzam śmiać się z niczyich marzeń, sama mam wystarczająco dziwne i nierealne marzenia - odrzekłam z powagą. - Słucham więc...

Nabrał powietrza w płuca i szybko wyrzucił z siebie trzy słowa:

- Chcę być mimem. - I zastygł w oczekiwaniu na moją reakcję.

Co mogło być śmiesznego w tym marzeniu? Według mnie - nic. Ale wczułam się w cały *entourage* towarzyszący tej historii. Szacowna prawnicza rodzina, ciesząca się estymą pośród całej śmietanki Buenos od dziesiątek lat, a tu, zamiast kolejnej perły do prawniczej kolekcji... mim. Taki wstyd! Czasem łatwiej podążać za marzeniem nie mając nic, niż mając wszystko, prócz wolności. Złota klatka, ale klatka. Popatrzyłam na chłopaka ze współczuciem.

- Ależ ja nie widzę w byciu mimem niczego śmiesznego. To znaczy, mim może mnie rozśmieszyć, jeśli tego chce, ale wyjściowo, jako człowiek, nie jest wcale śmieszny. Równie dobrze, jeśli tylko zechce, może doprowadzić mnie do łez. Pantomima to rodzaj sztuki, a żadna sztuka nie jest śmieszna *per se*.

- Naprawdę nie uważa pani tego za głupie, puste i śmieszne? Czy szanujący się człowiek może wykonywać taki zawód, nie narażając się na śmiech i lekceważenie? - pytał dalej.

- Oczywiście! Czy Liv Ullman, siedząc nieruchomo przed kamerą Bergmana i ukazując swą twarz w wiskiejskiej świątyni w *Personie*, jest śmieszna? Albo niegodna szacunku? Czy Pi-

casso, modyfikując obraz człowieka przez geometryczne podejście do niego, był śmieszny? Czy Charles Aznavour, łkając na scenie *Isabelle*, naraża się na utratę szacunku i budzi śmiech? - zapytałam.

- Nie. Nie, skądże. Pani naprawdę tak myśli! - Spojrzał na mnie tymi ładnymi oczyma, poderwał się na nogi i wykonał bardzo dobrze księżycowy krok, a w zasadzie taniec.

-Dziękuję. Naprawdę. Bardzo dziękuję - powiedział, kiedy wreszcie się zatrzymał. - Zastanawiam się tylko, czy zostać w Paryżu i zacząć kształcić się w tym kierunku. W Buenos chodziłem trochę na zajęcia z pantomimy, ale...

- Ja radzę wrócić do domu i dokończyć studia prawnicze. Jest pan na ostatnim roku. Na wypadek, gdyby romans ze sztuką okazał się czym innym, niż miał pan nadzieję. A dzień po zakończeniu studiów - wsiąść do samolotu i wrócić do tego magicznego miasta. Trudno o miejsce bardziej przychylnie artystom.

- Cieszę się, że przyszedłem dziś tutaj. Cieszę się, że panią spotkałem. Jeszcze jedna rzecz, o którą ośmielam się prosić.

- Tak? - trochę się zaniepokoiłam.

- Proszę jeszcze tylko pozwolić zrobić sobie zdjęcie, bo koledzy nie uwierzą mi, że spotkałem taką ładną Francuzkę, dobrze? - patrzył jak mały spaniel.

-Nie jestem Francuzką. Jestem Polką. U nas takich dziewczyn jak ja są tysiące! - odpowiedziałam nieco speszona, choć komplementy to dla kobiety zawsze miła rzecz. Jak powiedziała Magdalena Samozwaniec: „Mężczyźni powinni częściej mówić kobietom komplementy. Kosztują dużo mniej niż kwiaty, a sprawiają taką samą przyjemność”. -Bardzo proszę, nie mam nic przeciwko zdjęciu, ale wspólnemu. Ku chwale mojej ojczyzny.

Poprosił przechodnia o zrobienie nam zdjęcia, nawet trzech, dla pewności. Musiałam już iść na wykłady. Ernesto

skłonił się szarmancko, udał, że zbiera dla mnie bukiet kwiatów i po chwili wręczył mi go. Potem powoli, w półukłonie, oddalał się wciąż twarzą do mnie, udając, że jest podszczypany przez dworki, kąsany przez psy i komary, cały czas z pełną uwielbienia dworną miną. Rzeczywiście - był w tym niezły.

Ciekawe, czy jego marzenia się spełnią? A moje? Oboje byliśmy zawieszani w próżni. I oboje mieliśmy nadzieję, że to się kiedyś zmieni. I „jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie...”. Oby jak najszybciej.

Ruszyłam przed siebie. Miałam niewiele czasu na dotarcie na kongres. Ale tak naprawdę, nic a nic mnie to nie obchodziło. Wiosenne powietrze uderzyło mi do głowy. Świat jest taki piękny, a ja mam marnować czas na jakieś biadolenia bezzębnych starców na temat, czy strzępki jajowodu są zakrecone w lewo, czy w prawo. No, może z tymi starcami trochę przesadziłam, a już na pewno z tą ich bezzębnością. Ale nie zmienia to faktu, że nudą wiało na kilometr. Wpływ zielonego groszku odmiany West na odchodzenie wód płodowych sadzącej go ciężarnej. Kogo to obchodzi? Może by tak zdezerterować, choć na trochę? Miałam na to szaloną ochotę...

Już od dawna prześladowało mnie wrażenie, że mimo, iż uczciwie wykonywałam swoją pracę, zrobiłam doktorat w wieku dwudziestu ośmiu lat i szło mi całkiem nieźle w zawodzie, żyję jakby nieswoim, pożyczonym życiem. Ciągle odkładałam prawdziwe życie na później. Po doktoracie. Po stażu. Po specjalizacji. Później...

I wreszcie teraz dotarło do mnie, że dłużej się nie da. Już dłużej nie można zapełniać pustki działalnością naukową, charytatywną czy wypadami do kina z przyjaciółmi. Tłumaczyłam sobie, że jestem potrzebna, pożyteczna dla ludzi i środowiska naturalnego. Niestety, tak naprawdę... Zaczęło brakować mi pasji, takiej własnej, najbardziej osobistej, tylko

mojej. Tego co JA chciałam robić, choćby miało to być kompletnie niemądre i niepożyteczne. I głupie. Bez sensu. Bez przyszłości. Kompletnie niepraktyczne. I - aspołeczne. Całkowicie pozbawione wszelkiego moralnego przekazu. Coś, co byłoby nie moim obowiązkiem, ale co sprawiałoby mi niekłamaną prostą przyjemność. Na przykład - wagi w słoneczny dzień, wśród tłumu kręcących się z mrówczym zapachem turystów. Tak po prostu, iść przed siebie i patrzeć... oglądać świat i podziwiać jego urodę. Zachwycić się urokliwym czarem zakochanych małolatów biegnących w nieznane, dzieci kopiących dziury w piasku, żeby ukryć koralik czy klocek, poobserwować starszych ludzi przyglądających się życiu z parkowych ławek czy artystów wystawiających swoje prace nad Sekwaną. Po prostu BYĆ, nic więcej. Nie musieć myśleć o tych wszystkich ponurych problemach, o chorobach, o umieraniu. O nadal niewygranej batalii ze śmiercią, o znużającym poszukiwaniu antidotum na ból tego świata, o tych wszystkich cierpiących ludziach, których problemy tak często brałam na swoje barki i o tym, jak czasem nie mogłam ruszyć z miejsca, mając ich ciężar na sobie. Czulałam się czasem jak śmietnik, do którego wszyscy wrzucają to, co im wstrętne, co dla nich bolesne i trudne. Śmietnik na milion powodów doprowadzających do depresji. Wychodzili z mojego gabinetu pokrzepieni, czasem wręcz radośni. Z nadzieją, że jutro przyniesie może rozwiązanie ich problemów, z nadzieją, że nie są sami ze swoimi smutkami, że ktoś chce im pomóc w chorobie i troskach. „Tak lubię do pani przychodzić, od razu jest mi lepiej”. Słyszałam to tyle razy... A ja? Dusiałam się już w tej chorej atmosferze. Rozumiałam, że pewnie takie moje zadanie, po to tu jestem, ale czasem odbierało mi to chęć do życia. Ile można wytrzymać w takich warunkach? Ile ludzkiego bólu można przyjąć w ramach pracy w poradni? Mimo że modliłam się codziennie: „Boże, pozwól mi poznać siebie, bym

mogła poznać Ciebie", dojmujący smutek wpełzać zaczął i w moje życie.

I wtedy przyszło olśnienie. Najpierw muszę poznać samą siebie, zorientować się, kim jestem. Ja, Marina Błajet, lekarz medycyny, ale przede wszystkim - zwykły, normalny człowiek. Bo, jak często sama mówiłam, z zawodu jestem lekarzem, z zamiłowania - człowiekiem. I dopiero gdy uświadomiłam sobie cały głęboki sens tych słów, zrozumiałam, czego chce ode mnie Bóg, Natura, Los, jakkolwiek by nie nazwać tej siły. Czego chcę i ja sama. Po prostu - być człowiekiem. Mieć wady, ale i mnóstwo zalet. Bywać wściekłym jak zapędzony w matnię wilk i łagodnym jak oczy matki układającej dziecko do snu. Nie spać ze szczęścia i nie spać ze smutku. Patrzyć na piękne, młode ciała prosto z Hollywood i stare greckie kobiety siedzące przed chatami. Zachwycać się niezmierną, dojmującą potęgą i majestatem gór, i pozwalać obmywać rozgrzane słońcem ciało morskim, łagodnym falom. Cieszyć się światem ze wszystkimi jego przymiotami, pięknem, grozą, beztraską, szaleństwem. Mieć świadomość niedoskonałości innych, ale i swojej osoby. Widzieć piękno w zwykłych rzeczach, dostrzegając ich wyjątkowość. I mieć nadzieję, że Ktoś tym wszystkim kieruje z łagodnym, pełnym miłości uśmiechem, gdzieś z Ponadwymiaru. Ktoś z dużym poczuciem humoru. Bo przecież inaczej nie stworzyłby człowieka, który doznaje „abstrakcji zęba”, zdrowie ratuje w gabinecie fizjoterapeuty zabiegami „ultrajęków” (ultradźwięków), gdy czuje się osłabiony, kupuje w aptece tabletki „ze skrzepu i szerszenia” (ze skrzypu i żeńszenia) lub witaminowy preparat „Mostostal” (Multisanostol). I czasem bywa uczulony na streptomedycynę. I tu mu się nie dziwię. Aż chce się zacytować: „Człowiek, to brzmi dumnie”. Czasem dumnie, czasem durnie, a czasem po prostu -wesoło. Wszak „nic, co ludzkie, nie jest nam obce”.

Dźwięk komórki przywołał mnie do porządku. Gdzie ja jestem, kto ja jestem?

- Błajet, słucham? - odruchowo odebrałam po polsku.
 - Cześć, Marina! Co tam słyszeć w wielkim świecie? -głos szefa sprowadził mnie ostatecznie do rzeczywistości.
 - Doktor Marina Błajet melduje się do raportu. Czołem, panie generale! - w prostych, żołnierskich słowach przywitałam dowódcę. - Ano, nic ciekawego, poza tym, że kwitną bzy i wiosna jak marzenie...
 - Widzę, że was, koleżanko, w Paryżu wiosna interesuje najbardziej, a nie tematy naukowe - zaśmiał się do słuchawki - Wieżę Eiffla już widziałaś?
 - Szefie, codziennie mogę na nią popatrzeć, nie wychodząc z domu - odparłam. - A wracając do spraw naukowych, to właśnie pędzę na kongres. Przywiozę wam mnóstwo materiałów. Czego jak czego, ale materiałów ci u nas dostatek.
 - Przywieź, przywieź, materiały w językach zagranicznych, koledzy chętnie pooglądają obrazki. Tylko, żeby mi ładne kobietki na nich były, nie jakieś maszkarony. Cielęcín-ki, cielęcínki, kochana - żartował do słuchawki. Miał dziś dobry dzień, ciekawe dlaczego.
 - Wybiore najurodziwsze. Specjalnie dla pana doktora. Widziałam wczoraj Frau Leibnitz, ją też poproszę o zdjęcie dla pana. Z dedykacją. Wcześniej przekażę jej pańskie gorące pozdrowienia - powiedziała cicho, śmiejąc się do słuchawki.
- Czekałam na reakcję po drugiej stronie. Doktor Leibnitz była suchą, szkieletową kobietą, której natura poskąpiła kompletnie urody i kobiecej subtelności, ale zapomniała ją o tym uprzedzić. Frau Leibnitz uwielbiała kokietować mężczyzn w mało wybredny sposób, głównie siadając im na kolana i wbijając w ich mięśnie czworogłowe ud swoje kościste pośladki. Mojego ordynatora upodobała sobie szczególnie. Prześladowała go na kilku już spotkaniach tak, że biedak gnał jak oszalały w ciemny kąt, kiedy tylko jego niemiecka fanka pojawiała się na horyzoncie. A ona i tak, prędzej czy później, znajdowała go niczym Szarik Janka...

- Jeśli to zrobisz, Marina, nie pokazuj mi się na oczy! Albo zginiesz śmiercią gwałtowną! Ty też unikaj tej piekielnej baby. Może już nie jest hetero... - szef ratował się jak mógł. W powietrzu dało się wyczuć lekką panikę.

- Spokojnie, spokojnie, tylko żartowałam. Przypomnę sobie, czego uczono nas w szkole szpiegów i spróbuję pozostać niezauważona. Będę z bezpiecznej odległości przyglądać się z dziką rozkoszą, jak coraz to nowe hufce dręczone są wymyślnymi torturami naszej niemieckiej znajomej. I w duchu będę ryczeć ze śmiechu, patrząc jak kolejni faceci w pełnej konsternacji tracą wszelki rezon i nie mają pojęcia, jak wybrnąć z sytuacji. Ale jedną cechą u doktor Leibnitz podziwiam.

-A jakąż to? Duże stopy? Zgadłem? - dowcipkował już lekko zrelaksowany szef.

- Niestety, nie. Co wy, mężczyźni, wiecie o naszej naturze? Podziwiam ją za to, że nigdy się nie poddaje. Musi pan przyznać, że pod tym kątem patrząc, wyjątkowo twarda z niej sztuka. Nie zraża się i prze dalej jak taran. Może tylko nie w tej materii co trzeba wykazuje upór. Kwestia priorytetów - dodałam po chwili.

- A dziękuję ci bardzo za tę jej zaletę! Tobie nigdy nie siedziała na kolanach! - rzucił ze śmiechem do słuchawki. -A tak poważnie, gdyby były przedstawiane jakieś prace Ver-forta, proszę, przywieź mi.

-Jasne. Będę pamiętać. A wracając do spraw w „starym kraju”, jak czuje się pani Kowalska po naszej histerektomii z przebojami? - zapytałam już serio.

- Już dobrze. Wczoraj był urolog i nie miał zastrzeżeń. Wszystko powoli wraca do normy. Cewnik kazał jeszcze utrzymać do pięciu dni. Mocz czysty, perystaltyka wraca do normy. Dobrze będzie, nie martw się, kruszynko - lubiłam, kiedy tak mnie nazywał.

W rzeczy samej, wśród solidnie zbudowanych lekarzy mojego oddziału mogłam uchodzić za kruszynkę. Jak dobrze

mieć odpowiednie tło, przy facetach postury Connana Barbarzyńcy mogłam z moimi 160 centymetrami śmiało uchodzić za elfa. Ach, świat taki wielki, a ja taka malutka... Wolę nie myśleć, jaką ripostę szykowałyby niektóre moje znajome, gdybym odważyła się głośno wypowiedzieć to ostatnie zdanie. Ani chybi padłoby Hemarowskie „Onaż mała? Onaż krowa!”. Przy czym o zbieżności z przedwojennym szlagierem wiedziałabym tylko ja. Ech, co mnie to wszystko obchodzi! Szef poinformował mnie jeszcze, jak bardzo mi zazdrości wiosny, bo za jego oknem szaro i ponuro, a wietrzysko duje od wczoraj... Kiedy wspomniał o wietrze, przypomniałam mu historię pewnego nocnego dyżuru w podobnie ponury czas. Otóż w środku nocy, doglądając jakiegoś ciężkiego przypadku, szef siedział w dyżurce położnych i przeglądał historie choroby. Na oddziale cisza, słychać równe oddechy śpiących kobiet. Tu skrzywnie łóżko, tam delikatnie zaszura-ją buty położnej kontrolującej sytuację. Za to za oknem świszczę przejmujący wiatr... W pewnej chwili ciszę rozdziera krzyk jednej z pacjentek:

- Doktorze! Doktorze!

Ordynator zrywa się z fotela i mało nie pogubiwszy butów, biegnie na łeb, na szyję do sali, z której dochodzi krzyk. Wpada i widzi siedzącą spokojnie w łóżku ciężarną pacjentkę, absolwentkę szkoły specjalnej, która patrząc ze stoickim spokojem prosto w jego oczy, szpiegowskim szeptem mówi:

- Doktorze! Ale wieje, co?

- Rzeczywiście, pani Kropa, wieje jak jasna cholera -spokojnie, powstrzymując się od „cieplejszych” słów, powiedział szef. - A tak poza tym, wszystko w porządku?

- Ależ oczywiście! Co niby miałyby mi się dziać? - usłyszał odpowiedź okraszona szczerze zdziwionym spojrzeniem niewinnych oczu.

Pacjentka owa zasłynęła później stwierdzeniem, które wygłosiła na jednej z wywiadówek swoich, chodzących rów-

niez do szkoły specjalnej, pociech: „Sama jestem absolwentką tej szkoły i cieszę się, że dzieci mogą kontynuować rodzinną tradycję”. Przypomniałam szefowi o historii pani „Wietrznej”, roześmialiśmy się i tym wesołym akcentem -pożegnali.

Znowu mogłam wrócić do spaceru i bzów. I marzeń. Snułam się alejkami i po prostu byłam.

Wdychałam zapach wiosennej radosnej ekscytacji, patrzyłam na to całe życie ludzkie rozgrywające się wokół, niezależnie od mojej osoby, moich humorów, smutków, radości i kochałam je za to. Ze spokojem obserwowałam mijających mnie ludzi, bezkarnie oglądałam ich twarze, stare, młode, szczęśliwe, zamyślane, nieobecne, mając pełną świadomość, że i moja twarz podlega ciągłej, ale bezpiecznej, spowodowanej zwykłą ciekawością świata inwigilacji. W życiu jak w kinie...

Przez moment wydawało mi się, że na ławce kilka kroków dalej siedzi Vitto. Taki sam ładny kształt głowy, włosy sięgające ramion. Już miałam podbiec, kiedy podniósł się z ławki i odwrócił. Brodaty mężczyzna o miłej twarzy. Nie on. Wiele razy łapałam się na tym, że zauważałam u mężczyzn drobne szczegóły, które mogły mi przypominać tego wyjątkowego dla mnie człowieka. Ktoś miał podobny chód, postawę, ruch ręki... Podobne... jedynie podobne. Czasem czerpałam z tego radość, choć przez chwilę bowiem znów zanurzałam się we wspomnieniach, a czasem czułam jedynie dojmujący ból. Słońce wyrwało mnie z rozmyślań. Zrobiło się naprawdę ciepło. Jakże ucieszyłam się widząc niewielki wózek z lodami. Pierwsze w tym roku lody na świeżym powietrzu! Za „skromną opłatą” nabyłam dwie gałki lodów miętowych z kawałkami czekolady. Pierwszy raz jadłam je tu, we Francji, wiele lat temu, i była to miłość od pierwszego wejrzenia, a raczej od pierwszej łyżeczki. Pyszny miętowy smak z jeszcze słodszyimi wiórkami czekolady rozlał się po moich kubkach smakowych. Pełnia szczęścia. Dla kubków smako-

wych. Ale i mnie sprawiło to dużą frajdę. Szkoda tylko, że nie ma tu trzech tygrysów...

Właśnie rozkoszowałam się w najlepsze, gdy znów zadzwoniła komórka. No nie! Teraz?

-Marina Błajet, słucham? - rzeczowym tonem powiedziałam do słuchawki.

- Cześć, Marina, to ja, Patrycja - usłyszałam niezbyt wesoły głos po drugiej stronie.

-Hej, Patrycja, miło cię słyszeć. Ale uprzedzam, że ta rozmowa będzie mnie drogo kosztować. Jestem w Paryżu na kongresie.

- O rany! Jestem załamana! - jęknęła do słuchawki Patrycja. - Kompletnie załamana. Jarek traktuje mnie jak wór skórno-mięśniowy, jakbym wcale nie była kobietą. A JESTEM!

- Czemu mnie jakoś to nie dziwi? Przecież już dawno mówiłam ci, że z tej mąki chleba nie będzie. Może wreszcie to cię otrzeźwi! - już czułam, jak mimo lodów zaczynam gotować się w środku.

Patrycja, którą znałam od podstawówki, wikłała się w coraz to nowe, ale za każdym razem równie chore związki. Nieraz już dzwoniła do mnie zaryczana, kiedy zostawiał ją kolejny „towarzysz podróży”. Opowiadała mi szczegółowo całą historię i zaklinała się, że nigdy więcej nie będzie taka głupia. Mijał miesiąc i znów z kimś była. Na trzeciej randce szła z nim do łóżka, nie wątpię, że było fantastycznie, ale... ze względów emocjonalnych kompletnie niehygienicznie. Nim nawiązali jakkolwiek głębszą więź między dwojgiem myślących i czujących istot, już było po deserze. Facet przyzwyczajał się szybko, że może ją mieć na każde zawołanie, nie dając z siebie wiele w zamian. Do tego dokładała się jej męcząca cecha natychmiastowego owijania się wokół gościa jak bluszcz i życia jego życiem. Gotowania obiadów po miesiącu znajomości i notorycznego wiszenia na telefonie z pytaniem: „Kochasz mnie,

pieseczku?". Żaden facet tego nie wytrzyma. Ktoś zaczyna kraść mu jego własne życie, a w posagu wnosi ciepłe obiady, seks na żądanie i kompletny brak własnej osobowości. Słowem - nuda. Po prostu - nuda.

- Aleja go kocham! Ja nie mogę bez niego żyć! Nie rozumiesz? - łkała. - Co ja mam zrobić, Marina? On potrafi całe popołudnia i wieczory leżeć przed telewizorem i pić piwo. Teraz już nawet nie ma szczególnej ochoty na seks. Usiłuję z nim rozmawiać, że źle się między nami dzieje, a on mówi, że przesadzam. Ja już nie mogę tak dłużej...

- Uspokój się Pati, tylko spokój może nas uratować - to, co chciałam jej powiedzieć naprawdę, w tej chwili nie miało racji bytu. Była zbyt roztrzęsiona, by, choć odrobinę, trzeźwo i racjonalnie myśleć. Musiałam jej jednak coś poradzić i jakoś pocieszyć, by dotrwała do mojego powrotu. A potem to chyba zaprowadzę ją do psychoterapeuty, bo inaczej ja sama zwariuję.

- Patrycja! Weź się w garść, wszystko będzie dobrze, tylko powoli musisz opanować emocje. Wiesz, w każdym związku bywają trudne chwile. Może trochę rozłąki dobrze wam zrobi. Jedź do mamy, odpocznij w domowych pieleszach. Wśród bliskich łatwiej podładować akumulatory. A potem - pogadamy...

- Matko, Marina! Ty naprawdę myślisz, że będzie dobrze? Tak myślisz? - w jej głosie pojawiła się nuta nadziei. Pati czepiała się jak tonący brzytwy każdej najmniejszej nitki nadziei na normalne, w jej pojęciu, życie. Już dawno powinna choć trochę zrewidować swoje poglądy, ale... mimo magisterium z ekonomii w swoim życiu popełniała koszarne i ciągle te same błędy. Jak nasi ekonomiści w rządzie.

-Jakkolwiek będzie, będzie dobrze, nie martw się. Nie takie rzeczy przetrzymałaś. Zobaczysz, powolutku i spokojnie uporamy się z tym wszystkim - w duchu dodałam „przy fachowej pomocy terapeutycznej”.

- A jeśli on mnie zostawi? Jak ja będę żyć sama? W tym roku kończymy trzydzieści lat. Nie dwadzieścia. Trzydzieści! Marina, trzydzieści! Ostatni dzwonek! Nie rozumiesz?! -w jej głosie wręcz wyła panika.

Patrycja była fajną dziewczyną, zasługiwała na coś lepszego w życiu. Musiałam jej pomóc, ale miała sporo do przemyślenia. Wszystko wikłała jej wręcz patologiczna niemoc do bycia samej, w pojedynkę. Zawsze musiała być z kimś. Nienawidziła samotności do tego stopnia, że czasem miałam wrażenie, iż godzi się na cokolwiek, kogokolwiek, byle nie być samą. Moje tłumaczenia, że to prowadzi donikąd, zupełnie lekceważyła. W chwili złości zarzucała mi, że jestem zazdrosna, bo sama nikogo nie mam.

Fakt. Bardzo ostrożnie doбираłam sobie towarzystwo. Już dawno miałam za sobą etap chodzenia dla chodzenia i już dawno odkryłam, że samotność we dwoje lub bycie z kimś, kogo nie kochasz całym sercem, są dużo gorsze niż bycie w pojedynkę. Samotność w porównaniu z wieloma rzeczami, których doświadcza się w chorym związku, może wręcz wydać się rajem. No, może z tym rajem trochę przesadziłam, ale nie była na pewno więzieniem i niewolnictwem. Ba, mogła być nawet bardzo pożyteczna. W samotności człowiek ma czas na nieskrępowany rozwój własnej osoby. Może wsłuchać się w siebie, przynajmniej ma szansę. Może uczyć się czego i kiedy chce, może mieć tylko własne plany i może dorastać swoim własnym rytmem, pozwalając sobie na wszystkie etapy rozwoju. Nie musi na przykład w wieku szesnastu lat służyć zapleczem seksualnym koledze ze szkolnej ławki, który, jako legalny chłopak, domaga się dowodu miłości. Myślałam, że ten słynny w „moich” czasach dowód miłości to już relikwiarz przeszłości, ale urocze, młode pacjentki z przyklinicznej poradni wyprowadziły mnie z błędu. Załamywała mnie kompletna bezwolność dziewczyn, które do spraw seksu podchodziły często dramatycznie niefrasobli-

wie. Tak, jakby były przedmiotami codziennego użytku, bez cienia szacunku dla najintymniejszej istoty ludzkiej egzystencji. Miłość ogołocoła całkowicie z jakiegokolwiek magii. Czysta publiczna użyteczność. *It's no big deal*. Ach, ta nieznośna lekkość bytu... gdzie czas na „dziewczęcość”? Na „dziecięcą dziewczęcość”, na czytanie Jane Austin, Musiero-wiczowej, sióstr Bronte, na naiwną wiarę, że świat jest dobry i miłość wszystko zwycięży.

Mimo pewnej weryfikacji życiowej, chyba wciąż, gdzieś w głębi duszy w to wierzyłam... a przynajmniej miałam nadzieję, że cuda się zdarzają. To dawało mi jeszcze nadzieję i napęd, żeby wstać rano z łóżka. I zgadzałam się, pomimo wszystko, z Somersetem Maughamem, który mówił: „Śmieszna rzecz z tym życiem. Jeśli zgadzasz się tylko na najlepsze, bardzo często to dostajesz”. Na niwie zawodowej, przynajmniej na razie, sprawdzało się nieźle. Gorzej było z miłością... ale wiedziałam, że akurat w tej materii nie ma miejsca na kompromisy. Może przyjdzie mi jeszcze długo czekać. Boże, spraw, żeby to był Vitto! Proszę, błagam! Vitto Morgensen! Sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, najpiękniejsze na świecie błękitne tęczaówki, ciemne, proste włosy sięgające szyi, twarz posagowo piękna i te podniecające, męskie ręce i ramiona, w których chciałoby się zamknąć na wieczność. Człowiek, który dopełniał moją powikłaną duszę. Moja druga, magiczna połowa! To ten, Boże, to ten!...

I w tym momencie zdałam sobie sprawę z tego, jak, mimo wszystko, obie z Patrycją jesteśmy podobne. Obie goni-my za marzeniem i czepiamy się cienkich jak babie lato nitek nadziei. Że szczęście jest tak blisko... że to, co złe, to nieprawda, pomyłka, nieporozumienie. Mężczyźni mogą leżeć na kanapie z puszką piwa albo pokazywać się na premierach z innymi kobietami, a my, dwie idiotki... ciągle niepoprawnie pełne nadziei. Może po powrocie obie powinnyśmy pójść na terapię?

Wróciłam do rozmowy.

- Patrycja, głowa do góry! Nie martw się tyle, bo cię zjedzą motyle - starałam się rozbawić ją (i siebie, po trosze) naszym powiedzonkiem z dzieciństwa. - Niedługo wracam i wtedy pogadamy. Staruszek, kończmy, bo stracisz majątek!

- Szkoda, że cię nie ma na miejscu. Muszę się wygadać, bo mi łeb eksploduje! Może Elka jest w domu? Zadzwoń, Marina, jak tylko wrócisz. Dzięki za dobre słowo. Masz rację, wszystko jest g... z wyjątkiem moczu. Trzniam na to wszystko! Chyba kupię tort węgierski i ptasie mleczko, na-żremy się z Elką słodkiego i od razu będzie mi lepiej. Tortu nie da się jeść do lustra... Cześć, mała. Wracaj prędko!

- Cześć Pati! Trzymaj się ciepło! Po powrocie zadzwonię do ciebie! Pa! - zakończyłam rozmowę. Z Patrycją dzieliło nas wiele rzeczy, od podejścia do seksu począwszy, na jej miłości, a mojej nienawiści do tortu węgierskiego, skończywszy. Ale jednak znałyśmy się i lubiłyśmy od tyłu już lat, że takie drobne różnice nie miały żadnego znaczenia.

Włożyłam komórkę na dno torebki. „Cisza na planie!” - rzuciłam jej w myśli. Wciąż nie mogłam otrząsnąć się z rozmowy z koleżanką. A tak mi było miło... i komu to przeszkadzało? Czułam się wypompowana z energii po tych paru minutach rozmowy. Zamknęłam oczy i usiłowałam się odprężyć. Powoli wróciła do mnie woń bzów, szmer rozmów w języku Moliere na sąsiedniej ławce, spokój i ciepło płynące z miejsca, w którym się znajdowałam. Nie broniłam się ani przez chwilę i dałam się uwieść tej atmosferze, ładując akumulatory.

Spojrzałam na zegarek. Za kilkanaście minut rozpoczynały się prelekcje. Miałam do wyboru, przyspieszyć kroku i względnie zdążyć na czas albo odpuścić sobie wykład i zażyć jeszcze wolności w promieniach słońca. Wybór był pro-

sty. Ruszyłam lekkim krokiem w stronę Notre Dame. Paryż miał na mnie dziwny, leczniczy wpływ. Już kiedyś przyjechałam tu „lizać rany”.

Po nieszczęsnej historii z Pawłem byłam strzępką nerwów i perspektywa wyjazdu do Paryża nęciła mnie tyle, co piranię kanapka z masłem orzechowym. Wtedy zresztą nic na świecie nie mogło sprawić mi jakiegokolwiek przyjemności, tak mi się przynajmniej wydawało. Musiałam tu przyjechać w związku ze sprawami zawodowymi. Wyjazd był już opłacony, nie było sensu go odwoływać. Tak więc, cóż, pojechałam. Bez nadziei na cokolwiek, byle tylko przetrwać i móc znów po powrocie położyć się do swojego łóżka i zanurzyć we wspomnieniach, które odbierały mi życie. Taka mniej drastyczna forma samobójstwa, na raty... Na nic więcej nie było mnie wtedy stać. Pojechałam i... wróciłam odmieniona. Paryż uratował mi życie. Stało się to jakby przypadkiem. Samoistnie. Atmosfera tego miejsca miała w sobie magiczne, terapeutyczne działanie. Ustawiała sprawy na właściwych miejscach i, jakby od niechcienia, nadawała im właściwego wymiaru. Niepostrzeżenie. Tak było i tym razem. Tu także tęskniłam za Vitto, ale miało to jakiś względnie normalny wymiar. Nie było w tym tej patologicznej, rozdzierającej serce rozpacz, która nękała mnie wcześniej. Paryż był jak plaster miodu na moje serce. I postanowiłam cieszyć się tym świadomie i z pełną premedytacją. W pobliżu katedry Notre Dame jak zwykle kręciło się wielu turystów. To przecież sztandarowe miejsce Paryża. Sama pamiętam swój „pierwszy raz” z Notre Dame. Zimowe przedpołudnie i my, dziewczyny z Polski, śpiewające we wnętrzu tej wielkiej świątyni kolędy. Miałyśmy zapewniony wikt u goszczących nas francuskich rodzin, w kieszeni po pięć dolarów na „czarną godzinę” i, prócz wzniosłych marzeń w głowie, ogromną ochotę na atrakcje nieznanego

nam, wielkiego świata. Tęsknym wzrokiem patrzyłyśmy w kierunku kafejki przy katedrze, obserwując ludzi wchodzących na kawę czy grzane wino. Wszystkie chciałyśmy wejść do środka, zamówić choć herbatę, ale nie znając cen w takich miejscach i biorąc pod uwagę realnie skromne środki, wolałyśmy uniknąć kompromitacji. Bezpiecznie było z pewnej odległości patrzeć i marzyć. I chyba Najwyższy, widząc nasze śmieszne położenie, zesłał nam dobrych ludzi w osobach nieznanym nam kobiet. Starsze panie wysłuchawszy naszego koncertu kolędowego, wzruszone dźwiękami polskich pieśni na obczyźnie, zaprosiły nas (w liczbie czterech dziewczyn) na grzane wino. Mimo że smak miało nieszczerólny, spędziłyśmy tam wyjątkowy czas. Siedząc w prawdziwej francuskiej kafejce z widokiem na Notre Dame, przeżyłyśmy my, ubogie krewne, swoje małe „pięć minut”. Poczuliśmy się prawdziwymi Europejkami i, choć trwało to tylko chwilę, uczucie to zostało w nas na wiele kolejnych lat.

Minęłam wypełniony turystami plac przed katedrą, lśniący złoceniami Palais de Justice i skierowałam się w stronę Luwru. Urok paryskich spacerów polega również na tym, że niemal każdy metr przypomina, w jak niezwykłym mieście jesteśmy. Sekwana płynęła leniwie po mojej lewej ręce. Kiedy obserwowałam przepływające *bateau*, byłam, chcąc nie chcąc, świadkiem całej urody paryskich mostów i tego wszystkiego, od czego dzieliła mnie ciemnozielona toń. Słońce odbijało się od dachów Musée d'Orsay, a ja szłam zamyślona i zapatrzona, cudem unikając kolizji z idącymi z naprzeciwka ludźmi.

Skrećiwszy w prawo, weszłam na dziedziniec Luwru. Piramidy, dziwne jak na tę okolicę świata, nonszalancko błyszcząły i wyzywająco kusiły, żeby do nich podejść. Bez trudu odparłam tę pokusę i ruszyłam do wejścia. Ilekroć byłam w Paryżu, obiecywałam sobie, że spędzę tu ze dwa dni,

by, choć z grubsza, pobieżnie, zorientować się i nasycić różnorodnymi ekspozycjami. I tym razem spełzło na niczym, znów miałam niewiele czasu. Chciałam choć przywitać się z moimi ulubionymi eksponatami. O poszerzaniu wiedzy nie wspomnę. Kiedyś przyjadę na dłużej, a wtedy nie wyjdę stąd przez tydzień! Marzeniem byłoby studiować tu historię sztuki i móc w każdej chwili, na własne oczy, oglądać wszystkie te cuda światowej klasy, dzieła, które na trwałe wpisały się do wielkiej księgi najpiękniejszych wytworów umysłu i rąk ludzkich.

Najbardziej lubiłam kolekcje starożytne. Zostało mi to z czasów, kiedy chciałam zostać archeologiem. Bo któż nie lubi sycić oczu pięknem płócien pokrytych wizjami najznakomitszych na przestrzeni ostatnich kilku stuleci twórców, zwłaszcza gdy do czynienia ma z oryginałami! A było co oglądać! Ruszyłam w stronę galerii artystów flamandzkich. Jedyne Giocondę ominęłam szerokim łukiem. I tak była obleżona przez turystów robiących, mimo zakazu, zdjęcia. A poza tym - nigdy nie robiła na mnie wielkiego wrażenia.

Ledwie weszłam, już musiałam wracać, czas biegł nieubłaganie. Jeszcze zatrzymałam się przed rzeźbą, dla której tu właściwie przyszłam. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam ją nie na kartach książki, skąd znana mi była od trzeciej klasy szkoły podstawowej, ale w naturze, doznałam niemal mistycznego uczucia. Patrzyłam na nią, stojącą u stóp schodów i nagle zdałam sobie sprawę z tego, jak daleką drogę przebyłam od mojego z nią spotkania na kartach *Mitów greckich* Wandy Markowskiej do owego dnia, kiedy zobaczyłam ją na własne oczy. NIKE Z SAMOTRAKI. Ideał mojego archaicznego wewnętrznego świata. Kwintesencja antycznego piękna i dramatycznego przesłania. Kanon, ikona mojego dzieciństwa. Personifikacja marzeń. Coś realnie istniejącego, a jednak - nie z tego świata...

***Ty jesteś jak paryska Nike z Samotraki,
o miłości nieuciszona!***

***Choć zabita, lecz biegniesz z zapalem jednakim
wyciągając odcięte ramiona.***

Wiersz Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej przypomni mi się zupełnie bezwiednie. I doskonale komponował się z rzeczywistością. Tą prawdziwą, posągiem stojącym przede mną i tą, którą nosiłam w swoim sercu... Cóż, podobnie jak i Nike, nadaję się tylko do muzeum! Ach, dlaczego nie mogę zamknąć się w świecie, w którym wśród posągów, fresków, starych skorup i woluminów mogłabym być szczęśliwa. .. Od zawsze czułam się lepiej wśród książek i dzieł sztuki niż wśród ludzi, a tymczasem wylądowałam w samym epicentrum ludzkich problemów i smutków. Były też radości, ale wszystko w zdecydowanie zachwianych proporcjach. Na pożegnanie musnęłam, niby niechcący, biel posągu, szepcząc „do zobaczenia” i postanowiłam, acz niechętnie, wrócić do kongresowej rzeczywistości, która ciążyła mi jak kamień u nogi.

Zrobiło się już prawie południe, czas był wielki, żeby pojawić się w rejonach naukowych. Nim weszłam do jaskini lwa, postanowiłam dodać sobie otuchy. Kolejne lody miętowe. Tym razem z gałką waniliowych. Pycha! Lizałam je z prawdziwą rozkoszą, aż idący z naprzeciwka chłopak filuternie się uśmiechnął. Co mi tam! Po prostu lubię lody w ciepły, słoneczny dzień. I tyle.

Byłam właśnie w połowie sporej w końcu (trzy gałki) porcji lodów, kiedy znów zagrała komórka. No nie! Czy oni uwzięli się dziś na mnie?! Kiedy jestem w kraju to jakoś rzadziej dzwoni ten paskudny telefon. Ledwie wyjadę i kupię sobie lody, już... natychmiast ktoś czegoś chce! Nie odbieram! Mowy nie ma! Natarczywy dźwięk prześladował mnie parę sekund, nim zdecydowałam się odebrać.

Żałowałam, że

nie mam opcji wyświetlania numerów. I tak cud, że w ogóle mam komórkę.

- Halo, Marina Błajet, słucham? - czekałam, czyj tym razem głos odezwie się w słuchawce. Pewnie znów Patrycja, może nie zastała Elki w domu.

Wyczułam lekką konsternację po drugiej stronie i po chwili usłyszałam w słuchawce:

- ***Hello, Marina! How are you!*** - wypowiedziane głosem, który sprawił, że ugięły się przede mną kolana. „Fil be your dream, I'll be your wish, I'll be your fantasy... I'll be your hope, I'll be love, be everything that you need...”* zagrało mi w głowie. Boże wielki, to ON! Vitto! Przez chwilę kompletnie odebrało mi mowę i rozum chyba też, powiedziałam bowiem po polsku:

- A dziękuję, w porządku - co ja gadam! Szybko przeszłam na angielski:

- Cześć, Vitto, miło, że dzwonicz. Dziękuję, u mnie wszystko w porządku. A ty, jak się masz? - powiedziałam, siląc się na całkowite opanowanie, choć serce waliło mi jak młotem.

-U mnie też wszystko OK. Jestem teraz u dziadków w Danii. Wiesz, nie ma jak w domu. Choć urodziłem się w Ameryce, czuję jakiś sentyment do starego kraju mojego ojca. Pewnie tak właśnie odzywają się duńskie geny. Tutaj ludzie żyją jakby prawdziwiej, a poza tym, przypomniałem sobie to zdanie, które kiedyś mi powiedziałaś: „Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”.

Postanowiłem więc zadbać i o to, co takie kruche.

- Więc jednak pamiętasz co nieco z naszych spotkań -nie mogłam odmówić sobie odrobiny złośliwości.

-Marina, wszystko pamiętam, każdą sekundę i każdy twój uśmiech - powiedział czule. Tak mi się przynajmniej

„Będę twoim marzeniem, będę twym życzeniem, fantazją twą... Będę twoją nadzieją, miłością będę twą... wszystkim, czego ci potrzeba...”.

wydawało. Ma drań tupet! Ciekawe, czy pamięta też inne uśmiechy, o których piszą w gazetach. - Dzwonię do ciebie, bo za tydzień będę w Warszawie. Mam wystawę w galerii „Pod wifizką” - ta „wifizka” rozbawiła mnie nieco i już pozwoliłam sobie na trochę luzu. - Chciałbym bardzo zobaczyć znów twoje rozwichrzone włosy...

- Jeśli tylko włosy, mogę ci przysłać pukiel w kopercie -zaśmiałam się, łapiąc go na nieściśności.

- Włosy i całą resztę ciebie. Przecież wiesz... - ten ciepły, męski głos docierał do moich uszu i zagnieżdżał się w każdym zakamarku mojego mózgu. Znów czułam, jak poddaję się niemal bez walki... dopiero dziwna lepkość i wilgoć w mojej ręce przywołała mnie do rzeczywistości. Lody, które wciąż trzymałam w dłoni przypominały cieknącą breję. Ale jakież to miało teraz znaczenie!

- Marina, jesteś tam? - rozległ się zaniepokojony głos Vitto.

- Jestem, oczywiście, że jestem. To mówisz, że się za mną stęskniłeś? „Paroles, paroles, paroles, encore des paroles...” - zanuciłam mu kawałek przeboju Dalidy.

Nie chciałam robić mu wymówek przez telefon. Przecież nie ma obowiązku tłumaczenia się ze swoich kroków. Naprawdę nic nas nie łączy, prócz światła księżyca... pomyślałam.

-Widzę, że nie trafiłem na twój dobry humor... szkoda. Naprawdę tęsknię za tobą... Wczoraj księżyc świecił tak nieskazitelnie, że pobiegłem po jego świetle do ciebie, nie czułaś tego?... Szukałem cię nad strumieniem... wołałem...

Na chwilę zapało mi dech. To niemożliwe. To nie dzieje się naprawdę. Nie można śnić razem tego samego snu...

- Ależ ja tam byłam, nad tym strumieniem w cieniu starych... - szukałam angielskiego odpowiednika - ... lip! Widziałam cię, jak wynurzałeś się z wody i wołałeś moje imię... Też wołałam do ciebie, ale ty nie słyszałeś, patrzyłeś w inną stronę... - kompletnie odsłoniłam gardę...

- W cieniu starych lip?! Ty tam naprawdę byłaś! Boże, to niemożliwe! - w jego głosie, tak zawsze spokojnym, brzmiało prawdziwe zaskoczenie i... radość. - Muszę cię szybko zobaczyć! Jak ja wytrzymam tydzień?

- To przyjeźdź szybciej! - wyrwało mi się.

- Przyjechałbym już dziś, ale jutro mam wystawę w Paryżu. Muszę tam być, mój *marchand* twierdzi, że to bardzo ważne...

- Ależ ja właśnie jestem w Paryżu! Jutro wieczorem wracam do Polski! - wykrzyknęłam do słuchawki.

- Nie żartuj! Naprawdę? Jakie to szczęście! Zdamy się zobaczyć? Choćby przez chwilę? Jeśli dasz radę, proszę, przyjdź na Rue du Bac do Galerie de la Tristesse. Przylatuję w południe. Czekam na ciebie około siedemnastej, będziesz? - w słuchawce zapadła na moment cisza. - Będziesz? - powtórzył z nadzieją. - Proszę...

- Postaram się przyjść. Spróbuję. Obiecuję - powiedziałam ciepło. - Muszę się tylko jakoś wyrwać z kongresu... -niech sobie nie myśli, że pół dnia będę nieprzytomna z wrażenia i że nie będę mogła doczekać się popołudnia, choć ja doskonale wiedziałam, że tak właśnie będzie. - To, do zobaczenia jutro.

-Do jutra! Będę czekał. I śnił... *A demain!* - dodał po francusku. Pięknie mówił kilkoma językami. I cały był niezwykły. Tak chciałam, żeby był mój...

- Do jutra! Śnij jak najpiękniej! - powiedziałam. -Marina! Będziesz? Snu granica taka cienka... nie chciałbym, by na jawie powtórzyło się to, co we śnie... - zabrzmiało jeszcze w słuchawce.

Ach, ty mój romantyku! Już zaczynałam rozplływać się jak lody w mojej dłoni...

- Poczekaj do jutra, a sam się przekonasz: co snem, co jawą... Do jutra, Vitto! - skończyłam pierwszą rozmowę, choć przecież chciałam, by trwała wiecznie. Ale już jutro... „Oczekiwanie jest kształtem nadziei, pięknem nadziei...”.

Minęło kilka chwil, zanim doszłam do siebie. Och, nie sądziłam, że tyle szczęścia mógł przynieść dzisiejszy dzień! A jednak magia Paryża wciąż działa. Byłam nieprzytomna ze szczęścia. Chciało mi się śpiewać na cały głos i pytać ludzi, czy wiedzą, jaka jestem szczęśliwa. Bo po prostu - szalałam z radości! Tyle szczęścia na jednego człowieka! *La vie est belle!* Podskoczyłam w górę z tuzin razy, okręciłam się wokół ulicznych latarni i parę razy wpadłam na kogoś idącego z naprzeciwka. Nawet bliskie spotkanie trzeciego stopnia nie ostudziło moich emocji. Czyste szaleństwo! Mój płaszcz powiewał przy każdym skoku, a ja miałam za nic zdziwione spojrzenia przechodniów. Kochani! Tak wygląda szczęście!

W pewnym momencie poczułam się ledwie żywa z tej całej ekscytacji, jakbym przerzuciła z tony węgla. Usiadłam na ławce w cieniu drzew i postanowiłam ochłonąć. Jeszcze chwila i dostanę zawału. Serce chciało wyskoczyć z mojej obfitej piersi i zażyć samotnego spaceru na pobliskich Champs-Elysees, ale przecież nie mogłam mu na to pozwolić. Parę głębokich oddechów i już powoli kontrolowałam podstawowe funkcje mojego oszalałego organizmu. Grunt to spokój i opanowanie. I chłodne podejście do sprawy. Powoli. Racjonalnie. Bez zbytej pompy. Lepsza miła niespodzianka niż przykre rozczarowanie.

Zreasumujmy. Dwoje ludzi śni ten sam sen. Przypadek. Dwoje ludzi nie może doczekać się, kiedy wreszcie spojrzysz sobie w oczy. Tysiące ludzi w tej chwili na świecie czuje to samo. *Nihil novi sub sole**. Opanuj się, kobieto. Na razie nie ma powodu do utraty zmysłów. Może jutro przyniesie więcej wiadomości na ten temat. Ale nic przecież nie zabrania mi cieszyć się z pięknego, słonecznego dnia... A jednak - miło być szczęśliwą. Nawet bardzo miło.

O, rany! Kongres! Pognałam do metra i wpadłam nieco zdyszana akurat w trakcie przerwy. Tłum krążył po hallu

* **Nic nowego pod słońcem.**

i kłębił się w bufecie. Zmęczenie spowodowane nadmiarem wrażeń dopadło mnie, kiedy dotarłam już do celu. Teraz potrzebowałam filiżanki mocnej kawy i chwili oddechu w jakimś spokojnym miejscu. Usadowiłam się w kącie małej sali, gdzie wydawało mi się, znajdę spokój. Zamówiłam kawę ze śmietanką i zapadłam w wygodny fotel. Siedziałam obserwując wejście w myśl starej zasady Stirlitza, który nigdy nie tracił z oczu drzwi. Chętnie oddałabym się dalszym zasadom owej szpiegowskiej etykiety pt. „teraz Stirlitz zdrzemnie się dwadzieścia minut, potem rześki ruszy do Berlina, gdzie czeka na niego Borman”. Dla mnie odpowiedniejsza od Bormana byłaby zupełnie inna postać, ale jak się gra w tę grę, nie ma co wybrzydzać. Uprzejmy głos *garçona* przywrócił mnie rzeczywistości. Po pierwszym łyku kawy mój duch poczuł ożywcze wibracje. Tego mi było trzeba! Powoli wracały mi siły. Teraz jeszcze muszę nadażyć za tłumem, który wskaże mi czas kolejnej prelekcji.

Słysząc ogólne poruszenie, więc i ja podniosłam się z wygodnego miejsca i ruszyłam za stadem. Po chwili znów zapadłam się w inne, wygodne siedzisko i wysłuchałam w ciszy całego wykładu na fascynujący temat. Jaki? Tego, niestety, nie pamiętam. Podejrzewam, że odpłynęłam w marzenia, nim ktoś w ogóle zaczął mówić. Owszem, pamiętam twarz starszej kobiety z gładko zaczesanymi do tyłu włosami, ale jakoś na tym urywa się mój kontakt z rzeczywistością. Z marzeń wyrwała mnie burza oklasków. Sąsiad, siwiejący Belg po pięćdziesiątce, zwrócił się do mnie w poszukiwaniu potwierdzenia:

- Wspaniały wykład! Zupełnie nowe podejście do zagadnienia, nieprawdaż? - powiedział.
- O tak, w rzeczy samej, ciekawe - odparłam, modląc się, żeby nie chciał kontynuować rozmowy. Jak mam rozwinąć temat, kiedy nawet nie wiem, czy dotyczył terapii niepłodności, czy populacji zebr w ogrodach zoologicznych

Europy Wschodniej. Na wszelki wypadek zerwałam więc kontakt wzrokowy z poruszonym sąsiadem i powiodłam wzrokiem po sali.

Nieco przerzedziło się grono uczestników spotkania, nie widziałam nikogo ze znajomych mi osób. Z ulgą odetchnęłam nie zobaczywszy twarzy adoratora troglodyty. Może odsypia nocne szaleństwa na Pigalaku. W to, że odwiedził to zacne, historyczne miejsce nawet nie śmiałam wątpić. I - cześć jego pamięci! Nie będzie przynajmniej psuł obrazu względnie kulturalnego członka delegacji polskiej myśli naukowej. Ja występowałam tu nieco z innego ramienia, niejako w roli wolnego strzelca, bo, jak mawiali bodajże bracia Marx: „Nie chcę należeć do żadnego związku, który nazywa mnie członkiem”. Znowu zapadły ciemności i w światłach jupiterów zobaczyłam... zlanego zimnym potem przedstawiciela ludzi pierwotnych z dorzecza Odry i Wisły. Kolega troglodyta ma głos! Cała zamieniłam się w słuch. Początkowo jąkał się, próbując przekazać coś w języku zbliżonym do uniwersalnego języka używanego na wszystkich dworcach świata, który łączyła jedna wspólna cecha - był całkowicie niezrozumiały dla podróżnych. Powoli jednak trema opuszczała prelegenta, a jego przesłanie zaczynało być bardziej zrozumiałe dla przedstawicieli ginekologii i położnictwa zgromadzonych na sali. Zaczęłam wsłuchiwać się w to, co docierało do mnie z mównicy. Początkowo słuchałam go ze złośliwym poczuciem satysfakcji, że oceniając jego intelektualne możliwości zaklasyfikowałam go zaraz po wyplawku białym (słynne dzieło: „Czarny charakter wyplawka białego”), nie pomyliłam się wiele. Im dłużej słuchałam potoku słów wydobywających się z jego ust, moje zaskoczenie rosło. No, no... niezłe, momentami nawet bardzo dobre. A jednak, choć głęboko ukryte, gdzieś drzemały profesorskie geny. Taki Dr Jeckyll i Mr Hyde. Szkoda, że znałam tylko Mr Hyde'a. Kiedy zakończył swoje *exposé*, osobiście głośno biłam mu brawo.

Po wystąpieniu czeskich i słowackich uczonych nastąpiła długo oczekiwana przerwa. Wszyscy wylegli do kuluarów, racząc się wspaniałościami stołu przygotowanymi dla nas przez organizatorów. Byłam w połowie melona z szynką, kiedy niespokojne wody przygnały w moim kierunku niedawnego prelegenta.

- Cześć Marina! I co, ty też wielbisz mój intelekt? - zapytał zarozumiale, siląc się na obojętność, ale i tak nie był w stanie ukryć dumy, która rozpierała jego klatkę jak Obcy - ósmy pasażer Nostromo.

- Cześć! Intelekt? Nie nadużywaj słów, których znaczenia nie rozumiesz. Mówisz o swoim wystąpieniu? Przyznaję, niezłe, niezłe, nie najgorsze... Mówiłeś składnie i z sensem. Dlatego do teraz jestem w szoku. A jednak cuda się zdarzają.

- Daj spokój, stary mi przygotował. Chyba nie sądzisz, że mnie chciałoby się tyle pisać - odparł z wyrazem twarzy nie pozostawiającym wątpliwości, co myśli na temat ciężkiej pracy.

- To jednak umiesz pisać? Będą z ciebie ludzie! Pisziesz, czytasz, masz ojca profesora... czego chcesz więcej... - byłam złośliwa do bólu. Wkurzało mnie to jego wieczne poczucie wyższości.

-Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz, maleńka! -uśmiechnął się szelmowsko. - A tak w ogóle, to może ro-zejm? Nie masz już dość tych naszych głupich gierek?

Tu mnie zaskoczył. Zdziwiona uniosłam do góry brwi. Nie wierzyłam własnym uszom.

- Gierek? Ja nie prowadzę z tobą żadnych gierek, kolego. Ja usiłuję przetrwać najazd Hunów. Nic więcej. Bo jak niby mam nazwać twoje dziwne, przyznasz, zachowanie? Nie przywykłam kryć się w damskiej toalecie, ale, wybaczone, twoje awanse powodują jedną jedyną reakcję.

- Nie przesadzaj, wszystkim innym to się podoba, tylko tobie nie. Tylko ty jedna unikasz mnie jak ognia. I to w to-

bie, oczywiście między innymi, lubię - zajrzał mi głęboko w oczy - między innymi - powtórzył, gapiąc się niedwuznacznie na mój biust.

- Wiesz co, troglodyto? Wracaj do swojego stada perliczek, które będą cię uwielbiać za to, że znajdziesz ziarno na podwórzu. A już myślałam, że należysz do *homo sapiens* - odparłam wkurzona.

- Homo, co? - roześmiał się, ukazując garnitur białych, równych zębów. - Piękna i bestia! Tylko, kto tu jest bestią? A może dwa w jednym?

Nim się odwrócił, puścił do mnie oko. Miał drań w sobie nawet odrobinę uroku... Ale też i tonę „machomanizmu”. Albo i dwie. „Macho, machoman...”. Dyskwalifikacja na wstępie. Zresztą, co mnie to obchodzi? Miałam dziś tak dobry humor, że postanowiłam zastosować wobec niego złotą zasadę: „Żyj i daj żyć innym”. Płyn po morzach i oceanach... jak najdalej ode mnie.

Kolejne dwie prelekcje przesiedziałam w okresowej dezorientacji co do czasu i przestrzeni. Udało mi się zdobyć dla szefa ostatnie wynurzenia jego ulubieńca, profesora Verforta, mam więc szansę na duży plus i może nawet dwa weekendowe dyżury. Kiedy pomyślałam o tym, co nieubłaganie mnie czeka, czyli o powrocie na ojczyzny łono, mój nastrój jakby nieco opadł. Co do samego ojczystego łona, to absolutnie pełen szacunek, ale... do pracy wcale nie chciało mi się wracać. Znów robota... „tak, wiele roboty i jeszcze X Pawilon” - to za Broniewskim. Znów ludzie (z naciskiem na kobiety) dręczący od rana do nocy z powodu swoich rozlicznych dolegliwości. *Totalspain*. Z obu stron poradnianego biurka.

Właśnie przypomniła mi się pewna pacjentka, która zaczęła mnie kiedyś na korytarzu. Znienacka stanęła przede mną, mocno chwyciła za nadgarstek i konspiracyjnym szeptem zapytała:

- Pani doktor, czy pani zna jakiegoś psychopatę?!

Zamarłam przez chwilę, zebrałam myśli i odparłam:

- Wie pani, że jakby się głębiej zastanowić, to nawet paru. A po co pani psychopata? - zapytałam pełna ciekawości.

- Mnie nie, ale mąż ma nerwicę i czas by go już leczyć.

- To może raczej psychiatra lub psychoterapeuta mógłby coś pomóc - delikatnie zasugerowałam.

- Pani doktor, ktokolwiek, byle szybko, bo chłop mnie zdręczy - odpowiedziała zdesperowana kobieta.

Dzisiejszy dzień obrad dobiegał powoli końca. I dobrze, wszyscy bowiem byli już lekko zmęczeni natłokiem informacji. Większość paliła się do zakosztowania atrakcji Paryża wieczorową porą, spacerów po nim, a potem - nocnych imprez. Ja jak zwykle byłam „nie z tej bajki”. Szybciutko ewakuowałam się z tłumu, żeby ktoś ze znajomych mnie nie wyłapał. Wolałam nie tłumaczyć, dlaczego nie chcę wybrać się do jakiejś kafejki i napić wina. Oczywiście, mogło być bardzo przyjemnie, ale... miałam własne plany. Nie niepokojona przez nikogo, ruszyłam przed siebie.

Czekała mnie wizyta u Madame Podhoreckiej. A więc i ja napiję się wina, tyle że w naprawdę doborowym towarzystwie. Madame miała słabość do dobrych trunków i do poezji. Czuło się w niej duszę artysty, która, choć uwięziona w delikatnym ciele, nie dawała się ujarzmić konwenansom ani upływowi lat. Tego mi było trzeba! Niepokornych myśli, dziwacznych, zupełnie nieszkodliwych, lecz jakże ujmujących i ciekawych zachowań, czyli, ogólnie mówiąc, wariacji na tematy wszelakie. Nadal szłam w stronę Notre Dame, a po kilku minutach marszu w kierunku Sorbony dotarłam do starego domu, w którym mieszkała starsza pani. Właśnie dochodziła wyznaczona godzina spotkania.

Zadzwoiłam, w domofonie odezwał się po polsku starszy głos:

- Tak, Marina, już otwieram.

- Dziękuję, Madame. Co zrobić, *Romanes ante portas*. Nadchodzę.

Weszłam do wnętrza starego domu. Powoli, delektując się każdym krokiem, stapałam po skrzypiących, zabytkowych schodach, rozmyślając o tych, którzy całe wieki temu wspinali się po nich w górę. Dom miał naprawdę długą historię, jedne z najstarszych schodów Paryża i ciekawych lokatorów. Nad Madame mieszkała słynna śpiewaczka operowa, której u szczytu kariery poważny wypadek samochodowy odebrał wszystko: występy w najznamienitszych salach koncertowych świata, fortunę, pozostawioną w najbardziej ekskluzywnych klinikach Szwajcarii i Stanów, a nade wszystko - ukochanego mężczyznę, który owego feralnego dnia siedział za kółkiem sportowego auta. Ona ocalała cudem i potem niejednokrotnie żałowała tego faktu. Madame wspominała nawet o próbie samobójczej, na szczęście, czy może wręcz przeciwnie, nieudanej. Pewnego razu, gdy szłam do mojej znajomej, spotkałam ją na schodach. Starsza kobieta, w ciemnych okularach i w dużym kapeluszu z woalką na twarzy. Kiedy przechodziła koło mnie, słońce z jednego z okien na korytarzu na ułamek sekundy oświetliło jej ukrytą za delikatną zasłoną twarz. Przez moment wydawało mi się, że widzę szerokie blizny na policzkach i wykrzywioną jakby w grymasie prawą połowę twarzy. Po chwili wrażenie znikło wraz z otuloną w piękne futro i mgiełkę Chanel 5 divą. Odpłynęła, lekko utykając, i krótki trzask wejściowych drzwi oznajmił, że jest już na ulicy. Przez ponad czterdzieści lat żyła samotnie, nie widziano, by ktokolwiek ją odwiedzał. Nigdy też nie wyjeżdżała na dłużej niż kilka godzin. Nie chciałam nawet myślać sięgać głębiej w tę historię, ani wyobrażać sobie smutku, który oddychał całymi dziesiątkami lat piętro wyżej od nas, wesoło wychylających kolejny kieliszek bordeaux.

Stałam u drzwi Madame. W sekundę później rozległo się krótkie, energiczne skrzypnięcie i w otwartych drzwiach ukazała się uśmiechnięta twarz hrabiny Podhoreckiej.

-Witaj, jutrenko swobody! - zakrzyknęła głośno. -Wchodź kwiecie ziemi polskiej do ubogiego domu tułacza, co na obczyźnie lat swych dokonuje.

- Witam i ja z czcią głęboką szacowną mej rodziny przyjaciółkę - odpowiedziałam, usiłując dotrzymać jej kroku w słownych zabawach.

Weszłam do maleńkiego, ciemnego przedpokoju. Na wieszaku pozostawiłam odzież wierzchnią i ruszyłam do równie niewielkiego saloniku. Madame miała pasję zbieracza i kolekcjonera, toteż na ścianach wisiało całe mnóstwo przeróżnych obrazów. Z przyjemnością zatrzymałam wzrok na dziełach naprawdę znamienitych artystów. Wisiały tu, odkąd pamiętam, ani o milimetr nie zmieniając swego położenia, co nie stanowiło szczególnej zagadki, jeśli znało się niechęć mojej gospodyni do jakichkolwiek działań z użyciem kawałka szmatki i ścierki. Na poręczach dwóch foteli, które stały pod ścianą, leżały w znacznej ilości bardziej porozrzucane niż poskładane sterty odzieży.

Za to stół... pięknie nakryty dla trzech osób, z butelką wytrawnego bordeaux. Szczególną uwagę przyciągała porcelanowa zastawa, która pamiętała jeszcze czasy panowania księżnej Sissy. Przy każdym nakryciu stał kryształowy kieliszek, a srebrne, rodowe sztucce dopełniały obrazu. Madame zadała sobie sporo trudu, ciekawe - dla mnie, czy dla swojego gościa z Poznania

-Proszę, usiądź kochanie, gdzie chcesz - powiedziała, wiedząc doskonale, że wybiorę miejsce, z którego rozciągał się piękny widok na podświetloną o tej porze katedrę. Nim zajęłam miejsce, wręczyłam jej pięknie wydany zbiór wybranych poezji Norwida, który od rana nosiłam w torebce.

-Dziękuję bardzo! Pamiętałaś, że uwielbiam Norwida! Jakie to miłe z twojej strony, Marina. Patrzę tak na ciebie i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że z wiekiem stajesz się coraz bardziej podobna do Józefiny. Masz podobny sposób trzy-

mania głowy, odgarniania włosów z twarzy... no i ten uśmiech. Pamiętam twoją babkę od czasów naszej pensji w Warszawie i, wierz mi, wiem, co mówię.

- Tymi słowami zrobiła mi pani największą przyjemność - ucieszyłam się. - Babcię uważam za najwspanialszą kobietę, jaką dane mi było poznać, tak więc piękniejsze porównanie nie mogło mnie spotkać.

Madame Maria Teresa i moja babcia były, jakbym teraz powiedziała, przyjaciółkami ze szkolnej ławy. Przyjaźniły się od początku wspólnej edukacji na pensji, siedziały w jednej ławce i spędzały z sobą dużo czasu poza szkołą. Słowem, przyjaźniły się „całodobowo”. Później nawet wspólnie zaczęły studia w Paryżu, Madame w konserwatorium, a babcia na Sorbonie. Po pierwszym roku wróciły razem do domu na wakacje. Madame pojechała do rodzinnego majątku na Kresach, babcia zaś spędziła lato u ciotki Klementyny w Przeworowie, rodzinnym dworze jej drugiego męża. Pod koniec sierpnia spotkały się jeszcze w Łazienkach na krótkim spacerze, potem Maria Teresa pojechała do Francji, a Józefina miała do niej dojechać w połowie września. Pogłoski o wojnie wydawały się tak nierealne... Niestety, 1 września sprawił, że cały, tak oczywisty dotąd porządek rzeczy przeszedł do historii wraz z pierwszym wystrzałem o świcie.

Madame została w Paryżu do czasu ataku na Francję, dalszą część okupacji spędziła w Anglii. Tu też, na krótko, widziała się z moją babcią, która dotarła tam pod koniec wojny. Madame namawiała babcię do pozostania na Zachodzie, roztaczała perspektywę studiów w Paryżu i wspólnego życia, może ubogiego, ale wolnego u jej krewnych w Szampanii... Babcia, zwykle rozważna, okazała się jednak niepoprawnie romantyczna... ogromnie tęskniła za krajem. I mężczyznę, który tam na nią, miała nadzieję, czekał. Nie wahała się długo, wróciła do Polski. Z Madame zobaczyły się znów po blisko dwudziestu pięciu latach. Babci udało się wyjechać

na kongres do Paryża i wtedy właśnie miały okazję wreszcie się spotkać. Babcia pojawiła się przed tym samym domem, co ja dziś, i kiedy zadzwoniła, mówiąc, że jest na dole, usłyszała to samo: „Już otwieram”. Ledwie zrobiła kilka kroków w górę, usłyszała tupot nóg na starych deskach, czyjś przyspieszony oddech i omal nie została zrzucona siłą ze schodów. Siłą uczucia, bo to szalona Maria Teresa, nie mogąc doczekać się przyjaciółki, wybiegła jej naprzeciw. Po tylu latach... znowu, choć na krótko - razem. Potem czasy nieco zmieniły się i babcia częściej mogła bywać u swej towarzyski młodych lat. Maria Teresa, choć bardzo tęskniła za ojczyzną, nie odważyła się przyjechać do Polski. Dopiero śmierć mojej babci kilka lat temu... spotkałyśmy się na Powązkach, nad jej grobem. I tak Maria Teresa została sama. Wiele lat wcześniej straciła męża, francuskiego lekarza, profesora Mathieu Si-non-Derniera. Od tego czasu wiodła życie singla. Co nie znaczy, że do końca samotnie. Madame naląła wina do mojego kieliszka. Złotawy płyn wypełnił czasę ponad połowę, kiedy uniosłam go do ust.

- *A votre santé!*

- Twoje zdrowie, moja ty Słowianko! - powiedziała Maria Teresa. - Piękniejesz z roku na rok.

- I co rok jestem coraz starsza - odparłam. - I nie jestem przekonana, czy mądrzejsza.

- Już po obronie doktoratu?

- Tak, wreszcie udało mi się zamknąć ten rozdział mojego naukowego życia. Sporo pracy, duża satysfakcja zaraz po obronie, ale teraz, z perspektywy czasu, wydaje mi się to już nie tak wielkie i nie tak ważne. Kiedy zbierałam materiał i pisałam pracę, marzyłam, że gdy tylko się obronię, zacznę normalnie, czyli w moim pojęciu nareszcie pięknie i radośnie żyć - przerwałam na chwilę, sama zaskoczona potokiem słów, jaki zaczął wylewać się z moich ust, jakby nagle roz-

wiązał mi się język. Na cztery słowa i znak zapytania odpowiadałam długimi zdaniami i wcale nie miałam ochoty przestać. Ta starsza kobieta emanowała bardzo pozytywnym nastawieniem do człowieka i miała w sobie tę czarowną moc otwierania serc i ust, nawet moich.

- Tymczasem - ciągnęłam po chwili przerwy - znów bez reszty pochłonęła mnie praca. Ciągłe dyżury, poradnia, życie w białym fartuchu... jakbym poza nim nie umiała istnieć jako człowiek. Kontakty głównie z gronem zajmującym się tą samą dziedziną, czasem spotkania ze starymi przyjaciółmi ze szkoły... Ale przede wszystkim - wszechogarniający stres, że zrobię coś nie tak i co wtedy? Podejmę niewłaściwą decyzję, ktoś duży czy mały może przypłacić to zdrowiem lub życiem. Nawet nie chciałam myśleć, co by było, gdyby... Tysiące razy łamałam siebie i starałam się być twarda, rzeczowa, patrzeć na świat konkretnie, naukowo, a jednocześnie nie uronić nic ze swojego człowieczeństwa, ale przede wszystkim z człowieczeństwa pacjenta. Zawsze starałam się postrzegać go jako osobę, człowieka myślącego ze swoim własnym życiem, światem, gdy tymczasem... w drugą stronę to nie działało.

- To znaczy pacjenci nie odwzajemniali twojej sympatii do nich, nie widzieli, jak wiele starasz się im ofiarować? Nie mogę w to uwierzyć. Tak rzadko spotyka się w tej profesji kogoś z „duszą”, kto dojrzy w tobie człowieka, a nie tylko zapalenie oskrzeli czy chorobę reumatyczną oporną na konwencjonalne leczenie. - Maria Teresa wyglądała na szczerze zaskoczona.

- Problem jest bardziej złożony. Nie, nie mogę narzekać na brak sympatii ze strony pacjentów, ale mimo wielu naprawdę miłych gestów i słów, najbardziej pamiętam te nieprzyjemne i chamskie. Teraz już nauczyłam się nieco dystansować do pewnych sytuacji i osób, ale były chwile, w których gorzko płakałam. I ja już nie chcę płakać. Jestem tym tak okrutnie zmęczona...

- Marina, dziecko! Nie przejmuj się tak ludźmi! „Ileż wczesnym wczesnym wracałem człowiekiem”, pamiętasz? Nie warto brać tej całej afery z życiem tak serio! Wierz mi, z perspektywy moich lat, naprawdę nie warto - powiedziała, patrząc mi uważnie w oczy.
- Powoli sama dochodzę do podobnych wniosków. Muszę, bo zwariuję. Po głowie snują mi się koszmary z życia moich pacjentek, czasem naprawdę straszne. Nawet nie wie pani, jak przerażająca może być odpowiedź na proste pytanie: „Czy dobrze pani sypia?”.
- Mogę sobie jedynie wyobrazić. Ale i tego nie chcę. Posłuchaj, czasem trzeba się na swój sposób „odwrażliwić”, żeby przetrwać w swoim naturalnym stanie. Obie z Józefiną miałyśmy wspomnienia z czasów wojny, o których poza nami dwiema nikt nie wiedział i nikt się już nie dowie. Musiałyśmy same znaleźć dla nich najciemniejszy kąt w swojej pamięci, zagrzebać je tam na zawsze. Żeby móc dalej żyć. Zostaw to za sobą. Podejdź do życia i pracy inaczej. Praca to praca, a twoje życie należy do ciebie. Do nikogo innego. Nie do pacjentów, nie do twojej matki ani ojca, którzy chcą dla ciebie jak najlepiej, ale patrzą na twój świat swoimi oczyma. Nie możesz złożyć siebie, swojego życia na ołtarzu czyjejkolwiek miłości, chyba że głęboko i świadomie właśnie taką drogę wybierzesz. Kluczem jest tu słowo „świadomie”, czyli - znając plusy, ale przede wszystkim minusy takiej sytuacji. Znając je naprawdę, a także, a może przede wszystkim, cenę, jaką będziesz musiała za to wszystko zapłacić. Czy jesteś w stanie uregulować ten rachunek?
- Świadomość. To coś, czego dopiero się uczę. Dopiero zaczynam wytyczać granice swojej osoby. Śmieszne. Ale dzięki posiadaniu nadwrażliwych rodziców, rodziców, którzy nadal jakoś nie chcą pozwolić mi przestać być ich małą dziewczynką, ten problem głęboko mnie dotyka. A może to ja nie mogę przestać nią być? Nie wiem. Na razie jeszcze nie umiem

dokonać pewnych wyborów. Nie umiem określić, kim jestem tak naprawdę, głęboko, pierwotnie. Mogę tylko podejrzewać, a i tak nie ufam sobie i swoim przeczuciom. Nawet nie mam z kim pogadać o tym w Warszawie. Jest wprawdzie ktoś, kto łączy w sobie, tak mi się przynajmniej wydaje, to, czego mi w życiu potrzeba. Pozwala mi być dzieckiem, a jednocześnie kobietą - uwodzicielką. Szanuje moją inteligencję, docenia wartość mojego mózgu, a jednocześnie, spieszy z pomocą, gdy jest mi źle, gdy błąkam się w swoim szaleństwie i chaosie, i pozwala samej odnaleźć drogę i odpowiedź. Ale czy ja jestem dla niego tą, której szuka? Nie wiem... „może nic się nie zdarzyło, może wszystko wymyśliłam, może tylko sen, sen, sen pozostał, który przybrał twoją postać...”, jak śpiewa Krystyna Prońko.

- Zawsze ufaj sobie. Gdzieś głęboko, w tobie, zapisane są odpowiedzi na wszystkie naprawdę istotne dla ciebie pytania. Ty już wiesz, czy to tylko sen. Posłuchaj, co mówi ci serce. Ten banalny zwrot, trącający Mniszkówną, ma w sobie ukrytą prawdziwą mądrość, że tylko ty znasz odpowiedź na to pytanie. Ty już wiesz, ale jeszcze sama boisz się do tego przyznać.

- Co ja mogę wiedzieć, kiedy nawet nie wiem, kim jestem. Kim jestem naprawdę, ja, Marina Błajet. Nie doktor medycyny, nie córka swoich rodziców, nie wnuczka swojej babci. Choć ona, jako chyba jedyna, zachęcała mnie do poszukiwań prawdy na swój temat. Rodzice zaś zaprogramowali mnie już w kołysce. Aż dziw, że nie wmówili mi, iż urodziłam się ze stetoskopem w rękę, albo że przy pierwszym ruchu rączką wyrwałam lekarzowi skalpel z ręki (gdyby ów, teoretycznie, był potrzebny przy porodzie). Jaka jestem wyjściowo, pierwotnie?

- Przecież już wiesz. Wiesz o tym od dawna. Pamiętasz swoją pierwszą wizytę w Paryżu? Co cię najbardziej interesowało? Wykłady prowadzone przez najznamienitsze mózgi z zakresu biologii czy medycyny? Paryskie kliniki? A prze-

cież wiesz, że bez trudu mogłam załatwić ci wstęp do każdej z nich. Nie, choć przecież byłaś młodą dziewczyną, pragnęłaś zamieszkać w Luwrze. Pamiętasz, jak pytałaś, czy można tam spędzić noc? I nie dlatego, że naczytałaś się Dumasa czy obejrzałaś jakiś film, ty chciałaś zobaczyć to wszystko na własne oczy. Jak to wtedy określałaś: „całe piękno świata”. Fascynowała cię sztuka. Konieczność obcowania z pięknem, zdolność jego odczuwania poza przeciętnym postrzeganiem, imperatyw wewnętrzny, magnetyczne przyciąganie do rzeczy pięknych, materialnych, ale i niematerialnych. Pamiętasz, jak nie można cię było zatrzymać, kiedy słyszałaś piękną muzykę, nieważne na koncercie czy w metrze? Już masz swoją kartotekę u Losu i nie jest ona *carte blanche*.

- Za trudne. Jeszcze za trudne. Może rzeczywiście zawsze czułam się bliżej sztuki niż medycyny. Czytałam, słuchałam, oglądałam... Przyjaźniłam się z ludźmi, którzy mieli zacięcie artystyczne w różnych kierunkach, z nimi najlepiej się rozumiałam, ale zawsze myślałam, że to moje fanaberie. Tak naprawdę zawsze wstydziłam się, że tak odstaję od moich kolegów. Że mało kto podziela moje zainteresowanie filmem, teatrem, sztuką, literaturą, muzyką. Z tą ostatnią jeszcze nie było najgorzej, może mało kto słyszał o Water Boys czy Ninie Hagen, ale jakoś można było nawiązać nić porozumienia. Poza tym starałam się z grubsza wkomponowywać w tłum, czasem tylko oswajałam się z nadto i ukazywałam swoje prawdziwe zainteresowania.

- Ale przecież medycyna to trudna sztuka. Jeśli jej nie lubisz, jak udało ci się zająć tak daleko?

- Czy jej nie lubię? To chyba nie do końca tak. A poza tym, tatko kazali... - roześmiałam się gorzko. - Z natury jestem dość pracowita i zdyscyplinowana. I posłuszna. Gdyby kazano mi ukończyć politechnikę, cóż, może trochę pobiedziłabym się nad rysunkiem technicznym i projektami, ale... studia skończyłabym w terminie. Może nie z czołową lokatą,

bo moje widzenie zwykłego klocka w rzucie technicznym i to, co widział „pan od wiedzy technicznej” w szkole zawsze drastycznie różniło się, ale z fizyki i matematyki zawsze miałam zasłużone piątki. Poza tym... człowiek zniesie wszystko z wyjątkiem jajka, a moje medyczne doświadczenie i temu ostatniemu bastionowi zdaje się zadawać kłam.

- Tak, u ciebie to raczej problem z „embarasse de richesse”. Ale nigdy wcześniej nie przyszło ci do głowy, że mogłabyś robić co innego, coś, co sprawiałoby ci prawdziwą przyjemność?

- Widzi pani, uczono mnie, że człowiek powinien być pożyteczny. Służyć ludzkości. I nie o jego własną, egoistyczną przyjemność tu chodzi. I że życie z natury musi boleć. Dziękuję Bogu za babcię Józefinę, bo ona była moim jedynym wentylem bezpieczeństwa, ale przecież zdaje sobie pani sprawę z tego, że sytuacja w mojej rodzinie była i nadal jest nieco specyficzna. Wie pani, jak silnymi osobowościami są moi rodzice. Jako dziecko, chcąc być przez nich kochana i akceptowana, musiałam się przystosować. Grać w ich grę. Za każdą cenę.

- No dobrze, byłeś dzieckiem, ale przecież kiedyś dorosłaś. Nie mogłaś przeciwstawić się im, zbuntować. Nawet, kiedy już kończyłaś studia...

- I co? Tyle nauki na marne? A może to właśnie moja misja? Służyć ludziom, złożyć swoje życie bohatersko w służbie ludzkości... mieć szczytny cel, powołanie. Kiedy jest się tak wrażliwym jak ja na ból i niedolę ludzi, kiedy wchodzi się w ich położenie niejako mimowolnie, kiedy empatia eksploduje w głowie i wypełnia całe kamienice, ulice, dzielnice, całe metropolie... niełatwo pozwolić sobie na obrzydliwy egoizm. Odczytuje się to jako pójście na łatwiznę, zaprzepaszczenie wykształcenia i powołania, odwrócenie się plecami do drugiego, cierpiącego człowieka i robienia manicure swojej samolubnej duszy, kiedy inni mają prawdziwe problemy.

- Marina, podziwiam cię, ale i przerażasz mnie na swój sposób. Jak możesz zupełnie nie pomyśleć o tym, czego ty chcesz, czego ty potrzebujesz! Pamiętaj, kochaj bliźniego swego, jak siebie samego. Jak siebie samego! Ty musisz najpierw poznać i pokochać siebie, musisz choć spróbować być dla siebie dobra. Nie jesteś rzeczą, jesteś człowiekiem. Bóg stworzył Marinę Błajet taką, jaka jest. Nie stworzył automatycznego lekarza, niewolnika przymuszonego do znoszenia swojego jarzma! Widocznie tworząc cię właśnie taką, miał swój plan wobec ciebie. Spróbuj znaleźć siebie, żeby odczytać, co ci przeznaczył Najwyższy. Któryś ze świętych, nie pamiętam który dokładnie, powiedział: „Panie, pomóż mi poznać siebie, abym mógł poznać Ciebie” - Madame widać też zapadło w pamięć to zdanie, pomyślałam.

-Masz obowiązek poznać siebie, żeby umieć odszukać swoje miejsce w Bożym planie - kontynuowała starsza pani. -Zresztą, niezależnie od religii, koloru skóry, talentów, człowiek ma obowiązek zgłębiania siebie i szukania prawdy o sobie, żeby się temu światu jak najlepiej przydać. Jak najlepiej! Przecież mogłabyś uprawiać rolę, żeby wystarczyło mąki na chleb, mogłabyś wynosić baseny w szpitalu, by komuś ulżyć w przykryj codzienności choroby, mogłabyś być politykiem pragnącym przywrócić pokój światu albo polecieć w kosmos i penetrować wszechświat, by, być może, stać się kiedyś przyczynkiem do ocalenia rodzaju ludzkiego. Czasem można napisać jedną piosenkę czy sztukę, żeby spełnić rolę, jaką wyznaczyła nam Opatrzność, czasem wychować dziecko na dobrego człowieka. Każdy ma swoje przeznaczenie i sam musi je odkryć.

-I sam w nie uwierzyć - dodałam z lekkim smutkiem. -Że zacytuję Brigitte Bardot: „Nie wiem, czy to Bóg stworzył kobietę; ale jeśli tak, to miał w tym swój cel...”.

Biegając na spotkanie z Madame byłam taka szczęśliwa! Teraz było mi mniej wesoło, ale też jednocześnie czułam większy spokój. Ktoś powiedział mi, podobnie jak kochana

babcia, że mam prawo być sobą, kimkolwiek jestem. Nie muszę wiecznie doskakiwać do jakiejś poprzeczki, żeby zasłużyć na siebie i czyjś, nawet pełen miłości, uśmiech. Zasłużyć na prawo istnienia. Jakby istnienie mnie innej, poza czyimś wyobrażeniem i oczekiwaniami, było pozbawione sensu. A to przecież nieprawda. I ja o tym wiem. Tylko jeszcze się z tym jakby nie do końca zgadzam. Ale cóż, na pocieszenie nie jestem sama, więc „Panie, pozwól mi poznać siebie, bym mogła poznać Ciebie”. I jeszcze niech Vitto ma w tym swój udział... Czułam, że dusze spotykają się poza czasem i przestrzenią, że naturalnie szukają się po świecie, żeby dopełnić doskonałość. Nareszcie stać się całością. I znaleźć ukojenie. Dzwonek domofonu rozwiął moje rozmyślenia.

- To pewnie Tonio! - krzyknęła Madame i ruszyła do drzwi. Po chwili dały się słyszeć kroki na schodach, znów skrzypnęły drzwi i z przedpokoju dobiegł mnie szmer zdejmowanego płaszcza. Do pokoju wszedł, a raczej wpadł, popychany dyskretnie przez starszą panią, Tonio. Tonio... zdecydowanie wyglądał na Tonią, a przynajmniej na moje wyobrażenie związane z tym imieniem. Wysoki, lekko przygarbiony, z niepewnym uśmiechem na twarzy, przypominającej urodę bohatera z filmów przygodowych z czasów PRL, czyli pomieszanie wesołego urwisa z podwórka z chłopcem z plakatu. Z owej dużej dziecięcej twarzy patrzyły na mnie okrągłe błędoniebieskie oczy, okolone białymi niemal rzęsami, a jasne brwi, z natury lekko uniesione, nadawały twarzy nieco zdziwiony, jakby ciągle niedowierzający wyraz.

-To właśnie Tonio, Tonio Raczyński. A to - Marina Błajet, wnuczka mojej przyjaciółki.

- Madame! Tyle razy panią prosiłem, już nie Tonio! Antoni! - tu zwrócił się do mnie:

-Antoni Raczyński, *enchante Madame* - szarmancko ucałował moją dłoń, choć podałam ją w sposób całkowicie nie prowokujący do starego polskiego zwyczaju.

Z tym całowaniem w rękę to... już sama nie wiedziałam, co myśleć. Uczucia ambiwalentne. Z jednej strony lubiłam, kiedy towarzyszyła temu odrobina flirtu w oczach pochylającego się nad moją ręką atrakcyjnego mężczyzny, który jakby podążał za refrenem przedwojennego szlagieru „Całuję twoją dłoń, madame, śniąc, że to usta twe...” A z drugiej strony, kiedy zdarzało się to przy byle okazji, przez byle kogo, którego zlany potem kark dostępny był obserwacji z bliskiej odległości, a już zwłaszcza prostego jak myśl Lenina osobnika, który unosił moją rękę do ust na wysokości najwyższej półki na książce, to... chyba niekoniecznie. Z naciskiem na „nie”. Ale dziś było bez zastrzeżeń, po prostu - miło i kulturalnie.

- Marina Błajet, mnie również miło pana poznać. Przy okazji - nie „madame”, a „mademoiselle” - odparłam.

W chwili, kiedy wypowiedziałam te słowa, poczułam się niezręcznie. Co mnie podkusiło prostować! Przecież tak naprawdę to bez znaczenia, a teraz poczułam się, jakbym podkreślała, że jestem do wzięcia. Idiotka! Nawet przez myśl mi nie przeszło!

- Będę pamiętał, *mademoiselle* Błajet - odparł miłym, spokojnym tonem. Jakże byłam mu wdzięczna za to opanowanie.

Po chwili w rozmowę włączyła się Madame, która właśnie wychodziła z kuchni z parującą na pięknym półmisku kaczka.

-Kaczka w pomarańczach na waszą cześć, kochani. Wiecie, jak nie lubię gotować, ale, co jak co, kaczka w pomarańczach to, można powiedzieć, *spécialité de la maison*. Mój mąż uwielbiał to danie, mam więc nadzieję, że i wam będzie smakować. Włożyłam w to wiele serca...

- Madame, jestem przekonana, że za parę chwil z kaczki pozostanie jedynie stelaż, prawda, panie doktorze? Z tego, co wiem, jest pan przedstawicielem dyscypliny zabiegowej, podobnie jak i ja, tak więc drobne manipulacje przy tak nie-

skomplikowanym stworzeniu jak kaczką, nie będą stanowiły problemu - uśmiechnęłam się nieznacznie, oczekując poparcia moich słów przez kolegę po fachu.

- A i owszem, nie wątpię w głęboką rację pani słów -uśmiechnął się do nas obu. Miał sympatyczny, wesoły uśmiech i już po paru chwilach wzbudzał sympatię. - Cóż, z tą zabiegowością to coraz gorzej. Teraz śmiejemy się, że w dobie upadku służby zdrowia stajemy się raczej meteourologami, bo brak czasem tak podstawowych rzeczy, że, prócz dobrego słowa, słonka za oknem na pocieszenie i lodu na bolące miejsce, niewiele nam zostaje.

- O, na pewno nie jest z wami aż tak źle, nie słyszałam bowiem tak dramatycznego narzekania na urologów, jak na prawdziwych meteorologów i naukowców, „że potrafią zbadać, co działo się przed tysiącami lat, a pogody na niedzielę nie potrafią przewidzieć!” - powiedziała rozbawiona.

- A to wszystko dlatego, że nasi pacjenci w większości chorują na prostotę, a pewnych, cięższych przypadkach nawet na tzw. prostaczkę - dalej ciągnął mój towarzysz, zajadając się kaczką i sałatką z cykorii.

-I stosują wtedy niechybnie Paulin, ale już nie strepto-medycynę, albowiem są uczuleni na powyższą. Bo już coś nowego na to wynalazły te doktory. I „omentalnie” pomaga - dodałam, kontynuując wątek, wstyd przyznać, lekko prześmiewczy.

-Dzieci, wstydźcie się! Jak możecie robić sobie żarty z biednych pacjentów! - zgromiła nas Madame znad kaczki.

- Myślę, że każda grupa zawodowa ma spory arsenał podobnych, zabawnych opowieści i tak naprawdę nie ma nic złego w chwili zabawy słownej na ten temat. Nie sposób znać się na wszystkim. Ja, na przykład, cierpię okrutnie przy załatwianiu czegokolwiek w banku lub ZUS. Przyczyna jest prosta. Kompletnie nie rozumiem, co mówią do mnie owe naprawdę miłe i bardzo uprzejme panie. Jak na filmie, widzę

ruch ich ust, z oddali dobiega mnie głos, rozumiem poszczególne słowa, ale nie umiem ich w żaden sposób połączyć z sobą w logiczny ciąg myślowy. I, naprawdę, jestem urzędniczo upośledzona - powiedziałam, sięgając po pastę ze szpinaku z ziemniakami z czosnkiem i ziołami, który, jak nie lubię szpinaku, w tej wersji był pyszny.

- Jakże pocieszające są dla mnie pani słowa! - westchnął Tonio. - Podobnie mam się i ja. Do historii bankowości przeszła moja potyczka słowna z jednym z moich pacjentów, dyrektorem dużego banku, który to usiłował mi wytłumaczyć, jak najkorzystniej zaciągnąć kredyt. Po długim tłumaczeniu w końcu się poddał i głośno westchnął: „I to pan mnie operował?!”. Tak więc, mogę śmiało powiedzieć, nie jest pani osamotniona w swoim upośledzeniu - wesoło dodał na koniec.

Madame, która właśnie sprawdziła pondulą, czy dziś winogrona będą jej służyć, po włożeniu jednego grona do ust i spokojnym jego spożyciu, podniosła kielich pełen wina i wzniosła toast:

- Zdrowie moich upośledzonych urzędniczo gości! Ech, wy artyści! Oby wam proza życia na zawsze wydawała się zbędnym dodatkiem, a świat fantazji rzeczywistością.

- Amen! - oboje zakrzyknęliśmy niemal jednocześnie. - Zdrowie czarującej gospodyni, autorki i fundatorki

dzisiejszej uczy! - dopowiedział Tonio.

Na deser, kiedyśmy już nie mieli sił zjeść niczego, co jeszcze pozostało na stole, Madame wyciągnęła potężnej wielkości bombonierę. Nigdy wcześniej nie widziałam pudełka czekoladek takich rozmiarów! Miało przynajmniej metr długości i zawierało z dziesięć rodzajów czekoladek.

- A to dostałam od pewnego lekarza z Aix-en-Provence, który myśli, że skusi mnie kurortowymi atrakcjami. I czekoladą. - Madame sprawnie zerwała folię.

Sięgnęła po pondulę. Wahadełko niewiele większe od paznokcia rozpierało się beztrąsko obok talerza. Otwarta

bomboniera wyglądała jak pole usiane najprzeróżniejszymi warzywami. Grzecznie w rzędach czekały na swoją kolej marcepanowe różyczki, karmelowe gwiazdki, kokosowe paluszki, kule z gorzkiej czekolady z odrobiną rumu w czarnym wnętrzu, małe trapezy z nadzieniem z advocata, orzechowe serca i migdały oblane mleczną czekoladą.

Madame, wyrwawszy z krótkiej drzemki na stole swoją wróżkę, nawinęła na palec cieniutką nitkę, na której wisiało wahadełko, i ze skupionym wyrazem twarzy pochyliła się nad czekoladową ucztą. Po chwili zapadł wyrok.

- Zostawcie mi, moi drodzy, parę migdałów, kulek z rumem i ze dwa marcepany. Reszta należy do was!

Powiedziawszy te słowa, pociągnęła solidny łyk z kieliszka. Powoli widać było dno w butelce, nawet nie zauważyliśmy, kiedy to się stało. Po spustoszeniu, jakiego dokonaliśmy w pudełku z czekoladkami, na dłuższą chwilę zapadła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu ciężkim westchnieniem.

- Och, Madame, po co pani wyjęła te czekoladki? Nie dość, że tuczące, to chyba z jakimś lekiem uspokajającym, bo mam wrażenie, że widzę, jak myśli moje biegną w zwolnionym tempie, od neuronu do neuronu, i mają czas na krótką drzemkę po drodze. A już na pewno żaden organ ruchu nie chciałby mnie słuchać - powiedziałam, wyrywając się z błogostanu i mobilizując do jakiegokolwiek wysiłku, choćby powiedzenia paru słów.

- Chyba umrę z przejedzenia... - jęczał Tonio.

- To co? Może jeszcze *mousse au chocolat*! - sadystycznie, z drwiącym uśmiechem, zapytała starsza pani.

Oboje z podejrzaną, jak na stan niemal agonalny, werwą zaprzeczyliśmy. Spojrzałam na wiszący nad drzwiami zegar. Było już późno, czas wrócić na Rue Guynemer. Jeszcze tylko pięć minut posiedzę sobie spokojnie... Po chwili przyszła pora na pożegnanie. Podziękowawszy Madame za uroczy

wieczór, pożegnawszy się z Toniem, czy raczej Antonim, w leniwym tempie zapinałam guziki płaszcza podanego przez jedyne go w naszym towarzystwie dżentelmena.

- Może jednak zgodzi się pani, żeby ją odprowadzić do domu? Pora już późna... - zaczął znów Tonio. Podziękowawszy, po raz kolejny odmówiłam. Po drodze chciałam dojść nie tylko do celu przy Ogrodzie Luksemburskim, ale i do ładu ze swoimi myślami, gdzie, mimo uroczej kompanii przy kolacji, ciągle słychać było magnetyczny głos pewnego artysty.

- Marina, dbaj o siebie. Pamiętaj, „na żadnym zegarze nie znajdziesz wskazówek do życia” - jak mawiał twój ulubieniec, Lec. I piękniej dalej! Na pierwszy rzut oka można by wziąć cię za Dunkę, Holenderkę, ale kiedy spojrzeć ci w oczy... ten ogień, na poły z melancholią... od razu widać słowiańską duszę! Nabierasz naprawdę klasycznej urody -żegnając mnie, powiedziała Madame.

- Dziękuję! - odparłam nieco speszona.

Słyszając komplementy na swój temat, zawsze czułam się zawstydzona i lekko zapędzona w kozi róg. Poza krótkim „dziękuję” nie umiałam niczego wykrztusić, bo i co miałam powiedzieć? - Jesteśmy we Francji, mogę jedynie przytoczyć słynne zdanie Simone de Beauvoir: „Nie rodzimy się kobietami, dopiero się nimi stajemy”.

- Madame, dziękuję raz jeszcze za wszystko. Za wszystko - uśmiechnęłam się do niej, a ona mocno mnie uściskała.

Kiedy już opuściłam gościnne progi i chłodny zefir owionął moją twarz, znów zaciągnęłam się zapachem Paryża. Jedyne w swoim rodzaju. W rzeczy samej - nie do opisania. Nic a nic nie kłamała Catherine Deneuve w piosence *Paris, Paris*: „Sing away (Paris)? No, I can't”. Miasto, które dla każdego znaczyło coś innego. Dla każdego pełne było innych szczególnych detali. Dla każdego miało inny zapach. Ale jedno słowo przewijałoby się przez wszystkie wypowie-

dzi: „niepowtarzalny”. Jedyne w swoim rodzaju. Unikatowy. Wyjątkowy. Szczególny. Jak dobrze, że są na świecie takie miejsca, gdzie słońce pięknie świeci, ptaki głośniejszą sławią urodę poranka, a życie płynie niezwykłym rytmem, jakby nic więcej nie miało znaczenia.

Ruszyłam leniwym krokiem przez wcale nie mające ochoty na sen miasto. Paryż pełen był o tej porze spacerujących ludzi, ale wieczór przynosił ukojenie ruchliwemu centrum. Mimo woli wszystko toczyło się w zupełnie innym rytmie niż za dnia, nawet Sekwana szumiała jakby ciszej i nieco sennie. Oddychałam głęboko wciągając powietrze do płuc i dawałam się ponieść marzeniom. Płyłam ulicami znanymi z literatury, nauki i historii, o sztuce nie wspomnę. Ba, w zasadzie można było zaryzykować twierdzenie, że w Quartier Latin z każdym wdechem wprowadzało się do płuc mikroskopijne okruchy sztuki, historii i nauki, którymi słynęła ta część miasta.

Ale najważniejsza i tak była jedna myśl. Już jutro zobaczę się z Vitto! Nieważne, że jedynie na moment, nieważne, że pewnie będzie tam wiele innych osób, nic nie było ważne. Jediną istotną rzeczą było zobaczyć znów tę mądrą, kochaną twarz, choć na chwilę zachłysnąć się niebem oczu, zobaczyć te cudowne zmarszczki, kiedy się śmieje... drobne bruzdy w okolicach oczu, nieco intensywniejsze, przecinające policzki, dodające twarzy tyle męskiego seksapilu, że wprost niepodobna było się mu oprzeć. Znów ręce odgarną zmysłowo włosy z twarzy, zakładając je za ucho i wtedy widać będzie mocno zaznaczony, pięknie męski, ostry zarys żuchwy dopełniający całości. I ten zniewalający zapach, od którego kręciło się w głowie...

Pogrążona w marzeniach nie wiem nawet, jak i kiedy znalazłam się na schodach prowadzących do mieszkania Anne-Marie. Takie zagubienia w czasie i przestrzeni zdarzały mi się od zawsze.

Nazywałam to „wąskim pasmem świa-

domości". W pewnych momentach życia potrafiłam się tak zamyślić i schować do wewnątrz, że kompletnie przerzucałam sterowanie swoimi krokami na mózdzek i jakby wyłączałam się na krótszy lub dłuższy czas. Zazwyczaj udawało mi się funkcjonować w ten sposób całkiem niezle, choć, cóż, czasem zdarzały się zabawne niespodzianki. Notorycznie, w moim rodzinnym domu, przełączałam telefon z piętra na parter, by podczas rozmowy zyskać odrobinę intymności. I dziesiątki razy dziwnym trafem, znajdowałam się z aparatem telefonicznym w zaskakujących miejscach, np. w łazience czy garażu, zamiast w jednym z pokoi czy choćby w kuchni, zupełnie nie mogąc sobie przypomnieć, jak do tego doszło. Za to inne kwestie, jak: czy pożyczanie temperówki, czy długopisu ode mnie przez np. Tomka z V b, świadczyło o jego bezgranicznej miłości do mnie, czy tylko o cichej sympatii, miałam już wtedy doskonale przemyślane. W chwili obecnej mogłam tylko żałować, że nie mam żadnego telefonu do przełączenia. Może wtedy wszystko stałoby się jaśniejsze?

Anne-Marie krzątała się jeszcze w kuchni. Powiedziała jej o telefonie od człowieka, który wypełniał moje myśli i serce. Obu nam, tak naprawdę, spadł kamień z serca. Anne naprawdę dzieliła moje wrażenia, szaloną radość, podniecenie, ale i niepokój, który czał się, gdzieś na dnie duszy. Pocieszyła mnie, że pozytywne myślenie czyni cuda i kazała pamiętać, że „zwycięzać mogą tylko ci, którzy wiedzą i wierzą, że mogą”. Po tym lekko filozofującym stwierdzeniu kazała mi natychmiast iść do łóżka i porządnie się wyspać, najlepszym bowiem kosmetykiem dla każdej kobiety jest sen, a jutro muszę wyglądać oszalamiająco. Miałam przed sobą nie lada zadanie. W pierwszej sekundzie zadać powalający cios i delectować się zwycięstwem, udając że absolutnie niczego nie zauważyłam. Przyznałam jej rację i bez zwłoki poszłam do mojego pokoju z mocnym postanowieniem zanurzenia

się po uszy w reklamowanym przez przyjaciółkę kosmetyku. Czułam, jak dopada mnie zmęczenie po całym, aktywnie spędzonym dniu. Szybko rozebrałam się i po dokonaniu podstawowych czynności higienicznych, padłam w mięciutką pościel.

Już, już niemal odpływałam w objęcia Morfeusza, gdy cichutko zagrała moja komórka. Wskoczyłam z łóżka i pognałam do torebki.

- Halo?

- Witaj, moja piękna! - po drugiej stronie rozległ się ciepły głos, za którym tak tęskniłam. - Właśnie wyszedłem z pracowni i nie mogłem oprzeć się pokusie usłyszenia twojego głosu przed snem. Nie obudziłem cię, mam nadzieję?

- Nie, Vitto, dopiero układałam się do snu. Bardzo się cieszę, że nie oparłeś się pokusie - serce zaczynało mi bić coraz szybciej. Nawet, gdybym już spała kłamałabym, że dopiero wyszłam spod prysznic. No właśnie... - Poczekaj sekundę, właśnie wyszłam spod prysznic, założę tylko szlafrok i wsunę się pod kołdrę...

Był artystą, a więc bez wątpienia człowiekiem z dużą wyobraźnią i wrażliwością, wiedziałam, że takie zdanie nie pozostawi go obojętnym i pobudzi do marzeń na mój temat. Jeśli wyszłam właśnie spod prysznic, jestem naga, a może drobne krople lśnią na moim mokrym ciele, pobłyskują we włosach. Teraz pewnie wycieram z pośpiechem ramiona i szyję, powoli przesuwam ręcznik w dół... I, chwilowo wystarczy, szybko wróciłam do rozmowy:

- Hej, już jestem. Miałam męczący dzień, męczący, ale bardzo przyjemny. Trochę spaceru po mieście, kongres, a potem kolacja u przyjaciółki mojej babci z bardzo sympatycznym lekarzem z Poznania - celowo wzbudzałam w nim odrobinę zazdrości.

W każdym mężczyźnie tkwi instynkt łowcy, bo też któż chciałaby wyważyć otwarte już drzwi.

Miałam nadzieję, że

wciąż aktualne jest zdanie, „Nic nie podnieca mężczyzny bardziej niż niepewność wygranej”.

Postanowiłam tym razem być mądra i, póki starczy mi sił, być jak najdłużej tajemnicą. Trochę bałam się, że może to potrwać niezbyt długo, ale postanowiłam walczyć.

- Czyli, dobrze się bawiłaś. Cieszę się, że fajnie spędziłaś dzień - odpowiedział krótko.

Wyczułam niewielkie napięcie w jego głosie.

- A ty, jak spędziłeś dzień, mój drogi? - zapytałam słodko.

- Dość spokojnie. Dopiero jutro rano lecę do Paryża. Pamiętasz jeszcze? - usłyszałam lekki chłód w głosie.

No, proszę! Ja wspomnę o jakimś miłym mężczyźnie i co? Już nuta chłodu. A co ja miałam zrobić, czytając o pewnej premierze? Wszczać zimną wojnę i zawiesić żelazną kurtynę?

Postanowiłam być wielkoduszna.

-Czy pamiętam? A o czym? - tu zawiesiłam głos na chwilę. - No pewnie, że pamiętam, niebieskooki.

Jutro zobaczę twoje błękitne oczy... nie mogę się doczekać! - nierozważnie dodałam. Cholera! O jeden most za daleko! Trzeba było zakończyć na błękicie!

-Zabiorę najbardziej błękitne szkła kontaktowe, jakie mam! - zaśmiał się Vitto. - Myślałaś, że mam niebieskie oczy z natury?

Tu nieco zbaraniałam. To ten błękit, którym podniecałam się przez ostatnie tygodnie był industrialny?

Nic sensownego nie przychodziło mi do głowy... no właśnie!

- Ale chociaż głowę zabierz oryginalną! - może niezbyt lotnie dodałam, usiłując ratować się z tonącego okrętu.

- Dałaś się nabrać! Nie, Marina, ja naprawdę mam niebieskie oczy, a przy tym doskonały wzrok, dzięki czemu mogłem dostrzec twoją urodę. Niezwykłą urodę - powiedział Vitto.

I co ja niby mam teraz powiedzieć? Ratunku!

- Ależ Vitto, to, co najpiękniejsze jest ukryte dla oczu. Nie czytałeś Saint-Exupery'ego?
-Czytałem, moja Rózo. I przeczuwałem, że istniejesz, gdzieś na innej planecie. Europa Środkowa to jak inna planeta... ale „every breath you take, every move you make... I'll be watching you...”* -
zanucił na koniec The Police.

Oczywiście. Jeszcze do tego moja ulubiona piosenka Stinga. Czy on dostał wcześniej jakąś *Message in the bottle*** . O, mamó! Czułam, jak rozpływam się pod wpływem każdego szmeru z telefonu komórkowego i nie chodzi mi o szkodliwość jakichś tam fal. Ten facet działał na mnie jak nikt inny. Nic nie mogłam na to poradzić. Roztopiałam się jak czekolada zaciśnięta w dłoni w upalne lipcowe południe na środku leśnej polany. I nic nie było w stanie mi pomóc.

I co, znowu wpakuję się w jakąś chorą historię? Ktoś rozkocha mnie do bólu, a potem prasa codzienna doniesie, że widziano go na premierze z zupełnie inną kobietą. Przez głowę przeszło mi, że wolałabym chyba, żeby był gejem, bo mogłabym się z nim choć przyjaźnić i wymieniać wiadomości na temat nowych, rewelacyjnych tuszów do rzęs i wspólnie robić pulowery na drutach. A tak... „tego chciałam, zalanych łzami nocy?...”.

-Jeśli czytałeś *Małego Księcia*, to pamiętasz, że stajesz się odpowiedzialny za to, co oswoiłeś -
powiedziałam.

-Pamiętam. Doskonale pamiętam - krótko odpowiedział. Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Hej, czy w Danii też jest takie czyste, piękne niebo, a gwiazdy migocą, jakby chciały powiedzieć coś szczególnego? - zapytałam szybko, żeby nie prowokować dalszych wyznań, które może nie byłyby szczerze, a powiedziane z litości nad moją biedną duszą.

* „Każdy oddech twój, każde drgnienie twe... śledzić będę ja...”. ** *Wiadomość w butelce* - tytuł innej piosenki Police.

- Nie wiem, czy w całej Danii, ale nad domem mojego dziadka świecą dokładnie tak, jak powiedziałaś. Wiesz, lubię tu przyjeżdżać, zwłaszcza wiosną i latem, bo jest tak niesamowicie spokojnie i cicho, nie to co w Nowym Jorku czy Kalifornii. Można wieczorem usiąść na werandzie przed domem, nie myśląc o całym tym zgiełku, wsłuchać się w odgłosy życia płynące z ciemności. I wsłuchać się w siebie. Albo w czasie deszczu usiąść w fotelu z kotem na kolanach i przywołać wczorajsze marzenia, podczas gdy krople rytmicznie uderzają o drewniane schody i zdają się przybywać znikąd i donikąd nie dążyć. Teraźniejszość zawarta w plusku kropli o podłogę czy w szumie liści szemrzących, gdy uderza o nie czas ukryty w każdym dźwięku...

- Chciałoby się kiedyś utrwalić taki moment na fotografii, kiedy głęboka zieleń krzewu pokryta jest drobnymi kropelkami deszczu, które jak łzy, trwają przez moment w kącie oka, nim spłyną na policzek... - dodałam - może kwiaty, jak my, płaczą tylko w deszczu...

-Ali, my sorrow and pain... I do my crying in the rain..."* - zanucił cichutko w moje ucho, od razu wiedział o jakiej piosence myślałam. - Wiesz, że mam takie zdjęcie, wprawdzie czarno-białe, kiedy krople płyną pomiędzy jednym liściem a drugim, muszę ci je kiedyś pokazać... ciekaw jestem, co o nim powiesz. Tyle różnych rzeczy z mojego życia chciałbym ci pokazać...

-Nic nie stoi na przeszkodzie, mężczyzno z niebem w oczach - odpowiedziałam. - Ale dajmy czasowi czas. Życzę ci spaceru po wstędze ze światła księżycy...

-Przyjdę, jeśli będziesz czekać po drugiej stronie tej wstęgi, pani moich snów - ciepło odpowiedział.

- Przyjdź, przekonaj się, czy czekam na ciebie z kroplą deszczu ukrytą w dłoni... Śpij i śnij pięknie, zabierz najpiękniejsze marzenie jutro dla mnie do Paryża.

* „Cały smutek mój i ból... wypłaczę w deszczu...”.

-Najpiękniejsze marzenie, jakie znam, zobaczę jutro w Paryżu... Czekam na ciebie... Pięknych snów, moje marzenie... zmaterializuj się jutro na Rue du Bac, proszę.

- Do jutra, Vitto. Ja też mocno wierzę, że czasem marzenia przybierają realny kształt. I też na to liczę. Do jutra...

- Do jutra, Marina. Już dziś będę czekał i marzył o jutrze. Dobranoc.

Ależ było mi dobrze i pięknie. Westchnęłam głęboko, wciągając do płuc ożywczy chłód wieczoru. I jak ja mam teraz zasnąć i pięknieć w czasie snu? Gwiazdy świeciły nadal, zupełnie nie zdając sobie sprawy, jakiego cudu w moim sercu dokonują, wesoło błyskając na nieboskłonie. Może w te same gwiazdy patrzą teraz inne spokojne niezwykłym błękitem oczy pewnego mężczyzny w państwie duńskim? Po mojej głowie krążyło tysiąc różnych szalonych myśli i słów otulonych pierzynką cudownych emocji. „Ktoś mnie pokochał, świat cały zawirował, bo ktoś mnie pokochał na dobre i na złe...” zanuciłam i zaraz przestraszyłam się słów, które mimo woli wydobyły się z moich ust. Na razie za wcześnie na takie piosenki. Lepsza miła niespodzianka niż przykre rozczarowanie. Pamiętaj. Nie chwał dnia przed zachodem słońca. Choć nie było to może idealne zdanie na tę porę, kiedy do północy zostało tak niewiele, ale przecież w naszej znajomości byliśmy zaledwie o poranku. „It's a springtime of my loving...”* Led Zeppelin za to nadawała się tu doskonale.

Najpiękniejsze są właśnie przedbiegi. To one mają największe stężenie „motylków w żołądku”, które właśnie baraszkowały w moim w liczbie znacznej, a nawet większej niż znacznej. Leżałam na łóżku i delektowałam się tą cudowną chwilą. Byłam tak szczęśliwa, że aż niemal sama uspokajałam siebie, że tak nie można, że to na pewno niezdrowo... i sama śmiałam się do siebie słysząc, co wygaduję. Gdzieś w tle, jakby głos ojca odzywał się w mojej głowie, że idzie mi

* „**To wiosna mojej miłości...**”.

niezle, ale skąd pewność, że ukończę wyścig. Słowem, że nie ma co się cieszyć, nim nie staniesz na podium. A co mi tam! Właśnie, że będę się cieszyć! Samo uczestnictwo w wyścigu jest wystarczająco fantastyczne! Rozmarzyłam się... o urodzie chwili, naszych wzajemnych nieśmiałych dotyków, słowem choćby... Przypomniała mi się Anna Kamińska. „Nieśmiałość miłości to jej siła”. Nasze rozmowy od samego początku niosły w sobie odrobinę nieśmiałości, jakbyśmy bali się uwierzyć, że to możliwe. Że w naszym życiu tyle jest magii, pozawerbalnego porozumienia, uczucia pokrewieństwa na poziomie ducha, całkowitego wewnętrznego współgrania... Pierwszy raz czegoś takiego doświadczyłam, a raczej „doświadczyłam”, wszystko bowiem rozgrywało się w głębi serca, gdzie ukryte są emocje, które trudno okłamać, choćby się bardzo chciało... Nagle pojawił się w moim życiu ktoś tak niewiarygodnie kompatybilny, używając naukowego języka. Aż boję się myśleć... Powoli i spokojnie. „Co ma być, to będzie”, cytowałam sobie ulubione zdanie mojej mamy. Chyba posłucham babci Józefiny i zacznę modlić się do jej patrona, świętego Józefa o dobrego męża. Święty Józef ponoć „wiele może” w pewnych kręgach. Cóż, trzeba szukać dojścia... roześmiałam się w duchu. Nie przejmowałam się swoim staropanieństwem. Nawet natrętne pytania niektórych ciotek („No, Marinko, Laura już wyszła za męża, choć jest od ciebie sporo młodsza. Kiedy ty zamierzasz zaprosić nas na swoje wesele?”) nie robiły na mnie wrażenia. Wiedziałam swoje. Nie zamierzałam się poddać i wyjść za męża za kogokolwiek, kto jedynie z grubsza spełnia podstawowe warunki. Wierzyłam, że warto czekać. Wiedziałam, że warto czekać. Miewałam lepsze i gorsze dni, dni, kiedy popłakiwałam samotna w swoim mieszkaniu... ale po prostu - nie mogłam inaczej. Nie mogłabym żyć z człowiekiem, którego nie kochałabym całym sercem, choćby mi i świat rzucił do

stóp. I tak byłam już postrzegana jako niespełna rozumu, odrzucając awanse pewnego znanego biznesmena, który kupiłby mi wyspę na Pacyfiku, ale... *sorry* Winnetou. Jak mawiał Hades w Disneyowskim *Herkulesie*: „chciałbym, ale nie da rady”. Ale teraz... czułam, że Vitto Morgensen to ten, na którego czekałam tyle lat. Że cierpliwość poszukiwacza diamentów opłaciła się i wreszcie znalazłam to, czego szukałam tak długo.

Słyszałam, jak zegar bije północ, a mnie zupełnie nie chciało się spać. Chciało mi się śpiewać! Wstałam i podeszłam do okna. Otworzyłam je na oścież. Noc była nieco chłodna, w końcu to kwiecień. Miły wiatr potargał moje włosy, a ja poczułam, jakby to mocne, lekko chropawe ręce dotknęły moich loków. Stałam zupełnie rześka, oglądając paryskie niebo i zanurzając się w marzeniach. Znów przypomniały mi się strofy Anny Kamieńskiej:

Ten, który odejmuje sen od mojej głowy

Potrzebuje go pewno bardziej

Karmi się moim snem i z niego żyje

On z niego jest, z niego się staje

Nie żałuj mu tej wiotkiej podstawy istnienia

Za to zjawi się nad ranem

Siądzie przy twojej głowie aż łóżko zaskrzypi

Jakby nie ze snu był, ale z tęsknoty

I poda ci na dłoni czystą kartkę.

Och, zwariowałam zupełnie. Wystaję po nocy w otwartym oknie, bez rozumu, bez sensu... bez szlafroka i gapię się w niebo... I wcale nie jest mi zimno, i widzę głęboki sens w owym staniu na wietrze. Jakby metaforę swojego życia... To, co dla innych bez sensu, dla mnie jest całym światem cudownych doznań, jakich nic innego zapewnić nie może... które są dla mnie podstawą jutrzejszego wstania z łóżka i wszyst-

kich następnych dni i nocy. Wolę żyć w swoim świecie, niż, jak Syzyf, pchać pod górę kamień szarej egzystencji... Brak związku z szarzyzną i realnością poczytuję za wielki atut mojego świata. Jak wszyscy obłąkani. I szczęśliwi. Czyż to nie to samo? Jedyni ludzie istniejący wewnętrznie bardziej niż na zewnątrz. Ludzie, których istnienie utkane jest bardziej z niematerii niż z konkretności. Szczęśliwi, bo niezależni od banknotów w portfelu, kawioru na stole, słońca za oknem czy czekoladek w bombonierce na biurku. Szczęśliwi szczęściem wnętrza odpornym na pluchę za oknem, humory szefa czy posiadanie najnowszej kreacji od Diora. A jednak nie ze spiżu i żelaza... ale jak z chińskiej porcelany. Nic bardziej kruche i twarde zarazem, jak to nasze wnętrza...

Wpełzłam pod ciepłą kołdrę i przytuliłam głowę do wciąż pachnącej lawendą poduszki. Zamknęłam oczy. Widziałam pod powiekami tę męską, szlachetną twarz, może nie klasycznie piękną, ale dla mnie wyjątkową i najbliższą memu sercu. Vitto był o kilka lat ode mnie starszy, w kącikach oczu widać było siateczkę zmarszczek, kiedy się uśmiechał... ale najbardziej lubiłam te głębsze, wyrazistsze pojedyncze bruzdy, które pojawiały się wtedy na policzkach i dodawały mu mnóstwa męskiego uroku, który, o dziwo, dopełniał też dołek w brodzie. Ach, znów jestem monotematyczna. Kontempluję tę twarz w myślach po raz tysięczny i wciąż mi mało...

Zapach lawendy zdawał się wypełniać mój pokój, choć wcześniej wydawał się delikatny. Dziwne... No tak, dołączyły się jeszcze omamy węchowe, to się jakoś nazywało... Nie mogłam sobie przypomnieć... Jedyne, co kołatało w mojej głowie w tej chwili to piosenka Marillion: „Lavender dream, lavender blue... if you love me, I will love you... penny for your thoughts, my dear...”*. Sama nie wiem, kiedy Fish

„Lawendowy sen, lawendowy smutek... Jeśli ty mnie pokochasz, ja pokocham ciebie... grosz za twoje myśli, kochanie...”.

ukołysał mnie do snu, a jedyne, co pamiętam, to błękit czyichś oczu pochylających się nade mną... Rano obudził mnie śpiew ptaków, które wydierały się wprost nieprzyzwoicie. Słońce wzeszło jakiś czas temu i zdążyło już rozkręcić swój biznes na całego. Miło było wstawać w taki poranek, zwłaszcza że czułam się wypoczęta, jak rzadko. Spałam jak niemowlę. Widocznie można chłonąć szczęście nawet przez sen, bo nie dość, że byłam rześka, to jeszcze w doskonałym nastroju. Bo też jaki miałby być, skoro czekało mnie coś tak czarownego...

Wzięłam prysznic. Samotnie. Nawet żółw Hector nie zaszczycił mnie obecnością, co przeżyłam jakoś bez szczególnego bólu. Szybciutko wciągnęłam na siebie beżową sukienkę, zawiesiłam na szyi drewniany wisior. Żeby utrzymać się w klimacie etnicznym, upięłam włosy za pomocą dwóch patyczków z cedrowego drzewa i ruszyłam do kuchni. Wszyscy, z wyjątkiem Anne, byli już w drodze do miejsc, gdzie się ich o tej porze spodziewano. Miałyśmy więc chwilę czasu dla siebie. Przy doskonałej kawie i rogaliku gadałyśmy jak nastolatki. Ach, ta moja francuska przyjaciółka... Zawsze była taka kochana! Umiała smucić się ze mną, ale jakże umiała się weselić! Obie czułyśmy, jak rozpiera nas energia poranka!

Bywają takie momenty, że człowiek patrzy na świat tak przyjaźnie i radośnie, iż czasem wydaje się, że świat musi odpowiedzieć mu tym samym. Optymizm i prawdziwa radość zawsze są zaraźliwe.

Wyszłam z domu Anne-Marie w doskonałym humorze. Kongres kończył się już dziś, a ja wieczorem wracałam do Warszawy. Ale najpiękniejsze chwile czekały mnie pomiędzy jednym a drugim. Vitto, Vitto, Vitto!

Na kongresie, oprócz dwóch ciekawych wykładów, reszta była niezbyt zajmująca, a może po prostu ja myślami błędziłam już zupełnie gdzie indziej. Porozmawiałam z kilkoma znajomymi, wymieniliśmy ogólne wrażenia. Większości podobały się i obrady, i miasto. Niektórym ani jedno, ani dru-

gie, ale cóż... *de gustibus non est disputandum*. Na zakończenie zaplanowano smakowite pożegnanie. Stoły zastawiono francuskimi specjałami. Mnie, dziwnym trafem, zupełnie nie chciało się jeść. Skubnęłam trochę tego i owego, aż w końcu z niewielką porcją naleśników *d la Suzette* usiadłam w rogu sali. Choć bardzo lubiłam słodkości, naleśników jakoś nie ubywało na talerzu. Wkładałam do ust małe kawałeczki, ale... trudno było je przełknąć. Jak swego czasu befsztyk w jednej z restauracji przy Grand Place w Brukseli. Wtedy problem wynikał z wieku zwierzęcia, z którego befsztyk ów zrobiono. Tym zaś razem problem tkwił w zwierzęciu, które posilało się naleśnikiem. Otóż to zwierzę, tak naprawdę, przebywało myślami zupełnie gdzie indziej i nawet tak mechaniczna czynność, jak żucie, zaczynała nabierać abstrakcyjnego znaczenia. Przerwałam więc ten żmudny proces spożywania i sięgnęłam po kawę, mając nadzieję, że może ona przywróci mnie światu. Jak wiadomo - dobra kawa nie jest zła. Powoli „trzeźwiałam” i szczęściem zerknęłam na zegar umieszczony nad wejściem. O, rety! Jeśli chcę zdążyć, muszę już iść. Porwałam materiały naukowe, szybko pożegnałam się ze znajomymi i pobiegłam do domu Anne-Marie.

Paryskie powietrze zawsze działa cuda. Już po kilku chwilach czułam miłe ożywienie. Piękne słońce lśniło w gałęziach drzew, odbijało się w szybach okien, a ja czułam narastającą ekscytację, uświadamiając sobie, jak niewiele czasu dzieli mnie od godziny „zero”. Postanowiłam podjechać kawałeczek metrem i zaoszczędzić na czasie, żeby przejść jeszcze raz, choćby szybkim krokiem, przez Ogród Luksemburski. Jak postanowiłam, tak zrobiłam.

O tej porze w alejkach spacerowało sporo osób, ale to nie one stanowiły *clou* programu. Chciałam koniecznie nacieszyć jeszcze oko i nos zapachami, które unosiły się w powietrzu. Patologicznie lubiłam bzy! Uwielbiałam ich barwy, fakturę kwiatów, no i zapach, który może niektórym przy-

pominał rosyjskie „duchi”, ale dla mnie pachniał wiosną i świeżością. I dzieciństwem, kiedy pachniały bzy, jaśminy, a czas płynął zupełnie nas nie dotykając... Na tle soczystej zieleni wesoło mrugały zawadiacko rozłożone kępki mleczy, najpiękniejszych wiosennych ozdób, zarówno łąk, jak i naszych uszu czy głów, kiedy to plotłyśmy z nich wianki, mimo lęku przed czarnymi, drobnymi robaczkami, które dzieliły naszą do mleczy sympatię. Wtedy dla nas, nawet w chmurne dni, świeciło słońce, a trawy rosły, kryjąc nasze małe, przemykające wśród nich, postacie.

Na parę chwil przysiadłam pod wielkim krzakiem bzu, którego konary sięgały niemal mojej głowy, a który marzycielsko rozsiewał wokół swą woń. Idealny kąć dla takiej ma-rzycielki jak ja... Zanurzyłam się w samym zapachu, przymknęłam oczy, a w jasnej łunie, którą sączyło słońce przez moje powieki, zobaczyłam małą dziewczynkę biegającą po zielonej trawie wśród kwitnących mleczy, rozwijających swe pączki jabłoni i czereśni w babcinym sadzie... Wróciła do mnie na moment pierwotna dziecięca beztroska, niczym niezmacona radość z samego istnienia i poczucie wewnętrznej harmonii, na które wtedy nie zwracałam uwagi, tak było oczywiste i naturalne... Zagubiłam się niemal w tym wspomnieniu i dopiero przypadkowy hałas biegnących i nawołujących dzieci wyrwał mnie z marzeń. Spojrzałam na zegarek komórki i, niestety, zdecydowanie opuściłam ten urokliwy zakątek.

Wchodząc po schodach domu moich gospodarzy, nie mogłam odmówić sobie popatrywania przez okna i zbierania pod powiekami obrazów, które wlewały w moje serce ekscytujące i cudowne wspomnienia. Zbierałam je i chowałam w zakamarkach pamięci jak wiewiórki orzechy na ciężkie czasy, jak słoiczki konfitur z zamkniętymi wspomnieniami upalnych i słonecznych dni, by potem, w środku ciemnej i mroźnej zimy, kosztując słodkiej galaretki, przywołać, choć

na moment, chwile szczęścia i radości z promieni słonecznych zalewających ogrody, altany czy parkowe aleje. Chowałam tę szczęśliwość na potem, na powrót do pewnie zimnej i deszczowej Warszawy, na powrót do szarości ścian budynków i bieli szpitalnych korytarzy... Ale jeszcze nie teraz... jeszcze szarość nie ma wstępu do mojego umysłu, do mojego życia... Jeszcze karnawał i radość...

Wchodząc do mieszkania, słyszałam wrzawę nakrywających do podwieczorku dzieci. Anne-Marie i Jean-Pierre siedzieli już przy stole w towarzystwie Petite, a dzieciaki układały na stole różne łakocie. Wafelki, pierniki, markizy, pianki oblane czekoladą i mieszanka maślanych ciasteczek -kusiły nie tylko mnie, bo Petite kończyła już ciastko orzechowe.

-Witajcie, kochani! Smacznego! Co tak wcześniej? Do czwartej jeszcze trochę czasu!

- Fajnie, że już jesteś. Siadaj z nami i szturmujmy słodkości. Ufam, że nie będzie to dla ciebie katorgą?
- zaśmiała się Anne.

-Katorgą? Nigdy, przenigdy! Wiesz doskonale, iż wychodząc ze słusznego zalecenia, że jeden szlachetny nałóg trzeba mieć, wybrałam sobie zdecydowanie słodyczomanię - powiedziałam. - Ach, czekolada... to chyba lepsze od... -chciałam powiedzieć seksu, ale w porę ugryzłam się w język, przecież przy stole siedziały już dzieciaczki, toteż usiłując wybrnąć, dokończyłam - lepsze od innych przyjemności.

- Czy ja wiem? - głośno zastanawiała się Petite. - Niewiele już pamiętam, ale gdy wspomnę pewnego Belga z Brugii...

- Babciu! Dzieci siedzą z nami przy stole! Wiesz, że radary czynne są całą dobę... - powiedział Jean-Pierre.

- Och, mój drogi, teraz one zajęte są myślą, kto zje ostatni wafelek waniliowy, a nie naszymi pogaduszkami! - odparła starsza pani, udając oburzenie, po czym filuternie do-

dała, patrząc na męża swojej wnuczki - cóż, od tego Belga jedynie lepsza była... - tu zawiesiła głos na moment - belgijska czekolada.

Wszyscy roześmialiśmy się i atmosfera zrobiła się bardzo leniwie popołudniowa. Znów spojrzałam na zegarek, wskazówki poruszały się nieubłaganie. Podziękowawszy za miłe chwile oznajmiłam, że, niestety, na mnie już czas. Wieczorem lecę z powrotem do Polski.

- Och, ledwie przyjechałaś i już musisz wracać? Zostań, proszę, jeszcze trochę, jutro urządzam mały koncert u siebie w domu, byłabyś tak mile widziana, Marinelle! - szczerze zasmuciła się Petite.

- Ależ z wielką radością posłuchałabym pani, wie pani przecież doskonale, jak wysoko ją cenię, ale - służba nie družba. Jutro rano muszę stawić się na oddziale, a od popołudnia mam dyżur do rana, nie mogę komplikować życia kolegom. Zjedliby mnie na śniadanie zaraz po powrocie, że komuś zorganizowałam życie, wciskając mu w ostatniej chwili dyżur, a sama balowałam w Paryżu - odparłam zgodnie z prawdą.

- Och, co za ciężkie życie mają ci lekarze - westchnęła Petite. - Ja zupełnie sobie siebie nie wyobrażam w takiej roli. Owszem, okresowy anioł miłosierdzia w ramach opieki nad przystojnym, lekko rannym porucznikiem... ale nigdy na stałe. Brr...

-Niestety, u mnie na ginekologii i położnictwie o porucznika niezmiernie trudno, ale popytam kolegów z chirurgii... Jeśli tylko zjawi się jakiś, trzymam panią za słowo, Madame - pozwoliłam sobie na mały żarcik, znając poczucie humoru Petite.

- Ach, moja mała, już nie te czasy. Duch mocny, ale ciało... - westchnęła starsza pani.

- Babciu, niejednemu porucznikowi dałabyś radę! - zaśmiał się Jean-Pierre, na co Petite pokręciła głową.

Wykorzystałam moment, by pożegnać się z przyjaciółmi, a przynajmniej z ich częścią.

- Bardzo wam wszystkim serdecznie dziękuję za piękny czas, jaki mogłam tu spędzić, za gościnę i niezmiennie zapraszam do Polski. To naprawdę piękny kraj! Chętnie pokażę co lepsze zakątki... - spojrzałam na towarzystwo przy stole. - Ale teraz już muszę się zbierać, bo chcę jeszcze odwiedzić pewną galerię. Mój znajomy otwiera dziś wystawę swoich prac i zaprosił mnie na nią w szczególnie miły sposób, nie chciałabym więc sprawić mu zawodu...

- Taki wariant absolutnie nie wchodzi w grę, kochanie. - Anne-Marie uśmiechnęła się do mnie filuternie. - Dziś wieczorem Jean-Pierre jedzie na lotnisko po kolegę, może weźmie twoją walizkę i spotkacie się w hallu... Żebyś nie musiała jej zabierać ze sobą na wystawę...

- Oczywiście, żaden problem - powiedział Jean. - Po co masz brać z sobą neseser na spotkanie! Ja i tak będę na lotnisku o takiej porze, że i ty zdążysz na swój samolot, a ja będę miał czas odebrać Michela.

- Jeśli naprawdę nie sprawię tym kłopotu, bardzo chętnie... - odpowiedziałam nieśmiało. Nigdy nie lubiłam obarczać kogoś swoimi problemami, ale jeśli Jean-Pierre był tak miły, dlaczego nie skorzystać z jego uprzejmości? Zwłaszcza dziś...

Ucałowałam uroczą staruszkę, która tuż po podwieczorku miała iść na spotkanie z jedną ze swoich koleżanek. Pożegnanie z pozostałymi zostawiłam na później. Pospieszyłam do swojego pokoju. Szybki prysznic, odrobina pachnącej mgiełki na całe ciało, ale - bez przesady... nie chciałam zostawiać za sobą tunelu aromatu. Włosy upięłam nieco wyżej, odsłaniając szyję, ale puszczając luźno parę pasemek i podkreślając ich skręt z pomocą pianki. Jeszcze tylko lekki makijaż, czarna, długa, ale bez wieczorowego zacięcia, prosta sukienka z łódkowym dekoltem, piękny długi wisior z krysz-

tałem górskim na szyję... i jestem gotowa. Szybko spakowałam swój nieduży dobytek i ruszyłam w kierunku Anne-Marie. Trzymając w jednej ręce walizkę, a w drugiej elegancko zapakowany prezent dla mojej przyjaciółki, stałam w drzwiach kuchni, gdzie trwało sprzątanie po podwieczorku. Anne szybko podeszła, widząc mnie stojącą ze smętną miną w progu.

- Szkoda, że już musisz wracać. Nigdy nie mamy wystarczająco dużo czasu dla siebie, wcale nie zdążyłam się tobą nacieszyć. Ledwie zdążyłyśmy zacząć rozmowę, a ty już musisz wracać... - powiedziała z wyrzutem w głosie.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo nie mam na to ochoty, Anne. Nawet nie wiesz... - odparłam. - Tak mi zawsze u was dobrze, tak lubię tu przyjeżdżać! I nie chodzi o sam Paryż, choć wiesz, jak jestem w nim zakochana. Najważniejsi są ludzie i ciepła atmosfera, jaką tworzą.

- Miło mi, że tak mówisz. Ale następnym razem, nie bacząc na wszelkie sprzeciwy, zabiorę cię do mojej ulubionej café na pyszne cappuccino i banana split. I wreszcie spokojnie porozmawiamy - odrzekła, uśmiechając się.

- Trzymam cię za słowo! Też brakuje mi ciebie, może byś tak odpoczęła od paryskiego szyku i przyjechała do mnie na trochę? Obiecuję, że wezmę urlop! Teraz za późno dowiedziałam się o wyjeździe i nie dałam rady pozamieniać dyżurów.

- Kto wie, kto wie... A pojedziemy do Krakowa? - zapytała mnie szybko. Interesowała się trochę polską kulturą i od dawna czuła szczególny sentyment do grodu Kraka.

- No pewnie! Gdzie tylko będziesz chciała! To kiedy mam się ciebie spodziewać? - trzeba było kuć żelazo, póki gorące. - Może przyjechalibyście wszyscy?

- Żebyśmy znowu nie miały chwili dla siebie? O, nie! - zachnęła się młoda Francuzka. - Spodziewaj się tylko mnie. Czy mnie od życia nie należy się odrobina relaksu?

- Należy się i to zdecydowanie! - odparłam. - Tak więc czekam na telefon, może być nawet z lotniska Okęcie. Ale na razie przyjmij, proszę, ten mały drobiazg. Niech przypomina, że ja czekam na ciebie w kraju, który słynie z tego złota z morskich głębin.

Anne-Marie niecierpliwie rozdarła papier, w który pieczołowicie zapakowałam pudełeczko.

Otworzyła je szybko, po czym usłyszałam zachwycone „och!” i moja przyjaciółka uściskała mnie z całych sił.

- Ależ to piękne! Och, zrobiłaś mi naprawdę dużą przyjemność! Piękna zawieszka! Jaki oryginalny mleczny bursztyn - obracała na dłoni mój prezent.

-Zobaczyłam w galerii to cudo i od razu pomyślałam o tobie. Pamiętałam, jak bardzo podobały ci się moje sznury bursztynów. A to połączenie ze srebrem jest dość ciekawe, prawda?

- Piękne! Dziękuję ci bardzo! - powiedziała Anne-Marie, a iskiereki w jej oczach potwierdzały, że naprawdę udało mi się dobrze trafić.

- To ja dziękuję za wszystko! - uściskałyśmy się serdecznie.

Pożegnałam się z dziećmi, które na koniec dostały ode mnie spory worek polskich słodkości.

Przekazałam także Marco symboliczną „krówkę” dla Hectora, którego chwilowo nie dawało się zlokalizować. Schowawszy ją do kieszeni, solennie obiecał mu ją przekazać. Jean-Pierre'a nie było już w domu, ale wiedziałam, że spotkam się z nim niebawem na lotnisku. Walizkę zostawiłam przy drzwiach według zaleceń Anne i jeszcze raz pożegnawszy gościnny dom i jego czarującą gospodynię, zbiegłam po schodach na ulicę. Pomyślałam, że podjadę metrem, żeby mieć parę chwil w zapasie, bo nie kojarzyłam zupełnie, w którym miejscu na Rue du Bac jest galeria.

Udało mi się złapać szybko metro i w krótkim czasie spacerowałam już wyżej wymienioną ulicą.

Szłam powoli, rozglą-

dając się za szyldem galerii. I rzeczywiście, w pewnym momencie po przeciwnej stronie ulicy zauważyłam napis „La Galerie de la Tristesse”. Przystanąłam naprzeciwko i dobrą chwilę przyglądałam się widokowi za ogromnymi oknami.

Z ulicy można było dość dokładnie zobaczyć wnętrze galerii. Duża biała przestrzeń wypełniona była umieszczonymi pod różnym kątem obrazami. Na podłodze stały rozmieszczone, na pozór przypadkowo, wazony z ciętego, prostego szkła, wypełnione papuzimi tulipanami. Białe kwiaty rozwijające się jakby z zielonych form, na pierwszy rzut oka wyglądały jak wynaturzone postacie roślin, jak ofiary jakiegoś szalonego ogrodniczego eksperymentu. Poznałam je od razu po zwariowanym profilu, który widoczny był nawet z tej odległości. Zwariowane, ale przepiękne. Całość łączyła w sobie dwa na pozór sprzeczne kierunki. Z jednej strony - duża prosta przestrzeń, jasność i przejrzystość linii, proste wazony z przezroczystego szkła, a dla kontrastu - kwiaty o linii godnej wyżyn maestrii najbardziej wymyślnej sztuki jubilerskiej. Podobnie jak obrazy Vitto, przynajmniej te, które miałam okazję zobaczyć w Warszawie. Tak różnorodne w swojej fakturze, kolorystyce, dodatkowych akcesoriach używanych w procesie tworzenia, a ciągle zachowujące prostotę i przejrzystość. I pewne, na swój sposób klasyczne, piękno.

Pierwsze krople deszczu zmusiły mnie do podjęcia decyzji o wejściu do środka. Przez mgnienie chwili widziałam znaną mi sylwetkę, jak przemknęła pomiędzy obrazami, ale zaraz skryła się w małej niszy po prawej stronie galerii. Uff, jeśli nie chciałam wyglądać jak zmokła kura, musiałam wejść do środka. Przy wejściu stał z marsową miną ochroniarz. A ten tu po co? Czyżby twórca spodziewał się szturmów fanów (głównie płci przeciwnej), czy też kierowała nim obawa przed atakiem terrorystycznym? No, już bez przesady! I teraz ja niby mam się przedzierać przez zasieki? Cóż, w miłości pal sześć dumę... ale godność spróbuję zachować.

Podeszłam do drzwi. Potężny *guardian* łypnął na mnie i chyba uznał, że nie wyglądam na arabskiego terrorystę, po chwili bowiem jego wyraz twarzy złagodniał.

- Madame, galeria jeszcze nie jest otwarta - powiedział. - Domyślałam się tego, ale byłam umówiona właśnie na

siedemnastą z panem Morgensenem. Nazywam się Marina Błajet.

- Madame Błajet. Przepraszam. Proszę wejść. Pan Mor-gensen rzeczywiście wydał polecenie wpuszczenia pani bez kontroli - powiedziawszy to, cofnął się, robiąc mi przejście.

Weszłam do środka i dyskretnie rozejrzałam się po wnętrzu. Dobrze oceniłam je na pierwszy rzut oka.

Zrobione ze smakiem. Niby prosto i przestrzennie, a jednak nieco finezyjnie i z „l'esprit”. Nie

zdażyłam otworzyć ust, by powiedzieć pustej sali „dzień dobry”, kiedy to znikąd niemal pojawił się ktoś, kogo miałam nadzieję oglądać siedzącego wraz ze mną przy kominku za pięćdziesiąt (no, może czterdzieści) lat. Poruszał się swobodnie i lekko, a z każdego jego ruchu emanował przede wszystkim spokój. I to ten spokój brał mnie w posiadanie, ilekroć miałam szanse zaobserwować go w naturze.

Szary sweter i o ton ciemniejsze, luźne spodnie, włosy założone za ucho i ta niezwykła twarz... niby nie całkowicie klasyczny amant, a jednak ten magnetyzm, coś, co przykuwało uwagę od pierwszego spojrzenia... Podeszedł do mnie i... podniósł mnie do góry, nim zdażyłam się zorientować, co się dzieje. Zawirował przez chwilę ze mną w ramionach i powoli, delikatnie, postawił mnie na ziemi.

- Witaj, moja piękna! Och, jak cudnie pachniesz wiosną! Deszcz i twoja skóra muszą się bardzo lubić - otarł mi kropelkę deszczu z policzka. - Zresztą ciebie nie sposób nie uwielbiać. Widzę, że nie jestem osamotniony. Nawet siły przyrody darzą cię szczególnym uczuciem...

- Dzień dobry, Vitto, ja też się cieszę, że cię widzę. Dobrze, że siły przyrody wielbią mnie tylko małym deszczykiem,

a nie huraganem... - odpowiedziałam nieco zawstydzona tym wybuchem czułości.

-Gdybym ja był Matką Naturą, to porwałbym cię w straszliwym wicherze i trzymał w swoich objęciach w oku cyklonu po wieczność. Ale chwilowo to niemożliwe, choć przez moment więc chciałem zasmakować, jak by to było -powiedział, odgarniając mi kosmyk włosów z twarzy.

Czułam jego zapach, który jakby zakotwiczył na moment na mojej skórze. Byłam trochę sparaliżowana całą tą sytuacją. Było zbyt pięknie, żeby mogło trwać wiecznie. Ciągle bałam się w to wszystko uwierzyć, bo niby dlaczego właśnie mnie, Marinie Błajet, skromnej dziewczynie z miasta nad Wisłą, miałyby się przydarzyć coś, co graniczyło z cudem. Taki mężczyzna, artysta znany w kręgach ludzi pewnie dużo bardziej interesujących i urodziwszych ode mnie, człowiek niemal z pierwszych stron gazet i *moi*. Kolejna wersja bajki o Kopciuszku? Broń się Marina, bo to za piękne, żeby było prawdziwe!

A jednak niepoprawnie romantyczna i naiwna część mojej duszy podsuwała mi najpiękniejsze słowa i uczucia, kazała cieszyć się chwilą i czerpać szczęście, póki mam szansę. Przypomniało mi się czyjeś powiedzenie: „Nie chowaj głowy w piasek na wypadek, gdyby szczęściu zechciało się cię po niej pogłaskać”. Cóż, zakrzyknęłam w duchu: „Courage!”. Co mi tam! Całe życie byłam rozważna, czas być romantyczną.

- Chodź, moja Rózo, mamy dla siebie wieczność, ale, póki co, skoncentrujmy się na chwili obecnej. - Vitto wziął mnie za rękę i poprowadził w kierunku wnęki, w której zniknął, gdy obserwowałam galerię z zewnątrz.

Czekała tam na mnie miła niespodzianka. We wnęce stał niewielki stolik nakryty delikatnym obrusem w kolorze *ecru*, na nim dwie wysmukłe lampki do szampana i... ogromny stos czekoladek. Dwie świece w kolorze obrusu płonęły cichym blaskiem, rzucając drobne cienie na ścianę.

-Zapraszam na czekoladową ucztę. Pamiętam, że bardzo lubisz czekoladę, więc przywiozłem ci trochę duńskiej. Nie wiem, czy będzie ci smakować, ale miałem jak najlepsze intencje - powiedział, pomagając mi usiąść na jednym z dwu krzeseł towarzyszących stolikowi.

- Trochę? Ależ tu jest z pół tony czekoladek! Jeśli wybrałeś je specjalnie dla mnie, już mają w sobie tę szczególną przyprawę, która nada im niepowtarzalnego smaku -powiedziałam, sięgając po jedną w kształcie podłużnego prostokąta.

Vitto uśmiechnął się lekko. Wiedziałam, o co mu chodzi. Zawsze wybierałam podświadomie przedmioty o nieco fał-licznym kształcie, od butelek perfum, wisiorów, na czekoladkach skończywszy. Już kiedyś ucieliśmy sobie krótką pogawędkę na ten temat. Po spieczeniu raka na samym początku, bohaterko broniłam swojej tezy, że takie postrzeżenie mojego zachowania jest głęboko mylne. Ostatecznie skończyło się na śmiechu i odrobinie flirtu w granicach dobrego smaku. Przypomniawszy sobie nasz słowny pojedynek na temat moich wyborów, też uśmiechnęłam się, ale już nie przepraszając jak pensjonarka, lecz jak kobieta uwodzicielka.

- Cieszę się, że pamiętałeś, co lubię. Ja, niestety, poza sobą niczego na dzisiejsze spotkanie nie przyniosłam - dodałam, spoglądając figlarnie spod rzęs.

- Nie musiałaś. Mam dokładnie to, czego mi potrzeba -ujął moją rękę i delikatnie pocałował jej wnętrze.

Uwielbiałam jego dotyk. A pocałunek miał w sobie ogromną delikatność, ale i dużo wibracji, od których zrobiło mi się gorąco.

- Może odrobinę szampana, żeby uczcić nasze spotkanie? - zapytał, patrząc mi w oczy.

Gdyby zapytał, czy może odrobinę cykuty dla „kurażu”, też na pewno zgodziłabym się bez wahania. Usiłowałam zachować zimną krew, co nie było łatwe, akurat bowiem przy

tym mężczyźni brały w łeb wszystkie moje mechanizmy obronne, pieczołowicie trenowane od dłuższego czasu.

- Marino, moja muzo, za magię, która jest w tobie... za magię, której tak potrzebuję w moim życiu... - powiedział, podając mi kieliszek, w którym musował trunek z winnic Szampanii.

Z wrażenia o mało nie uleciałam z bąbelkami szampana w przestworza... Rozpływałam się z każdym słowem, które docierało do moich uszu. Musiałam się bardzo mocno trzymać, żeby nie utonąć w morzu cudowności, które sączył w moje serce ten ciepły i czarownie spokojny głos. Głos, któremu nie sposób było nie uwierzyć i któremu nie sposób było się oprzeć... A jednak walczyłam...

- Och, Vitto, mój czarodzieju! Mówisz tak pięknie i przekonująco, że niemal gotowa jestem ci uwierzyć... - wypiliśmy mały łyk szampana. - Co będzie, jeśli uwierzę? - powiedziałam, oswobadzając rękę z cudownego uścisku i patrząc mu prosto w błękitne oczy.

- Będzie pięknie, jak nigdy dotąd tobie i mnie się nie zdarzyło... wiem to, Marina - spojrzał na mnie tak łagodnie, że przez moment gotowa byłam złożyć broń i rzucić się z białą flagą w stronę okopów przeciwnika. Cóż, „miłość jest grą, w której jedna strona baczy, jak wygrać, a druga, jak nie przegrać”. Mogłam sobie powtarzać setki sentencji, a i tak ... prawdziwa ja rwała łańcuchy, żeby ze spokojem oszaleć na punkcie tego człowieka. Na razie jednak łańcuchy miały się względnie dobrze. Co jak co, ale mój wewnętrzny kontroler był niezmordowany.

- Dajmy czasowi czas... Mały Książę - delikatnie pogładziłam go po pięknym policzku, starając się zapamiętać na zawsze tę linię i szorstkość męskiej skóry. - A teraz pokaż mi to, czym zamierzasz dziś podbić Paryż.

Znów wziął mnie za rękę i poprowadził w głąb galerii. Malował pięknie! Tworzył też kolaże, używał różnych tech-

nik, a wszystkie jego prace miały w sobie coś, co nie pozostawiało obojętnym, a niekiedy wręcz przykuwało do płótna na długi czas. Te obrazy miały duszę.

- A teraz mam dla ciebie coś specjalnego - powiedział, pokazując mi płótno wiszące nieopodal. - Spójrz. Nareszcie mogłem je dokończyć.

Delikatnie podświetlony obraz przedstawiał moją twarz zagubioną w błękicie ni to wody, ni kosmosu. Widziałam w Warszawie jedynie szkic, którego istnienie i tak graniczyło z cudem, jak spotkanie jawy ze snem. Jak spotkanie dwóch poszukujących się po całym świecie duchów, które tylko mogą otrzeć się o siebie poza czasem i przestrzenią, poza rzeczywistością i konkretną materią. Teraz patrzył na mnie swoimi fascynującymi oczyma, które zawładnęły moim snem, zupełnie nie pytając mnie o zdanie, i czekał na werdykt.

- To ja? Widzisz mnie aż taką piękną? Przecież nie jestem... - powiedziałam, nie umiając ukryć zachwytu. Patrzyłam na obraz z szeroko otwartymi oczami, nie potrafiąc ich odeń oderwać.

- Jesteś jeszcze piękniejsza, ale mój ułomny warsztat nie potrafi tego wydobyć - powiedział, stając za mną. - Przyjmij, proszę, coś, co musi do ciebie należeć. To klejnot, który należał do mojej prababki, kobiety o najbardziej błękitnych oczach na świecie - mówiąc to, zawiesił mi na szyi piękny owalny błękitny kamień oprawiony w srebro.

- Ależ Vitto, ja nie mogę... Dlaczego ja... - płątałam się, zupełnie nie wiedząc, co zrobić i co powiedzieć, całkowicie oszołomiona. Dotknęłam palcami klejnotu na mojej szyi...

- Dlaczego ty? Jak możesz pytać? To ty jesteś moim błękitem. .. - szepnął do mojego ucha. Nadal stał za mną, czułam go doskonale, choć nasze ciała nie dotykały się. Trwało to ułamek sekundy, jak zawieszenie kropli... i sekundę później Vitto objął mnie całą ramionami i schował w sobie.

Boże wielki, zatrzymaj czas!!! Niech stanie na minutę, godzinę, wieczność... Przytulał swoją piękną męskim urokiem twarz do mojego policzka, chował ją w moich włosach, czułam jak wdycha mój zapach i zaciąga się nim po ostatnie pęcherzyki płuc. Czułam się w końcu bezpieczna, zanurzona w tym cudownym spokoju i harmonii, w jakiej znajdowało się moje ciało. Myśli gnały po autostradzie szczęścia, nie mając już siły opierać się dłużej i, pamiętam dokładnie, jak wszelkie mury obronne mojego miasta runęły z łoskotem. Biała wieża, moja wieża z kości słoniowej, nagle nie górowała już na horyzoncie... Pamiętam doskonale ten moment... wtedy nie mogąc już zupełnie nic na to poradzić... pozwoliłam sobie nie tylko na odsłonięcie gardy, lecz także na całkowitą bezbronność z wyboru... i legalnie, *lege artis*, po prostu... poddałam się miłości.

Trwaliśmy tak zamknięci w swoich objęciach, a konkretnie ja zamknięta w jego ramionach, pijana zapachem jego skóry, mocą i męską siłą zdobywcy i władcy. Ja, niezależna do granic, ja, która nienawidziłam wręcz każdego rodzaju zniewolenia przez kogokolwiek... A teraz poddając się pierwotnemu instynktowi, czerpałam z tego poddaństwa ogromną przyjemność i głęboką wręcz radość. Widziałam swoją Iwarz w błękicie na obrazie przed sobą i czułam, jak zupełnie inny, a może ten sam błękit pochłania mnie, czyniąc najszczęśliwszą z kobiet...

Czułam jak i on poddaje się tej chwili bez reszty, jakbyśmy czekali miliardy lat na to spotkanie i wreszcie, po długiej tułaczce, znaleźli życiodajną oazę... Jakby nareszcie wszystko miało szansę znaleźć swoje miejsce... Delikatnie całował moje włosy, szyję, a ja... unosiłam się gdzieś w okolicie siódmego nieba. Ledwo dosłyszalnym głosem szepnął mi do ucha:

- Moja najpiękniejsza, dlaczego nie chcesz się poddać temu cudownemu prądowi, który porywa nas oboje w niezna-

ne... w cudowną podróż tylko dla nas... Czego się boisz, Marina?

I nie dając mi chwili na odpowiedź cichutko, wprost do mojego ucha, zanucił słowa starego przeboju Cyndi Lauper:

I see your true colors shining through

I see your true colors, and that's why I love you

So don't be afraid, to let them show

Your true colors...

*(...) Beautiful (...) like a rainbow...**

Trwałam tak zanurzona w szczęściu po samą szyję i właśnie miałam powiedzieć, że ja też bardzo, że ja też pragnę tego, czego i on... już otwierałam usta, żeby powiedzieć, że ja jego też od pierwszego wejrzenia... kiedy drzwi galerii otwały się z łoskotem.

- Co pan sobie wyobraża! Ręce przy sobie, draniu! Czy pan nie wie, kim ja jestem?! - podniesiony, wysoki, kobiecy głos zdawał się dobiegać zewsząd i natychmiast wypełniać całe wnętrze.

Po chwili naszym oczom ukazała się jego właścicielka. Środkiem galerii sunęła w bojowym nastroju platynowa blondynka o sporej urodzie, żywoczerwonych ustach i takichże paznokciach, których czerwień podwójnie lśniła na tle jasnego futra przytrzymywanego drobnymi dłońmi na wysokości piersi. Zgrabne, długie nogi, chwiałały się nieco na niesamowicie wysokich szpilkach, potknęła się raz i drugi, nim do nas dotarła. Prócz perfum, towarzyszył jej lekki zapach whisky. Rozpoznałam w niej kobietę ze zdjęcia w gazecie, na którym tuliła się do Vitto na jakiejś premierze. Stała naprzeciw nas,

*** Widzę twoje prawdziwe barwy, jak rozświetlają cię / Widzę twoje prawdziwe barwy i za nie cię kocham / Więc już nie bój się i pozwól ukazać się im / Twoim prawdziwym kolorom, / tak pięknym niby tęcza...**

odsunęła mnie jedną ręką na bok i, patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

- Jak mogłeś mnie zostawić samą w hotelu! Budzę się sama w nie swoim łóżku, niemal nago - tu rozchyliła futro, ukazując zabójcze ciało odziane w koronkową bieliznę. - Bo chyba tego nie nazwiesz ubranie, kochanie. Szukam ciebie, a tu cisza, nie ma nikogo. Vitto, kochanie, wołam, gdzie jesteś... cisza. Boże, jak mogłeś mnie zostawić tam samą po tym wszystkim, cośmy razem przeżyli!

- Beatrice, uspokój się! - powiedział stanowczo, niemal gniewnie. - Znowu piłaś. Wiesz, że teraz nie wolno ci pić. Wróć do hotelu i doprowadź się do porządku, proszę - jego głos już złagodniał, ale widać było, że jest wyraźnie poruszony. - Maurice cię odwiezie.

Jego spokój działał na nią jak płachta na byka.

- Ty draniu! Teraz już cię nie obchodzę! To ty masz być ze mną cały czas, masz się mną opiekować! Wiesz, że musisz! Obiecałeś! Zwłaszcza teraz, kiedy jestem... - powiedziała coś przez łzy i rzuciła się z pięściami na Vitto.

Słuchałam tego wszystkiego i nie wierzyłam własnym uszom. Ta kobieta nie pojawiła się tu przypadkowo... Hotel, nieswoje łóżko, obudziła się tylko w bieliźnie... Vitto, kochanie, gdzie jesteś... to ty masz się mną opiekować... zwłaszcza teraz, kiedy jestem... nie, to niemożliwe. Nie wolno jej pić, bo jest w... ciąży! W jednej chwili zrobiło mi się gorąco i zimno na przemian. Ja to jednak mam wszystko, z wyjątkiem szczęścia w miłości. Boże! W kim ja się zakochałam! Facet będzie miał dziecko z inną kobietą, a ja naiwniutka... sny, błękity, obrazy... Uciekaj, Marina, póki możesz... Choć stałam jak wryta, nie słysząc nawet ich głosów, kiedy już podjęłam decyzję, nogi niosły mnie same. Porwałam płaszcz i torebkę, i wybiegłam jak szalona z galerii, byle jak najdalej stąd. Gdzieś w oddali ścigało mnie wołanie: „Marina, poczekaj!”, ale nie chciałam go nawet słyszeć. Dopiero

po paru chwilach zauważyłam, że deszcz rozpada! się na dobre, a ja mam mokre włosy i ubranie. I nic mnie to nie obchodziło. Powoli docierało do mnie wszystko, czego byłam świadkiem przed chwilą. Poczułam, jak zaczynam się ślaniać na nogach i natychmiast muszę usiąść, bo zaraz zemdleję. Tuż przed oczyma miałam kościół, resztkami sił wdrapałam się więc na schody i weszłam do wnętrza. Kościół był pusty. Przyklękawszy, usiadłam w pierwszej lepszej ławce i osunęłam się na kolana. Potem niewiele pamiętam, kiedy bowiem otworzyłam oczy, leżałam z czołem opartym o brzeg ławki i zdrewniałym karkiem. Nie wiem, ile czasu zajęło mi dojście do siebie, bo nagle wszystko zaczęło toczyć się jakby w zwolnionym tempie. Widziałam swoją rękę powoli unoszącą się do góry, czułam, jak dotykam nią karku... czas jakby działał na trzydzieści trzy obroty. Myśli nie mogły przebyć drogi od synapsy do synapsy, a ja istniałam jakby poza własnym ciałem. Oglądałam wnętrze kościoła z góry, widziałam swoje ciało leżące na ławce i dziwne, ale jakby mnie to nie dotyczyło. Płynęłam zawieszona w powietrzu jak marionetka w teatrze lalek, jak marionetka-Marinetka, widziałam barokowy ołtarz, złocone aniołki u jego boków... nagle obraz zniknął, a ja obudziłam się w ławce. Oprzytomniałam. Samolot! Nerwowym ruchem wyszarpnęłam komórkę z torebki. Sprawdziwszy, która godzina, natychmiast ją wyłączyłam. Jeszcze zdążę, jeśli uda mi się szybko złapać taksówkę. Na chwilę uklękłam i choć poza „Boże, pomóż mi” nic nie przychodziło mi do głowy, włożyłam w te słowa całe swoje obolałe serce.

I chyba Najwyższy wysłuchał mojej rachitycznej modlitwy, kiedy bowiem wypadłam na ulicę, od razu podjechała taksówka.

- Na lotnisko! Bardzo się spieszę! - powiedziałam do kierowcy. Zdażyłam wpaść do hallu, rozejrzeć się za najbliższą toaletą i pędem ku niej pognać. Twarz, którą zobaczyłam

w lustrze nie przypominała już tej rozmarzonej, na swój sposób urokliwej blondynki. Mokra włosy skręciły się w jakiś ogólny nieład, makijaż rozmazany, tusz pewnie spłynął na policzki po pierwszej minucie w deszczu... Wyglądałam wyjątkowo nędznie. Podobnie się czułam. Ale nie czas na roz-tkliwanie się nad sobą. Odkręciłam wodę i solidnie umyłam twarz. Potem szybko uporządkowałam włosy. Nadal wyglądałam nieciekawie, ale przynajmniej nie jak kloszard. Jakie zresztą to miało znaczenie. Dla mnie, w tej chwili, żadnego. A reszta świata niech się martwi sama sobą i niech w ogóle na mnie nie patrzy.

Ruszyłam korytarzem, poszukując Jean-Pierre'a. Miałam nadzieję, że będzie czekał przy mojej odprawie. I tak rzeczywiście było.

- Hej, Jean-Pierre! Już jestem. Długo czekałeś? - zapytałam, siląc się na uśmiech.

- Cześć, już zaczynałem się niepokoić. Większość osób z twojego samolotu już się odprawiła. Ale spokojnie, jeszcze zdążysz - uspokajająco poklepał mnie po ramieniu. - Coś nie tak? Wyglądasz inaczej - przyjrzał mi się uważniej.

- Gdyby na ciebie spadło tyle deszczu, co na mnie, mógłbyś się rozpuścić... - zaśmiałam się - ale my, dziewczyny z Europy Wschodniej, jesteśmy zaprawione w różnych bojach i myślę, że to mnie uratowało. Słuchaj, nagle tak się rozpadało, że ledwie uszłam z życiem. A mówią, że tylko w Anglii tak leje - ciągnęłam dalej, żeby nie zapytał mnie, jak było na wernisażu.

- Widzisz, nawet niebo płacze, że nas opuszczasz - powiedział z uśmiechem na tej swojej sympatycznej, żaboidalnej twarzy.

- Kochany jesteś, Jean-Pierre! Przyjedźcie do Warszawy, u nas też całkiem ładnie pada. Ale może uda mi się załatwić odrobinę słońca - powiedziałam, usiłując nadać swojemu głosowi swobodny ton. - A to dla ciebie.

Podaliśmy mu wyciągnięte z torebki małe pudełeczko. Była w nim bardzo oryginalna zapalniczka. Jean-Pierre lubił popalać, przy czym w życiu by się do tego nie przyznał, zwłaszcza przed Petite. Dokonywał cudów, by wymknąć się na moment do swojego pokoju, a potem niezmiennie, żując mocno miętową gumę, wracał do towarzystwa. Ja jako niepaląca nie dawałam się oszukać, zapach papierosów był dla mnie wyczuwalny na kilometr. Tak naprawdę wszyscy wiedzieli, nawet Petite, i to ona, zdając sobie sprawę ze stresu, jaki stanowi dla Jeana, prosiła o niemówienie mu o tym, że wie o jego „hobby”. Nie chciała mu ułatwiać życia nałogowca i poddała się roli, jaką Jean-Pierre jej przeznaczył.

Kiedy rozerwał papier i otworzył pudełeczko, nad przyjemnością z prezentu wzięło górę zaskoczenie.

- Więc i ty wiesz? - zapytał, patrząc mi w oczy z nutą lekkiej niepewności w głosie.

- Owszem. Ale spokojnie! Jak wiesz, wyznaję zasadę, że jeden szlachetny nałóg trzeba mieć. Nie uważam, żeby w takiej formie, jak ty to robisz, mogło być to szczególnie niebezpieczne dla zdrowia. Mówi ci to lekarz - zaśmiałam się.

Jean-Pierre uśmiechnął się smutno, pewnie do niego dotarło, że to, co było jego wielką tajemnicą, stało się tajemnicą poliszynela. Chciałam go jakoś pocieszyć, choć nie do końca wiedziałam, jak to zrobić. Spróbowałam jednak i powiedziałam:

- Spójrz na to inaczej. Nareszcie masz święty spokój. Jesteś przecież już dużym chłopcem i możesz nie być tak całkiem kryształowy. Jean, przecież to tylko papieros od czasu do czasu... to nie narkotyki czy uspokajacze... Wiesz, bohater całkowicie pozytywny jest po prostu nudny.

- No, nie wiem, ale... chyba nie mam wyjścia i muszę tę wersję przyjąć za oficjalną - markotnie roześmiał się. - Petite też wie? - spytał po chwili.

- Od dawna. I, jak widzisz, nie przestała cię kochać i szanować. Daj spokój, nie masz większych problemów? - uściskałam go serdecznie. - Tylko niech cię to nie zachęci do zanurzania się w oparach nałogu. Wszystko jest dla ludzi, ale w zdrowych proporcjach.

- Wiesz, muszę to sobie przemyśleć, ale cóż, ciężko poczuć się nagle zdekonspirowanym. A może i lepiej, że wszystko się samo ułożyło - widziałam, że jego głos już nabierał radośniejszych barw.

- Jean-Pierre, jesteś jaki jesteś i takiego cię kochają, więc głowa do góry! Ja też bardzo cię lubię i palenie nie ma tu nic do rzeczy. Dziękuję bardzo serdecznie. Dzięki, że na mnie czekałeś i za wszystko. Biegnę, bo już najwyższa pora! - cmoknęłam go w policzek, on zaś ucisnął mnie mocno. Niedługo później siedziałam już we wnętrzu samolotu. Wyczerpana opadłam na siedzenie, a wygodny fotel zamknął mnie w swoich objęciach. Po kilku spokojnych oddechach przypomniałam sobie, że nie zażyłam aviomarinu. Szybko nadrobiłam to niedopatrzenie. Może i dobrze, bo prócz łagodzenia nudności, tabletkę miała nieco uspokajające działanie, co niewątpliwie bardzo mi się przydało. Teraz już nie musiałam trzymać się dzielnie, nie musiałam grać, że wszystko jest OK i cała sytuacja, którą przeżyłam tak niedawno, znów stanęła mi przed oczyma. „Teraz musisz się mną opiekować... zwłaszcza teraz, kiedy jestem...” - dźwięczało znów w moich uszach. Choć na swój sposób czułam antypatię do platynowej gwiazdki, to jednak w tej chwili poczułam dla niej rodzaj litości i nawet współczucia. Biedna, oszukana kobieta. I to w takim stanie... dyskusyjne zdawało się teraz słowo „błogosławionym”. Jako lekarz wiedziałam, jaka metamorfoza dokonuje się obecnie w całym jej ciele, jak kiepsko fizycznie i psychicznie może się czuć, a ten... człowiek zostawiają samą, żeby pleść mi słodkie słówka do ucha. Miała rację. Drań z niego. Cholerny drań!

O, mamó! Dlaczego jesteśmy tak naiwne! Facet nam powie parę miłych słów, potrzyma za rękę, pocałuje za uchem, a my... ekstaza. Kocham go i takie tam bzdury... Pieprzyć gada! Pani Lilka miała jednak rację, mówiąc o mnie z politowaniem: „Pani doktor, pani to się zna na ludziach!”. Każdemu może się zdarzyć zakochać w parszywym draniu! Normalka w zasadzie. Codziennie tysiące kobiet przeżywa zawód miłosny, nie jestem sama. Dziwnym trafem zupełnie mnie to nie pocieszało. Tak naprawdę to obie jesteśmy godne litości, platynowa i ja. Płacz wisiał mi na końcu nosa. Smutek mieszał się z wściekłością i poczuciem kompletnej klęski. Nawet nie wiem kiedy, łzy same zaczęły płynąć mi po policzkach, coraz szybciej i szybciej... Sympatyczna kobieta w średnim wieku, która siedziała obok mnie, podała mi chusteczkę. Lekko zagubiona umysłowo, odruchowo podziękowałam i dyskretnie zrobiłam z niej użytek. A potem jeszcze raz i jeszcze... Wyglądałam pewnie jak zapłakany pomidor, policzki bowiem paliły mnie żywym ogniem, a łzy płynęły po nich jak strumyki przez rozpaloną pustynię. Przypomniała mi się zasłyszana przed wyjazdem piosenka Ani Dąbrowskiej:

Tego chciałam? Zalanych łzami nocy? Właśnie to dostałam.

(...) Tyle twoich słów w głowie ciągle mam,

tyle pięknych słów, że uwierzyłam, że już zawsze będzie tak...

Proszę bardzo uprzejmie, nie ja jedna płaczę... A tak było miło, i komu to przeszkadzało... Jakoś podświadomie blokowałam głowę na rozmyślanie o pewnej ciąży, jak do niej doszło i dalszych drobiazgach przybijających moją duszę ostatecznie jak strzały do strzelniczej tarczy. Ach, te kobiety! Gdy są szczęśliwe, to są w siódmym niebie, gdy nie-

szczęśliwe, to spadają na samo dno piekieł. Ktoś odkrył to już wcześniej, teraz i mnie dane było przekonać się o prawdziwości tego stwierdzenia. O tym, co będzie jutro, wolałam nawet nie myśleć. Może jakiś terrorysta zagroziłby wybuchem? Mogłabym ze spokojem poświęcić się, ratując zwykłych ludzi, złożyć swoje życie na ołtarzu ludzkości i owiać nimbem bohaterstwa, który niewątpliwie pięknie zamaskowałby brak ochoty na dalsze istnienie w mojej doczesnej powłoce. Na coś może by się przydało moje bezsensowne trwanie, bo i tak moje życie chwilowo się skończyło.

Rozejrzałam się dyskretnie wokół siebie. Nobliwie wyglądający ludzie, zaczytani biznesmeni w eleganckich garniturach, parę sztuk przyzwoicie wyglądającej młodzieży, parę pań walczących z upływem czasu... z różnym skutkiem. Słowem - nuda. W polskich samolotach, jak w polskim filmie, sparafrazowałam słynną kwestię Maklakiewicza z *Rejsu*. Nici z zabawy w Jean-Claude'a Van Damme'a. Chyba że to tylko kamuflaż. Cóż, pozostało mi tylko czekać. Może to działanie aviomarinu, a może wpływ wysokości, ale jakoś powoli odpływał gdzieś mój smutek. Jeszcze był intensywny, ale już nie tak, jak przy wsiadaniu do samolotu.

Tak naprawdę schowałam to wszystko na samo dno, zagrzebałam w stercie starych liści i udawałam, że na razie sytuacja jest opanowana. Jak wrak starego ubota zakopany w mule, jak trup w szafie. Niby nie ma, choć jest. Jeszcze nie byłam w stanie stawić czoła prawdzie. Więc sny, wspólne wędrówki dusz, cała cudowność, która tak niesamowicie wkroczyła w moje życie, to wszystko nieprawda.

Zwykle *buli shit!* Nie mogłam, nie chciałam w to uwierzyć, choć przecież sama widziałam i słyszałam. Niemożliwe, żebym aż tak się pomyliła!

Moja intuicja rzadko mnie zawodziła. Urodziłam się na pograniczu znaku Ryb i Barana. Jako Baran na zewnątrz byłam energiczną, rzutką osobą, która stara się brać życie za rogi, lepiej znajdując się w działaniu, i to konkretnym, niż

w wysiadywaniu w starym wykuszu okiennym i spoglądaniu przez zakurzoną szybę na drogę, czy aby książę na białym koniu nie przejeżdża właśnie przez okolicę. Niby byłam logiczna, rozsądna i w ogóle „szkiełko i oko”, ale... spuścizna Ryb, które dopiero co opuściły słońce wschodzące w dniu moich urodzin, wlokła się za mną jak zapach „Farenheita” za doktorem Żaczkiem. W zasadzie zachwycająco zniewalający, a jednak w nadmiarze - przyprawiający o ból głowy. Oczywiście zapach, nie doktor Żaczek. Doktor Żaczek, choć sympatyczny, mógł przyprawić raczej o rozstrój nerwowy swoimi opowieściami, jak to z wielkimi tego świata łapał lwy na sawannie, a które to lwy potem pożerały mu kwiaty na defiladzie wojskowej i uniemożliwiały złożenie ich u stóp księżnej Grace, przypadkowo na owej defiladzie obecnej. Ech, to moje życie! Paranoja, jakby powiedział pan Piotruś z *Kabaretu* Olgi Lipińskiej. W czystej postaci.

Cóż, wracając do wątku Ryb, to nie mogłam wyprzeć się go w żaden sposób. Nieraz zdarzało się, że doskonale przeczuwałam wydarzenia, wiedziałam, że za minutę ktoś zadzwoni, że spotkam kogoś dziś w hallu... Umiałam ściągnąć telepatycznie kogoś, kto był mi w danej chwili potrzebny przy operacji... Ileż to razy szef zaglądał na blok, sam potem dziwiąc się, co tu robi. Kiedy ktoś bezczelnie wepchnął się przede mną w kolejkę, nagle rozsypywały mu się wszystkie drobne monety... nie żebym o tym pomyślała, samo jakoś wyszło... Kiedy spotkałam Pawła, wiedziałam, że zaprosi mnie na kolację i oszaleje na moim punkcie, choć ani jeden znak na ziemi i na niebie na to nie wskazywał. Co więcej, było to tak prawdopodobne, jak dostanie się „Huraganu” Bobolice do finału ligii mistrzów. A jednak... to ja miałam rację. Wcale nie jestem czarownicą, to po prostu rybi pierwiastek w moim życiu. Pewne rzeczy przeczuwam i tyle. Tak na swój mały, malutki, prywatny użytek.

I tym razem z Vitto też tak było. Na początku nawet nie wiedziałam, że to on jest autorem tej wystawy, a już nasze oczy spotkały się i coś zaiskrzyło. A przecież nie był najprzystojniejszym facetem na tym wernisażu. Kiedy dotknął mojej ręki po raz pierwszy, nagle stało się dla mnie jasne, że to ważny człowiek w moim życiu, a przecież nic o nim nie mogłam jeszcze powiedzieć. Nic. A jednak - wiedziałam na pewno. I czułam, że nasze drogi nie będą biegły rozbieżnie. Cholera! Czułam to, jak nic w życiu! Czułam, że to człowiek dla mnie, że to mój człowiek. Ktoś, z kim jestem złączona jakąś nierozzerwalną więzią, ktoś kompatybilny. I tak cieszyłam się, że nareszcie! Samotność to nic złego, ale... serce ciągle czeka na dopełnienie. Idiotka! Jak mogłam się tak pomylić! Za dużo jak na jeden dzień, jak na jednego człowieka! W głowie zapalało mi się czerwone światełko. Przeciążenie centralnego komputera. Wyluzuj, Marina. Twój świat legł w gruzach, kiedy orkiestra niemal zaczynała grać Mendelssohna, ale „nic to, Baśka, nic to”... Trzeba będzie starannie pozbierać kawałki białej wieży i znów z mozołem, kamień po kamieniu, odtworzyć wersję pierwotną, dodając jakieś specjalne zabezpieczenia. Może odrobinę drutu kolczastego? Także od wewnątrz, żeby odechciało mi się wyglądać przez okna.

Przypomniałam sobie, że mam coś na szyi. Wspomnienie z zaświatów. Ciekawe, czy i jego prababci przyniósł tyle szczęścia, co i mnie? No po prostu - całą furę... może i ją sprzątnęła sprzed ołtarza przypadkowo przebywająca w okolicy trąba powietrzna? Cóż, raczej nie, bo i z medalionu niewiele by zostało. To może ukochany okazał się kosmitą albo chociaż salmonella w ślubnym torcie?

Dotknęłam chłodnego metalu na szyi. Był niezwykle gładki i miły w dotyku... I pomyśleć, że kiedy po raz pierwszy przylgnął mi do skóry, byłam tak nieprzytomnie szczęśliwa... Żałosne! Dobrze, że nie zdążyłam powiedzieć tego

wielkiego słowa na literę „K”, dla pewności dodam, że po „K” występuje „O”, tuż za nim biegnie „CH”. Wielką paradę kończą „A” oraz „M”. Po angielsku literówka wygląda nieco inaczej, ale darujmy sobie popisy poliglotyczne. „Tutti poliglotti idioti”. Stara prawda i w moim przypadku sprawdziła się z nawiązką. Dobrze, że nie zdążyłam się ośmieszyć ostatecznie... w pewnych błękitnych oczach. Niech cię... błękitnooki draniu!

Muszę zwrócić mu ten rodzinny klejnot. Nie mnie on się należy, nie mnie... niestety. Zaskoczyła mnie ta nuta smutku. Powinnam być przede wszystkim wściekła! I byłam. Tyle że byłam też nieco smutna. Nieco... to chyba eufemizm. O raju, dlaczego ja się tak szybko oswoiłam! Zaufałam swojej intuicji, swojemu sercu... czy to grzech? Przecież jestem tylko człowiekiem...

Miła stewardesa zaserwowała nam jedzenie. Wzięłam do ust kawałek pieczywa i zaczęłam bezmyślnie żuć. Myśli, a może raczej „bezmyśli” wypełniały moją głowę. Pusta przestrzeń wypełniona czymś bliżej nieokreślonym. Jak dobrze, że mam jutro dyżur. Chcąc nie chcąc zmuszona będę do powrotu do rzeczywistości i to od razu na pełnych obrotach. I tak nikt nigdy nie przejmuje się stanem naszego zdrowia, jakby było oczywiste, że musimy być zdrowi, uśmiechnięci i radośni.

Oczywiście, cudownie opłacani przez Narodowy Fundusz Zdrowia, który przecież jak nikt docenia naszą wieloletnią harówkę nad stosami książek, skryptów, atlasów, nasze żelazne nerwy w skrajnie trudnych sytuacjach i zmęczenie materiału, kiedy to po ciężkich operacjach nie mogłam, fizycznie wyczerpana, dowiec się do domu. A poza tym, wszyscy pochodzimy z książęcych rodów, mamy włości i pełne szkatuły. Praca to dla nas w zasadzie sposób na nudę życia. Pal licha pieniądze! Najważniejsze - służyć ludziom! Dać się im wyniszczyć mózgowo i emocjonalnie, bo przecież po to właśnie jesteśmy! Do

użytku P.T. pacjenta, zawsze na posterunku, gotowi wyleczyć ciało i ducha. Gotowi znaleźć świetlisty i łatwiutki szlak w najobrzydliwszej, bezmyślnej sytuacji, w której pacjent znalazł się na własne życzenie. I podać wszystko na tacy. I jeszcze zapłacić za leki. I pacjentowi, że zaszczycił nas opowieścią o samozagładzie własnej osoby, o wszystkich swoich grzechach wobec ciała i ducha, popartych niekiedy skrajną nielotnością umysłu. Lekarz - niewolnik. Systemu, martyrologii powołania, oczekiwań społecznych, rodzinnych, wszelakich. Presja pomocy innym. Obligatoryjnie. W zapaleniu pochwy i pochrzanionym życiu. Zawsze z uśmiechem i morzem cierpliwości, i zrozumienia. 1 w ponurym slalomie między szpitalem, poradnią i pogotowiem. Nieskończenie dobrzy i niezmordowani. Nieskazitelni. Bez ludzkich słabości i dolegliwości. Posiadający tajemny zastrzyk, leczący wszystko. Ludzie, którzy podołają wszystkiemu, zniosą wszystko, każde wymioty psychofizyczne na biurko (z atestem) w gabinecie lekarskim. Jak anioły...

Dość! Znow dopadły mnie upiory codzienności! Współczułam tym ludziom głęboko, ale nie byłam już w stanie znieść tego więcej, zwłaszcza teraz, kiedy sama potrzebowałam pomocy. Jestem tylko człowiekiem, nie herosem. Matko, wszyscy powinniśmy mieć swojego psychoterapeutę. I pacjenci, bo nie jest im lekko, ale i my, lekarze, bo czasem dalej nie da rady słuchać codziennie lamentów na całokształt x 40.

Jedzenie, poza kawałkiem bułki, pozostawiłam nietknięte. Powoli zbliżaliśmy się do celu podróży. W dole widać było światła wielkiego miasta, a ja tęskniłam do mojego małego mieszkanka. Tak chciałam poczuć się znow bezpieczna. Miałam nadzieję, że dobrze znane moje miejsce na ziemi powoli przywróci mi względny spokój. Że szklanka gorącego mleka w moim ulubionym kubku zdziała cuda... Przez

chwilę pomyślałam, jak tam Vitto i jego świat. Szybko jednak wyrzuciłam tę myśl ze swojej głowy.

Jaki Vitto Morgensen? *Do I know you?**

Z Bożą pomocą, szczęśliwie wylądowaliśmy. Na lotnisku nikt na mnie nie czekał. Nie zadzwoniłam nawet do rodziców, kiedy wracam. Wzięłam taksówkę i po krótkim czasie stanęłam na progu mojego mieszkania na pierwszym piętrze starej kamienicy. Powoli przekręciłam klucz w zamku. Doszedł mnie zapach niewietrzonego jakiś czas pomieszczenia, najpierw więc otworzyłam na oścież okna. Stanęłam w przeciągu, jakby mając nadzieję, że zimny wiatr wywieje z mojej głowy smutek, a z serca ból. Wariatka! Jedyne co mogło przynieść takie „przeciąganie”, to kręć karku albo „twarzówkę”. Potrzeba ci teraz jeszcze takich atrakcji? W domu zrobiło się na moment zimno. To, co unosiło się w powietrzu w Paryżu o tej porze, można było nazwać chłodem. To, co wpłynęło przez moje okno, było po prostu zimnym, wydawało mi się niemal arktycznym, powietrzem. Różnica odległości od oceanu, parametrów geograficznych, klimatów i takich tam.

i pomyśleć, że wczoraj o tej porze byłam oszalała ze szczęścia. O ironio losu! Jedna doba i windą z Mount Everestu na dno Rowu Mariańskiego. Rewelacja, nie ma co! Ubaw po pachy.

Podgrzałam mleko i postanowiłam, mimo późnej pory, zadzwonić do mamy. Ucieszyła się bardzo, że szczęśliwie (?) powróciłam na ojczyzny łono, zapytała tylko, czy coś mnie boli, bo mam taki smutny głos. Tak, mamuś, dusza mnie boli, boli jak sto pięćdziesiąt, pomyślałam. Wykręciłam się jednak zmęczeniem. Pogadałyśmy jeszcze trochę, umówiłyśmy się na niedzielny obiad i, wśród całusów, życzyłyśmy sobie dobrej nocy.

Ze względu na wyjątkowo podły nastrój postanowiłam zamienić mleko na kakao. Trochę słodczy od życia, choć

*** Czy ja pana znam?**

w formie spożywczej, należało mi się dziś jak rzadko. Ale najpierw - kąpiel. Spróbuję zmyć z siebie to wszystko, co zaciskało się powoli na mojej szyi jak niewidoczna pętla. Znów wracały do mnie słowa i gesty, te dobre i te złe. Te dobre nie były już tak dobre, stawały się jakby kpina z mnie i z mojej naiwności. A te złe... przewiercały mi czaszkę. Woda płynęła już do wanny, wlałam trochę aromatycznego olejku i z nadzieją na wyciszenie wciągałam jego zapach. Kiedy zaczęłam zdejmować z siebie ubranie, znów sięgnęłam po medalion wiszący nadal na mojej szyi. Szybko zdjęłam go i odłożyłam do szuflady biurka. I szybko ją zamknęłam. Przy najbliższej okazji zwrócę klejnot właścicielowi. Za tydzień nadarzy się okazja. Po prostu - zostawię w galerii. W kopercie z imieniem i nazwiskiem tego podłego człowieka. Człowieka, który zrobił moje serce, umysł, a nawet sny w jajeczko. Niewesołe jajeczko. W barwach cyrkowego kłowna, z szyderczym uśmiechem na pół skorupki.

Wanna napełniła się pachnącą wodą. Z rozkoszą zanurzyłam się w ciepłej kąpieli, bo to, co dla mnie oznaczało ciepłą kąpiel, dla większości ludzi stanowiło bliski kontakt z gejzerem. Wiem, że niezdrowo, że źle dla żyłaków, układu krążenia, ale co mogło być gorsze dla mojego układu krążenia niż kolega Morgensen. Ogólnie życie szkodzi zdrowiu. W rzeczy samej, trudno nie zgodzić się z aforystą: „Kto żyje, ten umiera”. A co mnie obchodzą żyłaki kończyn i innych okolic. Po pierwsze nie posiadam, nie, nie kończyn. Żyłaków nie posiadam. Nawet na kończynach. Poza tym, jak mają się owe, nawet teoretycznie niewielkie żyłaki do cierpienia duszy ludzkiej. Konkretnie i nieteoretycznie - mojej własnej.

Zanurzyłam się cała, żeby spłukać to wszystko złe, co niosłam na grzbiecie i w sercu. Jak to Hanka mówiła? Posypać solą, zrobić krzyżyk i wyrzucić do kosza. Najgorzej będzie z wyrzuceniem do kosza, ale w jego zastępstwie chyba wystarczy kanalizacja. Pojawia się pytanie, czy sól do kąpie-

li się nada. Musi. Nie będę przecież badać zawartości soli w soli. Jeszcze tylko krzyżyk. Gotowe.

Teraz pozostaje czekać na efekty.

Po relaksującej, przynajmniej w założeniach, kąpieli, wyczołgałam się na brzeg wanny. Byłam słaba jak kuropatwa. Wciągnęłam na siebie puchaty szlafrok w delfinki i zasiadłam ze szklanką kakao w ręce na krześle w kuchni, wpatrując się w mrok za oknem. „Life is piece of shit, when you look at it...”. Piosenką Monthy Pythona usiłowałam poprawić sobie nastrój. Niestety, ani kakao, ani Monthy nie działali cudów. Nagle poczułam się koszmarnie zmęczona. Dowlokłam się do łóżka i wkulnęłam pod mięciutką kołdrę. Ledwie przytuliłam się do poduszki, mój centralny komputer zdecydował o chwilowym przerwaniu transmisji z dzisiejszego dnia, a raczej wieczoru. Zapadłam w głęboki sen.

Matko jedyna! Czy nawet śpiąc, nie można nie śnić! Spać, po prostu spać. Ledwie odpłynęłam w sen, już brałam udział w akcji. Z kilkoma zupełnie obcymi mi ludźmi znajdowałam się na jakiejś tratwie, która żeglowała po wzburzonej górskiej rzece. Nie mogło mi się przyśnić leniuchowanie nad basenem luksusowego hotelu?! Litości! Prąd znosił nas wyraźnie w stronę zakrętu rzeki, walczyliśmy z żywiołem, ale nic z tego nie wychodziło. Prąd był tak silny, że nie sposób było mu się oprzeć. Gdzieś w oddali słyszałam wołanie Vitto, ale ani co, ani w jakim języku wołał, nie dawało się ustalić. Nagle na tratwie znalazłam się ja sama. Nie wiem z kim do tej pory dzieliłam podróż, kimkolwiek jednak oni byli, w tej chwili byli już gdzie indziej. Całkiem sama na tratwie płynęłam rwącą rzeką. W niewielkiej odległości ode mnie rzeka zakręcała. Co było za zakrętem? Wodospad czy spokojne rozlewisko...

Chyba...

Nagle usiadłam na łóżku zupełnie obudzona. Usiłowałam sobie przypomnieć, jak kończył się sen, ale bez skutku... Ciężko dysząc, opadłam na poduszki... Jakże samotna czułam się

w tej chwili... Nie miałam nikogo, z kim mogłabym podzielić się lękiem i smutkiem, żadnego ramienia, które otoczyłoby mnie i utuliło do snu. Nikogo, kto szepnąłby do ucha ciepło: „Kochanie, uspokój się, to tylko zły sen, tylko zły sen” i pogładził uspokajającym gestem po głowie. „Alone again, naturally...”, jak u Gilberta O'Sullivana. Jakże sama i samotna... do szpiku kości, do bólu ostatniego włókna w naiwnym sercu. Oszukana. Przez kogoś, komu ufałam całą dziecięcą naiwnością, że spotkałam wreszcie kogoś mi przeznaczonego, kogoś, kto czuje i myśli jak ja. O, święta naiwności! - wołałam, płonąć na stosie moich marzeń.

Tak naprawdę jesteśmy zawsze samotni. Czasem spotykamy na moment kogoś, kto przez chwilę zwykle wydaje się rozproszyć naszą samotność, naiwnie wierząc, że może to trwać dłużej niż okamgnienie. Żałosne. I bolesne. Niestety, również - bez sensu. Czy ja się nigdy nie nauczę? Nigdy nie zrozumieć, że ludzie zwykle używają innych ludzi, żeby zaspokoić swoje, takie czy inne, potrzeby. Robią to, nie licząc się z uczuciami „używanych”. Choć czasem nawet twierdzą, że czytają *Małego Księcia*. Może zbyt powierzchownie, co drugi dialog, co piątą stronę. A potem pytają: „Czego się boisz?”. Czego? O, właśnie tego! Kolejnych samotnych, zapłakanych nocy. Uczucia poniżenia, śmieszności, żalosnej naiwności... wystawienia na pośmiewisko swojej duszy w oczach własnych i świata. I tego okropnego uczucia oszukania po raz kolejny. I poczucia, że znów niczego się nie nauczyłam na starych błędach... znów nie odrobiłam lekcji.

Tak strasznie chciało mi się płakać, a nie mogłam wydobyć z siebie ani jednej łzy. Płacz dławił mnie za gardło, ale nic, dziwnym trafem, nie chciało się ewakuować. Leżałam w tej ciemnej nocy i dusiłam się własnym smutkiem i beznadziejnością. Tłumaczyłam sobie to na różne sposoby, że jestem tylko człowiekiem i nie mogę wszystkiego przewidzieć... ale i tak niewiele z tego wynikało. Tępy ból, gdzieś

w środku, nie dawał się łatwo oszukać. Robił swoje, czyli to, co ból robić powinien. Bolał jak jasna cholera.

Włączyłam radio. Choroba radiowo-telewizyjna. Niech coś szemrze, gada, niech człowiekowi nie wydaje się, że jest sam we wszechświecie. Są wojny, rozboje, brudne ręce polityków, długie ręce mafii i pustka zalewająca świat. Cokolwiek. Ale czasem muzyka miała zadziwiająco kojący wpływ na ponure osobniki płci obojga. Na to właśnie liczyłam. Właśnie matowy głos dziennikarza odczytywał jakieś wiadomości, których i tak nie słuchałam, pogrążona w pogrążaniu się. Podświadomie czekałam na jakąś piosenkę, przy której łatwiej będzie mi zapłakać. Zawsze płakałam przy piosenkach o matkach. Mieczysław Fogg i jego *Pieśń*

O matce za każdym razem wywoływała obfity potok łez, płynących, niemal bezwiednie, z moich oczu, a już Violetta Villas śpiewająca „Mamo, w sercu cię kołyszę, list do ciebie piszę, ciemny jak ta noc...” powodowała wręcz głęboki szloch, wydobywający się z mojej piersi. Płakałam nad sobą, swoją mamą i wszystkimi matkami, i córkami świata. Zupełnie bezinteresownie. Z czystej żalości ogólnoludzkiej i tyle.

Niestety, o tej porze doby i roku na podobne utwory raczej nie można było liczyć. Dobiegły mnie dźwięki jakiejś muzyki, czyli już po dzienniku. To Brian Adams, uroczy mężczyzna po ciężkim spotkaniu trzeciego stopnia z trądzikiem, wyśpiewywał swoje „I wanna know you inside-out”. O, nie wątpię, panie Adams. Jak wszyscy faceci. Przynajmniej przez pierwsze pięć minut. Przez chwilę pożałowałam, że nie palę. Mogłabym teraz usiąść w łóżku i zaciągnąć się papierosem, mając w oczach cały głęboki ból egzystencji. Potem zasnąć z niedopałkiem w ręce, wywołać pożar i zadusić się dymem... wtedy może ten okrutny pół-Duńczyk miałby wyrzuty sumienia. Nękany nimi pielęgnowałby w sobie wspomnienie naszego spotkania i cierpiał katusze.

Czego mu zresztą, obecnie szczerze, życzyłam. Może nie musiałby osiwieć w ciągu jednej nocy, jak Stirlitz, mój ulubieniec nr 2 (zaraz po kapitanie Klossie), ale jakiś mały stresowy wrzód żołądka z tendencją do perforacji... Ha, ha! Zaśmiałam się dziko! I puknęłam zaraz w głowę! Co ja gadam! Tak naprawdę nie życzyłam mu źle ani przez chwilę. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, wciąż był w moim sercu. Cholera jasna! Co ze mnie za uczuciowy tłumok. Niewy-uczalny. *C'est la vie!* W radiu szorstkim, przejmującym głosem chrypiała Bonnie Tylor *Total eclipse of a heart*.

Wsluchalam się w tekst:

Once upon a time there was light in my life

But now there's only love in the dark...

Oh, how I need you tonight

And I need you more than ever

And if you'll only, hold me tight

We'll be holding on forever...

Once upon a time I was falling in love

But now I'm only falling apart

*Nothing I can say: a total eclipse of a heart. ...**

Bonnie śpiewała, a ja razem z nią nuciłam słowa, które doskonale pasowały do sytuacji, w jakiej się znalazłam. Piosenka trwała ładnych parę chwil i zdążyła mnie rozrzewnić na tyle, że nawet zaczęło mi się zbierać na płacz, gdy tymczasem „Total eclipse” przeszło niespodziewanie w utwór Brainstormu zaczynający się słowami „sometimes I feel like

' Dawno temu światłem promieniało moje życie / Lecz teraz tylko miłość w ciemności... / Och, jakże cię teraz potrzebuję / Tak bardzo jak jeszcze nigdy... / A jeśli weźmiesz mnie w ramiona, / Wtedy będziemy na zawsze razem / Kiedyś, dawno temu, zakochałam się / Teraz rozszarpuje mnie ból / Powiem tylko jedno: / Całkowite zaćmienie serca...

waterall... time stops for while..."* i ja także poczułam, jak płynie przeze mnie wodospad kojących nut... i sama nie wiem, kiedy usnęłam.

Świt nadszedł podejrzenie szybko. Dobrze, że budzik nie poddawał się i dzwonił tak uparcie, że nie mogłam go zignorować. Okrutnie zmęczona, zwlokłam się z łóżka i skierowałam swoje kroki do kuchni. Pierwszą czynnością o poranku było wstawienie wody, bo bez filiżanki kawy dalszy ciąg porannego rytuału mógłby mieć tempo wyścigu ślimaków. W radiu przewijały się kolejne piosenki-przebudzanki. Spojrzałam za okno. Przypomniały mi się paryskie widoki, które cieszyły moje oczy jeszcze wczoraj. Wczoraj... niby kilkanaście godzin wcześniej, a jak inna epoka. Coś zakłuło mnie w sercu. Znowu powróciło wspomnienie, a już przez pierwsze parę chwil byłam jakby nieświadoma.

Warszawskie niebo, tak jak się spodziewałam, zasnute było chmurami, ale kiedy spojrzałam na termometr za oknem, czekała mnie miła niespodzianka. Całe osiem stopni Celsjusza. Niewiarygodne. Pierwsze łyki kawy obudziły mnie na dobre. Po porannej toalecie, wrzuciłam na grzbiet niezbyt ciepły sweterek w kolorze ciemnego grafitu i wbiłam się w dżinsy. Zapakowałam podstawowe rzeczy, których będę potrzebować na dyżurze, pamiętając o tabliczce czekolady z orzechami włoskimi, z nadzieją, że pomoże mi przetrwać trudne chwile. Och, zapomniałabym zabrać materiały naukowe dla szefa i ekipy. Zupełnie nie w głowie było mi wczoraj wieczorem rozpakowywanie bagażu. Włożyłam więc do torby kolejną teczkę, w której przezornie, już wcześniej, w Paryżu, posegregowałam publikacje. Jeszcze upięcie włosów w węzeł na karku i w drogę.

Było mi teraz podwójnie ciężko, bo jeszcze nie ochłonełam po paryskich atrakcjach w szerokim znaczeniu tego słowa.

*** „Czasami czuję się jak wodospad... czas przystaje na chwilę...”.**

Z jednej strony wciąż miałam pod powiekami bzy i panoramę Paryża z salonu Anne-Marie, z drugiej... chwile szczęścia, które w ciągu paru sekund zamieniły się w koszmar, który niosłam w sobie jak worek kamieni. Życie po prostu takie jest. Cóż, nie zawsze może być niedziela. No ale żeby same poniedziałki, to już chyba lekka przesada! Na dodatek *Maniac Monday*. „Just another maniac Monday, I wish you were Sunday...”*. I znów Cindy Lauper. Najpierw *True colors* i ekstaza, a teraz to... No to chyba pozostaje mi jedynie przywołać Boba Geldofa i zapytać razem z nim „Tell me why, I don't like Mondays?”**. Ale to może kiedy indziej. W końcu strzelać też nie zamierzałam. Zagubiona w rozważaniach na tematy egzystencjalne, dotarłam pod szpital. Aż cud, że nie spowodowałam wypadku. Jednak to prawda z tym mózdzkiem. Doprowadził mnie na miejsce jak konia do stajni. Zaparkowałam auto, moją trzynastoletnią toyotę corollę na szpitalnym parkingu i ruszyłam w stronę wejścia. Kiedy pracuje się w szpitalu, nie zauważa się wielu elementów, które dla ludzi spoza są oczywiste na pierwszy rzut oka. Albo nosa. Pamiętam jak w tramwajach, jeszcze za czasów studenckich, koleżanki z uniwerku zarzucały nam, że pachniemy szpitalem na kilometr. Nikt z nas nigdy nie miał takiego wrażenia. Ten zapach zakodował się w naszej korze jako na swój sposób naturalny, jako zapach codzienności, tak więc był w zasadzie oczywisty. Dziś, kiedy po paru ledwie dniach wracałam w miejsce znane mi od lat, pierwsze, co zwróciło moją uwagę był właśnie szpitalny zapach, przy czym słowo „zapach” można było uznać za eufemizm. Kiedy dochodziłam do dyżurki, jeszcze odbierałam go jako obcy, po powrocie z obchodu już go zasymilowałam. Przecież wróciłam na dobre.

* „Znów kolejny zwariowany poniedziałek... a tak bym chciała, by był niedzielą...”.

" „Powiedz mi, dlaczego nie lubię poniedziałków?”.

Po wizycie wszyscy zasiedliśmy do omówienia szczegółów na dziś. Jakoś przetrwałam powitania w stylu: „Comment ca va? comme ęi, comme ci, comme ca”. Popijając herbatę i kawę, rozplanowaliśmy zadania. Ja ze swoimi, spokojnie mieściłam się we własnych możliwościach intelektualno-fizycznych na dziś. Dwie asysty do histerektomii i operacja Sturmdorfa. Potem szef przepytął mnie dokładnie z wiadomości kongresowych, przejrzał pobieżnie materiały, część rozdał kolegom i ruszyliśmy w bój. Nikt nie wygłosił żadnej złośliwości pod moim adresem, nawet doktor Antoni. Zresztą w obecnej sytuacji, jakież to miało znaczenie. Co mi tam może zrobić jeden taki Antoni, kiedy życie potraktowało mnie jak milion Antonich. Dzień minął szybko. Już po wieczornej wizycie zasia-dłam do skromnej kolacji, po której szykowałam się na pożarcie czekolady, która grzecznie czekała, kiedy będę mogła poświęcić jej chwilkę, co w tym przypadku było nie tyle przenośnią, co czasem rzeczywistym spożywaniem.

Wyłączona komórka spokojnie spoczywała na dnie torebki zamkniętej w mojej szafce. Rodzice wiedzieli, pod jakim numerem telefonu można mnie znaleźć na oddziale, dziewczyny dzwoniły do szpitala tylko w bardzo pilnych sprawach, za to na komórkę, kiedy tylko im się zachciało pogadać o nowych butach czy nowej knajpie w mieście. A dziś nie byłam w dobrym nastroju do rozmowy z żadną z nich. Resztę świata miałam dokładnie tam, gdzie w zaistniałych okolicznościach było jej miejsce. Przynajmniej tak głosiła wersja oficjalna.

Zabierałam się właśnie do rzeczonyj czekolady, a tu nagle akcja pt. „pęknięta torbiel jajnika” i godzinka z hakiem na bloku operacyjnym. Lubiłam takie sytuacje, jeśli kończyły się dobrze. Tak też na szczęście było tym razem. Po udanym zabiegu człowieka rozpiera radość, że udało mu się odwalić kawał dobrej i, o dziwo, potrzebnej komuś roboty. Jakoś dotrwałam do rana, dzieląc czas pomiędzy dopiero co opero-

waną kobietę, która dochodziła do siebie po zabiegu, a dwoma porodami (chłopiec i dziewczynka, oboje zdrowi i śliczni). Zdążyłam nawet trochę się zdrzemnąć, ale ten sen dyżurowy liczył się jakoś dziwnie. Godzinka snu na dyżurze, to jak dwadzieścia minut poza szpitalem. Mimo snu człowiek i tak wciąż obecny jest na oddziale i porodówce. I czasem -lekkko nieprzytomny, kiedy dzwoni telefon. Przypomniało mi się, jak to kiedyś pewien chirurg poszedł sprawdzać, jak wyglądają „stawiania brzucha na szóstce”, podczas gdy na sali numer sześć leżeli mężczyźni z nogami na wyciągach i, co jak co, ale brzuchy mieli w doskonałej kondycji. Stawiań w ramach porodu przedwczesnego nie mieli na pewno. Za to piętro niżej dostało się jednemu położnikowi, że nie reaguje na telefony o zagrożeniu porodem przedwczesnym, choć tenże szczerze zaklinał się, że nikt do niego nie dzwonił. Rozwiązanie było zaś bardzo proste. Młoda studentka, którą poproszono o telefon, pomyliła numery telefonu. Zamiast do położnika, zadzwoniła do chirurga, który, wyrwany ze snu, nawet nie skojarzył, że „stawiania macicy” nie dotyczą jego specjalizacji i oddziału. Co, mówiąc szczerze, mogło zdarzyć się każdemu, kto dyżurował w sporych ilościach. Sama pamiętam, jak budzona przez telefon w środku nocy przez pierwszych parę chwil zupełnie nie wiedziałam, gdzie jestem. Czy w domu rodzinnym, w moim mieszkaniu, czy na dyżurze, a jeśli na dyżurze, to w szpitalu czy na pogotowiu? Świat potrafi przybierać różne twarze w zależności od szerokości i długości geograficznej. I czasem trudno za tym nadażyć. Ma to nawet swój urok, człowiek, jak wędrowiec, nie wie na pewno, gdzie dzisiaj śpi. Nie sposób narzekać na nudę.

Po wizycie miałam nadzieję na wolny dzień, ale nic z tego nie wyszło. Szef poprosił mnie o dwie godziny zastępstwa w poradni przy klinicznej. Nie sposób było odmówić. Mocna kawa czyni cuda. Jedyne cuda, na jakie mogę liczyć, nieste-

ty. Jeszcze raz dokładnie sprawdziłam dyżurkę, czy nie pozostawiłam jakichś swoich drobiazgów. Wolałam uniknąć komentarzy: „O, na kaloryferze wiszą czyjeś majtki, czyżby oddziałowej Halinki?”. Oddziałowa mogła śmiało występować w zawodach sumo pań, gdyby tylko takie zawody istniały, gabarytowo bowiem przypominała małego kaszalota. Spodziewaliśmy się w każdej chwili nalotu z Green Peace lub Animalsów, że dręczymy tak szlachetnego osobnika pracą w celach zarobkowych. Co ciekawe, oddziałowa była znaną działaczką Stowarzyszenia Profilaktyki Chorób Krążenia i wygłaszała odczyty o zasadach zdrowego żywienia. Była też bardzo sympatycznym i pracowitym człowiekiem.

Ale wracając do tematu dyżurów i bielizny. Pamiętam, jak kiedyś po dyżurze Baśki, kolega wszedł do dyżurki z poważną miną i powiedział:

-Proszę państwa, w łazience wisi czyjś biustonosz. Odrobinę przyzwoitości! Ja wiem, że w Stanach pięćdziesiąt procent ginekologów współżyje ze swoimi pacjentkami, ale trochę dyplomacji! Proszę mi nie przypominać, co mnie ominęło ze względu na mój kryształowy charakter.

Nastąpiła chwila konsternacji, po czym padło sakramentalne pytanie, kto u nas miał dyżur. Wtedy Baśka, przejechawszy dłońmi po swojej niemal płaskiej klatce piersiowej, powiedziała, śmiejąc się i rozładowując całą sytuację:

- Doktorze! Toż to mój biustonosz! Ja zupełnie zapominam, że coś takiego noszę.

Właśnie za tę bezpośredniość wszyscy lubiliśmy Barbarę. Jeździła autem jak siostra zakonna z Louisem de Funesem, ale, o dziwo, omijały ją na szczęście wypadki komunikacyjne. Poza jednym, kiedy to po upadku paczki kopytek, która leżała na siedzeniu pasażera, Basia usiłowała ją podnieść w czasie jazdy. Akcja „upadłe kopytka” zakończyła się solidnym stłuczeniem twarzoczaszki naszej koleżanki, a także sporym rachunkiem u mechanika, albowiem przód

samochodu po kolizji z drzewem przed Basinym domem wymagał sporego remontu.

Rada nie rada, powlokłam się do poradni. Jak zwykle, było co robić. Nawet nie wiem, kiedy minęły dwie godziny i doczekałam się zmiennika. Ruszyłam wolnym krokiem w stronę parkingu. Wyszłam bocznym wyjściem. Nie chciałam przedzierać się przez pewnie pełny ludzi hall główny. Te wszystkie matki z dziećmi na rękach, spieszące z przerażeniem w oczach do drzwi gabinetów lekarskich i diagnostycznych, starsi ludzie zagubieni trochę w szpitalnym molochu, cały ten smutek i ból, ale i przecież nadzieja... że wyniki wreszcie będą dobre, że można już zakończyć leczenie, że już po strachu... Dziś nie miałam siły nawet na oglądanie tego przez szybę. Wsiadłam do toyotki i odjechałam.

W drodze do domu postanowiłam odwiedzić rodziców. Kiedy jechałam spokojną uliczką mojego dzieciństwa, przypominały mi się różne sytuacje, które były z nią nierozzerwalnie związane.

Wyjadanie agrestu, kwaśnego jak cytryny, jeśli wystawał choć na centymetr poza ogrodzenie, wielogodzinne zabawy na sąsiednich podwórkach, bolesne próby jazdy na wrotkach, kolorowe groszki, wszystkie w jednym, bliżej nieokreślonym smaku i lizaki-kogutki kupowane w pobliskim spożywczym. Słodki smak wieku niewinności...

Zaparkowałam przed domem. Niewiele zmienił się od czasów mojego dzieciństwa. Stara willa, za którą rozciągał się całkiem spory ogród, teraz ledwie budzący się z zimowej drzemki. Gdzie tu marzyć o bzach... ale przecież niedługo i one ulegną czarowi wiosennych, ciepłych kąpielii słonecznych, nie dadzą się długo prosić i bajecznie rozkwitną. Zapachnie też wielki, stary krzak jaśminu pod moim dawniej oknem. Pamiętałam doskonale jego zapach. Mało to razy budził mnie w nocy i potem dopełniał swym aromatem moje marzenia przy blasku księżyca. I łzy radości, i smutku. I lęki, że zaraz na parapecie wyląduje Dracula i wysysie ze mnie

całą krew. Dziwne, bałam się wampirów, ale nigdy Frankensteina. Pamiętam, że jako małe dziecko oglądałam ten obraz z Borisem Karloffem i budził on we mnie jedynie smutek, a nie strach. Pewnie już wtedy podejrzewałam, że każdy z nas jest po trochu Frankensteinem, stworzonym przez kogoś na jego własny lub czyjś inny wzór. Bo też, czy nosząc w sobie takie mnóstwo genów naszych przodków, od zarania dziejów, nie jesteśmy mimo woli genetycznymi Frankensteinami. Na teren zachowań ludzkich wolałam nie wchodzić. Pozostańmy przy bzach i jaśminach, i wersji oficjalnej, że świat jest piękny, woda czysta, a trawa zielona.

Zadzwoiłam do drzwi wejściowych umówionym sygnałem rodzinnym. Po chwili w drzwiach pojawiła się mama i mocno mnie uściskała.

- Chodź, chodź, podróżniczko. Witamy w starym kraju. *Soyez les bien venu!* - powiedziała, wchodząc do kuchni. - Mam nadzieję, że moją polską pomidorową nie pogardzisz.

-Mamo, no co ty! Najlepszą pomidorową na świecie? *Jamais!* - dopiero teraz poczułam, że od wczorajszego wieczoru nie miałam nic w ustach. Jakoś się nie złożyło. - Jak najszybciej do pełna, proszę od razu o dokładkę.

- Już nalewam. Jak ci tam było, córeczko? Dużo ciekawych rzeczy było na kongresie? - zapytała mama, serwując mi zupę.

- Trochę nowości, ale sporo też powtórek - przerwałam na długą chwilę, bo pomidorowa działała jak balsam na mój skurczony żołądek. Zupy zawsze doprowadzały mnie do stanu równowagi w materii układu trawiennego, a konkretnie - koily mój nękany przewlekłym gastritem żołądek. Szkoda, że nie ma pomidorowej kojącej serce i duszę. Ale i tak zupy miały w sobie leczniczą moc, dawały bowiem mojemu mózgowi sygnał, że naprawdę wróciłam do domu i można się już przestać szarpać z życiem. Nowe spojrzenie na zupę. Zupa jako odpoczynek wojownika. Jako arcyważny dodatek do kobiety.

-Mamo, kongres jak kongres, ale Paryż... - rozmarzyłam się.

-Wiem, wiem, cudowny i urzekający. Jakbym słyszała babcię Józefinę. Znowu pewnie spacerowałaś ulicami zamiast słuchać, co mówią mądrzy ludzie - z uśmiechem pogroziła mi palcem. Mama twardo stała na ziemi i zdecydowanie wołała naukę od jakichś artystycznych fanaberii, na które szkoda było jej czasu.

Porozmawiałyśmy jak tam w pracy, no i trochę o domu, że czas już wysadzać do gruntu różne rośliny, że ulubiona róża mamy „Princess” ucierpiała podczas zimy i że trwają zabiegi regenerujące. Kiedy tak siedziałam z pełnym żołądkiem w jasnej i przytulnej kuchni rodzinnego domu, czułam jak dopada mnie podyżurowe zmęczenie.

- Marinka, widzę, że padasz z nóg. Biegnij na górę i odpocznij. Wiesz, że twój pokój zawsze na ciebie czeka - powiedziała mama, gładząc mnie po głowie.

- A wiesz, mamusiu, że chętnie zdrzemnę się chwilkę. Teraz mogłabym zasnąć za kierownicą - powiedziałam szczerze.

Poszłam powoli schodami, które skrzypiały tak samo, gdy wchodziłam po nich wieki temu, po powrocie ze szkoły. I dziś miałam poczucie dobrze spełnionego obowiązku, co jakby stanowiło przepustkę do leniuchowania. Z przyjemnością znalazłam się w moim starym pokoju. Na ścianach plakaty z podobiznami Johna Lennona, Beatlesów w komplecie, plakat Waldemara Świerzego, którego „zamglony” styl zawsze bardzo lubiłam. Nieco dalej czarno-białe zdjęcie Marilyn Monroe ze zmrużonym zawadiacko okiem i palcem na ustach. Jak symbol. Blondynka widzi świat, jakim jest, ocenia go z przymrużeniem oka, ale cicho, sza... nikt o tym nie musi wiedzieć.

Witaj, moje kochane łóżeczko! Czułam, że sen przyniesie mi ukojenie. Jakbym wracając do mojego dawnego łóżka, sięgała do źródła pierwotnej wiecznej siły i napędu życiowe-

go. Jakby to łóżko na pierwszym piętrze starej willi, w której wzrastałam, było swego rodzaju kolebką uzdrawiającą po powrocie z potyczek z życiem. Położyłam głowę na mięciutkiej poduszce, przykryłam się wełnianym pledem i słodko, jak gdyby nigdy nic, zapadłam w sen.

Obudziłam się w całkiem nie najgorszym nastroju. Czułam się nieco rozleniwiona, ale przecież mogłam sobie pozwolić na odrobinę nicnierobienia. Do czego miałam się spieszyć? Do pustego domu? Nikt przecież na mnie nie czekał. Ani mąż zniecierpliwiony brakiem obiadu na stole, ani dzieci, o które trzeba by zadbać, przypilnować, by zjadły zupkę i odrobiły lekcje. Niestety. Nie czekał na mnie nawet kot czy pies, nawet złota rybka. *C'est la vie*. Nie ma co rozpaczać, jak zwykła mawiać pewna moja koleżanka, szczęśliwie zameżna, choć przed ślubem przyprawiająca narzeczonemu rogi z kim popadło: „Każdy ma to, na co sobie zasłużył”. Mając do wyboru pograżanie się w nieprowadzących donikąd rozmyślaniach czy od razu pograżenie się w głębokiej depresji, wybrałam rozwiązanie trzecie. Energicznie podniosłam się z rozkosznych piernatów i dziarsko zesłam na dół, do mamy.

- Już? Jak ci się spało w swoim starym łóżeczku? - zapytała mnie mama, kiedy tylko przekroczyłam próg kuchni.

- Doskonale. Czuję się jak nowo narodzona - powiedziałam. Była to po części prawda. Potrzeba mi było snu po ostatnich nie najlepszych nocach. - Nowo narodzona, ale jeszcze zaspana. Może mała kawa?

- A wiesz, że bardzo chętnie. Ja też czuję znużenie. Już wstawiam wodę - mówiąc to mama zerwała się z krzesła.

- O, nie, mamó. Pozwól, że chociaż kawę zrobię ja - odpowiedziałam i ruszyłam w stronę starego kredensu. Wyjęłam dwie filiżanki z porcelany i wsypałam do nich brązowy proszek. Po chwili aromat świeżo parzonej kawy wypełnił całą kuchnię. Z prawdziwą przyjemnością wciągnęłam go w nozdrza.

- W której filizance wolisz? W tej z purpurową różą czy kremową? - zapytałam.
 - Dziś z purpurową, proszę - powiedziała, nie unosząc głowy znad medycznego magazynu.
 - Tata jeszcze w pracy? Znowu epidemia grypy? - pociągnęłam pierwszy łyk gorącego napoju.
 - Przynajmniej w wersji oficjalnej. Marina, tyle razy mówiłam ci, nie pij wrzátku! Słyszałaś o raku przełyku? - mama była maniaczką zdrowego trybu życia.
 - Och, mamó. Nie doczekam raka przełyku. Wiesz, ile wynosi średnia życia zabiegowca? Nie? To cię uprzejmie uświadamiam, że pięćdziesiąt sześć lat. Nie zdążę zauważyć pierwszych symptomów raka przełyku, padając twarzą w rozcięty brzuch pacjentki, jak mi pięknie żyłka albo moje naczynie wieńcowe nagle się zablokuje.
 - Marina, nie bądź drastyczna - mama zachnęła się, nie wiedząc czemu. - A pamiętałaś może o starej matce, spacerując po Polach Elizejskich?
 - No pewnie! Nie zapomniałam, mam dla ciebie twoje ulubione perfumy. Kupiłam je zaraz po przylocie do Paryża - zastanowiłam się chwilę. - Ale, wiesz co, zostawiłam je w domu, razem zresztą z butelką wina dla taty. Podrzucę wam jutro.
- Porozmawiałyśmy jeszcze kwadrans i powoli ewakuowałam się do domu. Widziałam, że mama była trochę podenerwowana spóźnaniem się taty. Pewnie znowu odnowił „znajomość” z panią Wera, swoją dawną przyjaciółką. Ja leż czułam pismo nosem, bo trochę zmienił swój styl ubierania i znów spóźniał się do domu. Pamiętałam koszmar z lat młodości: niby nic się nie działo, a i tak doskonale wiedziałam, co się święci. Dziś już nie miałam ochoty na „powtórkę z rozrywki” i pocieszanie mamy. Nie dałabym rady. Szybko wyrzuciłam z pamięci kolejny problem, jaki stanął na mojej drodze i uściskawszy mocno kochaną rodzicielkę, ruszyłam do domu.

Wracając, minęłam dom państwa Zagrodzkich. Dwie stare śliwy w ogrodzie obsypały się już pięknym, białym kwieciami, które lśniły w promieniach powoli chylącego się ku zachodowi słońca. Nie wiedzieć czemu, jakoś podniosło mnie to na duchu. Świat staje na głowie, a śliwy kwitną najpiękniej, jak potrafią. Żyją pełnią życia niezależnie od sytuacji. Może tak właśnie trzeba? Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę w oddali szum samolotu, ale to przecież niemożliwe... Wrażenie zniknęło równie nagle, jak się pojawiło. Jeszcze trochę i będę w domu. Muszę zadzwonić do dziewczyn, że już jestem. Powinam. Ale jakoś nie miałam na to wcale ochoty. Nadal wyłączona komórka leżała spokojnie na dnie torby. Może już czas jednak ją włączyć? Po co? Czyżbym wciąż miała nadzieję, że... Dość! Po tym, co widziałam i słyszałam? Odrobinę godności! - usiłowałam przywołać się do porządku, stojąc na czerwonym świetle.

No i już jestem na miejscu. Może nieszczerze piękny, ale moim. Stara kamienica stała wprost przede mną, patrząc na mnie swoimi wielkimi oczyma. Weszłam do bramy, szukając kluczy w torebce. Mam nadzieję, że nie zostawiłam ich w szpitalu. Chyba że zgubiłam. Nie, na szczęście schowałam do małej kieszonki. Weszłam już do klatki i... zobaczyłam coś, co wprawiło mnie w osłupienie. Na każdym stopniu schodów, tuż przy wewnętrznej krawędzi, leżały piękne, porażające swą bielą w zestawieniu ze starym drewnem schodów kalie. Łodygi miały ułożone tak, by nie wystawać zbyt daleko poza krawędź i by nie spadać ze schodów. Jak widać, dotąd nikt z przechodzących schodami osób nie nastawał na nie, bo leżały regularnie na każdym stopniu. Tak to jest, jeśli średnia wieku mieszkańca wynosi siedemdziesiąt lat, można liczyć na względny spokój na klatce schodowej. Ciekawe, dokąd prowadzi ten kobierzec piękna w starej kamienicy... powoli posuwałam się schodami ku górze. Ale historia. Wchodzisz do pierwszej lepszej kamienicy, a tu ka-

lie kwitną na schodach. Przyglądając się budzącym zachwyty główkom, dotarłam na moje piętro. Wciąż zastanawiałam się, dokąd prowadzi droga usłana kwiatami. I to tak pięknymi. Już zdobywałam się na odwagę, by zgłębić tajemnicę... i już nie musiałam. Szlak kalii kończył się pod moimi drzwiami... Za klamkę zaś wciśnięty był ogromny ich bukiet w kołnierzyku z głęboko zielonych liści. A wśród liści tkwiła biała, złożona kartka. Upłynęło parę ładnych chwil, a ja ciągle stałam jak wryta. Nagle z łoskotem odbijającym się w pogrążonej jak i ja w ciszy klatce schodowej otworzyły się drzwi pani Budycho-wej. Najpierw moim oczom ukazała się głowa z siwą czupryną z resztkami trwałej, która energicznie rozejrzała się dookoła, a po chwili dołączyła do niej pozostała część sąsiadki odzianej w sukienkę w kolorowe esy-floresy z przewagą pomarańczu i brązu.

- Panno Marino, ale pani to ma wielbiciela! Nawet Roman, jak się do mnie zalecał, to takiej fantazji nie miał... - gderliwy głos sąsiadki całkiem sprowadził mnie na ziemię.

- Pani widziała, kto to był? - zapytałam krótko. - Może mi pani uprzejmie powiedzieć, jak wyglądał? - celowo dodałam „uprzejmie”, bo potem pani Budykowa będzie komentować do sąsiadki z naprzeciwka, prosto pod moimi drzwiami: „Pani, kochana, one, te doktory to nic szacunku dla nas, prostych ludzi, nie mają. A z nas żyją, nieprawdaż jednakowoż?”. Dwa ostatnie słowa należały do ulubionych dodatków słownych pani Budykowej i znajdowały zastosowanie przy każdej okazji. Nadawały w jej mniemaniu wyraźnego inteligenckiego rysu każdej wypowiedzi.

- A oczywiście, że mogę. Na uprzejmą prośbę chętnie odpowiem - ukontentowana nabrała powietrza w płuca. - No to przyszedł tak zaraz po dwunastej, kwiaty rozłożył i czekał. Najpierw stał, a potem usiadł na schodach i z opuszczoną głową sobie siedział. Tak koło czwartej to ja już wyszłam do nie-

go, bo mi się go żal zrobiło. I pytam, czy może coś przekazać, bo może pani dyżur ma albo co. Ale on do mnie mówi coś w zagranicznym języku, a ja mu pokazuję, że nie rozumiem. To on mi pokazuje, że chce coś napisać. Dałam mu kartkę, co on ją panience do kwiatów włożył. To mi ładnie podziękował, nie bardzo rozumiałam, ale ładnie to zrobił... - tu lekko się rozmarzyła. -1 chyba poleciał samolotem, bo tak ręką pokazał, że „paravion”, Paris czy co. Ale pani to ma pecha. Taki przystojniak wysiaduje pod drzwiami, a pani akurat nie ma. A jakie oczy miał błękitne... a ile on od pani starszy, bo tak chyba jest dobrze po trzydziestce, co?

- Dziękuję bardzo pani, pani Budychowa, że pani była tak miła i pomogła mojemu znajomemu - jakoś usiłowałam uniknąć konkretnej odpowiedzi.

- Znajomemu? Panno Marinko, na znajomego to on nie wyglądał. On wyglądał na ... - tu puściła do mnie porozumiewawczo „oko” - wyglądał na bardzo znajomego. I bardzo zakochanego.

- A po czym to pani, uprzejmię, wnioskuje? - zapytałam nieco zdenerwowana wtykaniem nosa w nie swoje sprawy.

- Ano, po tych oczach, panno Marinko, po oczach... Długo już się żyje na tym świecie i trochę się widziało, nieprawdaż jednakowoż. I nawet taka stara kobieta jak ja nie zapomina, jak wyglądają oczy zakochanego mężczyzny. I to były, uprzejmię mówię, takie właśnie oczy. A poza tym, to nie trzeba być wróżką Wioletta spod siódemki, żeby widząc te kwiaty i czekanie pod drzwiami przez cztery godziny na schodach, coś takiego zgadnąć.

- Może tak, może nie - odpowiedziałam, nie bardzo mogąc dać sobie radę z natłokiem myśli i wrażeń. Jakże chętnie wypytałabym ją, jaki miał wyraz twarzy, czym pachniał, czy mrużył oczy, wymawiając moje imię... Tysiące pytań cisnęło mi się na usta. Ale musiałam powstrzymać ciekawość. Z przyczyn technicznych, powiedzmy. Za to nie musiałam powstrzy-

mywać ciekawości, co miał mi do powiedzenia Vitto. Niesamowicie nurtowało mnie, co napisane jest na kartce, którą, wciąż nieprzeczytaną, trzymałam w dłoni.

-Jeszcze raz bardzo dziękuję, szanowna sąsiadko. Proszę wybaczyć, ale jestem po dyżurze i padam z nóg. Do widzenia. Miłego wieczoru.

Dzierżąc w jednej ręce torbę, w drugiej - przepiękny bukiet, zdecydowanie wycofałam się do swojego mieszkania i ruchem biodra zamknęłam szybko drzwi. Odczekałam chwilę, usłyszawszy, że pani Budychowa wycofała się do swego królestwa, wychynęłam na schody i szybciotko pozbierałam piękno rozłożone na schodach. Modląc się, by nikt mnie nie zaczepił, dotarłam pod swoje drzwi. Wpadłam do kuchni, położyłam kwiaty na stole i rozłożyłam kartkę.

Vitto pisał na chropawym podłożu, o czym świadczyły liczne nierówności wśród liter.

Mój najpiękniejszy błękitnie świata! Nie wiem, dlaczego uciekłaś z galerii? Czy w czymś Ci uchybiłem? Umieram z niepokoju, Twoja komórka nie odpowiada. Przyleciałem z Paryża na parę godzin, żeby sprawdzić, co u Ciebie. Gdzie jesteś, my love? Dotknij kamienia mojej prababci i pomyśl o mnie. Przecież wiesz... Teraz już muszę wracać do Francji, dziś wieczór muszę być w Paryżu. Czekam na twój telefon. V. M.

P. S. Mam nadzieję, że nadal lubisz chociaż kalie...

Opadłam na krzesło. Nie wiedziałam, co mam czuć, co myśleć. Z jednej strony - cudowny romantyk... umiera z niepokoju o mnie... leci tysiąc kilometrów, by mnie zobaczyć, choć przez chwilę... zasypuje kwiatami i to w tak niecodzienny sposób... pisze list: „Mój najpiękniejszy błękitnie świata...”.

Mężczyzna, o jakim marzy i śni każda kobieta... Wręcz ideał. Same superlatywy. Piękny błękitnooki artysta, o cudownej męskiej, wyrazi-

stej twarzy, zniewalającym spojrzeniu na poły Retta Butlera i Bogumiła Niechcica (z przewagą Retta, doszłam do wniosku po chwili namysłu). Mężczyzna, którego ręce zawierały w sobie obietnicę rozkoszy, łączenia finezji nieba z pradawną, władczą samczą siłą i posiadaniem. Zachwycający człowiek, artysta o pięknej duszy, który zrozumie każdy odcień twojej szalonej natury, zabierze na niezbadane szlaki najpiękniejszej, prawdziwej miłości, „nad wody, gdzie możesz odpocząć...”. Wzór wymarzonego, idealnego towarzysza życia. Aż cud, że nie wystawiono go jako wzorca w Sèvres pod Paryżem. Tyle zalet...

I tylko jedna wada. Ma dziecko z inną kobietą!!! Taki drobiazg. Bagatela. W zasadzie, nie ma o czym wspominać. Ale to mnie oczywiście naprawdę kocha. I to ze mną chce spędzić życie. Niemniej jednak, ponieważ jest szlachetny, nie opuści w potrzebie tamtej kobiety, będzie się nią opiekował... zwłaszcza teraz... zwłaszcza potem... I tak będziemy wieść wesołe życie w trójkącie z dzieckiem, które akurat biedne, pojawiło się tu na swój sposób przypadkiem i też było poszkodowane chorą sytuacją. Taka mała hipisowska komuna. On będzie tworzył wiekopomne dzieła, a my z platynową będziemy wymieniać przepisy na najlepszy sernik na kruchym spodzie. I czy nasz pan i władca woli pościel wypłukaną w Leno-rze czy w Silanie. Ogólnie - życie jak sen... a raczej koszmar.

Czy parę, no, może parędziesiąt, kalii na schodach i kartka w bukiecie to cena mojej skromnej osoby? I co, już mnie ma? Trochę tanio. Nieprawdaż i jednakowoż. Zaiste i w rzeczy samej. Absolutnie. Spojrzałam na kwiaty. Nie mogłam odmówić im wyjątkowej urody. Te doskonale piękne linie konch, ta soczysta zieleń łodyg i dyskretna bladość pręcika we wnętrzu kwiatu. Perfekcja natury. Do nabycia za pieniądze. Jak wszystko. Wszystko? Ja nie. Po chwili zastanowiłam się nad swoimi wywodami i... roześmiałam się sama do siebie. Co ty, romantyczna bohaterko, opowiadasz? Dorabiasz teorię do praktyki. Po prostu, miły gest. Od razu cięż-

ka filozofia i marketing. Wszystko na sprzedaż... Co ty gadasz! Odpuść Andrzejowi Wajdzie i jego filmom. Życie nie zawsze naśladuje filmowe scenariusze. I na szczęście. Jest szansa uniknąć szmiry, chociaż w życiu. I nie mam tu na myśli twórczości pana Wajdy, która akurat jest całkiem do rzeczy, a momentami - nawet doskonała. A poza tym...

No i nie dokończę myśli, bo dzwoni telefon. Poczekam, może się zniechęci. A jeśli to mama... To nie była mama, ale Lukrecja, moja serdeczna koleżanka. Spotkałyśmy się po raz pierwszy, kiedy byłam na drugim roku studiów. Luka kończyła wtedy anglistykę. Od razu przypadłyśmy sobie do gustu. Ona, jako starsza, zawsze usiłowała się mną trochę opiekować, co w pewnych momentach mojego życia było mi bardzo potrzebne. Zawsze byłam naiwna, ale na początku studiów ta moja naiwność mogła być wręcz przysłowiowa. Zupełnie nie umiałam znaleźć się w zagmatwanych koteriach i grupach na moim roku, aż trafiłam do duszpasterstwa akademickiego. W tym miejscu spotykali się ludzie, podobnie jak ja, nieprzystosowani. Wszystkim nam wydawało się, że piękno i dobro są naturalnymi barwami rzeczywistości, bo dlaczego miałyby być inaczej. Obce nam były obrzydliwe gry międzyludzkie i wojny podjazdowe. Dziwnym trafem wszyscy chcieliśmy, by świat był lepszy, piękniejszy i choć trochę zbliżony do naszych marzeń. Tylu ludzi czekało na pomoc, życzliwy gest, odrobinę zainteresowania ich losem. I jak Sokole Oko w **MASH** na pytanie, czy chcemy zbawić cały świat, odpowiadaliśmy: „Cały? Nie, tylko swój mały kawałek”. Staraliśmy się realizować swoje słowa, bo wielu z nas czyny przychodziły łatwiej niż rozmowy i przez długi czas szło nam nie najgorzej. Działaliśmy jakby w myśl „Bądź dobry. Każdy, kogo spotykasz na swojej drodze, toczy ciężki bój”. Potem, już po studiach, wszystko, siłą rzeczy, trochę się poluźniło i z czasem odeszło w przeszłość. Nasze miejsce jednak zajęli młodszy i to była nasza mała sa-

tysfakcja, że „non omnis moriar”, w pewnym sensie. Choć „czynną służbę” skryły wspomnienia, ocalały przyjaźnie.

Na przykład - moja i Luki. Czasem mówiłam do niej po prostu Lu. Lu nie cierpiała swojego imienia. Zawsze przedstawiała się jako Luka, mając nadzieję, że nikt nie zapyta, co to za dziwne imię. Cóż, mama Luki miała na imię Blandyna i twierdziła, że już imię musi zwracać uwagę na człowieka, wtedy ma on dużo mniej do roboty. Może i racja. Ale obie z Lu jakoś nie byłyśmy do tego przekonane. Może dziwne imiona, a może równie dziwaczne usposobienia przyciągały nas do siebie. Lu była jeszcze bardziej „nawiedzona” niż ja. Czasem wyczuwała rzeczy dużo bardziej groźne czy ważne niż moje „przeczuwanki”. Pamiętam kiedyś, w czasie kolacji spożywanej u kogoś w akademiku, Lu nagle zerwała się od stołu i powiedziała, że wydaje jej się, iż coś niedobrego dzieje się w okolicy i lepiej, żebyśmy wracając do domu, zamówiły spod akademika taksówkę. Tak też zrobiłyśmy i nazajutrz dowiedziałyśmy się z gazet, że w czasie naszego powrotu taksówką na przystanku, z którego miałyśmy odjeżdżać, sataniści zranili parę osób. Lu czasem wyczuwała na odległość, że coś u mnie nie gra, że jestem w dołku, że smutno mi i źle, i wtedy dzwoniła albo po prostu przyjeżdżała. Tak też było i tym razem.

- Cześć, Marina. Od przedwczoraj bardzo o tobie myślę, a dziś w nocy mi się śniłaś. Żeglowałaś rzeką. Całkiem sama. Pomyślałam, że może przyżeglowałabyś do mnie. Wiosna idzie, pięknie kwitną czereśnie przed moją chatą, a ja stęskniłam się już za tobą.

- Lu, kochana! Jesteś jak barometr. Ja też za tobą tęsknię. Nasze czereśienki już kwitną? Takiemu widokowi trudno się oprzeć, więc może rzeczywiście... Ale ty pewnie masz mnóstwo roboty...

- Pracy mam zawsze pod dostatkiem, ale wiesz - „nie samym chlebem żyje człowiek”. Przyjedź, do chleba też coś się

znajdzie. A może same upieczemy sobie rumiany bochenek? - Luka roztaczała przede mną uroki wiejskiego życia.

-Kusisz, kusicielko, kusisz... Poddaję się! Mogę przyjechać jutro w południe? - nie namyślałam się długo, wiedziałam, że raźniej będzie mi z kimś bliskim spędzić trudne chwile.

- Czekam, już się cieszę, że cię zobaczę. Wyjść po ciebie na przystanek?

-Nie, dzięki. Chętnie odetchnę świeżym powietrzem i pooglądam łąki i pola w drodze do ciebie. To przecież raptem dwadzieścia minut drogi. Jeszcze pamiętam trochę z naszych treningów *aikido*, więc gdyby niedźwiedź jaki, to dam sobie radę... - zażartowałam.

- Nie wątpię, koleżanko. To czekam jutro z drugim śniadaniem.

- Poczekaj jeszcze moment! Emil na morzu czy w domu, bo nie wiem, czy wieść świeże pączki, czy nie.

- Od miesiąca na morzu, więc proszę, żadnych pączków ani innych słodkości. Przywieź tylko siebie. Czekam jutro. Pa!

- Do zobaczenia! - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Fajnie! Będzie mi raźniej i weselej u Luki niż samej w pustym domu. Może tam doznam olśnienia, co robić. I zobaczę nasze czereśnie w kwiatkach, pierwszy raz, bo w ubiegłym roku spóźniłam się trochę i nic z bieli płatków nie zostało. Lu marzyła, żeby móc sobie usiąść przed swoim domem pod drzewem i rwać owoce na wyciągnięcie ręki. Wzięłam sobie do serca jej marzenie, więc jak tylko kupili tę starą chałupę, najechałam ich z dwoma drzewkami czereśni i osobiście z Lu zasadziłyśmy je w miejscu wybranym po szczegółowych obliczeniach, gdzie stanie stół biesiadny. A teraz kwitną, maluchy! Muszę to zobaczyć. Ja na pewno nie jestem całkiem normalna. Jestem stuknięta, ale w jakże miły sposób... komu to przeszkadza, że jadę zobaczyć jak kwitną „moje” dwa drzewka.

Ale teraz, po odłożeniu słuchawki, znów zostałam z bukietem kalii wielkości liści rabarbaru i całym swoim zagubieniem. Moim pierwszym odruchem było dać ponieść się marzeniom. .. Zamknąć oczy i poszybować na skrzydłach uczucia ku fascynującemu mężczyźnie, który był w mojej wyobraźni i sercu, pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu, czyli zdrowemu rozsądkowi, doświadczeniu życiowemu i temu, co sama widziałam i słyszałam. Bałam się nawet wypowiedzieć głośno nazwę uczucia, na skrzydłach którego tak bardzo chciałam szybować. Żeby nie zapeszyć... nie zepsuć czegoś, co było ostatnimi czasy osnową mojego istnienia. Dzięki niemu wstawałam z łóżka o poranku i kładłam się nocą, by znów o nim śnić... jak w piosence „Je suis une prisonnier... tu as tout les droits sur mon coeur...” *, i nic na to nie mogłam poradzić. Wściekałam się, walczyłam, nie przyjmowałam do wiadomości... wszystko na nic. Co ja mam z tym zrobić, z nim, z sobą... niereformowalną romantyczką o mentalności pastereczki... Powinnam być twarda, nieprzystępna, pełna dumy (i uprzedzeń, jakiś głos podpowiadał mi do ucha), nucić „nie wierz mi, nie ufaj mi, bo z rąk ci się wywinę...” Anny Jantar. I w ogóle - oj, nie tak, panowie, nie tak.

Wiedziałam, jak ogromny wpływ miała na mnie mama, jej opowieści, że „facet to świnią”, w niektórych sytuacjach pewnie całkowicie trafne, ale w jakże wielu nie. A do tego zdrady ojca, jego pogarda dla kobiet cikliwych, wrażliwych, niekonkretnych, które okazując komuś uczucie, dawały jakby namacalny dowód swojej głupoty i upośledzenia. I ja, pomiędzy tym wszystkim. Sama nie wiedziałam, kim być. Ale 'wiedziałam, że okazywanie uczuć do niczego dobrego nie prowadzi. Z obu stron płynęły jasne komunikaty, że okazując uczucia przegrasz, bo pokażesz swój słaby punkt. Z jednej strony, na pewno zostaniesz zraniona, a z drugiej - zo-

* „**Jestem więźniem... ty masz wszelkie prawa do mojego serca...**”.

staniesz uznana za ckliwą kretynkę. Najlepszym wyjściem, zdawało się, było zostać doskonale wykształconą, pewną siebie feministką, ale nie chciałam, by ktoś na mój widok, cytując Lecha Janerkę, słyszał w głowie głos „run, Forest, run”. A do tego wojujący feminizm niewątpliwie prowadził.

Doskonale wiedziałam, że byłabym świetnym towarzyszem dla kogoś, kto naprawdę by mnie kochał i szanował, i kogo ja bym, oczywiście, kochała bez pamięci. Byłabym dobrym towarzyszem podróży, nie skarżącym się na jej trudy, wiernie podążającym za plecami przede mną, opatrującą rany samarytanką, wesołą kuchareczką gotującą zupę na gwoździu... I wiem, że umiałabym w parę chwil zamienić się w damę unoszącą subtelnym ruchem wachlarz, by ukryć znudzenie monotonnym towarzysztwem, by po chwili rzucić się w wir wiedeńskiego walca i wirować w blasku świec wraz z męskimi spojrzeniami, skupionymi na moich okrytych zwiewnym szalem ramionach. Potrafiłabym zamienić się w starą Murzynkę, wybijającą rytm bosą stopą w szarym pyłe polnej drogi, mogłabym zakołysać duszą w rytmie bossa novy, na chwilę zanurzyć się w oceanie czasu w Marąquezowskich *Stu latach samotności...* choć odmawiam kategorycznie noszenia imienia Urszula, bo nie dźwignęłabym chyba nawet pierwszej litery już obciążonej bólem i cierpieniem. Byłabym słodką kobietką, morzem kobiecości i skupioną, poważną panią doktor, badającą najważniejsze dla świata tajemnice. Zamknęłabym się w słonecznej pracowni na poddaszu, w starej, obszernej sukni z plamami farb i twarzą ubrudzoną akwamaryną, z pędzlem w dłoni, nieświadoma świata i czasu wokół zapełniałabym swoją szaloną wizją jasne płótno, zbiegałabym do ogrodu po kilka różanych kwiatów do koszyka, wskoczyłabym bladym letnim świtem na koński grzbiet, by przywitać pierwsze promyki słońca nad ulubionym stawem i zobaczyć, jak powoli na zaspane łąki opadają mgły, by uchwycy-

cić tę jedyną chwilę, kiedy czas nie należy do nikogo, zamknięty między nocą a dniem, kiedy świat przeciera oczy wyrwany spod przytulnej kołderki snu.... Potem, jako ciepła pani domu, czekałabym z gorącym obiadem na mojego mężczyznę... Para unosiłaby się znad świeżo posypanych koperkiem młodych ziemniaków, pieczeń czekała na białym półmisku, sos w kolorze czekolady lśnił w sosjerce, zieleni sałaty nie sposób byłoby się oprzeć... no i naleśniki, w których jestem mistrzem... Ale przede wszystkim, byłabym prawdziwym przyjacielem, niekłopotliwym towarzyszem najpiękniejszej przygody, jaką jest życie. Prawdziwe, piękne w swej prostocie, dalekie od blichtru i światła jupiterów... nasze życie.

Ale kto chciałby mieć na pokładzie takiego dziwoląga, jak ja. Nie mogłam w to po prostu uwierzyć. Większość ludzi chce na towarzysza kogoś normalnego. A ja... cóż. Byłam, łagodnie mówiąc, lekko zwariowana. Mieszkało we mnie tyle różnych różności, nie, to nie choroba psychiczna. Psychiatrycznie byłam bez odchyłań. Lubiłam powtarzać stwierdzenie mojego ulubionego aforysty, Stanisława Jerzego Leca, brzmiące mniej więcej tak: „Schizofrenia to choroba umysłowa, redukująca nieskończoną liczbę bytów w człowieku do marnych dwóch”. Wyrażanie go na forum narażało mnie, niewątpliwie, na podejrzenie o takie czy inne schorzenie, kwalifikujące się do diagnostyki psychiatrycznej. Gdy, tymczasem, jestem całkowicie zdrowa, tyle że nieco nieprzystosowana do schematów. Tyle rzeczy fascynowało moją wiecznie głodną nowych doznań duszę... „Normalność” mi nie wystarczała. Wciąż czułam się zawieszona pomiędzy ziemią a niebem. Takie dziwactwo. I tyle. Zeby sobie poprawić humor, lubiłam powtarzać: „Nas, artystów, świat nie rozumie, zbyt wyprzedzamy epokę, my wiemy już teraz to, do czego oni dojdą za stulecia...”. Trochę może i było mi lepiej przez pięć sekund po wygłoszeniu

do lustra owej „sentencji”. Ale cóż, nawet pięć minut to jakby niewiele...

I nagle ktoś, kto twierdzi, że jestem jego miłością... I ja mam w to wszystko uwierzyć? Czy ja oczu nie mam i lustra w domu? I do tego ten cały *entourage* z platynową. Wiem, że powinnam była zadzwonić, ale... jeszcze nie teraz. O ile w ogóle. Wszystko już wirowało w mojej biednej głowie, co ja opowiadam? Muszę odpocząć. Odpłynąć... W trudnych momentach, włączałam sobie *Dźwięki muzyki* z Julie Andrews i Christopherem Plummerem. I z dziecięco-dziewczęcą naiwną myślą uciekałam jak Maria na wzgórze...

Za dużo jak na jednego człowieka... Tyle szczęścia i nieszczęścia w ciągu tak krótkiego czasu.

Pocieszałam się, że Maria też uciekła od swojego ukochanego, że też była „ta trzecia”... a wszystko skończyło się dobrze. Ale to był film, film z czasów, w których wszystko musiało kończyć się happy endem. A moje życie to nie film. A poza tym to przecież śmieszne i żałosne, pocieszać się filmem. Ale czy bardziej „dorosłe” byłoby zjedzenie trzech tabliczek czekolady z orzechami i ptysia z bitą śmietaną?

Kiedy tylko pomyślałam o ptysiu, natychmiast napłynęła mi do ust ślina w ilościach okazałych... na pewno zrobiłoby mi dobrze spożycie czegoś smacznego. Niewiele myśląc, włożyłam płaszcz i wybiegłam do cukierni w nieodległym dużym sklepie spożywczym. Szłam ulicą, mając jeden cel - dopaść kawałek jakiejś pyszności. Wiedziałam, że o tej porze samobójstwem byłoby nabycie czekolki z bitą śmietaną, rozważałam więc inne warianty... Co jakiś czas mijali mnie ludzie w różnym wieku i różnego autoramentu, paru drobnych pijaczków, dwie zmęczone kobiety z siatkami pełnymi zakupów, kilka zakochanych, szczęśliwych, obejmujących się par... Dwoje ludzi, którym tak naprawdę obojętne jest, gdzie są i dokąd idą, byle razem... Może właśnie o to chodzi. Byle razem.

Przetrwamy wszyst

ko. Razem. Ale jeśli się mylę i wpadnę po uszy w *piece of shit**, z którego ciężko będzie się wygrzebać... *nothing as it seems...***

No i jestem już na miejscu. Światło jarzeniówek kole w oczy i jakby od razu daje znać o tym, że wszystko, co tu widać, jest produktem sztucznym, jak i ono. Panie za ladą, z przyklejonym do twarzy uśmiechem, oferują szynki o smaku plastikowej galarety, w których więcej jest wody i chemikaliów niż prawdziwego mięsa. Kiosk z gazetami sprzedaje złudzenia zakłętę w papierowe strony, że „będzie lepiej już od pierwszego najbliższego miesiąca”, „że najnowszy film z Bradem Pittem zmieni twoje życie w sen”, że „cudowny plaster za jedyne dwieście złotych sprawi, iż mimo spożywania pięciu tysięcy kalorii dziennie osiągniesz figurę Cindy Crawford już po dwóch tygodniach”. Brakuje jeszcze szczęścia w pigułce - bardzo proszę udać się do najbliższej apteki i poprosić o seronil czy coaxil. A ja chciałam być szczęśliwa naprawdę, tak ekologicznie... i wciąż wierzyłam, że to możliwe.

Stałam przed szybą, za którą leżały przecudnej urody łakocie. Wiedziałam, że w każdym z nich ukryta jest jakaś polepszająca trucizna, od której rozboli mnie po godzinie brzuch, ale byłam gotowa na wszystko. W obecnym stanie byłam niemal konsumpcyjnym kamikadze. Po chwili wahania ustawiłam się w kolejce za starszym mężczyzną z czarną opaską na oku. Swoją drogą nie sądziłam, że jeszcze ktoś nosi tego typu rzeczy. Ale życie pełne jest niespodzianek... Czas mijał, kolejka powoli posuwała się do przodu. Do lady zbliżała się młoda kobieta z czteroletnim może chłopcem, który najwyraźniej miał już dość grzecznego stania koło mamusi. Najpierw zaczął się nerwowo kręcić, a potem wyrwać

* **Kupeg...**

** **Nic nie jest takie, jakie się wydaje...**

z matczynej ręki. Przywołany do porządku, poszukał sobie innej rozrywki, zaczął bacznie przyglądać się otoczeniu. W pewnym momencie odwrócił się i jego wzrok spoczął na mężczyźnie z opaską na oku, który stał przede mną. Jego i tak duże, ciemne, dziecięce oczy na moment zrobiły się jeszcze większe i natychmiast zaczął szarpać rękę matki, krzycząc głośno: „Mamo, mammo, za nami stoi pan pirat”. Matka zaraz zgromiła go, że to nie pirat, tylko pan ma chore oczko, na co mężczyzna jedynie lekko się uśmiechnął. Po chwili kobieta z dzieckiem kupiła, co miała do kupienia i ze spuszczoną głową przeszła koło nas ku wyjściu. Dziecko jeszcze raz odwróciło głowę i bacznie przyjrzało się „piratowi”, nim ostatecznie poddało się szarpnięciu prowadzącej go ręki i oboje zniknęli w półmroku za ruchomymi drzwiami.

Ostatecznie zdecydowałam się na kawałek drożdżowego ciasta z owocami. W roli owocu występował chai ;1. \ ny dla tej pory roku rabarbar. A do tego mały kawałek sernika. Piękny, puszysty, kuszący... Zaraz po wyjściu ze sklepu odwinęłam z niego papier i z rozkoszą zanurzyłam w nim zęby. Kruszył się i brudził mój elegancki czarny płaszcz, ale za to - jak smakował! Otrzepałam się z resztek sernika, który, jak wszystko dobre, szybko się skończył. Drożdżowe odłożyłam na później. Z pobliskiego kościoła wysypała się garstka wiernych, pewnie po wieczornej mszy. Starsi ludzie powoli wracali do domów. I wtedy ujrzałam obrazek, który zmienił nieco mój nastrój. Kilka kroków przede mną szły dwie starsze kobiety, trzymające się pod rękę. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że jedna z nich była niewidoma, o czym świadczyła biała laska, którą trzymała w ręce. Druga podpierała się kulą, usiłując ułatwić sobie poruszanie z jedną umieszczoną w specjalnym ortopedycznym bucie nogą. Żywa ilustracja powiedzenia: „Wiódł ślepy kulawego”. A jednak całkiem nieźle im szło. I nagle wydało mi się to ilustracją całe-

go naszego życia. Wszyscy bywamy i ślepi, i kulawi czasami, choć nie zawsze widać to na zewnątrz. Brniemy traktem Życia, podpierając się wzajemnie i... jakoś nam idzie. Czasami całkiem nie najgorzej, a że trafiają się górki i doliny, czasem zupełnie nie tam, gdzie można by się ich spodziewać... cóż, *à la guerre comme à la guerre**. I do tego *c'est la vie*, co w efekcie daje *comme ça, comme ça*. Ogólnie, nie jest źle. Więc może i ja jakoś znajdę się w tym wszystkim? Muszę to jeszcze dobrze przemyśleć, dziś już nie miałam siły. Znowu powiedziałam sobie, jak Scarlett O'Hara: „Pomyślę o tym jutro”.

Sama nie wiem, kiedy dotarłam do domu. I znowu funkcjonowałam wyraźnie w moim wąskim paśmie świadomości. Ach, te moje dziwactwa! Mało to razy cudem ocalałam uniknąwszy śmierci nagłej pod kołami aut, zwłaszcza ciężarowych, których podmuch otrzeźwił mnie i powstrzymał przed wkroczeniem na jezdnię. Kiedyś na dyżurze w pogotowiu musiałam jechać na wezwanie do mężczyzny ugodzonego nożem kuchennym. Człowiek już nie żył, pozostało mi stwierdzić zgon. Policja, która przyjechała zaraz po nas, przesłuchując mnie później i wypytując o moje spostrzeżenia, niewiele się ode mnie dowiedziała. Poza ciemnym korytarzem i ponurym nastrojem starej kamienicy, nie potrafiłam sobie wiele więcej przypomnieć, ani kogo mijałam na schodach, ani osób będących w mieszkaniu, poza żoną zamordowanego. Na pytanie, czy to ona mogła być winowajczynią, odpowiedziałam, że według mnie to bardzo mało prawdopodobne. Potem okazało się, że w istocie to ona zadźgała współmałżonka. Jak echem odbijały się sarkastyczne słowa: „Pani to się zna na ludziach, pani doktor!”.

Po wejściu do domu, pierwszym, na czym spoczął mój wzrok były kalie. Jeden wazon pełen tych kwiatów stał na

*** Na wojnie, jak to na wojnie.**

komodzie, a drugi, wychodząc, ustawiłam na stole w pokoju. Teraz usiadłam w fotelu i zaczęłam przyglądać się kwiatom. Nie mogłam odmówić Vitto i fantazji, i odwagi. Nie dość, że pomyślał, jakby tu sprawić mi przyjemność, nabył kalie w ilości hurtowej i odważył się poukładać je na schodach, wiedząc doskonale, że każdy jego krok obserwowany będzie przez wiele par oczu i dość różnie oceniany. Dorosły mężczyzna układa kwiaty na schodach... wariat albo zakochany. Albo jedno i drugie, w zasadzie - na jedno wychodzi.

Spojrzałam na zegar. Robiło się już późno, a przecież musiałam rano wstać, żeby dotrzeć na dworzec PKS. Łóżko kusiło miękką pościelą, a ja znów odczułam zmęczenie ostatnich kilku dni. Jutro z Luką pójdziemy może wcześniej spać... He, he, roześmiałam się nad niedorzecznością takiego przypuszczenia. Tak więc czas już dziś wyspać się z zapasem na jutrzejszy dzionek. Sen przyszedł natychmiast, kiedy tylko przytuliłam głowę do poduszki.

Ledwie zasnęłam, a paskudny budzik już dzwoni! Ale gdy otworzyłam oczy, świat już zdecydowanie powitał nowy dzień. Rada nie rada, wydobyłam się z ciepłutkich pieleszy. Miałam ochotę na przeleniuchowanie całego dnia, na spanie do południa, chodzenie w szlafroku, spokojne poczytywanie gazet, których spora kupka straszyla na jednej z półek. Bardziej jednak chciałam spotkać się z moją przyjaciółką, toteż bohatercko popęzłam do kuchni i wstawiłam wodę na kawę. Przypomniałam sobie, że w siatce ciągle czeka na mnie ciasto z rabarbarem i, nie czekając chwili, zabrałam się do słodkości, w której rabarbar zaznaczał się skromnym jedynie, acz zdecydowanym akcentem. Do tego kawa i mój żołądek poczuł się dużo lepiej, a głowa zaczynała rozróżniać elementy rzeczywistości. I uświadomiła sobie, że czas nie czeka na nikogo, a już na pewno nie będzie czekać na mnie autobus PKS, bo, jak powszechnie wiadomo: „Pasażer biegnący za autobusem, jest pasażerem następnego autobusu”. Wola-

łam nie próbować na sobie, jak aktualna jest owa empirycznie sprawdzona już przez innych maksyma, i wzięłam się ostro za siebie. Po stosunkowo krótkim czasie wychodziłam z domu z torbą w ręce. Nim zamknęłam drzwi, jeszcze jeden rzut oka na kalie stojące w dwóch dużych flakonach. Słońce padało na nie i, co tu dużo mówić, były przepiękne. I takie romantyczne... w przeciwieństwie do autobusów i ich kierowców. Ruszyłam pędem w stronę przystanku. Szkoda, że coś zaczęło szwankować w mojej kochanej toyocie, bo nie musiałabym korzystać ze środków komunikacji miejskiej. Po mieście jeździłam bez obaw, wiedziałam, że w razie czego mam do kogo zadzwonić. Ale dłuższe trasy ostatnio trochę mnie przerażały, bo gdyby coś... wołałam nie myśleć. Jak za dawnych, studenckich czasów przejadę się autobusem, wmawiałam sobie jakiś urojony czar takich podróży. Szczęściem na autobus zdażyłam i podróż, nawet bez aviomarinu, minęła nie najgorzej. Obserwowałam przez szyby maleńkie wioseczki i miasteczka, które mijaliśmy po drodze, ludzi, wsiadających i wysiadających, będąc, mimo woli, świadkiem ich trosk i opowieści. Aż nadeszła i moja kolej, żeby opuścić ten pekaesowski rydwan. Chmura kurzu uniosła się za odjeżdżającym autobusem i, kiedy opadła, moim oczom ukazały się precudnej urody zielone już, połyskujące w wiosennym słońcu pola. Aleś Pan miał fantazję, tworząc takie cudeńka, dobry Boże...

Do wsi, na końcu której mieszkała Luka, wiodła droga rozciągająca się, po przeciwnej stronie szosy. Niewiele myśląc, przeszłam przez jezdnię i ruszyłam przed siebie. Dopiero po paru krokach uświadomiłam sobie, że zupełnie nie rozejrzałam się, zanim wkroczyłam na szosę. I znów udało mi się nie zginąć pod kołami. Ktoś na górze jednak mnie lubi. No i mój anioł stróż nie śpi, w przeciwieństwie do szarych komórek. Dziś muszę się wyspać, postanowiłam, wiedząc doskonale, że realizacja tego zamysłu graniczy z cudem.

Szłam i szłam, słońce podkreślało zieloność pól rozciągających się teraz tylko po lewej stronie drogi i wesoło igrało w koronach wielkich sosen, rosnących w lesie po prawej stronie, a wszystkiemu towarzyszyła kojąca cisza, przerywana jedynie ptasimi trelami. Nie myślałam o niczym, a przynajmniej takie było moje zamierzenie. Parę razy jednak złapałam się na tym, że w błękitnie nieba dostrzegam inny błękit...

Miejscowość, w której uwiła sobie bezpieczne gniazdo Luka, nazywała się bardzo ładnie: Miłorzęby. I, jak nietrudno zgadnąć, musiały rosnąć tu owe pradawne drzewa, które oparły się zniewalającemu inne gatunki pędowi ku ewolucji. Niewzruszone trwały, jakimi stworzyła je natura przed tysiącami lat, nie przejmując się zmianami epok, walkami pogan z chrześcijanami, wojnami napoleońskimi, pierwszym strzałem na Westerplatte... nie przejmowały się po prostu niczym. Z góry jakby założyły, że ich rozwój przebiega w jedynie słusznym kierunku i miały za nic wszystko to, co pchało inne rośliny i zwierzęta na wyższy stopień w drabince. Miały widocznie własne zdanie na ten temat i nie poddawały się presji. Tacy roślini twardogłowi.

Właśnie mijałam pozostałość dużego kiedyś parku, który przylegał do starego pałacyku. Jasne, odrapane mury, lśniły kontrastem w głębi już nieco zielonych gąszczy. W kilku tylko miejscach górowały nad resztą drzew miłorzęby, które nawet liśćmi pokrywały się nieco później niż drzewiasty „plebs”, który rósł w pobliżu. Podczas gdy inne drzewa siliły się na pierwsze zielone listki, miłorzęby trwały jeszcze niewzruszone w letargu i nie wykazywały jakichkolwiek chęci, by dołączyć do budzącego się z wiosną towarzystwa. Na tle błękitnego nieba wyglądały jak wielkie japońskie litery, tkwiące korzeniami w Matce Ziemi, ale koronami gdzieś poza miejscem i czasem.

Minęłam je i skierowałam się ku wiejskiemu kościółkowi, który stał na niewielkim wzniesieniu. Teraz jeszcze parę

starych domów z wyrytymi nad drzwiami odległymi datami wzniesienia, albo z małą kapliczką ku czci Matki Boskiej, niewielki skrawek pola i już będę na miejscu. Z daleka widziałam biel małych drzewek, lśniąca w słońcu na tle odremontowanej wiejskiej chaty, otoczonej utrzymanym w konwencji drewnianym płotem. Dostrzegłam też postać kobiety wieszającej pranie na sznurkach, by, wysmagane wiosennym wiatrem, nabrało świeżego zapachu, tak wyęsknionego po zimowym zaduchu. To Luka walczyła z wiatrem i sznurkami, niczym wiejski Don Kichot. Przyspieszyłam kroku i, wchodząc na podwórze, wesoło zawołałam:

-Może pomocy jakiej potrzebujecie w gospodarstwie, dobra kobieto?

Na dźwięk mojego głosu Luka odwróciła się, szybko dopięła ręcznik trzymany w dłoni spinaczem i po wiejsku, wycierając ręce w fartuch, powiedziała:

- Witaj, zdrożony tułaczu! Cześć, staruszko, jak fajnie, że jesteś! - rzuciłyśmy się sobie w objęcia.

Matko, jak ja lubiłam tę kobietę! Od razu czuło się jej niekłamana radość z mojego przyjazdu.

- Wchodź, proszę, do środka! - powiedziała i pospieszyła w kierunku drzwi wejściowych. -

Zachaditie, zachaditie... czym chata bogata, tym rada - przygarbiwszy się nieco, na chwilę zamieniła się w starą wieśniaczkę i mówiła naśladując gesty podpatrzone kiedyś przez nas w czasie wycieczki na Białoruś. Lubiliśmy takie gry we wspomnienia, no i do tego ta słowiańska gościnność.

- Cieszę się, że już jestem u ciebie - powiedziałam, spiesząc do kranu w kuchni, żeby umyć ręce. Ten w zasadzie zawodowy nawyk, przechodził chyba czasem wręcz w natręctwo.

- Co, miałaś kiepską podróż? - Luka uniosła w zaskoczeniu brwi.

- Nie, wszystko OK, ale trochę odwykłam od zapachu autobusu. Nie słuchaj mnie, w głowie mi się przewraca! - za-

śmiałam się, sadowiąc przy drewnianym, dużym stole umieszczonym pod oknem.

- To może drugie śniadanko na poprawę humoru? - Luka знаła moje słabe punkty.

Ileż to razy ratował nas z opresji zestaw kanapek z czym popadło, wraz z obowiązkowym u Luki majonezem. Właśnie majonez nawet najprostszym kanapkom nadawał wyjątkowego smaku, a jeszcze do tego kiszzone ogórki... poezja!

- A wiesz, chętnie. Świeże powietrze zaostriło mi apetyt. A co masz dobrego? - zapytałam, wyciągając szyję.

U Luki nie wstydziłam się takiego pytania.

- Nie czekałam na ciebie i sama upiekłam chleb. Zobacz, jaki chrupiący... - pokazała mi rumiany bochenek, którego skórka skrzypiała nawet przy lekkim dotyku. - Mam świeży ser, prawdziwą wiejską szyneczkę, jajka... może jajecznicą?

-Może później, na razie chleb i ser z odrobiną soli i szczypiorku mi wystarczą. I kubek dobrej herbaty, a wiem, jak doskonałą potrafisz parzyć - powiedziałam, czując jak soki żołądkowe nadtrawiają mi służówkę. - Ale jeśli ty masz ochotę na jajecznicę, chętnie dołączę...

- Może rzeczywiście później. No to podjeżdżam, rozkładaj sztuce. - Luka odwróciła się i otworzyła lodówkę.

W chwilę potem siedziałyśmy przy nakrytym lnianym obrusem stole i pomrukując, pałaszowałyśmy wystawione specjały. Pochwaliłam pyszne ogórki i rewelacyjne konfitury / wiśni. Okazało się, że to gospodyni poprzedniego lata osobiście je przygotowała.

- Wszystko przepyszne, że aż żal przestać jeść. Ach, te paskudne ograniczenia... mam zdecydowanie za mały żołądek na tak duży apetyt - zerkałam łakomie w stronę konfitur, ale kolejna łyżeczka mogła mieć zgubne skutki.

-No, to teraz, z pełnym brzuszkiem, opowiadaj, co u ciebie? - powiedziała moja przyjaciółka, rozsiadając się wygodnie.

Pokrótkie opowiedziałam jej o wszystkim. "Jak spotkałam Vitto po raz pierwszy, o cudownych zbiegach okoliczności, o obrazie, snach, urokach Paryża... dokładnie zrelacjonowałam spotkanie w galerii, najazd platynowej i słowa, które wtedy padły. Luka słuchała uważnie, od czasu do czasu wtrącając jakieś słowo lub pytając o jakiś szczegół. A potem po raz pierwszy sama usłyszałam swoją opowieść o kaliach i liście.

-I co myślisz? Bo ja już nie wiem, co mam sądzić o tym wszystkim. Niby cudownie, a jednak w pewnym momencie zgrzyt jak styropianem po szybie. Boski witraż, a może zwykłe szkło? Tak czy inaczej... kompletnie się pogubiłam - powiedziałam na koniec.

-Cóż, ciekawa historia. Niezwykła. Kto spotyka nagle osobę, która śni mu się po nocach i która widnieje na szkicu, choć nigdy jej naprawdę nie spotkał? I nagle okazuje się, że to brakujący element całej życiowej układanki - zastanawiała się głośno Luka.

-Wiesz, może tak, może nie... - powiedziałam, patrząc na błękitne niebo za oknem.

- Marina, jak to możliwe, by dwie osoby śniły ten sam sen, w tym samym czasie? To musi być coś szczególnego, nie twierdzę, że to miłość na całe życie, ale to jest dla ciebie jakiś znak. Pamiętasz zdanie, które nam zapadło w serce: „Czytaj znaki, które spotykasz na swojej drodze” - Luka popatrzyła mi prosto w oczy.

- Ale ja nie wiem, co myśleć o tej całej akcji z kobietą w galerii... Gdyby nie to, nie miałabym cienia wątpliwości, zrozum - zbierało mi się, nie wiedzieć czemu, na płacz.

- Co on napisał ci w liście? Nie wiem, dlaczego uciekłaś z galerii, czym ci...

- „Czy czymś ci uchybiłem?” - zacytowałam słowa Vitto. Cały list automatycznie odtworzył mi się w pamięci.

- No właśnie! „W czym ci uchybiłem?” Tak jakby zupełnie nie wiązał pojawienia się platynowej i całej tej akcji z wa-

mi! Może jest inna odpowiedź na twoje pytanie? Może musisz z nim po prostu uczciwie porozmawiać. Każda prawda jest lepsza od niepewności.

- Sama nie wiem. Jak ja to zniosę? I co, mam słuchać, jak się z nią przespał parę razy, ale to był czysty seks, a nie prawdziwy związek?...

- Dlaczego zakładasz najgorsze? Czy to jest taki facet? Czy możesz się po nim czegoś takiego spodziewać?

- Tak naprawdę, to ja wiem o nim tak niewiele...

- A on o tobie? A przecież podarował ci cenną, rodzinną pamiątkę. Takich gestów nie robi się wobec byle kogo...

- Skąd ja mam wiedzieć, że to prawda? Może kupił na bazarze oryginalny medalion za parę franków, a znając moje namaszczenie romantyczne, zadziałał jak wytrawny gracz. Wiesz, każdy ma klucz, którym można rozbroić wszelkie zabezpieczenia... Trzeba go tylko znaleźć. A w moim przypadku nie jest to szczególnie trudne.

- Co ty opowiadasz! Nigdy nie wyglądałaś na łatwą zdobycz. Żebyś widziała siebie w towarzystwie, na jaki dystans trzymasz ludzi. Nie pamiętasz, co powiedział ci kiedyś Michał? Że jesteś jak radczyni z *Wesela* Wyspiańskiego, która jest miła i uprzejma wobec prostego ludu, a tak naprawdę to jej tu nie ma.

- No wiesz, Michał! Na naszych medycznych imprezach było gorzej niż na weselu Wyspiańskiego. Dopiero u nas można było poznać, czym potrafi być naprawdę prosty lud. I do tego pijany. Przecież sama widziałaś nieraz. I owszem, musiałam tam czasem być, ale w rzeczywistości byłam na emigracji wewnętrznej. Aż cud, że nie zainteresował się mną jakiś urząd imigracyjny - uśmiechnęłam się do własnych myśli.

- Wiesz, moim zdaniem ta cała sytuacja ma jakieś podwójne dno. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale czuję, że nie możesz tego zostawić tak bez konkretnej odpowiedzi. Nie

myśl, że naciskam, że się upieram... Ja przecież nie znam człowieka, ale... czuję, że to coś ważnego w twoim życiu i nie chcę, żebyś coś przegapiła.

- Może masz rację... nie mogę w ogóle o tym sensownie myśleć... Rzucam się z jednej skrajności w drugą. W jednej chwili już bym dzwoniła, a za moment myślę, że nigdy... Po prostu - potrzebuję trochę czasu...

- Mężczyzna, który leci z Paryża na parę godzin do Warszawy, żeby sprawdzić, czy u ciebie wszystko gra i zostawia ci taki kobierzec z kalii... chyba zasługuje na zwykłą uprzejmość i podziękowanie za troskę. Przecież nie musisz rzucać mu się od razu na szyję...

-Boję się, że tak może się to zakończyć... a nie jestem pewna, czy tak ma być. Mam przecież jakieś resztki godności... nawet po rozstaniu z Pawłem... Może - zwłaszcza po rozstaniu z nim.

- Pamiętasz, co mówiłam ci, kiedy zaczynaliście być razem? Ze jeśli chcesz być całe życie Wendy, to bardzo proszę, angażuj się w związek z Piotrusiem Panem. Przypomnij sobie, jak byłaś zła, kiedy odradzałam ci Pawła od samego początku. Potem mogłam już tylko szanować twój wybór i mieć nadzieję, że się myliłam...

Fakt, Luka jako jedyna nie była zachwycona moim związkiem z Pawłem. Ale ja byłam głucha jak pień i żadne jej argumenty nie miały szans... Może i teraz się nie myli?

- Może masz rację? I tak muszę się z nim zobaczyć, żeby oddać mu klejnot prababuni - powiedziałam sarkastycznie.

-Po prostu, daj mu szansę wytłumaczyć, jaka jest prawda. Na tyle chyba zasługuje. Spójrz na sprawę uczciwie, nigdy nie wiadomo do końca, jak to naprawdę jest... Musisz usłyszeć to z jego ust. Potem sama podejmiesz decyzję. To twoje życie.

Spojrzałam na nią i lekko się uśmiechnęłam:

- „Jestem już dużą dziewczynką, sama sobie wiążę sandały i w ogóle...” - zacytowałam tekst z naszej ulubionej animowanej bajki **Herkules**. Kiedyś pilnowaliśmy dzieci mojej kuzynki i maluchy miały fazę na tę właśnie bajkę Disneya. Oglądałyśmy ją ze sto razy i śmiałyśmy się do łez przy doskonałych dialogach.

- Luka, dlaczego to zawsze musi być takie trudne? Dlaczego nie może być po prostu normalnie... pan spotyka panią, a potem żyją długo i szczęśliwie.

- Bo byłoby okrutnie nudno! A kto jak kto, ale ty na pewno nie lubisz się nudzić! - odparła moja kochana przyjaciółka.

Przyjrzałam się jej dokładniej. Włosy jak zawsze piękne, kruczoczarne, układające się w naturalne skręty, podobnie jak moje. Byłyśmy jak negatyw i pozytyw, jeśli chodzi o sferę tego, czym obdarzyła nas na głowie natura. Na porannych mszach studenckich stałyśmy czasem w prezbiterium i miałyśmy w pokorze spuszczone głowy, a nasze włosy odgradzały nas od reszty świata jak kotara. Jedna jasna, druga ciemna. Czasem mówili o nas: „O, już kurtyнки stoją”, my odpowiadałyśmy: „Kurtyнки, bardzo proszę, byle nie kurty-zanki” i śmiałyśmy się z zaskoczenia na ich twarzach. Patrzyłam dalej i to, co widziałam, było takie, jak zawsze. Ciemnoorzechowe oczy o ciepłym, dobrym spojrzeniu, drobna twarz o dość wąskich ustach, które zwykle rozciągnięte były w półuśmiechu i ukazywały białe, równe zęby. Moja Luka. Ta zawsze wyostrzona, lekko południowa twarz, nabrała delikatnego miękkiego owalu i większej niż zwykle łagodności. Życie na wsi, w spokoju i ciszy, wyraźnie jej służyło.

- No pewnie, że nie lubię się nudzić i nie lubię nudzić innych. Tak więc już dość o mnie i moich przygodach. Teraz ty opowiadaj, co u ciebie - powiedziałam, moszcząc się wygodnie i zamieniając w słuch.

- Trochę się dzieje. Sporo pracy i w pracowni, i w przekładach. Mam teraz doskonały tekst amerykańskiego, mało znanego prozaika, ale nic więcej nie zdradzę, żeby nie zapeszyć. Naprawdę, świetny, zabawny, a jednocześnie mądry, ale nie moralizujący. A w pracowni... wielkim popytem cieszą się moje anioły-witraże, dosłownie nie mogę nadażyć z produkcją - mówiła z przejęciem. Wiedziałam, że mieli niedawno problemy finansowe i dlatego Emil zdecydował się wrócić na morze.

- To wspaniale! Zawsze mówiłam ci, że masz zdolne ręce! I mnóstwo fantazji - zaśmiałam się.

- O tak, te ręce czasem są zdolne do wszystkiego, szczególnie, gdy Emil zapomni o czymś naprawdę ważnym.

- Właśnie miałam o niego zapytać. Jak znosisz jego wyjazdy? Jak on to znosi? Nie przywykł jeszcze do stałego lądu? - zarzuciłam ją gradem pytań.

- Wiesz sama, że nie mieliśmy innego wyjścia i musiał znów zacząć pływać. Ale jeszcze trochę i będzie nas stać na swobodny, niezadłużony pobyt na suchym lądzie - uśmiechnęła się nieco smutno. - Zresztą, wilka ciągnie do lasu. Emil tęsknił za morzem, tyle lat nie znika bez śladu i człowiekowi zaczyna brakować sposobu życia, który tak długo prowadził. Ale jeszcze trochę i wróci do domu.

- No pewnie! Minie jak z bicia strzelił... - chciałam ją pocieszyć, ale wyszło to jakoś blado. - Wiesz co, a może byśmy tak zwizytowały nasze, to znaczy wasze czeresienki?

- No pewnie. Ucieszą się z wizyty matki chrzestnej. Naprawdę, pięknie kwitną, choć może nie mają za wiele tego kwiecica. Są jeszcze malutkie, ale mimo to już zadają szyku powiedziała Luka, podnosząc się z krzesła.

Był piękny, słoneczny dzień. Po przywitaniu się z drzewkami, postanowiłyśmy zażyć spaceru. Zieleniące się wokół pola były nader wdzięcznym obiektem obserwacji. Spacerowałyśmy drogami malowniczo wijącymi się wśród pól, mijaly-

śmy całe hektary łąk pokrytych wiosennymi, drobnymi kwiatami. Czasem przystawaliśmy nad urokliwymi kępami mleczy, które bez żenady wyciągały swe roztrzepane główki ku słońcu i piły energetyczny nektar prosto z nieba. Od zawsze miałam dla mleczy szczególne „nabożeństwo”. Czasem na naszej drodze zjawiały się niespodziewane przeszkody, jak małe, przecinające łąki, drobne cieki wodne, nad brzegami których koczowały bezczelnie całymi koloniami precudnej urody kule kaczeńców. Tak piękne i tętniące radością wiosennych dni widoki działały na mnie kojąco. Zaczynałam wierzyć, że dam sobie radę i wszystko będzie dobrze. Nie bardzo wiedziałam, jak to będzie możliwe, ale i w moim sercu pojawił się promyk radosnego podniecenia, że wraz z nadchodzącą wiosenną porą wszystko zajmie właściwe miejsce.

Robiło się późno i czas na powrót do domu Luki nadszedł nieuchronnie. A tu, wśród budzącej się do życia natury, wszelkie problemy tego świata zdawały się być tak odległe...

Weszliśmy do wsi od strony małego kościółka, który, zbudowany na niewielkim wzniesieniu, górował nad okolicą. Otoczony starym murem, stał tu od stuleci, przyglądając się losom kolejnych pokoleń ludzi, którzy przyklękali na jego progu, by oddać cześć Najwyższemu. Zbudowany z kamienia, uwodził piękną, prostą linią, w której czuło się rękę dawnych mistrzów, i zachęcająco kusił wpółuchylonymi drzwiami.

Zawsze miałam słabość do kościołów. Uwielbiałam zaglądać do ich wnętrza, jakby w nadziei, że nagle wtargnięcie pozwoli mi ujrzeć coś, co niewypowiedziane, dotknąć rąbka Tajemnicy. A czasem odkrywałam je delikatnie i z pokorą, cicho przysiadając na brzegu ławki, by chłonąć ciszę i pokłady pokoju promieniujące z ołtarza, z naw bocznych, gdzie jakby i czas, i Życie przycupnęło wraz ze mną na moment odpoczynku w gonitwie codzienności.

-Lu, wejdźmy do kościoła. Na chwilę... - odezwałam się, kiedy zbliżyliśmy się do świątyni.

- Ach, ty i ta twoja kościelna pasja! - zaśmiała się Lu. Ja też go lubię. Czasem tu zaglądam rankiem albo pod wieczór, żeby nabrać trochę dystansu do tego całego szaleństwa i przypomnieć sobie, co w życiu ważne, a co najważniejsze dodała po chwili poważniej, a w jej głosie pobrzmiwała nuta refleksji.

Wspięliśmy się po kamiennych schodach, pchnęliśmy skrzypiącą furtkę i wyłożonym polnymi kamyczkami traktem ruszyliśmy w stronę kościółka. Po obu stronach dróżki rozlewało się morze soczystej zieleni, nikt jeszcze nie ruszył z kosiarką, by ukrócić to malownicze bujanie traw. Uchylone drzwi odsłaniały bijący chłodem mały przedsionek z figurą Jezusa z ręką na sercu i wiszącym naprzeciw prostym, drewnianym krzyżem z koroną cierniową przybitą w centralnej jego części. Wnętrze kościoła nie było duże. Drewniane ławki, pamiętające zamierzchłe czasy, stały grzecznie ustawione, tworząc szpaler dla młodych par czy konduktów pogrzebowych. Od razu jednak uwagę przykuwał ołtarz, składający się z tryptyku przedstawiającego ewangeliczne sceny. W centrum królował Chrystus wstępujący do nieba. Przyklekłyśmy w jednej z ławek. Niesamowita cisza, jaka nas otaczała, wlewała się mimo woli nie tylko w uszy, ale, miałam wrażenie, i w serca. Poczułam po chwili wyraźną ulgę i spokój, wszystko, co kazało trzepotać mojemu sercu nagle, nie, nie przestało istnieć, ale nabrało jakby innego wymiaru. I w pewnej chwili, kiedy siedziałam tak ze wzrokiem utkwionym w ołtarz, na którym stał pęk białych kalii, przez głowę przemknęła mi, nie wiedzieć skąd, myśl, że nie można bać się i uciekać przed życiem. Że białe kalie są ze mną i tu, gdzie nie spodziewałam się ich zobaczyć. Może to jednak jakiś znak? „Umieć czytać znaki...”, trzy słowa, a jak czasem trudno za nimi podążać...

Tkwiliśmy wśród rzeźb i obrazów w milczeniu, obie zatopione w myślach, własnych prośbach i wątpliwościach, z całym bagażem przeżyć, a jednak było nam tu po prostu dobrze. Spokojnie i bezpiecznie. Taka głęboka cisza... i spokój, w którym zdawałyśmy się zanurzać całymi naszymi poplątanymi duszami... I białe kalie, skapane w promieniach zachodzącego słońca... Twarz Chrystusa,

na którą padł przez chwilę promyk zmierzającego dnia, zdawała się intrygować zagadkowym uśmiechem, który przynosił pokój i ukojenie. Jakby z pobłażliwością starego, dojrzałego człowieka, ale i z wielką miłością, patrzył z góry na dwa małe stworzonka, które przyklekły u jego stóp, przynosząc Mu swe smutki i radości, tak maleńkie, jak polne myszy, ale przecież ważne, mimo swej całej mizerii. Ukojenie... „wy, którzy obciążeni i utrudzeni jesteście...”.

W nasze ciche skrobanie pazurkami u stóp ołtarza wdarł się krótki, acz nader intensywny w zalegającej świat ciszy, łoskot otwierania drzwi od zakrystii i po chwili naszym oczom ukazał się sprawca owego dysonansu. Czerstwa kobieta w średnim wieku, w fioletowym, stilonowym fartuchu i ciemnej chustce na głowie, wyszła zza ołtarza. Pobrzękując wiadrem i szczotką, zabrała się do sprzątania. Wypłoszone pojawieniem się towarzystwa, podniosłyśmy się z kolan i skierowały ku wyjściu. Odwróciłam się i jeszcze raz spojrzałam na kalie na ołtarzu i twarz Chrystusa. Nadal uśmiechał się tajemniczo.

Wysmagane wiatrem i solidnie zmęczone, wróciłyśmy do domu Lukrecji już po zachodzie słońca. Mimo ciepłego dnia, w kątach drzemał jeszcze zimowy chłód i właśnie teraz wypełził z nich i rozgościł się w całym domu. Luka nie dała za wygraną i szybko rozpałała ogień w kominku. Po chwili rozkoszne ciepło zagnało zimno na stare pozycje i pozwoliło nam ogrzewać lekko już wychłodzone doczesne powłoki.

Luka zaserwowała doskonały rosół, po zjedzeniu którego poczułyśmy się ociężałe i nieco senne. Żal nam było czasu na drzemkę, po chwili więc wewnątrz kuchni wypełnił smakowity aromat świeżo parzonej kawy. Na stół wjechało pyszne drożdżowe ciasto, suto posypane kruszonką, a my ujęłyśmy w dłoń po filiżance i odrzuciwszy na bok liczenie kalorii i ryzyko niestrawności, zajęłyśmy się nim sumiennie. Oj, tak... tego nam było trzeba. Rozsiadłyśmy się w wygodnych fotelach przed kominkiem. Każda z nas wbiła oczy w pełzające po drwach płomienie i zatopiła się na dłuższą chwilę we własnych myślach. W końcu przerwałam ciszę.

- Wiesz, Luka, kołaczki mi się po głowie: „Dobrze zrobiłeś odjeżdżając, Arturze Rimbaud. Zostało nas tylko paru wierzących bezpodstawnie w możliwość szczęścia...”. A może powinnam jednak do niego zadzwonić i, tak jak mówisz, dać mu szansę wytłumaczenia sytuacji. Może masz rację, że to wszystko nie do końca jest tak, jak mi się wydaje... - zamyśliłam się na moment.

- Kalie zawsze robią wrażenie, co? - spojrzała mi prosto w oczy.

- Też przyszło ci do głowy to, co i mnie? Te kalie w kościele...

- A trzeba ci wiedzieć, że w naszym kościele te kwiaty są rzadkością. Widziałam je może raz, dwa razy w roku... Czytaj znaki, mądra pani doktor! - powiedziała całkiem poważnie Luka, która, mimo że znana mi od lat, przez ten jeden moment wydała mi się kimś zupełnie obcym, przysłanym tu przez Los po to, aby powiedzieć do mnie te słowa.

Bym mogła zrozumieć coś, czego bałam się, a za czym tak uparcie, wręcz obsesyjnie tęskniłam. Coś, co przyciągało mnie tak silnie, że walka o pozostanie tu, gdzie teraz jestem i nie poddanie się natychmiast, wyczerpywała mój życiowy potencjał. Wciąż jeszcze nie dawałam za wygraną, choć od początku czułam, jak lina wiążąca mnie z moim dawnym światem, wysuwa mi się z rąk... że sekunda dekoncentracji i runę w cudowną, magiczną przepaść, której bałam się i której pożałowałam, jak niczego innego na świecie. Nie wiedziałam, jak długo jeszcze wytrwam w mojej, po raz kolejny rekonstruowanej, białej wieży nad urwiskiem, jak długo oprę się wszechogarniającemu błękitowi,

który był na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie o całe lata świetlne stąd... Wciąż jeszcze kurczowo trzymałam się liny... i tkwiłam wśród bieli ścian wieży, o którą z łoskotem rozbijały się błękitne wody. Wieczór spędziłyśmy rozmawiając na tysiące tematów. Tyle nazbierało się w nas wrażeń przez okres, który minął od ostatniego naszego spotkania, że pewnie i nocy by nie starczyło na ich zgłębienie. Przy dobrym winie, ogniu wesoło trzaskającym w kominku, czas mijał nam bardzo przyjemnie. „For good time and for bad time Fil be on your side forevermore... that what friends are for...”*. Dobrze mieć takie miejsca, w których zawsze czeka na nas ktoś, kto na pewno jest po naszej stronie. I kto nas akceptuje takimi, jakimi jesteśmy. Miejsce, gdzie nie musisz być laureatem Nagrody Nobla ani Pulitzera, a i tak jesteś dla gospodarza najważniejszym gościem. Ta atmosfera wpłynęła na mnie kojąco, powoli czułam, jak równowaga i spokój wracają na swoje dawne pozycje...

Na moje kolana wskoczył kot Luki - o dźwięcznym imieniu, jakżeby inaczej, Borgia, i cicho zwinął się w kłębek. Przeciągając ręką po miękkim, czarnym futrze, czerpiąc niemal ciepło z kociego ciała, zapadłam jakby w letarg. Kot mruczał jednostajnie, ogień płonął na kominku, pożerając kolejne szczapy i polana, moje myśli wirowały w białej wieży coraz szybciej i szybciej... aż pochłonał mnie, sama nie wiem kiedy, sen.

*** „W dobrych dniach i w czarnej godzinie będę zawsze po twojej stronie... po to właśnie są przyjaciele...”.**

Nagle znalazłam się na jasnej polanie, na której rosły w pięknych koloniach dojrzałe poziomki. Słońce prażyło z nieba, a ja niemal czułam, jak wsącza w nie całe swoje życiodajne ciepło, że poziomki muszą być niewiarygodnie słodkie... Prócz poziomek na polanie stało pamiętające niejedno drzewo. O dziwo, była to jabłoń. Małe zawiązki owoców trwały jeszcze przytulone do liści, jak dzieci bojące się odejść dalej niż o krok od matki. Ruszyłam w stronę nietypowego jak na środek lasu drzewa. Wtedy słońce padło na jakiś przedmiot ukryty wśród zielonych liści owoców leśnych i odbiło się od niego krótkim błyskiem. Zaciekawiona weszłam w strefę światła, brodząc wśród poziomkowych poletek, dotarłam do miejsca, gdzie leżało to, co odbiło słoneczny blask. Pochyliłam się, zanurzyłam rękę w pachnący gąszcz i sięgnęłam głębiej. Zamknęłam w swojej dłoni owalny kształt, który niemal przywarł do wnętrza mojej dłoni. Wyprostowałam się, czując, jak i mnie słońce napęnia swoim ciepłem. Nie widziałam, ale czułam, jak gładzi mnie po włosach, płąsa po szyi. Omywa ramiona i piersi w słonecznej, cudownej kąpieli... Powoli otworzyłam oczy i rozwarłam palce... na mojej ręce lśnił w pełnym słońcu błękitny kamień oprawiony w lite srebro... klejnot rodziny Morgense-nów. Nagle obudziłam się i stanęłam na równe nogi. - Muszę zadzwonić - powiedziałam krótko i sięgnęłam po komórkę.

Wyszłam do pracowni Luki. Chłód, jaki tam panował, powinien wywołać u mnie dreszcze, ale w tej chwili nic nie miało znaczenia. Wybrałam numer Vitto. Z niepokojem czekałam, aż znajomy głos przerwie monotonię w słuchawce. Nie miałam pojęcia, która godzina. Zerknęłam na wiszący nad drzwiami stary zegar. Wskazywał dziesięć po jedenastej. Nawet gdyby wskazywał drugą w nocy, nie odstraszyłoby mnie to, ani nie powstrzymało. Właśnie przez myśl prze-

mknęło mi, że nic z tego, kiedy w słuchawce usłyszałam ciepły, męski głos.

- Morgensen, słucham.

-Tu Marina. Marina Błajet. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

-Nie, skądże. A nawet gdyby, to... oby zawsze tylko twój głos mnie budził. Boże, jak dobrze, że dzwonicz. Już straciłem nadzieję... - zawiesił na sekundę głos.

Ten moment ciszy natychmiast wykorzystałam.

- Muszę wiedzieć, czy mówi ci coś polana pełna poziomek, na środku której rośnie duże drzewo owocowe - wypaliłam.

W słuchawce zapadła cisza. Myślałam, że już nigdy nic jej nie przerwie.

- Poziomki rosną w kępach, a to drzewo to jabłoń? - powoli powiedział Vitto.

- Tak. I wszędzie jest wyjątkowo dużo słońca - dodałam.

- Owszem. Znam takie miejsce. W lesie, niedaleko domu moich dziadków. Często chodziliśmy tam na poziomki, a potem na jabłka. Na tej polanie mój dziadek oświadczył się mojej babci i założył się z jej ojcem, że ich małżeństwo będzie szczęśliwe, choć tyle ich dzieli. Bo, jak powiedział, jeśli się naprawdę kocha, to i w środku lasu można znaleźć słodkie jabłka. To była taka jego metafora, że w miłości wszystko jest możliwe. Zasadził tę jabłoń wiele lat temu, podlewał ją i pielęgnował z wielką miłością. Pamiętam ją z dzieciństwa i młodości, jabłka były naprawdę słodkie, jak żadne inne. Teraz już niewiele na niej jabłek, niemniej poziomki nadal pięknie rosną. Ale... - tu zawiesił nagle głos, jakby dopiero w tej chwili skonstatował niezwykłość sytuacji. - Marina, skąd ty wiesz o tym miejscu?! Nigdy ci o nim nawet nie wspomniałem. Marina?

- Wiem, bo przed chwilą tam byłam. We śnie... - powiedziałam nieco tajemniczo. - Dziękuję, że przyjechałeś i bar-

dzo żałuję, że nie było mnie wtedy w domu. Ale z drugiej strony, wtedy ominąłby mnie najpiękniejszy happening, jaki w życiu widziałam... - wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

- Czekałem. Ile mogłem... - dodał po chwili.

- Przepraszam, że nie dzwoniłam. Potrzebowałam czasu - powiedziałam cicho.

- Rozumiem. Choć nic nie rozumiem. Marina, moja najpiękniejsza, co się stało... ja... ja nic nie rozumiem. Wiesz, że zawsze uszanuję twój wybór, zniosę wszystko, tylko, proszę, nie trzymaj mnie w niepewności, w sytuacji, gdzie wszystko spada jak grom z jasnego nieba, a ja nie wiem, co się dzieje. Nic nie rozumiem... - jego głos brzmiał czysto i szczerze.

Może jednak nic nie jest takie, jak się wydaje...

-Wszystko ci wytłumaczę, a raczej ty mi to wytłumaczysz, bo ja też niewiele z tego rozumiem...

Zobaczymy się w przyszłym tygodniu? Będziesz w Warszawie? - spytałam już słodszy głosem.

- Będę już w środę. Wieczorem, na wernisażu? Przyjdź wcześniej. Będę czekał już od piątej.

Przyjdiesz? - spytał z nadzieją, ale spokojnie.

- Mój chłopcze z błękitu, oczywiście, że przyjdę. Wtedy spokojnie porozmawiamy - odparłam.

-Wtedy mi wszystko wytłumaczysz. Wytłumaczysz mi, moja niezwykła kobieto? - powiedział cicho.

- A ty mnie. Spij dobrze. Do zobaczenia wśród poziomek... - mój rozmarzony głos popłynął w przestrzeń, niosąc z sobą cały romantyzm, który wziął mnie szturmem, nim odłożyłam słuchawkę.

- Będę śnił o tobie... - i on poddał się tej fali. Odłożyłam słuchawkę radosna i dziwnie spokojna. Ale mój czujny, wewnętrzny kontroler, zaniepokojony moją dobrą kondycją, natychmiast podszeptał mi do ucha: „Nie chwal dnia przed zachodem słońca”. No i po co od razu rzucam mu się w ramiona! „Mój chłopcze z błękitu...”, co mnie

napadło. „Oczywiście, że przyjdę!”. A gdzie odrobina suspensu? Wystarczyło „może przyjdę”. Jestem nienormalna (a to nowość!). Z jednej skrajności w drugą. Nie dość, że sama siedzę na huśtawce, to jeszcze temu biednemu chłopcu funduję to samo. Dwoje na huśtawce. Klasyka. Klasyka dobra jest w teatrze, a nie zawsze w życiu. Ale z drugiej strony... nasze trwanie to chwila na ekranie maratonu filmowego Życia. Któż odróżni co prawdą, co fikcją...

Teraz, kiedy ochłonęłam z emocji, razem z chłodnym osądem sytuacji wdarł się chłód rzeczywistości. Szybko opuściłam zimną pracownię Luki, pełną niedokończonych witraży, małych aniołów w barwnych szatkach, kawałków kolorowego szkła, które pod palcami mojej przyjaciółki zamienia się niedługo w niebanalne, a niekiedy przepiękne wręcz dzieła sztuki. Już teraz istnieją w świecie jej wyobraźni, bo wszystko zaczyna się od marzenia... do czego już przede mną doszli wielcy tego świata. Nieraz sama chciałam powołać do życia jakieś niekoniecznie cudo (nie miałam zbyt wygórowanego zdania na temat własnych zdolności plastycznych). Ale jakże miło byłoby stworzyć coś, w czym można zakląć część swojej tożsamości. Coś naprawdę własnego. Może jutro...

Kiedy wróciłam, Luka zmywała po naszej Lukullusowej uczcie.

- Zadzwońska? - spytała krótko.
- Zadzwońska - równie krótko odpowiedziałam.
- W porządku?
- Tak, w porządku.

O więcej nie musiała pytać. Widziała wszystko na mojej twarzy. Tu nie musiałam zakładać maski. Nawet przed samą sobą. Nie byłam już w nastroju do zwierzeń, Luka bezbłędnie to odczytała i zaprowadziła mnie do mojego pokoju. Z przyjemnością zapadłam w sen, marząc o spotkaniu wśród poziomek, ale rano obudziłam się, nie pamiętając,

czy cokolwiek mi się w ogóle śniło. A poziomki i pewne piękne ręce, które rwałyby je dla mnie, na pewno nie uszłyby mojej uwagi.

Dobrze było mi u Luki, ale czas biegł nieubłaganie. Moja przyjaciółka nie pytała o nic, instynktownie wyczuwała, że teraz nie należy być zbyt natrętnym. Za to zaproponowała mi rodzaj terapii pracą. Całe przedpołudnie spędziłyśmy w jej pracowni. Namówiła mnie w końcu, żebym spróbowała swoich sił i zrobiła wreszcie coś metodą witrażową. Wiele razy obserwowałam, jak ona to robi, lecz brakło mi nie tyle konceptu, ile wiary we własne siły. Ale dziś dzień był wyjątkowy i postanowiłam przemóc się i spróbować. Wśród kawałków szklą wybrałam starannie kilka, w różnych odcieniach błękitu i bieli. Powoli narysowałam kontury poszczególnych elementów. A potem - jakoś poszło i nareszcie wzięłam do ręki coś, co wymyśliłam i zrobiłam sama. Na mojej dłoni leżał, może niezupełnie symetryczny, ale na swój sposób ładny mały anioł. Sukienkę miał przezroczyście białą, skrzydła zaś błękitne, jak czyjeś oczy... Polubiłam go od pierwszego wejrzenia. Trudno się dziwić, w końcu był moim dzieckiem. Moim pierwszym witrażowym dziełem. Otuliwszy go w miękkim materiale, ułożyłam delikatnie we wnętrzu mojego bagażu. Po obiedzie ledwie starczyło czasu na kawę i już nadeszła pora odjazdu. Luka uściskała mnie mocno, nie musiałyśmy wiele mówić. Rozumieliśmy się bez słów. Odprowadziła mnie na przystanek i zapakowała do autobusu.

-Pamiętaj, jeśli będzie ci smutno, dzwoń - powiedział tuż przed odjazdem.

-Mam nadzieję, że nie będzie mi już wcale smutno, a wręcz przeciwnie... - uśmiechnęłam się tajemniczo. - Sa ma wiesz, nie ma to, jak myślenie życzeniowe.

- Tym bardziej zadzwoń. Podziel się radością, chytrusie - autobus ruszył i zobaczyłam, jak macha mi ręką i uśmiecha się od ucha do ucha.

I coś w głębi powiedziało mi, że wszystko będzie dobrze. Obsesja myślenia życzeniowego. Poniedziałek i wtorek minęły dość szybko, za to środa od rana wlokła się niemiłosiernie. Wszystko trwało, miałam wrażenie, dwa razy dłużej, począwszy od porannej odprawy, przez wizytę, badania, na operacjach skończywszy. Czas odwlekał spotkanie moje i Vitta w nieskończoność. Może miał swój ukryty cel, a może wiedział, że nadal nie podjęłam decyzji, czy mam go otwarcie zapytać o platynową i jego tajemnicze zniknięcie, czy po prostu przejść nad tym do porządku dziennego i poczekać na rozwój wydarzeń. Z jednej strony wydawało mi się nieeleganckie i wścibskie wypytywanie o jego życie osobiste, bo przecież tak naprawdę, jakie miałam do tego prawo. Z drugiej strony, może jakieś prawo miałam, skoro podarował mi rodzinny klejnot... i tyle pięknych słów? Wciąż nie umiałam podjąć decyzji. Chciałam znać prawdę, a jednocześnie bałam się jej i zakrywałam jak dziecko rękoma oczy, żeby czegoś nie zobaczyć. Tak, zwyczajnie bałam się usłyszeć złe nowiny. Teraz przynajmniej mogłam udawać, że ich nie ma. Później nie byłoby odwrotu i musiałabym stawić im czoła. A jeśli to prawda, że niedługo zostanie ojcem? Gdzie, w takim razie w jego życiu jest miejsce dla mnie? Czy w ogóle jest w nim miejsce dla mnie? Słowa to straszliwa broń, mogą raz na zawsze przetrącić kręgosłup.

Nie, bez hysterii. Słowa to tylko słowa. Muszę po prostu zbudować sobie kolejną tarczę ochronną. Problem w tym, że przed Vitto Morgensenem bardzo trudno było zbudować osłonę. On, niestety, miał klucz. Klucz, który otwierał wszystkie niemal moje zamki i zapory. I znów nie wiedziałam, co robić. Dzień pracy wreszcie dobiegł końca. Ruszyłam ochoczo ilo domu. Nie miałam zbyt wiele czasu na przygotowanie się ilo spotkania z Vitto. Pół biedy co do przygotowań ciała, coś zawsze zdążę na siebie założyć, ale... zupełnie brakowa-

ło mi konceptu, jak to wszystko rozegrać. Póki co, postanowiłam pozwolić sprawom toczyć się ich własnym rytmem i biegiem. Po prostu, nie miałam już sił na dalsze rozmyślenia na ten temat. Było zbyt wiele niewiadomych.

Wpadłam do domu, wzięłam jeden z najszybszych pryszniców świata i czekając na wchłonięcie się maseczki relaksującej, przysiadłam na krawędzi łóżka. Mój wzrok powędrował do miejsca, w którym spoczywał, od jakiegoś czasu, całkiem nie niepokojony, błękitny kamień oprawiony w srebro.

Wzięłam go do ręki. Był naprawdę piękny. Prosty w formie, a wyjątkowo wyszukany. Im dłużej patrzyłam na to cacko, tym bardziej doceniałam jego niezwykłą urodę. W pewnej chwili wszelkie wątpliwości uleciały i wiedziałam, że dzisiejszego popołudnia ten unikatowy wisior musi zdobić moją szyję. A niech to! Precz lęki i obawy! To może być najważniejszy wieczór w moim dotychczasowym życiu! Przyszła mi do głowy stara maksyma, którą niedawno przypomniała mi moja francuska przyjaciółka, „że zwyciężać mogą tylko ci, którzy wiedzą i wierzą, że mogą”. Co mi tam! *En avant!* Pełna nagłej nadziei i otuchy, która wpłynęła w moje serce nie wiedzieć skąd i dlaczego, wstałam szybko i wciąż trzymając w dłoni klejnot, który miał mi przynieść szczęście, zaczęłam przygotowania. Musiałam stworzyć ładne tło dla srebra i błękitu, więc nie wahałam się długo i wybrałam czarną, dłuższą sukienkę, która ze względu na prosty krój nadawała się świetnie i na późne popołudnie. Kiedy zawieszałam na szyi prezent od Morgensena, przypomniała mi się stara pio senka Ewy Bem. Razem z ciepłym, niepowtarzalnym głosem pani Ewy, która śpiewała w mojej głowie, sama cichutko za nuciłam słowa:

Bo ja, jak gram, to gram.

Mnie nie wstrzymasz namową ni siłą,

A dziś zagrać chcę, było nie było o twą miłość.

Bo ja niewiele dbam o złe wróżby na ziemi czy niebie,

czy to dobrze czy źle,

Nie wiem, nie wiem, gram o liebe.

(...) Czy do szczęścia daleko, czy blisko...

Kiedy Kocham - gram o wszystko.

Nie, dzisiejszego dnia nie mogę pozwolić sobie na przegraną. Nawet nie chcę brać tego pod uwagę. Nie, dziś idę po zwycięstwo. Pani Ewo, proszę trzymać kciuki! Niech pani piosenka przyniesie mi szczęście.

Włosy, jak zwykle, nie przysporzyły mi kłopotu. Upięłam je wysoko, puszczając wolno tylko kilka pasm, żeby nie zakłócać pierwszego wrażenia, jaki robił połyskujący na tle czerni sukni klejnot. Musiałam przyznać sama - prezentował się wspaniale. Podkreśliłam jeszcze delikatnie oczy i ust korale, użyłam swoich ulubionych perfum i *voilà...* Panie Morgensen, oto nadchodzę. Przypomniałam sobie jeszcze o prezencie dla Vitto. Do małego, wyściełanego czarnym aksamitem pudełeczka, włożyłam mojego własnoręcznie wykonanego aniołka. Jakkolwiek sprawy się potoczą, chciałam, by miał w opiece mężczyznę, który stał mi się tak bliski. Mężczyznę, który był dla mnie wyjątkowy. I dlatego zasługiwał na wyjątkowy podarunek. Aniołek nadawał się do tej misji doskonale. Narzuciłam na ramiona mój czarny płaszcz i pognałam na spotkanie, którego, mimo całej pracy nad pozytywnym myśleniem, ciągle jeszcze lękałam się, ale którego jednocześnie pragnęłam i wręcz nie mogłam się doczekać.

Kiedy stanęłam pod drzwiami galerii, serce oczywiście o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Miałam nieomal bóle za-mostkowe. Muszę najpierw się uspokoić, wyrównać oddech. .. stałam tam już parę chwil, ale mój stan wcale się nie poprawiał. Przecież nie mogę tu stać po wieczność! Trudno, muszę wziąć się w garść i ruszyć na spotkanie z przeznacze-

niem. Kiedy tylko pchnęłam drzwi, moje zdenerwowanie ustąpiło.

Zalała mnie całkowita cisza. Znalazłam się w oświetlonym przymglonym światłem małym hallu. Po kilku krokach zauważyłam na wpółuchylone drzwi, przez które przesączało się jasne światło.

Ruszyłam ku niemu. Idealna scena do książki o życiu po życiu, rozdział „Idź w stronę światła”.

Delikatnie zapukałam. Cisza. Ponowiłam próbę zaanonsowania swojej obecności. Usłyszałam hałas w głębi sali. Postanowiłam zajrzeć do wnętrza. Uchyliłam drzwi. Nawet nie skrzypnęły.

Okazało się, że skrywały dużą salę wypełnioną obrazami. W najodleglejszym jej kącie zauważyłam półnagię mężczyznę, który mocował się z jednym z obrazów. A konkretnie - usiłował go zawiesić.

Cicho weszłam do sali, nie spuszczać wzroku z człowieka w rogu. Podeszłam bliżej. Teraz mój wzrok przystosował się do odległości i zorientowałam się, że tym mężczyzną jest nie kto inny, jak Vitto Morgensen. Nie słyszał, jak wślizgnęłam się do sali i nic przerywał czynności, przy jakiej zastałam go kilka sekund wcześniej.

Mogłam teraz bezkarnie przyjrzeć się jego ciału. Był naprawdę pięknie zbudowany. Mocne, wyrzeźbione, ale bez przesady, ramiona, napinające się podczas prób zawieszenia płótna mięśnie pleców... mogłam podziwiać ich całkowicie naturalną, w ani jednym calu nie wystudiowaną grę... Syciłam oczy widokiem, który sprawiał, że moje serce zaczynało grać w najstarszym, najbardziej naturalnym rytmie... o, tak, to była uczta dla oczu. Wreszcie obiektowi moich obserwacji udało się powiesić obraz tak, jak chciał, i niespodziewanie odwrócił się, napotykać mnie parę kroków od siebie. Teraz Los pozwolił mi przez chwilę nacieszyć się widokiem wspaniale wysklepionej klatki piersiowej, pokrytej gęstym zarostem. Wiedziałam, z czego zbudowana jest ludzka klatka piersiowa, że mostek, żebra, mięśnie: piersiowy większy, mniejszy etc, ale ta amerykańsko-duńska robiła dużo lepsze wrażenie niż ta z atlasów anatomicznych. I nie chodziło tu jedynie o drobny szczegół, że ta w atlasach nie posiadała na sobie skóry. No i mięśnie brzucha, proste i skośne, ładnie wypracowane... no, no...

- O, już jesteś, Marina! - na jego twarzy pojawił się naprawdę szczery uśmiech. - Przepraszam cię za ten widok, ale musiałem poprawić obraz - ku mojemu niezadowoleniu sięgnął po sweter, który leżał nieopodal, i szybko go założył, zakrywając przed moim wzrokiem swoje mniej metafizyczne, a bardziej cielesne, walory.

Żał, ale cóż, ja też nie chciałabym, by ktoś oglądał mnie półnagą w czasie, gdy sięgam na górną półkę po jedną z książek. Bo w innej sytuacji, kto wie...

- Witaj Vitto! - powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy, szukając w nich wskazówek, co dalej robić.

- Pukałam, ale widocznie nie słyszałeś, a nie chciałam ci przeszkodzić w pracy. Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłam.

- Ani trochę, zwłaszcza że wyglądasz dziś, jak zawsze zresztą, przepięknie - spojrzał na moją szyję, na której pysznie pobłyskiwał medalion prababci, ale nie nawiązał do tego ani słowem.

Czułam, że i on jest niepewny, że też jest trochę zagubiony w tym, co ostatnimi czasy wydarzyło się między nami.

- Dziękuję. Jak zawsze szarmancki - uśmiechnęłam się lekko, bo komplement sprawił mi przyjemność. - A dlaczego poprawiałeś obraz? Wisiał krzywo? - zapytałam szybko, żeby dać nam obojgu czas na ochłonięcie z pierwszych emocji spotkania.

- Krzywo? Nie, on nie wisiał krzywo. On wisiał do góry nogami! - roześmiał się, a ja zawtórowałam mu, kiedy dotarło do mnie to, co usłyszałam.

-Wiesz, sztuka współczesna bywa niejednoznaczna w odbiorze - powiedziałam, wciąż jeszcze śmiejąc się z komicznej sytuacji.

- O tak. Sztuka i kobieta rzadko bywa jednoznaczna podszedł do mnie bliżej.

Mogłam teraz całkiem z bliska przyjrzeć się znów jego urokliwej, męskiej twarzy. Jak zawsze przykuwał wzrok swoimi błękitnymi oczyma i tym wielkim spokojem, który był ukryty na ich dnie, ale dziś widziałam w nich coś jeszcze. Tym czymś było zmęczenie.

- Kobiety trzeba kochać, a nie rozumieć - odcięłam się krótko i posłałam mu spojrzenie, po którym, według moich obliczeń nawigacyjnych, powinien chwycić mnie w ramiona i rozgnieść w ekstazie w ich uścisku. Ale nic takiego się nie stało.

- Wiesz, czasem mężczyzna kocha kobietę, choć zupełnie nie jest w stanie jej pojąć. A czasem, może dlatego właśnie. Jak tajemnicę, którą chce się odkrywać wciąż na nowo.

Szukałam w jego głosie zachęty do choćby małego pocałunku, ale komunikat nie był jednoznaczny.

-Rozumiem, że to może być czasem męczące. Sam wiesz, piękna kobieta to raj dla oczu, piekło dla duszy... z braku innych pomysłów postanowiłam popisać się znajomością sentencji.

- Widzisz, miłość jest albo jej nie ma. A jeśli jest, wszystko da się powiedzieć i zrozumieć... I ja chciałbym cię zrozumieć... tyle ostatnio niewiadomych między nami, że już chciałem poprosić o pomoc angielski wywiad... - powiedział i wtedy całkiem nieoczekiwanie wziął mnie za rękę. I jak dawniej pocałował z wielką czułością jej wnętrze. - Porozmawiamy, moja piękna kobieto z medalionem?

Kiedy o nim wspomniał, odruchowo dotknęłam ręką medalionu, który wisiał na mojej szyi. Poczułam gładź srebra, przelewającą się bez cienia granicy w idealnie wyszlifowaną powierzchnię kamienia.

- Oczywiście, Vitto - delikatnie pochyliłam głowę i spojrzałam na jego dłoń, trzymającą wciąż moją rękę.

I widziałam, jak jego druga dłoń powoli wędruje ku górze i zatrzymuje się na moim policzku. Nagle poczułam, jak emanuje od niej ciepło i bezpieczeństwo, wiedziałam, że ta ręka mnie nie skrzywdzi... przylgnęłam do niej lekko i w tym momencie zapragnęłam, żeby mnie mocno przytulił i schował w sobie przed całym światem...

Ale Morgensen poprowadził mnie do przeciwległego rogu sali. Stały tam cztery śnieżnobiałe fotele i mały stolik z pudełkiem czekoladek Lindta i dwiema filiżankami. Wybraliśmy fotele naprzeciw siebie. Vitto nappełnił filiżanki kawą i poczęstował mnie czekoladkami. Wzięłam jedną i włożyłam sobie do ust, choć zupełnie nie miałam ochoty i bałam się, że nie dam rady jej przełknąć.

Mój piękny artysta pociągnął łyk kawy z filiżanki i spojrzał na mnie swoimi mądrymi oczyma.

- Marina, wiesz, że jesteś dla mnie kimś naprawdę szczególnym. Wiesz, że ja... zresztą nieważne - na chwilę urwał i przez moment wydał mi się bardzo zmęczonym człowiekiem. Ale po chwili, gdy uniósł wzrok, był już tym samym Vitto, który rozkochał mnie w sobie. Nagle wyrzucił z siebie:

- Marina, ja zupełnie nie mogę się zorientować, co się dzieje. Dlaczego się nie odzywasz, dlaczego mnie unikasz? Dlaczego uciekłaś z galerii? Jeśli moja osoba jest ci niemiła, po prostu powiedz, usunę się z twojego życia natychmiast. Jestem ostatnią osobą, która chciałaby ci się narzucać, choć tak bardzo zależy mi na tobie, choć tak bardzo... - widziałam, że chciał coś jeszcze dodać, ale urwał i odważnie spojrzał mi w twarz.

Miałam wrażenie, że czeka jak skazaniec na wyrok.

- Vitto, i ja nie bardzo wiem, co dzieje się między nami, choć bywały chwile, że nie miałam cienia wątpliwości, że ty i ja... - przerwałam na moment.

Wiedziałam, że to nie pora na odwrót i ucieczkę, że gram o najważniejszą w tej chwili sprawę mojego życia. Postano wiłam być konkretna i, jakkolwiek miałyby się to wyjaśnić, muszę znać prawdę. Trudno. Nie ma innego wyjścia.

- Vitto, jest kilka spraw, które nie są dla mnie jasne. Może mylę się, może źle oceniam sytuację, ale muszę wiedzieć, jaka jest prawda. Choćby najgorsza - powiedziałam, zebrawszy się na odwagę.

Mój pół-Duńczyk milczał, słuchając mnie, miałam wrażenie, całym sobą.

- Pamiętasz, jak do mnie zadzwoniłeś, że musisz nagle na jakiś czas zniknąć? Po twoim telefonie zobaczyłam w gazecie zdjęcie z jakiejś brytyjskiej premiery. Byłeś na nim ty i ta platynowa piękność, którą potem spotkałam w galerii. Wyglądaliście jak para. Dobrze, może to tylko tak wyglądało, oszukiwałam samą siebie. Telefon milczał. A ja miałam przed oczami ciebie i ją w błysku fleszy... Ale kiedy zadzwoniłeś, byłam najszcześniejsza na świecie... tyle pięknych rzeczy spoza rzeczywistości nas łączy... a przede wszystkim to, że ciągle jesteś w moim sercu i umyśle... - przerwałam, wystraszywszy się sama swojej deklaracji.

Zawsze byłam dość powściągliwa w mówieniu głośno o swoich uczuciach, ale teraz nie było miejsca na gry w podchody. Tu toczyła się gra o najwyższą stawkę. Musiałam rzucić do ataku wszystkie siły...

Spojrzałam na Morgensena. W jego oczach znów pojawiły się tak bliskie mi ogniki, na twarzy malowało się coś na kształt... ulgi, ale jeszcze podszytej niepewnością. Kontynuowałam po chwili:

- Kiedy spotkaliśmy się w Paryżu, kiedy zamknąłeś mnie w swoich ramionach... myślałam, że ktoś niebo położył mi do stóp. Kiedy zobaczyłam swój portret zatopiony w błękicie... wiedziałam, że nareszcie znalazłam tego, którego szukałam całe życie... na całe życie... - poszłam na całość.

Po prostu musiałam to w końcu powiedzieć głośno, nawet przed samą sobą, żeby mieć pewność, że wykorzystałam każdą szansę, że na swój sposób stanęłam przed nim okryta w samą prawdę.

- I wtedy pojawiła się znów, jak mój senny koszmar, twoja piękna przyjaciółka. I nawet ja z moją angielszczyzną domyśliłam się, że łączy was coś szczególnego i... - tu przez moment zawahałam się, ale cóż, nie było już odwrotu... - z jej słów domyśliłam się, nie wiem czy słusznie, że spodziewa się dziecka. Twojego dziecka.

- Tak. Beatrice spodziewa się dziecka i rzeczywiście będzie to mały Morgensen - powiedział Vitto, wpijając we mnie swoje, o nieba, najbłękitniejsze oczy na świecie.

Nagle gwałtownie podniósł się z fotela i uklęknął przy mnie.

- Ale moja najpiękniejsza, najcudowniejsza, moja jedyna Marino, nie ja jestem jego ojcem!

Usłyszawszy to, najpierw zamarłam na chwilę, a potem zalała mnie fala radości. Mimo że jeszcze nie wiedziałam, co dalej nastąpi, już z mojego serca spadł największy ciężar. To nie jest dziecko Vitto! W tej chwili byłam tak pozytywnie zaskoczona, że pewnie dałabym sobie wmówić, że Beatrice została uprowadzona przez kosmitów i z tej wycieczki wróciła już w ciąży. Patrzyłam na klęczącego przede mną mężczyznę z ogromnym zdziwieniem w oczach, pewnie były okrągłe i wielkie jak młyńskie koła, co nie dodawało mi inteligencji, ale i tak nic na to nie mogłam poradzić. Jedyne, co udało mi się wykrztusić to: „Jak to?”, po którym Morgensen, ucałowawszy znów moje ręce, zajął fotel obok, zmuszając mnie tym samym do zmiany pozycji, co przyszło mi w obecnym stanie z tak dużą trudnością, jakbym była żoną Lota.

- Pamiętasz, jak wspominałem ci po przylocie, że czeka na mnie mój brat i że to nie wróży raczej nic dobrego? - spytał po chwili. Skinęłam głową i cała zamieniłam się w słuch.

- Otóż, miałem rację. Mój brat znów miał kłopoty i, jak zwykle, przybiegł do mnie po pomoc. Ale tym razem nic chodziło o pieniądze. Mój brat po raz kolejny okazał się kompletnie niedojrzałym mężczyzną.

Słuchałam w milczeniu. Widziałam, że nie jest mu łatwo mówić o tak bardzo intymnych, rodzinnych sprawach. Vitto ciągnął dalej.

- Od dłuższego czasu spotykał się z Beatrice. Czasem przyjeżdżali do mnie na kilka dni, raz nawet przywiózł ją do naszych dziadków. To miła, chociaż może trochę hałaśliwa dziewczyna. Widziałem, jak bardzo zakochana jest w Christianie. Nie odstępowała go na krok, była na każde jego skinienie. Ale mój brat rzadko traktował życie i ludzi poważnie. Zawsze uciekał przed problemami, nie chcąc nawet o nich rozmawiać, a co dopiero stawić im czoła. A już na pewno nie lubił, kiedy życie przypierało go do muru. Zawsze chełpił się swoją wolnością, którą uważał za warunek *sine qua non* swojego życia. A tymczasem okazało się, że Beatrice jest w ciąży. Kto jest ojcem, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, była mu wierna jak pies właścicielowi. Swoją drogą, jak to możliwe, że ktoś rezygnuje zupełnie z siebie i wtapia się idealnie w życie kogoś innego, oplatając go jak bluszcz. Tak właśnie zrobiła Beatrice. Zakochała się i oddała całkowicie mojemu bratu. Kiedy powiedziała mu o ciąży, miała wielką nadzieję, że i on podzieli jej szczęście. Jakże grubo się myliła! Christian poczuł się zapędzony w pułapkę, zmuszony do podjęcia zadania, którego on sam nie brał pod uwagę i wybrał to, co zwykle. Po prostu, wyjechał, zostawiając swoją do niedawna dziewczynę samą. Na usta cisnęła mi się jedna krótka uwaga: „A to drań!”, a przez głowę przeleciała mi myśl, iż mogę jedynie mieć nadzieję, że to nie jest rodzinna cecha.

Vitto ciągnął dalej.

-I oczywiście, przyjechał do mnie. Pół nocy opowiadał, jak to czuje się przyparty do muru, jak jest zupełnie niegoty-

wy na zostanie ojcem w tej chwili i że to go po prostu przerasta. Kiedy zadzwoniłem do Beatrice, była na skraju załamania nerwowego. Odebrała telefon kompletnie pijana i zaczęła coś mamrotać, że jej życie straciło już sens. Udało mi się jakimś cudem odwieść ją chwilowo od samobójstwa, obiecując, że do niej przyjadę i wszystko będzie dobrze. Wiesz, człowiek na krawędzi czasem dziwnie szybko poddaje się prostym zapewnieniom, że wszystko będzie dobrze. Chris, kiedy tylko usłyszał, w jakim stanie psychicznym jest Beatrice, odmówił jakiegokolwiek współpracy i błagał mnie, żebym się nią zajął. On tymczasem potrzebuje trochę czasu, żeby się z tą myślą oswoić, odnaleźć siebie w nowej sytuacji i w związku z tym jedzie na jakiś czas ukryć się w moim domku nad oceanem. I tam będzie czekał na telefon.

Tu Vitto zrobił krótką przerwę na łyk kawy. Zupełnie na mnie nie patrzył, jakby nie chciał znać mojego nastawienia i opinii, póki nie zakończy swojej opowieści. Delikatnie dotknęłam jego ręki, spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem. Tak, teraz na jego twarzy wyraźnie malował się obraz tego psychicznego zmęczenia, którego cień ujrzałam na moment na początku naszego spotkania.

- Co miałem zrobić? Czuję, że sytuacja jest naprawdę trudna i niebezpieczna, że Bea pozbawiona podpórki, jaką stanowił w jej życiu Chris, może nie przetrwać samotności. Wbrew pozorom, to bardzo delikatna dziewczyna. Wsiadłem w samolot do Londynu i prosto z lotniska pojechałem do jej mieszkania. Chris dał mi klucze, kiedy więc nie reagowała na dzwonek, sam otworzyłem drzwi. I całe szczęście, bo moja niedoszła bratowa właśnie kończyła połykanie fiołki tabletek nasennych. Była tak pijana, że szło jej to dużo wolniej niż mogło, tak więc nie połknęła ich zbyt wiele. Udało mi się zmusić ją do wymiotów i zimnego prysznicu i jakoś doczekaliśmy poranka. Rano zawiozłem ją do lekarza. Dziecku na szczęście nic się nie stało. Kiedy wróciliśmy do

domu, z Beą można było już sensownie się porozumieć. Dużo rozmawialiśmy. Obiecałem jej, że ja się nią zaopiekuję, że nie będzie sama i że dziecko będzie nosić nazwisko ojca. Powiedziałem, że Chris dojrzeewa do tej myśli i po tysiącokroć zapewniałem, że wszystko się ułoży. Na razie niebezpieczeństwo wydawało się zażegnane, ale znałem labilność mojej podopiecznej. Musiałem jej pilnować dzień i noc. Nie byłem w stanie normalnie funkcjonować, więc jedyne, na co było mnie stać, był krótki telefon do ciebie, żebyś się nie martwiła o mnie. Jakże bardzo wtedy cię potrzebowałem... Jesteś moim ukojeniem, moim odpoczynkiem, moja kochana, moja jedyna Marino - spojrzał mi prosto w oczy i widziałam w nich tyle smutku, że przytuliłam jego rękę do mojej twarzy i delikatnie pocałowałam. Nie chciałam przerywać jego opowieści, wiedziałam, że musi dokonać się to, co konieczne, że on sam musi wyrzucić z siebie cały ten ból i smutek, który stał się jego udziałem.

- Ale wtedy byłem u kresu sił i nie chciałem, żebyś wiedziała o tym wszystkim. Wstydziłem się za mojego brata, który „dojrzewał” w domku nad oceanem i pewnie nieźle się bawił, bo telefon nie odpowiadał nawet późną nocą. Tylko dwa razy zostawił mi wiadomość na sekretarce, że u niego wszystko w porządku i żebym pozdrowił Beatrice. Za to często dzwonili z wytwórni. Za dwa dni miał być pokazany ostatni film z udziałem Beatrice i musiała stawić się na premierze. Wyglądała już nieco lepiej, na szczęście gabinety kosmetyczne czynią cuda i na premierze, na którą zabrała oczywiście mnie w charakterze towarzysza, wyglądała doskonale. Nie na darmo jest aktorką. Nawet ja ledwie mogłem uwierzyć, że niedawno ratowałem przed samobójstwem tę kwitnącą, pełną życia kobietę. Ale człowiek przybiera wiele masek. Kiedy wróciliśmy do domu, opadła cała fasada i znów stanęła przede mną zagubiona, zapłakana platynowa mała dziewczynka. Jakoś przetrwaliśmy noc. Byłem bardzo zmęczony, musiałem się zregenerować.

choć trochę. Pomyślałem o domu moich dziadków. Zadzwoiłem do babci, musiałem podzielić się z kimś całym balastem, jaki spadł na moje barki. Pojechaliśmy do Danii. Babcia zajęła się Beatrice, a ja w końcu porządnie się wyspałem. Wreszcie miałem czas na samotne spacerowanie i złapanie względnej równowagi po tym wszystkim, co zdarzyło się w Londynie. Miałem czas na pracę, malowałem jak szalony. Ileż to razy myślałem o tobie, marzyłem... przez ostatni czas zupełnie nie przychodziłaś do moich snów. Może nawet tam bywałaś, ale ja byłem zbyt wycieńczony. Padałem na łóżko i budziłem się rano w tej samej pozycji. Nie wiedziałem, czy jeszcze będziesz mnie chciała pamiętać. Mogłem spotykać się z tobą jedynie na płótnie... Aż pewnego dnia moja tęsknota za tobą stała się nie do wytrzymania. Po prostu, musiałem usłyszeć twój głos. Już względnie doszedłem do siebie, wiedziałem, że nie dam po sobie poznać echa ostatnich przeżyć. Jakże ucieszyłem się, że będziemy mogli się spotkać! Czekałem tego jak pustynia deszczu, tak strasznie tęskniłem za tobą... za twoim śmiechem, za dołeczkiem, który pojawia się na twoim prawym policzku, kiedy uda mi się cię rozbawić... - mówiąc to, pogładził mnie wierzchem dłoni po twarzy.

Kochałam ten dotyk i nic nie mogłam już na to poradzić. Dotyk jego ręki wzbudzał w moim ciele dreszcze i chciałam być Calineczką, żeby mógł mnie całą zamknąć w swojej pięknej męskim urokiem, mocnej dłoni.

- Tęskniłem za tobą, bo jesteś moim domem, miejscem, w którym moja dusza może odpocząć... znaleźć miłość, radość, ciepło, spokój... Wiedziałem, że jesteś wyjątkowa, ale sen o łące w cieniu starych lip, który opowiedziałaś mi przez telefon... nie, to już wykraczało poza moje wyobrażenie. Jak mogłaś we śnie odwiedzać miejsca zupełnie ci nieznane, a tak bliskie mojemu sercu... To po prostu przeznaczenie... dlatego wziąłem medalion mojej prababci, żeby go zawiesić na twojej szyi, bo moje serce... należy do ciebie...

Spojrzałam na niego z miłością, której już nie musiałam ukrywać. Tak chciałam, żeby przytulił mnie mocno. Widziałam, że i on tego chciał, ale oboje musieliśmy pozwolić opowieści dosnuć się do końca. Vitto ciągnął dalej:

- Miałem zaplanowaną wystawę w Paryżu. Zabrałem z sobą Beatrice. Miałem nadzieję, że atmosfera tego miasta dobrze jej zrobi. Wydawała się już wyciszona i w dobrej formie. Tymczasem już w samolocie do Paryża wypięła o wiele za dużo. Dużo za dużo. Kiedy dotarliśmy do hotelu, ułożyłem ją do snu, bo nie nadawała się do życia. Położyłem ją w swoim łóżku, żeby mieć nad nią kontrolę i móc spokojnie przygotować się do wywiadów, a przede wszystkim - spotkania z tobą. Kiedy wychodziłem, jeszcze spała. Miała do niej zaglądać sekretarka mojego *marchanda*. A tymczasem... Bea sterroryzowała pół hotelu i przyjechała do galerii. Resztę już znasz. Byłem zrozpaczony, kiedy uciekłaś... biegłem za tobą, ale nagle zniknęłaś...

-Weszłam do kościoła - powiedziałam cicho. - Musiałam znaleźć bezpieczne miejsce. I pomoc, bo wtedy... runęło moje największe marzenie.

- Kochana moja! Jak okropnie musiałaś się wtedy czuć wziął mnie na kolana i mocno do siebie przytulił.

Poczułam się cudownie, mało powiedziane... byłam w niebie. Zapach jego skóry, za którym tak bardzo tęskniłam, przenikał do każdego zakamarka mojego umysłu i zadomawiał się w nim na dobre. Ciepło mocnych ramion koło wszelki lęk i niepokój, a usta delikatnie i nieśmiało szukały moich... Kiedy wreszcie spotkały się, zalała nas fala szczęścia, jakbyśmy oboje powrócili z dalekiej podróży... Niewielki zarost drapał mnie przyjemnie po policzkach, a piękne ręce delikatnie dotykały mojej szyi... Kiedy wreszcie oderwaliśmy się od siebie, oboje odetchnęliśmy, jakby nagle z ramion zdjęto nam ogromny ciężar.

Po chwili, chcąc znać zakończenie historii, a może po prostu jej dalszy ciąg, zapytałam:

- A co teraz dzieje się z Beatrice? Chyba nie została we Francji?

- Nie, nie została. Wróciła do Londynu. Ale nie sama -tajemniczo powiedział Vitto. - Wyobraź sobie, że następnego ranka po całym zdarzeniu w galerii, z paskudnym bólem głowy zasiedliśmy z przyszłą mamą do śniadania. Za oknem wieża Eiffla, ale dla nas miało to, rzekłbym, drugorzędne znaczenie. Oboje cierpieliśmy z powodu bólu głowy. Beatrice bolała głowa od nadmiaru alkoholu, mnie znów z niewyspania, bo nie mogłem spać całą noc, po tym, jak zniknęłaś. Żałuję teraz, że nie przyszło mi do głowy zajrzeć do tego kościoła. Ale, wracając do śniadania. Usiłowaliśmy wmusić w siebie coś prócz kawy, kiepsko nam szło. Nagle zadzwonił telefon. Stał się cud. W słuchawce odezwał się głos mojego brata, który oznajmił, że przyjeżdża za kilka godzin do nas, do Paryża. Chris był lekko roztrzęsiony, co nigdy mu się nie zdarzało. Kiedy zapytałem o powód takiego stanu, nie chciał nic powiedzieć. „Niedługo wszystkiego się dowiesz”, powiedział enigmatycznie. I kiedy pod wieczór stanął w drzwiach naszego paryskiego apartamentu, widać było, że coś wyjątkowego zdarzyło się w jego życiu.

- Tak? Co takiego? - nie mogłam doczekać się dalszego ciągu.

- Chris dziwnie nieśmiało, jak na niego, wszedł do pokoju, w którym czekaliśmy - ja i Beatrice. Mocno mnie uściskał, co zdziwiło mnie jeszcze bardziej. Ale największy szok przeżyła Bea. Uścisnąwszy mnie, Christian podszedł prosto do niej, uklęknął przed nią, wyjął z kieszeni małe pudełeczko, otworzył je i zapytał cicho, ale w ciszy, jaka zaległa pokój, dokładnie słyszałem każde słowo: „Beatrice Martin, czy zostaniesz moją żoną?”. Oczy panny Martin zasły mgłą i po

sekundzie padło krótkie: „tak”. Potem, jak się domyślasz, padli sobie w ramiona. Mój brat zawsze był szalony. Tylko dlaczego mnie wciągał w swoje szaleństwo? Zostawiłem ich samych. I po raz setny zadzwoniłem do ciebie. I po raz setny usłyszałem „please, try later”. Zszedłem do baru i zamówiłem szklaneczkę whisky. Tam, na górze, pełnia szczęścia, a tu... dno rozpacz. Znow zadzwoniłem. Znow cisza. Nagle zacząłem się o ciebie po prostu bać. A jeśli coś ci się stało? I w jednej sekundzie już wiedziałem, że nie wytrzymam dłużej, jeśli cię nie zobaczę. Jeśli nie dowiem się, że jesteś cała i zdrowa. Zadzwoniłem na lotnisko i zarezerwowałem pierwszy lot na następny dzień do Warszawy. Zastanawiałem się wielokrotnie, dlaczego uciekłaś, jakoś nie skojarzyłem, że mogłaś połączyć mnie z Beą.

- Wtedy wyglądało to jednoznacznie. Wcześniej, zdjęcie w gazecie, a potem cała akcja... nawet nie wiesz, jak bardzo jestem szczęśliwa, że to nieprawda. Jestem szalenie szczęśliwa! - moja eksplozja radości zaowocowała kolejnym kwadransiem pełnym pocałunków.

Kiedy chwilowo nasyciliśmy się sobą, Vitto postanowi! dokończyć opowieść.

- A wiesz, co sprawiło, że syn marnotrawny powrócił? spytał, a ja pokręciłam przecząco głową.

- Otóż, mój kochany brat tak zabalował na jednej z imprez, że wylądował na intensywnej terapii. Ktoś dosypał mu chyba jakiegoś narkotyku do drinka i Chris odpłynął niemal na dobre. Jednak szybko doszedł do siebie i po dwóch dniach wypisał się na własne żądanie, ale wykorzystał właściwie tę nauzkę. Opowiadał, jak leżał w szpitalnym łóżku, obstawiony różnymi kabelkami, pikającym sprzętem ze świadomością, że niewiele brakowało, a nie byłoby go wśród żywych. Leżał tam sam jak palec, nikt go nie odwiedzał, bo też nikogo nie powiadomił o swojej przygodzie. Życie zmusiło go, by wreszcie się zatrzymał, a wręcz przytrzymało w szpitalnym łóżku i rad nie-

rad uruchomił swój rzadko używany organ - mózg. Mimo że w szpitalu spędził tylko parę dni, dziwnie boleśnie odczuł samotność i kruchość egzystencji. I dobrze mu to zrobiło. Szczególnie wiele myślał o Beatrice i, być może pierwszy raz, o własnym dziecku, bo na sąsiedniej sali leżała kobieta świeżo po porodzie i lekarze walczyli o jej życie. A ponieważ zawsze był impulsywny, ledwie wyszedłszy ze szpitala, ruszył do najbliższego jubilera po pierścionek dla swojej przyszłej żony. Od babci dowiedział się, gdzie jesteśmy i po prostu przyjechał. Zostawiłem ich w hotelu, mieli wracać razem do Londynu. Ja zaś, umierając z niepokoju, poleciałem na spotkanie z tobą -Vitto zakończył swą opowieść.

- Ty wariacie! I za to tak cię lubię. Między innymi, oczywiście. Bo lubię cię za te piękne oczy, w których odbija się błękit nieba, lubię twoje drobne zmarszczki, gdy się uśmiechasz, za ten ogromny spokój, jaki jest w tobie ukryty, a nie do ukrycia, za twoją szlachetność, za ułańską fantazję, bo któż inny wpadłby na pomysł szlaku kalii na moich schodach, za mój błękitny portret, w którym zamknęłaś część mnie samej, za tę całą urodę ciała i ducha, za całą magię, jaką dla mnie jesteś... - powiedziałam, ujmując w obie dłonie jego męską twarz.

Patrzyłam na nią w zachwycie, nie mogąc się nadziwić, jak niesamowicie bliska jest mi ona, jak głęboko wyryta w moim sercu i duszy.

Vitto patrzył na mnie swoimi mądrymi oczami i widziałam w nich tyle miłości i oddania, jak jeszcze nigdy u nikogo. Widziałam, że ten na pozór niedostępny mężczyzna jest w tej chwili jak nagi wojownik bez zbroi, zdany na łaskę drugiej osoby, ale całkowicie jej ufający. Uwielbiałam ten jego spokojny, zawierający w sobie niemal wszystkie emocje świata wzrok, wzrok, który mówił, że rozumie niemal wszystko w tym pełnym niespodzianek życiu, że zna niemal wszystkie pytania i odpowiedzi... a nade wszystko, że jestem

mu bliska, jak nikt inny na świecie... Czułam to każdym nerwem mojego ciała, bo i we mnie dokonywało się coś podobnego...

Nagle Vitto powiedział:

- A może byśmy stąd tak po prostu uciekli?

- Jak to, uciekli? - spytałam zaskoczona.

- Nie chcę tracić czasu na nic innego, chcę nasycić się tobą, twoją obecnością. Nie mam ochoty na spotkania z nikim innym, nie dbam o interesy.

-Ale niedługo rozpoczyna się wystawa... - powiedziałam cicho, wiedząc, że to nie ma dla niego najmniejszego znaczenia.

- Nie dbam o to! Kochana, chcę cię zabrać do miejsca, które kocham i które muszę ci wreszcie pokazać na jawie. Pojedź ze mną do Danii, do domu moich dziadków. Proszę - mocno chwycił mnie za rękę. - Błagam!

- Nie wiem, czy uda mi się urwać z pracy... Poczekał, zaraz zadzwonię do szefa. Ma szansę zrehabilitować się za nasz przerwany wieczór... - szybko wybrałam numer ordynatora.

- Dobry wieczór, Marina Błajet. Przepraszam, że niepokoję, ale, panie doktorze, sprawa najwyższej wagi - starałam się nadać głosowi dużo dobrych wibracji, żeby szef nie czuł się przyparty do muru.

- Cześć, Marinka! W czym rzecz? - rzeczowo i, miałam wrażenie, życzliwie zapytał głos po drugiej stronie.

- Szefie, bardzo, ale to bardzo potrzebuję kilku wolnych dni. Nie mam do końca tygodnia żadnych dyżurów, a muszę pilnie wyjechać, byłabym więc wdzięczna, gdyby mi pan na to zezwolił - zawiesiłam głos, czekając na odpowiedź.

-Dobrze, maleńka, jeśli to dla ciebie takie ważne. Nie ma problemu - powiedział ordynator po chwili ciszy. Nie odmówiłby sobie przyjemności potrzymania mnie, choć przez kilka chwil w niepewności.

- Naprawdę mogę wziąć urlop? Dziękuję bardzo, szefie! Jest pan kochany! - nie posiadałam się z radości.

-Kochany? O, nie! Tylko kochający. Baw się dobrze, kruszynko - szef swoim rutynowym wywodem o miłości zakończył naszą rozmowę.

Morgensen już po mojej minie widział, że sprawy mają się dobrze. Objął mnie i powiedział:

- To co? Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy pojechali jeszcze dziś!

- Dziś jeszcze? Ale... - byłam nieco zaskoczona tempem, jakiego nabiera nasze spotkanie.

- Marina, moja piękna! Chcę pokazać ci jutro o poranku miejsce, którego magia na pewno cię zachwyci. Nie chcę czekać... - wziął moją twarz w swoje pięknie wyrzeźbione dłonie, nieco chropawa faktura skóry rozkosznie dotykała mojego gładkiego policzka. Oj, Vitto, ty czarodzieju...

- Dobrze, ty kusicielu! Ale muszę zostawić mamie jakieś namiary, bo inaczej zadreżczy się troską o mnie - mój artysta

zapisał na kartce adres swoich dziadków.

- A teraz, biegnij do domu, spakuj trochę rzeczy, weź raczej coś ciepłego, i spotkamy się za dwie godziny na lotnisku - powiedział, podając mi zapisaną swoim ładnym pismem kartkę papieru.

-Ale wystawa... ale bilety... - chciałam też mieć jakiś wpływ na sytuację.

Bałam się, że Vitto mogą spotkać jakieś nieprzyjemności w związku z nagłym wyjazdem.

- Moja maleńka, pozwól, że zajmę się wszystkim. Ty tylko spakuj się i uprzedź rodziców. Czekam na ciebie na lotnisku powiedzmy za... - tu spojrzał na zegarek - za niecałe dwie godziny. A teraz, biegnij...

Miłość unosiła mnie niemal nad ziemią. Sama nie mogłam w to uwierzyć! Jeszcze tak niedawno zupełnie nie wiedziałam,

jak potoczy się nasza historia. A teraz... zabiera mnie do swojego rodzinnego domu. Widziałam w tym ogromny zaszczyt, wprowadzał mnie bowiem w swoją jakże intymną strefę. Niesamowite! Dobrze, że mogłam pobyć jeszcze chwilę sama, bo potrzebowałam trochę czasu, żeby nie odejść szybko i zdecydowanie, od zmysłów. Jeszcze nie wierzyłam w to, co wydarzyło się dzisiejszego popołudnia. To było jak sen! Mój najpiękniejszy sen... Chyba jednak zwariowałam! To nie może być prawda! A jednak! Wciąż ścisnęłam w ręce kartkę z adresem dziadków Vitto i pędziłam do domu, żeby szybko spakować się i ruszyć po przygodę z moim najpiękniejszym, miałam nadzieję, towarzyszem życia. Wpadłam do domu jak burza. Pierwsze co, zadzwoniłam do mamy. Była zaskoczona moim nagłym wyjazdem, ale nieco uspokoiła się, kiedy podałam jej adres dziadków Morgensena. Zawsze martwiła się o mnie i moje eskapady, czasem nawet z pewną przesadą, ale miałam wrażenie, że już trochę jej przeszło i powoli już zaczyna pozwalać mi być całkiem dużą dziewczynką. Jak się okazało, na kilka chwil przed moim wyjściem, wrażenie to było niezupełnie słuszne. Mama zadzwoniła do mnie z wiadomością że użyła swoich znajomości i sprawdziła, czy pod tym adresem mieszkają Morgensenowie. Mieszkali. Uspokojona, pożegnała się, życząc mi dobrej podróży. Kochana mama! Trochę szalona i nadopiekuńcza, ale naprawdę - przekochana. Stałam w drzwiach z bagażem w ręce i przed wyjściem jeszcze raz owionęłam mieszkanie wzrokiem. Ech, jeszcze wczoraj o tej porze siedziałam tu pełna wątpliwości, gdy tymczasem dziś... szczęście uśmiechnęło się do mnie i to od ucha do ucha. Byłam taka szczęśliwa!

Kiedy wysiadałam z taksówki przed lotniskiem, zaczynał mżyć drobny deszcz, ale ja ledwie to dostrzegłam. Nie musiałam się wiele rozglądać, bo Vitto stał blisko wejścia i energicznie do mnie machał. Podbiegłam do niego, a on mnie przytulil

i czułam, jak mocno bije mu serce. Moje zresztą też wybijało dość szybki rytm, grając „How wonderful you are...” Gordona Haskella, tyle że w rytmie siedemdziesięciu ośmiu obrotów. Ale przecież nie mogło być inaczej... Zgłosiliśmy się do odprawy jako ostatni, ale najważniejsze, że zdążyliśmy. Kiedy zajęliśmy już miejsca obok siebie, emocje nieco opadły, a ja przypomniałam sobie, że zapomniałam zażyć aviomarin. Szybko wyciągnęłam go z torebki i włożyłam do ust. Ohydny, gorzki smak rozlał się po moim języku, ale nie było rady. Lek musiał szybko się wchłonać, żebym i nie ukazała mojemu wybranemu swojej nowej, nieszczególnie atrakcyjnej twarzy po kolejnym wyjściu z toalety, do której, odwiedzenia skłaniałyby mnie torsje średnio co trzy minuty. Nie mogłam zepsuć takiego momentu, więc wręcz rozkoszowałam się goryczką w moich ustach i modliłam gorąco, żeby lekarstwo zadziało. Zresztą, jakie znaczenie miała gorycz w ustach, kiedy moje serce pławiło się w kąpieli z najprzedniejszego miodu...

Aviomarin chyba zadziałał, a może było to największe zwycięstwo mojej silnej woli, bo kiedy startowaliśmy, nie odczuwałam żadnych sensacji. Siedzieliśmy, trzymając się za ręce jak nastolatki i nareszcie mieliśmy czas, żeby sobie wszystko spokojnie opowiedzieć. Oboje mieliśmy wciąż tyle pytań... Noc, która rozciągała się za oknem wprowadzała specyficzną atmosferę. Czuliśmy się jak zamknięci w kapsule, która leci nie wiadomo dokąd. Jakbyśmy, gdzieś poza czasem, szybowali wśród gwiazd, jakbyśmy odbywali podróż w kosmos, nie znając celu... Była tylko noc i my... Uwielbiałam tego mężczyznę. Nikt inny nie rozumiał mnie tak jak on, a ja nie mogłam uwierzyć, że można kogoś drugiego tak doskonale czuć... W wielkim świecie, jakimś cudem, odnaleźliśmy się, używając starego, polskiego powiedzenia, jak w korcu maku.

* „**Jakże jesteś cudowny...**”.

Lot minął dość szybko, zresztą w obecnym naszym stanie, nawet podróż na Marsa byłaby tylko chwilą... Teraz odczuwałam trochę treść. Jak przyjmą mnie dziadkowie Vitto. Przylatujemy nagle, o tak późnej porze, jestem cudzoziemką... Ale postanowiłam nastawić się pozytywnie. Vitto widocznie odczuł lęk, jaki zaczął mi towarzyszyć, bo zaraz po wyjściu z samolotu mocno mnie przytulił i pocałował. Po chwili nachylił się do mojego ucha i szepnął:

- Nie martw się, na pewno polubią cię od pierwszej chwili. To wspaniali ludzie.

- Na pewno, co nie zmienia faktu, że trochę mam treść... - powiedziałam, tuląc się do jego ramienia. Mocno mnie przygarnął i już wiedziałam, że dla tego człowieka jestem w stanie dużo znieść.

Na szczęście na razie nie było mi dane wykazywanie się moim hartem ducha, bo dziadek Vitto okazał się bardzo miłym starszym panem. Pewnie dobiegał osiemdziesiątki, ale miał żywe, szare oczy, których młodzieńcze spojrzenie ujmowało mu lat. Już teraz wiedziałam, po kim Vitto odziedziczył piękny zarys żuchwy i dołek w brodzie. Spojrzałam raz jeszcze na twarz dziadka Vitto. Mimo swego wieku, nadal obie te cechy robiły spore wrażenie.

- Dziadku, pozwól, że ci przedstawię moją przyjaciółkę. To Marina Błajet - młody Morgensen zaczął prezentację.

Uśmiechnęłam się i odwzajemniłam uścisk starszego mężczyzny. Dłoń miał mocną, ale uścisk dostosował do możliwości mojej ręki. Miło, acz stanowczo.

- Hans Morgensen, miło mi panią poznać, pani Marino. Musi być pani wyjątkową osobą, skoro mój wnuk zaprosił panią do nas. Zwykle jest bardzo, rzekłbym, hermetyczny.

- Tym bardziej miło mi tu być - odpowiedziałam z uśmiechem, a jednocześnie trochę ze strachem, czy aby podołam wysokim wymaganiom mojego artysty.

Ale kiedy ruszyliśmy do auta, mój lęk rozwiął się, niczym dym z papierosa. Nie wiem, jak długo jechaliśmy, bo czas upłynął nam na miłej pogawędce. Dzięki temu trochę rozluźniłam się i zaczęłam wierzyć, że nie mam się czego obawiać. Może babcia Vitto będzie równie sympatyczna? Miałam wciąż na szyi medalion jej matki, ofiarodawca nie pozwolił mi go zdjąć, twierdząc, że dla babci będzie to również rodzaj znaku, iż to mnie właśnie wybrał. A jeśli babcia okaże się zakochaną po uszy we wnuku, zaborczą staruszką i będzie mi uprzykrzać życie?

Wzdrygnęłam się na samą myśl i, jakby w odpowiedzi na moje lęki, samochód się zatrzymał.

Dochodziła północ, a my byliśmy na niewielkim wzgórzu. Pamiętam moment, jak auto podjeżdżało pod górkę. Wysiedliśmy, a moim oczom ukazał się stary dom. Nie był ani duży, ani mały i mimo że miał swoje lata, sprawiał wrażenie bardzo zadbanego. W oddali słyszałam szum drzew i cichy śpiew wody. Spodziewałam się skandynawskiego chłodu, a tymczasem noc była całkiem ciepła, jak na tę porę roku. Dziadek i wnuk poprowadzili mnie ku drzwiom, które właśnie uchyliły się i stanęła w nich jakaś postać. Kiedy podeszliśmy bliżej, moim oczom ukazała się niewysoka starsza pani. Była drobna i przez moment przyszło mi na myśl porównanie z Petite. Miała siwe, długie włosy upięte w mały koczek na karku, na ciemną zaś sukienkę założony fartuch, który właśnie zdejmowała. Wreszcie stanęliśmy w progu.

- Dobry wieczór, babciu - powiedział Vitto, całując ją w policzek. - Chciałbym ci przedstawić kogoś dla mnie bardzo szczególnego. Moja przyjaciółka - Marina Błajet.

- Miło mi cię poznać, drogie dziecko. Jestem Inga Morgensen, babcia Vitto - powiedziała starsza pani i podała mi swoją drobną dłoń.

Kiedy dotknęła mojej ręki, poczułam płynące z niej miłe, przyjazne ciepło. I w tym momencie, obie, jak na komendę, uśmiechnęłyśmy się.

- Dobry wieczór, pani Morgensen. Jestem zaszczycona, mogąc panią poznać - odpowiedziałam standardowo, ale w tym wypadku, nie były to puste słowa.

Po prezentacji babcia Vitto cofnęła się i zaprosiła nas do środka. Miałam dziwne wrażenie, że skądś znam ten dom. Nie zdziwił mnie rozkład pomieszczeń, jakbym była tu nie po raz pierwszy. Kiedy zasiedliśmy do kolacji przygotowanej na starym stole w kuchni, poczułam się już dużo mniej skrępowana, choć jeszcze tlił się we mnie maleńki niepokój. Był jednak naprawdę mały, otaczała mnie bowiem bardzo sympatyczna atmosfera. Starsi państwo byli wobec mnie bardzo mili i to nie tą sztuczną uprzejmością, jaką rozszyfrowywałam bezbłędnie w ciągu paru chwil. Wydawali się naprawdę szczerze ucieszeni naszym przyjazdem i gościli nas z prawdziwą radością. W dobrym świetle mogłam dokładnie przyjrzeć się pani domu. Patrzyła na mnie uważnie, ale z dużą życzliwością swoimi błękitnymi oczyma, a ten błękit był mi już dobrze znany... tak, to po babci mój artysta odziedziczył kolor oczu. Na mojej piersi lśnił w ciepłym świetle lampy ich rodzinny klejnot. Pewnie ta sytuacja wzbudzała dziwne emocje w starszej pani. Obca kobieta nosi coś, co należało do jej matki, coś, co na pewno było jej szczególnie bliskie, a teraz należy do kogoś innego. Ale tylko raz udało mi się przychwycić jej wzrok skierowany na moją szyję.

Rozmowa przy kolacji toczyła się w sympatycznej atmosferze. Nasi gospodarze okazali się czarującymi, pełnymi ciepła ludźmi. Mieli też spore poczucie humoru, co wcale nie powinno mnie dziwić. Wszak z wiekiem człowiekowi może przybywać zmarszczek, czasem kilogramów, ale dusza przecież się nie zmienia. Słowem, Vitto Morgensen miał bardzo fajnych dziadków.

Kiedy kolacja dobiegła końca, na naszych twarzach malowało się zmęczenie. Pani Inga zaprowadziła mnie i Vitto po schodach na górę. Metodą wycieczkową, pt. „Panie na

prawo, panowie na lewo", przydzieliła nam pokoje. Vitto udał się do swojego starego pokoju, mnie przypadł w udziale pokój jego siostry, w prawej części korytarza. Starsza pani pokazała mi go dokładnie. Był dość spory.

Jedną ze ścian zdobiło duże okno, za którym teraz rozpościerała się noc. Duże, staromodne łóżko pokryte piękną, haftowaną ręcznie narzutą, kusząco zapraszało i obiecywało same piękne sny... Białe drzwi prowadziły do maleńkiej łazienki z natryskiem. Prawdziwy pokój dziewczęcy i ja, choć nie miałam już siedemnastu lat (i to od jakiegoś czasu), czułam się tu doskonale. Podziękowałam serdecznie za miłe przyjęcie i podarowałam mojej gospodyni drobny prezent, album zdjęć najpiękniejszych miejsc w Polsce. Kupiłam go wprawdzie kilka dni wcześniej z myślą o mojej koleżance Sanne z Amsterdamu, ale do niej wybierałam się dopiero za jakiś czas. Starsza pani podziękowała za podarunek, na chwilę przysiadła na brzegu łóżka i rozłożyła książkę. Była wyraźnie zaskoczona urodą naszych Tatr, mazurskich jezior, brzegów Biebrzy...

- Mieszkasz w przepięknym kraju, Marina - powiedziała po chwili. - Tak blisko nas, a tak niewiele o nim wiemy...

- Serdecznie zapraszam, pokażę państwu to, co Polska ma najpiękniejszego do zaoferowania... - odparłam ucieszona komplementem pod adresem mojej ojczyzny.

- Myślę, że już to zrobiłaś - enigmatycznie odpowiedziała starsza pani i podniosła się z łóżka.

- Życzę ci dobrych snów - powiedziała. - To łóżko potrafi je przyciągać, tak mówiła najpierw moja córka, a potem moja wnuczka. I ja podzielałam ich zdanie. Znam to łóżko dużo dłużej niż one...

- Czas teraz, bym ja wyrobiła sobie zdanie. Mam nadzieję, że będzie podobne jak wszystkich pań, które gościło wcześniej - uśmiechnęłam się do niej.

- Też mam taką nadzieję. Zawsze dobrze służyło kobietom Morgensenów - kiedy mówiła te słowa, przez moment

przez jej twarz przesunął się lekki uśmiech, jakby cień wspomnień. - A, jeszcze jedno. My tutaj staramy się toczyć życie w nieco wolniejszym tempie niż reszta świata, tak więc na śniadaniu oczekujemy cię w szlafroku. Ręczniki i szlafrok znajdziesz w szafie.

Życząc mi dobrej nocy, skierowała się ku drzwiom. Kiedy już w nich stanęła, odwróciła się jeszcze na moment i powiedziała, patrząc mi prosto w oczy.

- Cieszę się, że to tobie mój wnuk podarował medalion mojej matki.

- Dziękuję. To naprawdę wiele dla mnie znaczy - odpowiedziałam poważnie.

- Wiem. I właśnie to mnie cieszy - popatrzyła na mnie uważnie. - Śpij dobrze, moje dziecko - dodała, nim zamknęły się za nią drzwi.

Opadłam na łóżko. Mamo! Ależ życie jest piękne! Właśnie. Zupełnie zapomniałam o telefonie do mamy. Oczywiście nie spała i odsapnęła z ulgą, że wszystko jest w porządku. Moja kochana mamusia! Jakże ją uwielbiałam za tę jej nieustającą, czasem może trochę przesadną, żeby nie powiedzieć, patologiczną troskę.

Ledwie skończyłam rozmowę, rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Na moje „entrée” w drzwiach stanął dziedzic Morgensenów. Niewątpliwie miał w sobie ogromny urok, powiedziałabym wręcz - zniewalający, ale teraz, prócz uroku, dźwigał na sobie tonę zmęczenia. Widać to było po jego twarzy.

- Wejź, proszę, mój kochany. Ależ mam piękny pokój... - rozmarzyłam się, dotykając brzegów łóżka.

- Widzę, że już strach i lęk przed spotkaniem z moją rodziną odpłynęły w siną dal... - powiedział, siadając przy mnie i obejmując mocno swoim ramieniem.

- Masz tak miłych dziadków, że nie sposób nie czuć się tu dobrze - powiedziałam, przytulając się do niego z całych sił.

- Oni też cię polubili. Znam ich dobrze - spojrzał mi prosto w oczy, a mnie znów zawirował świat od tego spojrzenia.

Oczy Vitto miały w sobie jakiś magnetyzm, coś, czemu nie można się było oprzeć... Ale nie dziś, oboje byliśmy tak bardzo zmęczeni. Pocałowałam go najpiękniej jak mogłam i delikatnie pogładziwszy po zmęczonej twarzy, powiedziałam:

- Ja też ich bardzo polubiłam. Krew Morgensenów. Nie mogło być inaczej - pocałowałam go znów. - Ale, mój najpiękniejszy mężczyzno świata, umierasz ze zmęczenia. Musisz odpocząć. Biegnij teraz do łóżka, a jutro rano...

- Jutro rano pokażę ci mój świat, a wtedy... - położył mi na ustach opuszek swojego palca. - A wtedy... przekonasz się, że na świecie zdarzają się rzeczy, o których nie śniło się nawet filozofom - dokończył tajemniczo.

Nie chciałam się z nim rozstawać ani na sekundę, ale widziałam, jak bardzo jest zmęczony, a i mnie zaczynała dopadać nieprzewartna chęć odpłynięcia w objęcia Morfeusza.

Po kilku chwilach, kiedy to nasze usta jakoś nie mogły się rozstać, Vitto poszedł do swojego pokoju. Ja natomiast, ledwie wciągnąwszy na siebie nocną koszulę, ułożyłam się do snu i natychmiast odpłynęłam.

Poranne słońce wdarło się przez okno do mojego pokoju, nie pytając mnie o zdanie. Spałam doskonale. To łóżko rzeczywiście gwarantowało spokojny sen, a może to dobra atmosfera tego domu... Cokolwiek to było, sprawiło, że czułam się wspaniale. Cały dom zalegała jeszcze cisza. Wstałam i bezszelestnie ruszyłam ku oknu. Prawie bezszelestnie, bo jednak stara podłoga co jakiś czas wydawała ciche jęki, kiedy dotykałam bosą stopą jakiejś bardziej suchej deski.

Widok za oknem przeszedł najśmielsze oczekiwania. Przed moimi oczyma rozciągały się po horyzont zielone, skąpiane w słońcu pola. Gdzieś tam rosły samotne drzewa, ale całość napawała niesamowitym spokojem. Uchyliłam okno i do moich uszu doszły głośne trele ptasiej orkie-

stry, która grała już pełną parą. Obserwowałam maleńkie ptasie postaci, wesoło skaczące z gałęzi na gałąź dużego jesionu, jaki rósł nieopodal. Pięknie przystrzyżony, piał się prosto ku niebu, szumiąc delikatnie na niewielkim wiatyku, który poruszał jego liśćmi. Wciągnęłam do płuc czyste, co dziwne, wcale nieszczególnie chłodne powietrze, i pozwoliłam oczom błędzić po linii horyzontu. Po kilku chwilach doszły do mnie ciche oznaki życia na dole, w kuchni. Pewnie pani Inga krzątała się już, przygotowując śniadanie. Czas wziąć się za siebie. Szlafrok szlafrokiem, ale poza tym muszę być świeża i piękna.

Wzięłam szybki prysznic, który zmył ze mnie nie tylko kurz wczorajszego dnia, ale i resztki snu, które, mimo wszystko, koczowały gdzieś pod powiekami. Upięłam lekko włosy, niby w nieładzie, ale tak, by dodawały mi uroku, skropiłam się lekko wodą toaletową i odziana w morelowy szlafrok, jaki znalazłam w szafie, zeszłam cicho po starych schodach na spotkanie z nowym dniem.

Z kuchni dochodziły odgłosy krzątania, a aromat kawy był naprawdę intensywny. Snuł się, pokonując z zawrotną prędkością drewniane schody i uderzał w moje nozdrza zapowiedzią pysznego napoju z chmurką śmietanki. Na zakręcie schodów zatrzymałam się na chwilę, żeby przyjrzeć się postaci, która siedziała zapatrzona w okno. W granatowym szlafroku, z kubkiem kawy w dłoni siedział Vitto. Na tle jasnego okna widać było doskonały zarys jego głowy. Włosy sięgające szyi miał założone, jak zwykle, z jednej strony za ucho, co dawało możliwość obserwacji męskiego profilu. Mój błękitny chłopiec miał wreszcie tło, jakiego był godzien. Błękit nieba. Stałam i chłonełam chwilę, podobnie jak pewnie Vitto, którego wzrok podróżował gdzieś za linię horyzontu.

W końcu weszłam do kuchni i powiedziałam: - Dzień dobry!

Pani Inga stała przy kuchni, kończąc smażenie naleśników, usłyszawszy mój głos odwróciła się i miło odpowiedziała:

- Dzień dobry, Marina. Jak ci się spało?

- Dziękuję, doskonale. To łóżko ma chyba rzeczywiście w sobie coś niezwykłego, bo spałam jak niemowlę.

Vitto już podnosił się zza stołu, żeby do mnie podejść. Wyszłam mu na spotkanie.

- Dzień dobry, moja piękna. Sen dobrze ci zrobił. Wyglądasz jak zwykle zachwycająco - mówiąc to, mocno objął mnie ramieniem i pocałował we włosy. - Babciu, czyż ona nie jest piękna?

Na tak otwarte wyznanie zaczerwieniłam się jak pensjonarka.

- Oczywiście, kochany wnuku. Wy, artyści, jesteście obdarzeni wrodzoną wrażliwością na piękno, wcale więc się nie dziwię twojemu wyborowi - powiedziała pani Morgensen i puściła do mnie oko. Zabawna staruszka. Miała o czterdzieści lat więcej niż my, a czasem brałam ją niemal za koleżankę.

Vitto mocno objął mnie w pasie i zawirował ze mną w ramionach po całej kuchni.

- Jestem taki szczęśliwy, że tu jesteś! Aż trudno mi w to uwierzyć! - wołał na cały głos.

- Vitto, daj dziewczynie obudzić się na dobre - powiedziała starsza pani. - Marino, może kawy?

Skinęłam głową, a ona żartobliwie strzeliła ściereczką mojego ukochanego po udzie.

- Wnuku, szlachetne jest nosić ukochaną na rękach, ale trzeba ją też czasem poczęstować strawą bardziej przyziemną. Nalej, proszę, Marinie kawy.

- Ze śmietanką czy bez? - Vitto już napełniał mój kubek kawą.

- Ze śmietanką, bardzo proszę, kochanie - powiedziałam, zajmując miejsce koło niego.

Podał mi kawę i znów objął ramieniem. Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, oboje zapatrzeni w skąpany w słońcu horyzont.

- Ależ tu pięknie! - westchnęłam.

- Prawda? Poczekaj, pokażę ci naprawdę piękne miejsca. .. - pocałował mnie we włosy.

Pani Inga nakrywała do stołu. Zerwałam się, mówiąc:

- Chętnie pomogę, pani Ingo.

- Dziękuję, praktycznie nie ma w czym, moje dziecko. A poza tym, jesteś naszym gościem - odparła i dalej rozstawiała nakrycia.

Były tylko trzy. Zauważyła mój wzrok i uprzedziła pytanie.

- Mąż pojechał rano na badania kontrolne. Będzie na obiedzie.

Skinęłam lekko głową. Na stół wjeżdżały trzy rodzaje chleba, masło, konfitura z wiśni, dżem pomarańczowy, ser żółty i biały. Po chwili dołączyły gorące naleśniki. Nie byłam wcale głodna po porannej kawie, ale dałam się skusić na kawałek chleba, będącego czymś pośrednim między naszą chałką a keksem. Był pyszny. Kolejny kawałek nie ustępował poprzedniemu. Spróbowałam naleśników. Nigdy nie jadłam na śniadanie i nowe doświadczenie okazało się całkiem niezłe. Zwłaszcza że konfitura była przednia. Okazało się, że osobistego wyrobu pani domu. Więcej nie dałam rady spróbować.

Vitto za to z przyjemnością pałaszował trzeciego naleśnika i, zdaje się, nie zamierzał na tym poprzestać. Zastanawiałam się, jak z takim apetytem może utrzymać tak doskonałą sylwetkę. Później wyciągnę z niego ten sekret. Gospodyni jadła niewiele i bardzo wolno, przyglądając się naszym poczynaniom. Kiedy jedyny mężczyzna w naszym towarzystwie sięgnął po czwartego *pancakea*, uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

-Mój wnuk zawsze uwielbiał naleśniki. Kiedyś nawet wygrał rodzinne zawody w jedzeniu naleśników, zostawiając swoje rodzeństwo i kuzynów daleko z tyłu.

- Tego jeszcze nie zdążyłam się o nim dowiedzieć... - powiedziałam, przyglądając się amatorowi tej prostej, a jakże smacznej potrawy.

Kiedy już wszyscy nasyciliśmy się śniadaniem i odpoczęliśmy po tym wysiłku wesoło gawędząc, Vitto, pochyliwszy się do mnie, powiedział:

- To teraz możemy ruszać w drogę, maleńka.

- W drogę? - zapytałam lekko zaskoczona.

- Przecież obiecałem ci pokazać niezwykle miejsca. Biegnij teraz, proszę, na górę i ubierz się. A ja będę tu na ciebie czekał za dziesięć minut.

Podziękowawszy, pobiegłam do swojego pokoju i wciągnęłam na siebie džinsy i popielaty, ciepły sweter. Rozważałam zabranie kurtki, ale wyrzawszy za okno stwierdziłam, że wiosenne słońko nieźle grzeje. Zeszłam do kuchni. Vitto pakował mały plecaczek. Też miał na sobie popielaty sweter i džinsy. A to porozumienie dusz! Stał pochylony nad plecakiem i sweter podsunął mu się nieco ku górze, odsłaniając jego mocne plecy i zgrabne pośladki. Nawet bardzo zgrabne. Zgromiłam się natychmiast w duchu za tę myśl. Kiedy mnie zobaczył, na jego twarz wypłynął radosny uśmiech. On chyba rzeczywiście mnie lubi, pomyślałam.

- Babciu, to my ruszamy. Mamy prowiant, więc nie pomrzemy z głodu po drodze. Nie czekaj na nas z obiadem -powiedział, całując drobną staruszkę w policzek.

- Bawcie się dobrze, moi mili. Nie zamęcz Mariny wędrówkami po wzgórzach - powiedziała na odchodnym babcia Vitta.

- Ależ ja bardzo lubię spacerować i wzgórza... nie mniej lubię też pani wnuka, więc może jakoś dam radę

- powiedziałam, uśmiechając się do niej porozumiewawczo. - Ale bar-

dzo dziękuję za wsparcie, pani Ingo. Zresztą jestem pewna, że pani wnuk nigdy by mnie nie skrzywdził, prawda, mój miiy?

- Marina, przecież wiesz, jak bardzo... nigdy bym cię nie skrzywdził - zabawił się w słowną grę razem z nami Vitto.

Wyszliśmy tylnym wyjściem prosto w ramiona słońca, które nie szczędziło całej okolicy swoich promieni. Zaraz po wyjściu, Vitto mocno mnie przytulił i powiedział:

- Teraz oficjalnie zapraszam cię na wycieczkę do miejsc dla mnie ważnych. Czy chcesz ruszyć ze mną w tę podróż, moja piękna Słowianko? - pierwszy raz tak mnie nazwał i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że jak bardzo różnych kręgów kulturowych oboje pochodzimy.

On pół-Skandynaw, dziedzic legend o silnych i bezwzględnych jasnowłosych i rudobrodego zdobywcach odległych lądów i ja, spadkobierczyni romantycznych Słowian, czczących Słońce i czas zaklęty w kawałkach bursztynu. A jednak... było nam z sobą tak dobrze. Może to złota zasada dopełniania, jak w medalionie prababci. Lite srebro łagodnie, niemal niezauważalnie przechodzi w błękitny kamień... każde z innego tworzywa, z inną konfiguracją atomów, a razem tworzą idealny układ, scalony po wieczność ręką jubлера w pełną piękną, doskonałą całość.

- Czy chcę ruszyć z tobą w podróż na wzgórza, mój ukochany? - spojrzałam mu prosto w oczy i pogładziłam dłonią po policzku. - Ależ Vitto, ruszyłabym z tobą w podróż po wszystkich wzgórzach świata!

Vitto wziął mnie na ręce i symbolicznie zrobił pierwszy krok za bramę prowadzącą z ich farmy na ścieżkę na wzgórze. Potem delikatnie postawił mnie na ziemię, ale nim to zrobił, pocałował mnie z taką pasją, że aż mi dech zaparło na kilka ładnych chwil. Ech, szalony ten mój Skandynaw i to w jak miły sposób!

Trzymając się za ręce, ruszyliśmy przed siebie ścieżką prowadzącą wśród zieleniących się pól ku grafitowej wstędze na horyzoncie. Szliśmy milcząc i podziwiając piękno świata, który, zanurzony w słonecznej kąpieli, wydawał się tak świeży, jakby Stwórca dopiero co umył ręce po akcie tworzenia. Nie musieliśmy wiele mówić. Oboje doskonale czuliśmy to, czym syciły się wiecznie głodne cudów nasze oczy. Czuliśmy się też oboje maleńkim elementem tej pięknej mozaiki, jaka rozciągała się ze wschodu na zachód i od południa po północ. Czas mijał, a my, zupełnie niepomni jego istnienia, składaliśmy stopy na szlaku, jakby był to jedyny szlak naszego życia.

Kiedy wzgórza były już na wyciągnięcie ręki, głos Vitta zabrzmiał w czystym powietrzu strofami Gravesa:

Chodzić po wzgórzach to zatrudniać nogi

Jako tragarzy i głowy, i serca,

Na taką wspólną przygodę do miejsca,

Gdzie może spokój panuje prawdziwy.

Chodzić po wzgórzach to widzieć widoki

I słyszeć dźwięki na co dzień nieznanne.

(...) Odchodzić w przestrzeń i dzień gubić cały".

Ja, przysłaniając oczy od ostrego słońca, usiłując szybko przełożyć fragment jednej z moich ulubionych polskich poetek, Janiny Brzostowskiej, odpowiedziałam mu:

Boję się przystawać.

Noc przyjdzie, a ja nie zobaczę,

Co jest za tamtą rzeką, górą, borem.

Vitto mocniej chwycił mnie za rękę i powiedział:

*** Robert Graves, *Poezje wybrane*, wybór i przekład Bolesław Tabor-ski, PIW 1977.**

- Jeszcze chwila, a pokażę ci krainę magiczną, którą przeczuwasz, czasem widzisz we śnie... - zabrzmiało to jak kontynuacja słów poetów.

Nic nie odpowiedziałam, wyostrzyłam jedynie zmysły. Weszliśmy na pokryte lasem niewielkie wzgórze. Nie było wysokie. Całe porośnięte drzewami, miało w sobie jakieś dobre wibracje.

Dochodził mnie delikatny szmer wody, dobiegający gdzieś z oddali. Wspinaliśmy się chwilę, by stanąć na grzbiecie stoku. Vitto był na nim pierwszy, wreszcie i ja dobiegłam. Oczom ukazał się widok, który sprawił, że moje płuca dziwnie nie chciały oddać uwięzionego w nich powietrza.

Zbocze pagórka łagodnie opadało w dół. Porośnięte żywo zieloną roślinnością, gdzieniegdzie przetykaną barwnymi, drobnymi kwiatami, sprawiało wrażenie kobierca zapraszającego wędrowca na dół, by odpoczął w krainie szczęśliwości, która rozciągała się poniżej. Nie mogłam uwierzyć swoim oczom! W dole rozciągał się widok, którego dane mi było doświadczyć we śnie.

Strumień płynący wartkim nurtem, wśród zieloności rozciągającej się w cieniu starych lip. Mnóstwo maleńkich żółtych główek, pewnie mleczy, wśród natchnionych wiosną traw. Chciałam niemal przetrzeć oczy, bo to po prostu nie mogło być prawdziwe.

Vitto widział moje zaskoczenie i to, że nie byłam w stanie wypowiedzieć słowa, i przyszedł mi z pomocą:

- Czy to miejsce widziałaś we śnie?

Pokiwałam niemo głową, nie odrywając oczu od widoku u naszych stóp. Po chwili ochłonęłam i udało mi się wyartykułować jakieś przypominające ludzką mowę dźwięki:

- Możemy tam zejść?

- Oczywiście - odparł Vitto i mocno chwycił mnie za rękę. - Ale po drodze, chcę ci pokazać coś jeszcze.

Przeszliśmy kawałek w lewo i znów zgubiliśmy się wśród drzew. Ich cień jakby koił wszelkie lęki. Ja, która nigdy

w życiu nie weszłabym do lasu z obcym mężczyzną, bojąc się, że padnę ofiarą jego niecznych czynów, teraz nie odczuwałam żadnego lęku. Szłam pełna ufności i szczęścia z mężczyzną, którego kochałam całym sercem, a który zaistniał w moim życiu niespodziewanie za sprawą snów, w co nigdy moja zdroworozsądkowa natura nie uwierzyłaby, gdyby nie fakt, że to wszystko przytrafiło się mnie samej. Ale teraz wierzyłam i czerpałam z tego największą radość, jaka mnie w życiu spotkała.

Cień lasu nagle zaczął się rozpraszać i po chwili weszliśmy na sporą polanę zalaną słonecznym blaskiem. Vitto chciał chyba, żebym dziś dostała pomieszania i tak nieszczególnie jasnych zmysłów. Z wrażenia puściłam jego dłoń i obiema rękoma zasłoniłam sobie twarz. Stałam tak parę sekund, aż odważyłam się podejrzeć przez rozwarte palce to, co już naprawdę było niewiarygodne.

Na polanie rosło stare drzewo. Nie było wątpliwości, jaka była jego natura. Właśnie obsypało się kwieciami, które znane było wszystkim chyba ludziom, przynajmniej w Europie. Któż w Polsce nie zna widoku kwitnących sadów albo nie słyszał starej piosenki „Świat nie jest taki zły... niech no tylko zakwitną jabłonie”. Tak, to stare drzewo na polanie, to była jabłoń. A pod nią, i w całej okolicy, rosły w dużych koloniach kępy krzaczków poziomek, oczywiście, o tej porze roku nawet jeszcze bez śladów kwitnienia. Jabłoń i pola poziomek... dokładnie takie, jak w moim śnie. Czy ja jestem w ogóle normalna? Sama nie wiem, kiedy wyartykułowałam głośno to pytanie.

- Ależ, moja cudowna kobieto ze snu - powiedział Vitto, ujmując moją twarz w swoje piękne dłonie. - Jesteś najpiękniejszą, najnormalniejszą, a zarazem najbardziej niezwykłą osobą, jaką znam.

- Naprawdę? Nie uważasz, że jestem lekko nienormalna? - spojrzałam prosto w jego twarz, szukając cienia ironii lub

drwiny. Ale nie znalazłam nic takiego, jedynie ogromne morze uwielbienia.

- Nie wierzę. Mówisz tak tylko z litości... - próbowałam jeszcze torpedować uczucie, którego wciąż chyba się obawiałam.

- Ależ kochana moja, co ty mówisz? - na twarzy wnuka Morgensenów malowało się szczere zdziwienie. - Jak mam cię przekonać, że naprawdę jesteś dla mnie najcudowniejsza na świecie?

- Zdaje się, że najpierw ja sama muszę pozwolić sobie w to uwierzyć. Uwierzyć, że to w ogóle możliwe - odpowiedziałam nieco zawstydzona.

- Wiesz co? - Vitto postanowił radykalnie zmienić scenerię. - Teraz możemy zejść nad strumień i odpocząć w cieniu lip.

I nie czekając na moją zgodę, chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą ku ścieżce prowadzącej łagodnie w dół. Zbiegaliśmy nią wśród roślących paproci, kołysanych delikatnym wietrzykiem, wśród kwitnących barwnie roślin, których nazw nawet nie znałam... Aż za zakrętem ukazała się naszym oczom ta rajska niemal dolina, którą dane mi było już oglądać wcześniej. Lipy szumiały, łagodnie kołysząc się na wietrze, strumień nieprzerwanie śpiewał swoją melodię, a roje owadów wesoło pobrzękiwały wśród żółtych kwiatów na łące nieopodal.

Vitto zatrzymał się u stóp jednego z drzew. Zdjął plecak i ukląkł przy nim. Powoli wyjmował z niego różne rekwizyty. Najpierw kraciastą serwetę, na której ułożył kawałek bagietki, dwa gatunki sera pleśniowego, kiść winogron, biszkopty i, ku mojemu zdziwieniu, pudełko hiszpańskich truskawek. A jednak pamiętał, co zjawiało się w moim śnie. Usiedliśmy oparci o pień starego drzewa i wśród rozmów i pocałunków powoli zaczęliśmy ucztę, jaką przygotował mój przewodnik.

Kiedy zostały nam na deser krwistoczerwone truskawki, nagle poczuliśmy się nieco znużeni wędrówką i położyliśmy się na miękkiej trawie. Wzięłam pierwszą truskawkę do ręki i powoli poddałam obserwacji doskonałość jej barwy i kształtu. Nadgryzłam perfekcyjnie wysklepiony wierzchołek i, ociekającą sokiem, podałam leżącemu z rękoma pod głową Morgensenowi. Przyjął ją z mojej ręki bez chwili wahania i nim zniknęła w jego ustach, pochwycił mnie swoimi rękami artysty i łagodnie położył obok siebie. Pochylił się nade mną i długo przyglądał mojej twarzy. Jego oczy przepełniał ogrom miłości, ale i szczególnej dobroci, która już dawno ujęła mnie w jego spojrzeniu. Patrzył na mnie i chłonał moje uczucie, a jednocześnie dawał mi w zamian coś równie niezwykłego. -Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem w życiu. Nie ma piękniejszej modelki na żadnym płótnie świata... moja cudowna Marino - zawahał się przez ułamek sekundy i powiedział cicho:

- Kocham cię.

-I ja cię kocham całym sercem, Vitto Morgensenie - odparłam natychmiast.

I kiedy tylko przebrzmiało ostatnie echo moich słów, usta Vitto spadły na moje rozchylone wargi, a błękit jego oczu zamknął się nade mną jak niebo nad światem. Nasze dusze, na moment uwolnione z ciał, zlały się w potędze kosmosu, odnalazły wśród milionów galaktyk i ogromu czasu. Nie było nic, prócz tej chwili, która była momentem spotkania dwóch odprysków pierwotnej materii doskonale pasujących do siebie, odłamanych przed miliardami lat od całości i zagubionych w czasoprzestrzeni wszechświata. Dusze nie mają wieku... i my przestaliśmy istnieć fizycznie przez moment i staliśmy się jednym bytem, jednym sercem i duszą. Kosmos, który wirował wokół nas był nami, a my jego częścią, każdym atomem z osobna i całością zarazem. Otworzy-

ło się okno dusz, które spotkały się w mnogości czasu, miejsc i uderzeń serca...

Jeśli masz czyjeś serce

masz dom na każdym

*miejscu, na którym staniesz...**

I już wiedziałam, że teraz moja dusza odnalazła swój dom...

*** Janina Brzostowska, *Poezje wybrane*, LSW 1974.**